Ile chcą zarabiać zetki i dlaczego tak dużo

▶ 12

Natalia Nykiel Utytłana celebrytka na rowerze

▶ 28

WYSOKIE OBCASY

Wystawał przez wieki. Czemu dziś kobiecy brzuch ma być wklęsły

FOT. GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Andrzej Grabowski

Nie byłem za dobrym ojcem, nie jestem za dobrym dziadkiem

▶ 22

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 30

Ruchy niechęci do kobiet Adwokat o obrońcach mężczyzn ▶ 4

Ogrody z pająkiem Co Niemcy robią z kościołami ▶ 25

Karpaty Czego nie widać ani z Warszawy, ani z Krakowa ▶ 43

Jak Amerykanie zaszkodzili Anglikom i pomogli światu ▶ 46

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

1 RP
Sobota – czwartek, 25-30 lipca 2026 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 172.11271, 1
Nakład 67 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl ae811472f6

Agnieszka Kublik

Morawiecki 2035?

Mateusz Morawiecki ma 58 lat, za sobą premierostwo (dwukrotne nawet, jeśli liczyć jego groteskowy rząd dwutygodniowy) i olbrzymi majątek (same tylko nieruchomości są warte ok 8,7 mln zł, a obligacje skarbowe ponad 3,8 mln zł), który może wykorzystać, jak zapragnie, np. do zdobycia prezydentury.

W 2035 będzie miał 67. To nie jest za późno na pierwszy urząd RP.

Bo tak sobie myślę, że to niemożliwe, by tak ostro i od tak dawna walczył tylko o prezesurę PiS.

Obejrzałam jego wtorkowe oświadczenie, anonsowane jako „ważne". To, w którym zapowiada m.in. „ponowną budową szerokiego obozu prawicy i centroprawicy". Przemawiał jak jej przyszły przywódca.

Morawiecki w granatowym garniturze, białej koszuli i srebrno-szarym krawacie stoi obok dwóch polskich flag, złożone dłonie, wyprostowana postawa. Przemawia wolno, dobitnie akcentuje ważne frazy, gestykuluje, by wzmocnić przekaz. Jest w bliższym kadrze, gdy mówi coś istotnego. Obok polskich flag orędzia wygłasza prezydent Nawrocki, premier Tusk ma za sobą flagi polskie i europejskie.

Morawiecki nagrał orędzie w stylu prezydenckim. Co Wam to mówi?

Tak, Morawiecki zainscenizował swoje oświadczenie jak orędzie prezydenckiego formatu. No przecież to nie jest przypadek.

Może jego plan jest taki, by za rok dostać się do Sejmu jako lider własnej partii (wedle sondaży teraz miałby ok 6 proc. poparcia, to dwa razy więcej niż ma w sumie PL2050 i PSL), albo ważnej frakcji w PiS? Potem premier, wicemarszałek albo i marszałek Sejmu. A może po drodze i Przewodniczący Rady Europejskiej?

Te stanowiska to idealne miejsca do kreowania nowego wizerunku. Bo Morawiecki właśnie buduje się na nowo – sprawny szef rządu z licznymi sukcesami na koncie, polityk europejskiego formatu, mąż stanu, dla którego prezydentura wydaje się czymś naturalnym.

Morawiecki ambicje ma przeogromne. Prezydentura to chyba jedyna funkcja, która je zaspokoi.

W 2030 r. nie wystartuje przeciwko Karolowi Nawrockiemu. Więc ma czas, pieniądze i marzenie, by zawalczyć o prezydenturę w 2035 r.

Byłby pierwszym prezydentem – po Lechu Kaczyńskim, Andrzeju Dudzie i Karolu Nawrockim – nienamaszczonym przez Jarosława Kaczyńskiego.

Czyż to nie piękna zemsta za upokarzanie?

Bo tak właśnie czuje się Morawiecki: „Ja od lat łykam gorzkie pigułki, na moją głowę wylewają się wiadra pomyj i gorszych płynów. I to nie tylko są panowie Bosak, Braun, Mentzen czy Kosiniak-Kamysz, to się dzieje także wewnątrz organizacji, nazwiska zostawmy".

Akurat to nazwisko to my znamy. O nie wszystko się rozbija – i te frustracje, i te marzenia. ●

Andrzej rysuje

Liczba tygodnia

4,9

PROC.

- i rosnące - bezrobocie, kurcząca się liczba ofert pracy, inflacja, spadający eksport do UE i coraz wyższe wydatki na obronność, emerytury, służbę zdrowia – w takim stanie obejmuje Wielką Brytanię nowy premier Andy Burnham. Więcej w analizie Katarzyny Bieleckiej ▶ Wyborcza.biz

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Cytat tygodnia

Uległam rosyjskiej propagandzie w serwisach społecznościowych, która skłoniła mnie do wiary w te rzeczy

LAURA LOOMER
prorosyjska influencerka MAGA z milionowymi zasięgami, po wizycie w Ukrainie

● **Więcej ▶ Wyborcza/swiat**

Czarne jest

Dość

Najbardziej radykalnym postulatem

Wielinski

Obrona polskiej demokracji jeszcze nigdy nie była prostsza. A my pogrążamy się w defetyzmie.

Prostsza? Nie zwariowałem. Polskie sprawy stały się bowiem czarno-białe, wręcz manichejskie. Nie ma już miejsca na symetryzowanie, uderzanie we własne piersi, przepraszanie za koszty transformacji ustrojowej sprzed trzech dekad, za Balcerowicza, za kasowanie połączeń i zamykanie komisariatów ćwierć wieku temu.

Obóz nazywający siebie „patriotycznym" nie czaruje Polaków – jak przed laty – hasłem przywracania ludziom godności i obietnicami nowych czy chociaż wyższych świadczeń socjalnych. Nie ma mowy o wstawaniu z kolan, skoku modernizacyjnym. Temat Centralnego Portu Komunikacyjnego jakoś umarł, „patrioci" nie mówią o milionie samochodów elektrycznych czy wodorowym hubie nad Wisłą.

Świetlana przyszłość zniknęła. Jest za to powrót do przeszłości, i to w najgorszym wydaniu, do przeszłości malowanej na brunatno.

„Jest ONR-u spadkobiercą partia" – pisał w 1956 roku Czesław Miłosz, piętnując łatwość, z jaką rządzący powojenną Polską komuniści sięgali po ksenofobiczny język, by wykorzeniać każdy przejaw społecznego oporu. Paralela do endeckich antysemickich ekscesów z lat 30. była jasna, organizowana pod egidą PZPR antyżydowska nagonka z 1968 roku była wręcz ich dopełnieniem. To, że w międzyczasie w okupowanej Polsce Niemcy przeprowadzili Holocaust, bezprecedensowe ludobójstwo Żydów, nie miało wówczas większego znaczenia. Tak jak dziś dla głoszących antyukraińskie hasła znaczenia nie ma trwająca piąty rok rosyjska agresja na Ukrainę i zbrodnie wojenne popełniane na naszych sąsiadach.

Podsycanie nastrojów przez skrajną prawicę przynosi przerażające rezultaty. W latach 30. w Polsce bito żydowskich studentów, 90 lat później coraz częściej słyszymy, że Polacy biją ukraińskie dzieci, bo mówiły ze sobą po ukraińsku.

Najbardziej radykalnym postulatem polskiej skrajnej prawicy nie jest już polexit – choć hasło wyjścia z Unii Europejskiej jest suflowane w coraz bardziej bezpośredni sposób – a postulaty przepisane prosto z podręczników kremlowskiej propagandy.

Rosja od lat domagała się wstrzymania współpracy wojskowej z Ukrainą oraz trzymania Kijowa z dala od Unii Europejskiej i NATO. To samo dziś mówi nasza prawicowa opozycja, dodając do tego postulat deportowania Ukraińców żyjących w Polsce.

Gdy generał Piotr Pytel przestrzegał kilka lat temu na łamach „Wyborczej", że „Rosja już tu jest", wielu kręciło głową z niedowierzaniem. Dziś to twierdzenie trzeba traktować w zasadzie jak aksjomat. Pytanie, czy ta zbieżność linii wytworzyła się tylko pod wpływem osmozy rosyjskiej propagandy w polskiej debacie publicznej. Mam wrażenie, że nie.

●

Nie ma wątpliwości, że jeśli wróci do władzy, coraz skrajniejsza prawica nie tylko pociągnie Polskę na wschód. Dokona też odwetu na przeciwnikach. Nie tylko na Donaldzie Tusku i je-

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

czarne, białe jest białe

defetyzmu

polskiej skrajnej prawicy nie jest już polexit

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jeśli prawica wróci do władzy, nie tylko pociągnie Polskę na wschód. Dokona też odwetu na przeciwnikach. Nie tylko na Tusku i jego ministrach. Sędziowie i prokuratorzy, dyplomaci i oficerowie, wykładowcy i dziennikarze pójdą na bruk. Nie obroni ich żaden europejski trybunał

go ministrach, którym już zapowiadają dożywocie, ale na wszystkich tych, którzy bronili demokracji, praworządności, europejskości. Sędziowie i prokuratorzy, dyplomaci i oficerowie, wykładowcy i dziennikarze – ci, którzy odważyli się postawić, pójdą na bruk. Albo do celi. Nie obroni ich żaden europejski trybunał ani międzynarodowa instytucja.

Na skrajnej prawicy już nie mogą się doczekać. Wskazują przyszłych winnych i orzekają im kary, dzielą się politycznymi łupami, już prawie siedzą w gabinetach, które przyszło im opróżnić jesienią 2023 roku.

Skoro sprawa jest więc czarno-biała, skoro zagrożenie osiąga historyczne rozmiary, to czemu my – polscy demokraci – pogrążamy się w koszmarnym defetyzmie?

Trudno nie odnieść wrażenia, że już uwierzyliśmy, że epizod odbudowy w Polsce demokracji nieuchronnie skończy się jesienią 2027. A może nawet wcześniej. Przecież to nie tylko TV Republika i jej internetowo-prasowe klony, ale my sami niedawno, opisując aferę wokół zarobków cwanych lekarzy z warszawskiego Szpitala Południowego, wypatrywaliśmy nowych „ośmiorniczek". „To jak nowe nagrania z restauracji Sowa i Przyjaciele, które pogrążyły koalicję PO-PSL przed wyborami w 2015 roku. Już na pewno gwóźdź do trumny rządu" – taka sadomasochistyczna emocja przebijała z naszych komentarzy i prywatnych rozmów.

Uwierzyliśmy, że triumfu skrajnej prawicy nic nie powstrzyma. Wczytujemy się w sondaże, sumując wyniki skrajnie prawicowych partii – jakbyśmy nie dostrzegali, że już są trzy, bardzo się nielubiące, a jeśli dojdzie do rozłamu w PiS, będzie ich cztery – i wyliczamy ile punktów poparcia i mandatów brakuje demokratom do utrzymania władzy.

Im więcej, tym lepiej, Czytam nagłówki i mam wrażenie, że autorzy depesz czerpią dziwną satysfakcję, pisząc o kolejnej „świetnej wiadomości dla Grzegorza Brauna" czy „powodach do optymizmu dla Jarosława Kaczyńskiego".

A sondaży robi się u nas coraz więcej. Kto byłby lepszym premierem? Czy Trzaskowski powinien ustąpić? Który prezydent był najlepszy? Badania opinii społecznej w założeniu miały powiększać wiedzę i obywatelską świadomość. Obawiam się, że dzieje się jednak odwrotnie.

Nasz defetyzm wynika nie tylko z sondażowych odczytów, ale i z wdrukowanego w głowy przez telewizyjną propagandę Jacka Kurskiego przekonania, że Kaczyński jest politycznym demiurgiem, demokraci zaś z zasady są słabi, podzieleni, niedecyzyjni, samozadowoleni, pozbawieni sprawczości. Nie tylko nie wierzymy, że może być inaczej. Przestaliśmy się oburzać. Na przekraczanie granic przez Przemysława Czarnka, na kolejne antysemickie tyrady Brauna, kolejne weta Karola Nawrockiego. W naszej demokracji jęczącej staliśmy się konformistami. Parafrazując klasyka, jeszcze nie jesteśmy w dupie, ale już zaczęliśmy się w niej urządzać.

Nie będę bronić dokonań rządu Koalicji 15 Października. Sam jestem nim rozczarowany, zwłaszcza jeśli chodzi o rozliczenia bezeceństw polityków PiS, opieszałość prokuratorów, tchórzostwo pewnego sędziego. Choć zdaję sobie przy tym sprawę, że w Polsce wymiar sprawiedliwości, jak wiele innych fundamentalnych mechanizmów i instytucji, został popsuty. Dopóki prezydentem pozostaje wetoman Nawrocki, nie ma żadnych szans na naprawę państwa. Można tylko wykorzystywać istniejące przepisy, nadrabiać kreatywnością, determinacją.

Czy wyborcze zwycięstwo Nawrockiego rok temu było nieuniknione? Oczywiście, że nie. Ale wtedy też zadziałał ten koszmarny mechanizm wycofania i kapitulacji. O tym, kim jest „kandydat obywatelski" i z jak podejrzanych wywodzi się kręgów, widzieliśmy doskonale. Można było łatwo przewidzieć, że były kibol będzie traktować politykę jak ustawkę, a siebie na urzędzie będzie postrzegać jak monarchę.

Pytanie, jakie dziś wyciągamy z tej sytuacji wnioski?

To, ile obietnic wyborczych nie zostało spełnionych w obliczu nadciągającej brunatnawej, a może już zupełnie brunatnej fali, nie ma znaczenia. Sprawa jest prosta. Demokratyczne, obywatelskie społeczeństwo musi się zmobilizować i stawić jej czoła.

Na szczęście nie jesteśmy jedyni, którzy mierzą się z takim wyzwaniem. Autokratom z Alternatywy dla Niemiec za kilka tygodni czoła stawią Niemcy, w listopadzie amerykańscy wyborcy w *midterms*, cząstkowych wyborach do Kongresu, rozliczą administrację Trumpa, wiosną przyszłego roku Francuzi zadecydują, czy do Pałacu Elizejskiego wprowadzi się nestorka skrajnej prawicy Marine Le Pen.

Te wyborcze starcia łączy to, że tradycyjne podziały polityczne na lewicę i prawicę tracą na znaczeniu. Parafrazując tytuł dzieła emigracyjnego austriackiego filozofa Karla Poppera, podział przebiega między zwolennikami społeczeństwa otwartego i jego wrogami.

Można pokusić się o tezę, że trwa globalne starcie, które rozstrzygnie o przyszłości demokracji. Odpuścimy je? Poważnie?

Bartosz T. Wieliński

REKLAMA

Kraj/34443069

Wyrusz w niezapomniany rejs po rajskich wyspach Karaibów na pokładzie eleganckiego statku Enchanted Princess.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Miami na Florydzie. **Dz. 2** Zaokrętowanie na statku Enchanted Princess i wypłynięcie w rejs. **Dz. 3** Celebration Key, Bahamy i relaks na plaży. **Dz. 4** Dzień na morzu i atrakcje na statku. **Dz. 5** Amber Cove, Dominikana, możliwość udziału w wycieczkach fakultatywnych. **Dz. 6** San Juan, Portoryko. Spacer po historycznym centrum miasta w ramach dodatkowego pakietu wycieczkowego. **Dz. 7** Philipsburg, St. Maarten. Wizyta w holenderskiej części wyspy. **Dz. 8** St. John's, Antigua. Zwiedzanie wyspy i relaks na plaży w ramach dodatkowego pakietu wycieczkowego. **Dz. 9** Basseterre, St. Kitts. Objazd po wyspie i forteca Brimstone Hill w ramach dodatkowego pakietu wycieczkowego. **Dz. 10** Dzień na morzu. **Dz. 11** Dzień na morzu. **Dz. 12** Koniec rejsu w Fort Lauderdale i wylot do Polski. **Dz. 13** Powrót do domu.

Pełne wyżywienie na statku

13 dni | Wyloty z Warszawy 15/01, 25/01 2027 | od 12.498,–

Cudowna wycieczka nad słynne jezioro Garda połączona ze zwiedzaniem Wenecji, Werony i pięknego Tyrolu Południowego.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Piesza wycieczka po San Zeno. **Dz. 2** Całodzienna wycieczka do Werony i degustacja wina Amarone w Valpolicella. **Dz. 3** Alpejska sielanka w Tyrolu Południowym: Merano i Tirolo. **Dz. 4** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Rejs po jeziorze Garda, czas wolny w Malcesine. **Dz. 6** Wenecja – spacer po mieście i rejs przez lagunę. **Dz. 7** Przejazd do Mediolanu i podróż powrotna do domu.

2 posiłki dziennie

7 dni | Wyloty z Warszawy 21/04, 12/05 2026 | od 5.498,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW27

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl ae811472f6

WAŻNY TEMAT

Moja krzywda jest większa niż twoja

FOT GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

Adwokat: Oskarżanie kobiet o „alienację rodzicielską” stało się najsilniejszym orężem mężczyzn.

Z ADWOKATEM
MARCINEM KOCHANOWSKIM*
ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Dlaczego nie dołącza pan do ruchów mężczyzn, którzy twierdzą, że są w Polsce dyskryminowani?
Bo te ruchy bardzo mnie rozczarowały. Z dużą nadzieją obserwowałem powstawanie organizacji i stowarzyszeń zajmujących się problemami mężczyzn. Cieszyłem się, że wreszcie pojawi się przestrzeń do rozmowy o kwestiach takich, jak choćby przemoc domowa wobec mężczyzn. Liczyłem na otwarty dialog między mężczyznami a kobietami.

Tymczasem z dużym zdziwieniem zauważyłem, że te organizacje (właściwie wszystkie) zaczęły funkcjonować w logice „oblężonej twierdzy”. Zamiast rozmawiać o rzeczywistych problemach, wydają się nastawione wyłącznie na walkę z każdym przejawem rzekomego uprzywilejowania kobiet.

W efekcie debata zaczyna przypominać spór o to, kto ma większe prawo do bycia ofiarą.

Bo, jak twierdzą środowiska męskie, przemoc nie ma płci.
– Przemoc ma płeć – widać to na sali sądowej, w statystykach i w życiu. Oczywiście przemoc może dotknąć każdego człowieka, niezależnie od płci. Jednak badania pokazują wyraźnie: płeć jest jednym z istotnych czynników wpływających zarówno na skalę, jak i charakter przemocy.

Mężczyźni częściej stosują przemoc – koniec i kropka. Zaznaczam, nie chodzi przy tym o ich piętnowanie ani przypisywanie im zbiorowej odpowiedzialności. Chodzi o uczciwe spojrzenie na fakty.

Jeśli chcemy skutecznie przeciwdziałać przemocy, musimy rozumieć mechanizmy, które za nią stoją, a nie udawać, że nie istnieją. Tylko wtedy możliwe jest wypracowanie rozwiązań. Natomiast ja nie widzę ze strony organizacji mężczyzn, o których wspominałem, chęci podjęcia tego rodzaju dyskusji, zmierzenia się z tym.

Ja za to widzę u nich powtarzanie z uporem: „Feministki uważają, że wszystkiemu winni są mężczyźni”.
– Nastroje bojowe walki z urlopem menstruacyjnym czy obrona środowiska naturalnego przed inwazją estrogenu w wykonaniu posła Marcina Józefaciuka są na to dowodem. Wtóruje mu Stowarzyszenie do spraw Chłopców i Mężczyzn, które nie może ochłonąć z wrażenia po wiadomości, że pracowniczki hufca OHP mają wolny dzień podczas bolesnej miesiączki.

Pojawiły się czysto konfrontacyjne, choć ubrane w elegancką formę, stwierdzenia o łamaniu konstytucji i milionowych kwotach rzekomo traconych przez mężczyzn.

Panowie, bądźmy poważni. Trudno szukać w takich narracjach próby rozwiązywania rzeczywistych męskich problemów. To jest klasyczne polowanie na przywileje kobiet i budowanie absurdalnej narracji, że w ogóle kobiety – w skali globalnej i jeżeli chodzi o Polskę – są co do zasady uprzywilejowane. To jest nieprawda.

Ale to sprytne. Wmówienie opinii publicznej: mężczyźni są dyskryminowani na wszystkich polach – edukacji, pracy, emerytury, służby wojskowej, wychowania dzieci i rodziny, jest niekwestionowanym sukcesem. To moim zdaniem nowe oblicze starego dobrego patriarchatu ubranego w eleganckie modne męskie sportowe ciuchy.
– Tyle że w takim momencie sporu dyskryminacja ulega daleko posuniętej dewaluacji, co więcej – w ogóle znika. Rzeczywiste przypadki dyskryminacji kobiet zaczynają się rozmywać w masie innych dyskryminacji. Dyskusja jest więc niemożliwa: udowadnianie sobie, kto jest bardziej dyskryminowany, nie posunie zmian społecznych do przodu, tylko je wypaczy i wynaturzy.

Nie mam kompetencji do oceniania tych zmian z punktu widzenia specjalisty od nauk społecznych, ale to, co ewidentnie rzuca się w oczy, to jakiś rodzaj resentymentu, na pewno komponentu emocjonalnego, który stoi za męskimi ruchami.

Żadna tam obiektywna chęć dyskusji, wyciągnięcie ręki do kobiet, tylko narracja podszyta poczuciem krzywdy, chęcią rewanżu czy nawet zemsty.

Pojawia się z lubością podkreślane wyrażenie „wojna płci”. Ja nie lubię tego określenia, bo jest wytarte i użyte, ale używanie go wzbudza we mnie podejrzenie, że wcale nie chodzi o zainteresowanie rzeczywistymi problemami mężczyzn, tylko – mówiąc wprost – dowalenie kobietom i odbicie zajętych przez nie terytoriów. Walka dla walki. Odpowiedź ogniem na ogień.

W części tych środowisk funkcjonuje fałszywie pojmowana męska solidarność. Prowadzi ona czasem do sytuacji wręcz kuriozalnych, w których głos rzekomo reprezentujący interesy mężczyzn to głos osób prawomocnie skazanych za przemoc czy pedofilię.

Czyli co? Przestępcy przejmują męską narrację w Polsce? Wielu uczestników tych ruchów zachowuje się tak, jakby ten fakt nie miał znaczenia. Najważniejsze jest to, że ktoś jest mężczyzną, natomiast na dalszy plan schodzą kwestie charakteru, wiarygodności czy odpowiedzialności za własne czyny. Taka solidarność nie tylko nie pomaga rozwiązywać realnych problemów mężczyzn, ale wręcz podważa wiarygodność całego ruchu.

Stowarzyszenie do spraw Chłopców i Mężczyzn nie może ochłonąć po wiadomości, że pracowniczki hufca OHP mają wolny dzień podczas bolesnej miesiączki.

• **Marcin Kochanowski,** prawnik, adwokat specjalizujący się w prawie rodzinnym, prawie nowych technologii i własności intelektualnej. W latach 2007-20 pracował jako prokurator. Od 2013 roku jest wolontariuszem w Centrum Praw Kobiet w Gdańsku, w którym udziela pomocy prawnej osobom potrzebującym wsparcia. Za działalność na rzecz przeciwdziałania przemocy i dyskryminacji wobec kobiet został wyróżniony nagrodą „Białej Wstążki”.

Jakie męskie problemy należałoby pana zdaniem załatwić?
– Wystarczy spojrzeć na statystyki. Liczba samobójstw wśród mężczyzn jest dramatycznie wyższa niż wśród kobiet. Podobnie wygląda sytuacja w przypadku uzależnień, zwłaszcza od alkoholu, gdzie również obserwujemy wyraźną nadreprezentację mężczyzn. To są twarde dane, których nie można ignorować.

Te zjawiska mogą być różnymi przejawami tego samego, głębszego kryzysu. Coraz częściej akceptowany jest pozytywny model mężczyzny partnera, osoby, która nie ma problemu z dzieleniem obowiązków, opieką nad dziećmi czy przejmowaniem ról tradycyjnie przypisywanych kobietom.

Jednocześnie mam wrażenie, że część mężczyzn nie odnajduje się w tej nowej rzeczywistości. Być może właśnie w tym napięciu między starym a nowym modelem męskości i agresywnych reakcjach kryją się źródła wielu problemów. To jednak bardziej intuicja niż gotowa diagnoza.

Mam wrażenie, że agresywne reakcje czy zwrot w stronę radykalnych środowisk bywają dla części z nich próbą odpowiedzi na ten stan zagubienia. Ten „kryzys męskości”, o jakim mówimy, po prostu wymaga rzetelnej diagnozy. Nie można go zdefiniować jednym określeniem: „dyskryminacja mężczyzn”.

Można odnieść wrażenie, że kobiety stają się w tych dyskusjach punktem odniesienia dla wszystkiego. Czy mężczyźni mogliby rozmawiać o swoich problemach bez ciągłego nawiązywania do kobiet?
– Nie jestem przekonany, czy to w ogóle możliwe. Męskość realizuje się przecież poprzez role społeczne: bycie partnerem, mężem czy ojcem. Nie da się więc analizować przemian zachodzących wśród mężczyzn w całkowitym oderwaniu od relacji z kobietami.

To właśnie rodzina jest miejscem, w którym obecny kryzys męskości ujawnia się najdobitniej. Z jednej strony mamy problem przemocy domowej, z drugiej – lawinowo rosnącą liczbę rozwodów i rozpadających się związków.

W środowiskach męskich aktywistów pojawia się teza, że polskie sądy rodzinne zawsze stają po stronie kobiet. Zgadza się pan z takim stwierdzeniem?
– Można mieć wiele zastrzeżeń do funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, ale twierdzenie, że sądy rodzinne systemowo faworyzują kobiety tylko dlatego, że sędzia jest kobietą, nie znajduje potwierdzenia w faktach.

Nigdy nie spotkałem się z rzetelnymi badaniami, które potwierdzałyby taki mechanizm. Zazwyczaj jako dowód przywoływane są pojedyncze anegdotyczne historie osób niezadowolonych z wyroku.

Szczególnie niepokoją mnie wypowiedzi osób publicznych, np. ministra sprawiedliwości, które podważają zaufanie do sądów, sugerując, że kobiety orzekające w wydziałach rodzinnych kierują się solidarnością płciową. To nie tylko krzywdzące wobec sędzi, ale również niebezpieczne dla autorytetu wymiaru sprawiedliwości.

Jak z perspektywy praktyka wyglądają sytuacje kobiet trafiających do sądów rodzinnych?
– Widać instytucjonalny brak pomocy dla kobiet uciekających przed przemocą. Odejście od sprawcy często oznacza konieczność rozpoczęcia życia od zera – znalezienia mieszkania, źródła utrzymania i zapewnienia bezpieczeństwa sobie oraz dzieciom.

Jednocześnie postępowania dotyczące kontaktów z dziećmi potrafią trwać miesiącami, pozostawiając ofiary w stanie niepewności i zmuszając je do trudnych wyborów.

Dodatkowym wyzwaniem jest słabe rozpoznawanie przemocy psychicznej przez instytucje. Wciąż dominuje przekonanie, że przemoc to przede wszystkim agresja fizyczna. Tymczasem wiele kobiet doświadcza wieloletniej kontroli, izolowania od otoczenia, podważania własnej wartości czy manipulacji, które prowadzą do głębokich kryzysów psychicznych.

Ten rodzaj przemocy bywa trudny do udowodnienia i często pozostaje niewidoczny dla organów ścigania oraz sądów.

Gdy nie ma siniaków, gróźb czy awantur, pojawia się pytanie: „Gdzie tu jest przemoc?”. W efekcie doświadczenia wielu ofiar pozostają poza zainteresowaniem systemu.

Ale wracamy też do czasów, w których kobiety boją się odejść od przemocowca, ponieważ sąd zabierze jej dzieci.
– Oskarżanie kobiet o tzw. alienację rodzicielską stało się najsilniejszym orężem mężczyzn. Czy temu się dziwię? Nie. W kraju, w którym minister sprawiedliwości obchodzi Światowy Dzień Alienacji Rodzicielskiej (sic!), przecież nie może być inaczej.

Odczytuję tę aberrację jako sygnał polityczny pokazujący, że narracja wokół alienacji rodzicielskiej zyskuje instytucjonalne wsparcie. Jest to trend niebezpieczny, ponieważ może prowadzić do marginalizowania problemu przemocy domowej i utrudniać ochronę jej ofiar.

Jeszcze kilka lat temu rzecznik praw obywatelskich zwrócił się do ministra sprawiedliwości, wskazując, że zgodnie ze stanowiskiem ekspertów działających pod auspicjami Unii Europejskiej pojęcie alienacji rodzicielskiej jest wykorzystywane jako narzędzie wtórnej wiktymizacji ofiar przemocy.

W związku z tym eksperci zalecali wyeliminowanie tego pojęcia z obrotu prawnego. I ówczesny minister sprawiedliwości skierował pismo do OZSS-ów, by wyeliminować to sformułowanie z opiniodawstwa. W porównaniu z tym teraz obserwujemy regres.

Męskim stowarzyszeniom udało się wytworzyć przekonanie, że dziecko, niezależnie od wszystkich okoliczności, zawsze musi mieć kontakt z ojcem.

Ja naprawdę uznaję ogromnie ważną rolę ojca w życiu dziecka. Ale uczynienie z tej zasady czegoś, co nie przewiduje wyjątku, jest bardzo niebezpiecznym krokiem. W praktyce oznacza to, że nawet ko-

eprasa.pl ae811472f6

bieta będąca ofiarą przemocy musi mierzyć się z przekonaniem, iż kontakt dziecka ze sprawcą powinien być utrzymywany w możliwie najszerszym zakresie.

Kontakty z dzieckiem są w takich sytuacjach wykorzystywane jako narzędzie dalszego sprawowania kontroli nad byłą partnerką. Sprawca nadal próbuje decydować o wszystkim – do jakiej szkoły pójdzie dziecko, do jakiego lekarza trafi, na jakie zajęcia dodatkowe będzie chodzić. Domaga się też ciągłych informacji, co dziecko robi, co jadło, jak się czuje i jak wygląda jego dzień.

Formalnie związek się skończył, ale mechanizm kontroli często działa dalej, tylko w nowej formie. W całej tej dyskusji zbyt rzadko dostrzega się, że dziecko, które było świadkiem przemocy wobec jednego z rodziców, również ponosi jej konsekwencje i samo staje się ofiarą. Choć dostrzega to prawo, kompletnie nie przekłada się to na praktykę sądową.

Coraz większa jest też presja na mediacje i „dogadanie się" zamiast rozprawy rozwodowej.
– Sama mediacja nie jest niczym złym – w wielu sprawach to świetne rozwiązanie. Nie może jednak stać się obowiązkiem w każdej sytuacji, zwłaszcza gdy jedna ze stron była ofiarą przemocy.

Kobiety często są nakłaniane, by usiąść przy jednym stole ze sprawcą i szukać kompromisu. Po części wynika to z przeciążenia sądów. Każda sprawa zakończona ugodą oznacza jedną sprawę mniej w sądowym referacie.

Ja to mogę nawet w jakimś stopniu zrozumieć – sędzia, który jest permanentnie obciążony pracą, może ulec pokusie, by doprowadzić do szybszego zakończenia jakiejś trudnej sprawy za pomocą mediacji.

Tylko że sprawcy często deklarują pełną gotowość do rozmowy i kompromisu. W praktyce takie spotkanie bywa jednak kolejną okazją do wywierania presji i odzyskiwania kontroli nad byłą partnerką.

Podobnie jest z opieką naprzemienną. Sama w sobie nie jest złym rozwiązaniem, a w wielu rodzinach sprawdza się bardzo dobrze. Ale są sytuacje, w których może być dla dziecka szkodliwa: np. wtedy, gdy jeden z rodziców manipuluje dzieckiem lub wykorzystuje je do konfliktu z drugim rodzicem.

W takich przypadkach kobieta musi przekonywać sąd i biegłych, że opieka naprzemienna nie leży w interesie dziecka. Niekiedy spotyka się przy tym z zarzutami, że bez powodu utrudnia kontakty albo nie potrafi współpracować. To może znacząco pogorszyć jej sytuację procesową.

Mamy XXI wiek. A rozwód zaczyna być rujnujący dla współczesnej kobiety w podobnej skali jak rozwód XIX-wieczny. Jak właściwie do tego doszło?
– Jeszcze kilka lat temu męskie środowiska skupione wokół narracji o rzekomej dyskryminacji funkcjonowały głównie w internecie. Były głośne, ale zajmowały margines debaty publicznej. Z czasem zaczęły się jednak organizować, tworzyć stowarzyszenia i prowadzić skuteczny lobbing.

Mówiąc wprost – wydeptywały sobie ścieżki do polityków, urzędników i instytucji państwowych. Nie mówię tutaj o mężczyznach jako grupie, ale o konkretnych organizacjach, które uczyniły walkę z rzekomymi przywilejami kobiet swoim głównym celem. Ich wpływ na debatę publiczną zaczął stopniowo rosnąć.

Jednocześnie zabrakło reakcji z drugiej strony. Mówię to z dużym rozczarowaniem. Organizacje kobiece nie dostrzegają skali tego zjawiska, oprócz tych nowo powstałych, które są skupione stricte wokół problemów alienacji rodzicielskiej czy alimentacji.

W efekcie ten sposób myślenia rozwijał się właściwie bez większej przeciwwagi. Zacząłem pisać o tych sprawach dopiero wtedy, gdy zorientowałem się, że problem praktycznie zniknął z publicznej dyskusji. Proszę pamiętać, że mówimy o zjawiskach, które mają realny wpływ na życie tysięcy kobiet i dzieci.

Tymczasem temat był niemal nieobecny w debacie publicznej, a wpływy tych środowisk rosły. Nie uważam, że mamy do czynienia z jedną zmianą przepisów czy jednym politycznym zwrotem. To raczej efekt kilkuletniego procesu, w którym dobrze zorganizowane grupy konsekwentnie budowały swoje wpływy, podczas gdy druga strona przez długi czas nie dostrzegała, że taka zmiana właśnie się dokonuje.

Kobiece środowiska, uznając, że feminizm walczy o równość wszystkich, wpadły w pułapkę. Trzeba było stanąć w obronie... dyskryminowanych mężczyzn. Przypomnijmy, że w 2024 roku ministra ds. równości Katarzyna Kotula podczas Campusu Polska deklarowała, żeby walka z dyskryminacją chłopców i mężczyzn była główną agendą naszej prezydencji w Unii Europejskiej. Niektórzy twierdzą, że dla części mężczyzn rola ojca stała się dziś ostatnim obszarem, w którym mogą podkreślać swoją tożsamość i odrębność. Czy dlatego walka o kontakty z dzieckiem stała się tak ważna?
– Byłbym ostrożny z taką diagnozą. Mogę mówić wyłącznie na podstawie własnych doświadczeń zawodowych. Z nich wynika coś nieco innego. W wielu przypadkach zainteresowanie samym dzieckiem nie jest wcale tak duże, jak mogłoby się wydawać.

Relacja z dzieckiem staje się raczej narzędziem do prowadzenia konfliktu z byłą partnerką. Widzę sytuacje, w których walka o kontakty nie służy budowaniu więzi z dzieckiem, ale ukaraniu byłej partnerki za odejście, odzyskaniu kontroli nad jej życiem albo wymuszeniu posłuszeństwa.

Oczywiście przed sądem podkreślana jest rola kochającego ojca, który walczy o prawo do kontaktu z dzieckiem. Mam jednak wrażenie, że czasami jest to przede wszystkim wygodna pozycja do dalszego prowadzenia konfliktu.

Są oczywiście ojcowie, którzy autentycznie walczą o możliwość uczestniczenia w życiu dziecka i nie można tego podważać. Ale spotkałem też sytuacje, w których po długiej i zażartej walce o kontakty zainteresowanie dzieckiem nagle wyraźnie słabło. Okazywało się, że dziecko przez większość czasu siedzi przed telewizorem albo gra na komputerze. Lub dzieckiem zajmuje się babcia. Zdarzało się również odwoływanie wcześniej wywalczonych spotkań.

Nie twierdzę, że jest to zjawisko powszechne. Mogę jedynie powiedzieć, że w swojej praktyce spotkałem sporo takich przypadków. Właśnie dlatego uważam, że w każdej sprawie trzeba uważnie oddzielać rzeczywiste dobro dziecka od interesów i emocji dorosłych.

Zwolennicy ruchów ojcowskich często podnoszą dwa argumenty: że kobiety nadużywają procedury Niebieskiej Karty oraz że fałszywie oskarżają byłych partnerów o pedofilię. Jak pan na to odpowiada?
– Przede wszystkim warto uporządkować fakty. Samo założenie Niebieskiej Karty ma niewielki wpływ na przebieg postępowania rozwodowego czy rodzinnego. Wbrew obiegowym opiniom nie jest to dokument, który przesądza, że doszło do przemocy.

Niebieska Karta jest jedynie procedurą uruchamianą w związku ze zgłoszeniem przemocy. Jej celem jest rozpoznanie sytuacji rodziny, udzielenie pomocy i skoordynowanie działań różnych instytucji. Nie jest dowodem na to, że przemoc rzeczywiście miała miejsce, i sądy doskonale zdają sobie z tego sprawę.

Podobnie jest z oskarżeniami o pedofilię. Istnieje powszechne przekonanie, że wystarczy zarzucić mężczyźnie pedofilię, żeby automatycznie wygrać sprawę rodzinną. To po prostu nie jest prawda. Dopóki taki zarzut nie zostanie potwierdzony dowodami, nie jest traktowany przez sąd jako okoliczność przesądzająca o wyniku sprawy.

Teza, że można w prosty sposób doprowadzić do skazania niewinnego człowieka na podstawie samego oskarżenia, nie znajduje potwierdzenia w praktyce, którą znam z doświadczenia.

Prowadziłem sprawy dotyczące wykorzystywania seksualnego dzieci zarówno jako prokurator, jak i później jako pełnomocnik osób pokrzywdzonych. Sprawy o pedofilię należą do najtrudniejszych dowodowo postępowań w całym prawie karnym.

Oczywiście mogę sobie wyobrazić sytuacje, w których ktoś próbuje wykorzystać taki zarzut instrumentalnie. Ale samo oskarżenie ma bardzo ograniczone znaczenie, jeśli nie stoją za nim konkretne dowody.

Kobiety i mężczyźni mają coraz bardziej rozbieżne oczekiwania wobec związków, rodziny i wspólnego życia

Co pana zdaniem łączy mężczyzn, o których rozmawiamy?
– Trzeba pamiętać, że mam do czynienia przede wszystkim z ludźmi będącymi w konflikcie. Nie spotykam na co dzień tych mężczyzn, którzy dobrze realizują swoją rolę jako partnerzy i ojcowie, bo oni zwykle nie trafiają do sądu albo potrafią porozumieć się bez wieloletnich sporów.

Zdarzają się przecież rozwody, które kończą się spokojnym porozumieniem. Są ojcowie autentycznie zaangażowani w wychowanie dzieci, dla których opieka naprzemienna jest dobrym rozwiązaniem, bo od początku uczestniczyli w opiece i mają z dzieckiem silną więź.

Jeżeli jednak miałbym wskazać coś wspólnego dla tych mężczyzn, którzy pojawiają się w najbardziej konfliktowych sprawach, powiedziałbym, że często jest to pewien specyficzny sposób patrzenia na relacje. Relacje nie są dla nich partnerstwem, ale przestrzenią kontroli.

Odejście kobiety traktują jak osobistą zniewagę, coś, co wymaga odwetu albo odzyskania utraconego wpływu.

W takich przypadkach najważniejsze staje się nie dobro dziecka czy znalezienie rozwiązania, ale utrzymanie kontroli nad drugą osobą.

Co istotne, często tacy mężczyźni świetnie funkcjonują zawodowo, potrafią być niezwykle przekonujący i sprawiać bardzo dobre wrażenie. Nierzadko dysponują też znacznymi środkami finansowymi, dzięki czemu mogą prowadzić kilka postępowań jednocześnie, korzystać z pomocy dobrych prawników i przez lata angażować byłą partnerkę w kolejne spory.

Dlaczego zwracam na to uwagę? Bo w swoich sprawach widzę powtarzające się schematy. Te same argumenty, te same strategie, a czasem wręcz identyczne sformułowania – charakterystyczny wzorzec zachowań.

Skoro nawet w stosunkowo niewielkiej praktyce adwokackiej spotykam tak wiele podobnych przypadków, trudno uznać to za zbieg okoliczności.

Wrócę jednak do mężczyzn, którzy z powodzeniem realizują nowoczesne, partnerskie ojcostwo. Ono daje ogromną satysfakcję i prowadzi do tworzenia zdrowych, trwałych relacji rodzinnych.

Być może, zamiast koncentrować się na wojnach kulturowych i sporach wokół rzekomych przywilejów kobiet, warto by było promować właśnie taki model męskości i ojcostwa, ten, który opiera się na partnerstwie, odpowiedzialności i bliskości, a nie na kontroli i konflikcie.

De facto bowiem ta wojna unieszczęśliwia wszystkich: i mężczyzn, i kobiety. Nikt nie wygrywa, wszyscy przegrywają. Mężczyźni częściej uciekają w alkohol i pornografię, kobiety zaś częściej zmagają się z lękiem, depresją, samotnością oraz presją nierealistycznych oczekiwań. W efekcie obie strony ponoszą koszty narastających podziałów i wzajemnej wrogości.
– Zgadzam się. Uważam, że jest to jedno z najpoważniejszych wyzwań społecznych, przed którymi stoimy. Mamy dziś ogromną liczbę rozwodów. Najwyższy czas zacząć mówić o kryzysie rodziny. Wbrew niektórym narracjom nie jest on jednak wywołany przez mniejszości czy ruchy emancypacyjne.

Moim zdaniem wynika przede wszystkim z tego, że kobiety i mężczyźni mają coraz bardziej rozbieżne oczekiwania wobec związków, rodziny i wspólnego życia.

To bardzo niebezpieczne zjawisko, bo prowadzi do narastania fundamentalnego konfliktu społecznego. Zamiast szukać sposobów na zbliżanie ludzi do siebie, coraz częściej podkreśla się to, co ich dzieli.

Ostatecznie nikt na tym nie wygrywa.

Odebranie kobietom jakiegoś prawa czy przywileju nie sprawi przecież, że mężczyźni będą szczęśliwsi, będą tworzyć trwalsze związki albo rzadziej doświadczać samotności.

To fałszywa odpowiedź na realne problemy. Już dziś widać, że skutki tego konfliktu ponoszą także sami mężczyźni. Tak jak pani mówi: coraz więcej z nich ma trudności z budowaniem trwałych relacji, doświadczają samotności, a związki, które tworzą, często się rozpadają.

Tymczasem rozwód jest traumatycznym doświadczeniem dla obu stron. Kryzys relacji uderza zarówno w kobiety, jak i w mężczyzn. Dlatego tak bardzo brakuje mi organizacji męskich, które zamiast koncentrować się na sporach ideologicznych, zajęłyby się rzeczywistymi problemami mężczyzn: samotnością, zdrowiem psychicznym, kryzysem relacji czy skutkami rozpadu rodzin.

Jeden z mężczyzn napisał mi kiedyś, że wolałby mieć zięcia walczącego z urlopem menstruacyjnym niż takiego, który miałby umierać za ojczyznę.
– To pokazuje ogromny ładunek emocji, który dziś towarzyszy tej debacie. Jeżeli dla kogoś walka z rzekomymi przywilejami kobiet staje się ważniejsza niż inne fundamentalne wartości, to znaczy, że emocje zaczynają dominować nad rozsądkiem. A to niebezpieczne. ●

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

Dlaczego sędzia nagle stał się cacy

Przyzwyczailiśmy się, że po materiale o wojnie prezenter mówi „a teraz…" i gładko przechodzi do informacji, kto odpadł z „Tańca z gwiazdami". A to ma poważne polityczne konsekwencje

Marcin Matczak

No i profesor Łętowska się wkurzyła. Przez cały program odpowiadała cierpliwie na pytania dziennikarki, komentując milion tematów, w tym sprawę możliwego, a raczej niemożliwego impeachmentu prezydenta Nawrockiego. Ale na koniec powiedziała: „Mam wrażenie, że byłoby lepiej porozmawiać o jednej rzeczy dokładniej, niż pędzić przez dziesięć tematów tak troszeczkę bez głowy".

Niestety, to niemożliwe. Media muszą pędzić przez tematy, bo nie żyjemy już w kulturze opowieści, ale w kulturze punktowego przeżycia. Oglądający nie mają czasu na dłuższe formy myślenia, mówiący dostosowują się. Stąd wywiady przypominają bardziej playlisty niż rozmowy. A że średnia długość piosenek między 1998 a 2019 rokiem spadła o 73 sekundy, są to właściwie playlisty z samymi refrenami.

Czy możemy na to tylko narzekać? Niekonieczne. Możemy zrozumieć, co ta kultura punktu z nami robi i się zbuntować. Już w „Narratorze", w 1936 roku, Walter Benjamin analizował różnicę pomiędzy doświadczeniem (*Erfahrung*) a przeżyciem (*Erlebnis*).

Erfahrung pochodzi od *fahren*: jechać. Doświadczenie jest więc drogą, którą się przebywa i z której (albo do której) się wraca. Jak Odyseusz do Itaki, co opowiedział Homer, a dzisiaj Nolan. *Erlebnis* pochodzi od *erleben* – przeżyć na własnej skórze, odczuć.

Doświadczenie to coś, o czym można za-świadczyć, czyli opowiedzieć. Przeżycie to punktowy dreszcz, który nie osadza się w pamięci. Filozof Benjamin pisze, że wartość informacji umiera w chwili, gdy przestaje być nowa. Opowieść nie może się zużyć – działa przez pokolenia, o czym akurat „Odyseja" zaświadcza najdosadniej.

Kultura opowieści to świat o czasie wydłużonym, cierpliwym. Kultura punktu to skakanie z kwiatka na kwiatek. Tu wszystko się kumuluje, wszystko przez 24 godziny brzmi równie głośno i równie szybko znika. To, co nazywamy „debatą" to konkurowanie krzykaczy o naszą kruchą uwagę. „Dyskusja" czy „komentarz" niczego nie podsumowują i nie wyjaśniają, tylko pobudzają i to bynajmniej nie do myślenia, ale do emocji. Nic dziwnego, że w tej kulturze jest wyłącznie czas, by krzyknąć: „Oni są zagrożeniem!" i „Ja was obronię!".

W kulturze punktu rządzi „A teraz..", opisane przez Neila Postmana w książce „Zabawić się na śmierć. Dyskurs publiczny w epoce show-biznesu": gwałtowne przełączanie uwagi pomiędzy całkowicie niepowiązanymi tematami. Po materiale o wojnie prezenter mówi „a teraz…" i gładko przechodzi do informacji o tym, kto odpadł z „Tańca z gwiazdami" lub do prognozy pogody. Między kolejnymi elementami nie ma żadnego związku, każde wydarzenie zostaje odizolowane od poprzedniego i natychmiast wyparte przez następne. W efekcie odbiorca nie ma czasu na refleksję – staje się jedynie kolekcjonerem szybko blaknących emocji.

Filozofowie od dawna ostrzegają, że kultura punktu jest groźna dla naszego dobrostanu. U Zygmunta Baumana to konsumowanie życia, które z biografii (opowieść!) zamienia się w kolekcję wrażeń: w „bucket list" – listę rzeczy do zrobienia albo raczej zaliczenia przed śmiercią.

Byung-Chul Han w „Kryzysie narracji" pisze, że w przeciwieństwie do informacji, która jest punktowa i zbiera rzeczy niepowiązane, narracja łączy i wybiera rzeczy ważne. W kulturze punktu „storytelling" zostaje wyparty przez „storyselling" – już nie opowiadamy historii, ale je sprzedajemy, a żeby sprzedawały się dobrze, muszą być małe, poręczne i ładnie opakowane. Mniej ważne, co jest w środku.

Nie tylko prywatny dobrostan cierpi w kulturze punktu. Ten państwowy także. Dlatego że obywatele niezdolni do dłuższego ciągnięcia opowieści, skupieni na wiecznym „tu i teraz" i emocjach, które zeń czerpią, nie potrafią rozliczać polityków. Bo żeby rozliczyć, trzeba być zdolnym rozciągnąć uwagę od obietnicy do momentu, w którym się spełni albo nie.

Logik i filozof Robert Brandom opisywał dyskurs jako prowadzenie rachunku zobowiązań. Kultura punktu zmusza nas, żebyśmy kasowali tablicę, na której widnieją te zobowiązania, co dobę albo co godzinę, a więc niespójność przestaje kosztować tych, którzy podejmują zobowiązania. „Cóż szkodzi obiecać…" znajduje tym samym filozoficzne uzasadnienie.

Powiecie – to jakaś abstrakcja. Ale nie. Dwa konkretne zdarzenia z ostatniego czasu tę filozoficzną abstrakcję unaoczniają.

Pierwsze: Konfederacja i PiS, kiedyś wspierające naszych wschodnich, toczących wojnę sąsiadów – Kaczyński wołający „Sława Ukrainie" czy Mentzen mówiący, że oczywiście Ukraińcom trzeba pomagać. I te same formacje w roku 2026, szczujące na Ukraińców, żądające, by nie przyjmować ich do Unii Europejskiej i zaprzestać pomocy militarnej dla nich. Pyta mnie Justyna Dobrosz-Oracz, czy to nie jest niekonsekwencja. Oczywiście, że jest, ale żeby wyborca ją zobaczył, musi być zdolny do odczuwania czegoś więcej niż chwilowa emocja zgodna z jego własną. Kiedyś wspierał Ukrainę, więc emocjonalnie hołubił polityka, który robił to samo. A teraz nie lubi Ukraińców, więc emocjonalnie utożsamia się z tym samym politykiem, który mówi coś zupełnie odwrotnego.

Ale w kulturze punktu już nie pamięta, w stosunku do czego to coś jest odwrotne.

Drugie wydarzenie: wyrok w ogromnie bulwersującej sprawie Łukasza Żaka – który pędząc po pijanemu, spowodował śmiertelny wypadek na Wisłostradzie – i sensowne uzasadnienie, zgodne ze społecznym poczuciem sprawiedliwości, wygłoszone przez sędziego Miterę. I już sędzia Mitera jest cacy, chociaż jeszcze kilka lat temu był bardzo be. Wtedy zasiadał w znienawidzonej neo-KRS i wspierał Ziobrę. Ale dziś jest fajny, bo w kulturze punktu co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. I z koniunkturalisty stał się wzorem.

Na koniec odrzućmy ten obcy niemiecki Benjamina i mówmy po polsku, bo jesteśmy przecież w Polsce. Przymiotnik od „doświadczenia" to „doświadczony" – to ktoś, kogo warto słuchać, jak doświadczonego lekarza albo przewodnika. Przymiotnik od „przeżycia" to „przeżyty", słowo nie do końca pozytywne – jak przeżytek, coś przestarzałego, zużytego.

To, co trwa w doświadczeniu, daje autorytet. To, co jest tylko przeżyciem, szybko się przeterminowuje. Ale my najwyraźniej lubimy konsumować rzeczy już w momencie produkcji przeterminowane. ●

Klik!

„Nie zdajecie sobie sprawy, jak dużo od Was zależy. Każda rezygnacja z kliknięcia w clickbaitowy tytuł to małe zwycięstwo". Może pomóc zmienić internet.

Michał Rusinek

Kiedy powstały internetowe serwisy informacyjne z ich specyficzną ekonomią, pojawiło się zjawisko, zwane clickbait, czyli przyciąganie uwagi internautów za pomocą nagłówków, które są rodzajem przynęty (ang. bait). Chodzi o generowanie zysków z reklam, które pojawiają się równolegle z artykułem zaraz po kliknięciu w nagłówek, zazwyczaj kosztem rzetelności informacji, która często nie ma związku z nagłówkiem.

Niby się już do tego przyzwyczailiśmy i niby się na to uodporniliśmy, ale widocznie nie wszyscy, bo clickbaitowych tytułów w przestrzeni internetu wciąż jakby nie ubywało.

Pierwsze nęciły tabloidy

Takie przynęty pojawiały się już wcześniej w tabloidach - i też chodziło o to, by zaciekawić nas tytułem artykułu i skłonić byśmy do niego zajrzeli, a przy okazji zerknęli na towarzyszące mu reklamy. Z czystej ciekawości.

No bo któż się oprze takim tytułom, jak „Szalony Amerykanin pobił matkę kiełbasą krakowską"? To też tzw. ragebait, bo wywołuje oburzenie, a nawet wściekłość: niektórych oburzy fakt bicia matki, innych – bezczeszczenie dumy wędliniarstwa przez obcokrajowca.

Oburzenia patriotycznego doznać mogliśmy czytając tytuł: „»Komary pokąsały mi piersi«. Złośliwe owady atakują Polki" – bo dlaczego akurat Polki? A kiedy czytaliśmy, że „Ślimaki mutanty pustoszą uprawy", od razu mnożyły się pytania: jak duże były te mutanty, jak uległy mutacji, czy mutacja nie jest zaraźliwa i czy polskie rolnictwo jest zagrożone?

Tytuł: „Napadły na mnie szatańskie kozy" uruchamiał w nas lęki o podłożu okultystycznym (Baphomet?), natomiast inny – „Odebrał żelazko zamiast telefonu. Nigdy tak nie rób" – zawierał prawdę ogólną, którą zawsze należy sobie powtarzać w czasie prasowania.

Dosyć często można się było natknąć na tytuły o podtekście antyalkoholowym, co warto docenić, np. „Dzięki żabom przestałem pić" i „Koń chuligan rozbił mu wino".

Niebezpieczeństwo mogło czaić się wszędzie, co uświadamiał tytuł: „Atak sandacza grozy", czy też: „Całowanie w rękę zabija". Wiele wskazuje, że ten ostatni artykuł trafił w ręce Karola Nawrockiego i zrobił na nim niezatarte wrażenie.

Złota era clickbaitozy

Z wysypem clickbaitowych tytułów mamy do czynienia zwłaszcza teraz, czyli w sezonie ogórkowym. Trudno się przed nimi bronić, bo trzeba walczyć z wrodzoną ciekawością.

Wspierać nas w niej mogą serwisy fact-checkingowe, które specjalizują się w weryfikowaniu publikowanych informacji. Oprócz znakomitej strony demagog.org, pl, na Facebooku istnieje profil „Streszczam clickbaitowe artykuły, żebyś nie musiał klikać", który od początku wakacji ma nieco więcej roboty.

„Zwolnienie z opłaty za śmieci dla emerytów. Nic już nie trzeba płacić" – to tytuł w serwisie Interia Biznes. Pomijając powtórzenie tej samej informacji, jest ona błędna, bo zwolnienie nie dotyczy emerytów, tylko każdego, kto nie przebywa w danej nieruchomości.

Na stronie Interia Motoryzacja można przeczytać: „Nowe tablice to już obowiązek. Za ich brak grozi kara 1000 zł". Skoro kwota podana jest w złotówkach, a na zdjęciu widzimy polską tablicę, można sądzić, że to dotyczy Polski. Chodzi o Francję, ale tego dowiemy się dopiero gdy klikniemy. Na stronie Tygodnika Solidarność uderzał czerwony „Pilny komunikat w sprawie Thermomiksów", a po kliknięciu okazywało się, że dotyczył drobnego błędu, który nie wymaga wizyty w serwisie.

Na stronie Super Express Lublin jest tytuł: „»Zamknęli mi córkę w psychiatryku!«. Matka drży o życie 21-letniej Natalii". W tym przypadku tytuł i artykuł są spójne: w nieodpowiedzialny sposób podważają zaufanie do psychiatrii i stygmatyzują szpitale oraz pacjentów i pacjentki oddziałów psychiatrycznych.

Co to będzie? Nic nie będzie

Serwis Spider's Web poinformował nas, że „Foliarze mieli rację. ONI będą sterować pogodą, kosmicznymi lustrami". Serwis „Streszczam clickbaitowe artykuły" wyjaśnia, że opisywana technologia nie jest przeznaczona do ingerencji w pogodę, w artykule nie wspomina się foliarzy czy teorii spiskowych, a sam pomysł to ciągle nieprzetestowany startup, więc nie „będą", ale „być może będą".

Co najważniejsze, jest to „manipulacja mająca na celu stworzenie fałszywego i niebezpiecznego wrażenia, że foliarstwu przyznano rację w mainstreamowych mediach"– kolejny atak na rozum i naukę, który dobrze się klika, bo antynaukowość jest modna. Z mody nie wychodzi też podważanie teorii ewolucji, np. na portalu Komputer Świat: „Naukowcy odkryli niezwykłe skamieniałości. Podważają teorię o ewolucji zwierząt". Nie podważają – ale żeby się o tym przekonać, trzeba kliknąć.

Podobnie na portalu polskieradio24.pl, gdzie czytamy: „Nowy skutek uboczny szczepionki na COVID-19", więc obawiając się, czy aby antyszczepionkowcy nie mieli racji klikamy – i okazuje się, że ten skutek uboczny polega na tym, że „osoby starsze, które otrzymały szczepionkę, rzadziej mają powikłania sercowo-naczyniowe związane z tą chorobą".

Niezbyt to zabawne; zabawny jest za to tytuł na Interii: „Kolejne problemy w Luwrze. Doszło do »nieodwracalnych i ostatecznych« strat", bo pomijając tajemniczo brzmiącą „ostateczność", to już w tzw. leadzie, czyli cztery wersy poniżej tytułu czytamy: „Dyrektor muzeum przekazał, że nie doszło do »nieodwracalnych i ostatecznych strat«.

Na uwagę zasługuje także tytuł z portalu polskieradio24.pl, z działu „Nauka": „Wpisz odwrócony PIN w bankomacie. Tłumaczymy, co się stanie". Okazuje się, że nie stanie się zupełnie nic.

Morderczy jak sezon ogórkowy

Stanie się natomiast coś dobrego, jeśli uświadomimy sobie, w jaki sposób działa clickbait. Jak czytamy na profilu „Streszczam clickbaitowe artykuły": „Nie zdajecie sobie sprawy, jak dużo od Was zależy. Każda rezygnacja z kliknięcia w clickbaitowy nagłówek to małe zwycięstwo. Przemnożone przez miliony użytkowników mogłoby raz na zawsze zmienić internet, po jakim się poruszamy".

Stanie się jednak coś niedobrego, jeśli clickbaity stosować będą poważne media, bo wtedy po prostu stracimy do nich zaufanie, a w każdym razie przestaniemy je traktować poważnie. Wiemy, że są wakacje, a więc sezon ogórkowy, ale – litości – „SOR-y świata zapełniają się kobietami – ofiarami morderczych spodni z sieciówki"? Drogie redaktorki Wysokich Obcasów, prosimy, nie wkładajcie tych spodni, bo mogą się one dla powagi waszego pisma okazać rzeczywiście mordercze. ●

eprasa.pl ae811472f6

KRAJ

Gdzie prokurator z ministrem się biją, tam państwo korzysta

Przedwyborczy ból głowy Donalda Tuska sprowadza się do jednego ważnego pytania – **o niewystarczające rozliczenia patologii z czasów PiS.**

Dominika Wielowieyska

Po jednej stronie minister Żurek, Ewa Wrzosek, mecenasi Roman Giertych i Jacek Dubois, a po drugiej prokurator Korneluk i jego podwładni oraz prokuratorskie stowarzyszenie Lex Super Omnia. Trwa spór o tempo rozliczeń PiS i kondycję prokuratury. Pojawiają się oskarżenia, że niektórzy prokuratorzy ustawiają się już pod nową władzę i opieszale prowadzą śledztwa dotyczące polityków Zjednoczonej Prawicy. Oraz nie kwapią się do umorzenia śledztw, które ciągną się od lat, a zostały rozpoczęte za czasów PiS.

•

53 proc. Polaków uważa, że rząd nie spełnił ich oczekiwań, jeśli chodzi o rozliczenie PiS. Jedynie 14 proc. jest usatysfakcjonowanych. 19 proc. nie oczekiwało żadnych rozliczeń. Tak wynika z sondażu SW Research dla „Rzeczpospolitej".

Sam premier przyznał, że rozliczanie poprzedników nie idzie tak, jak planował. – Przepraszam, powinienem może mieć więcej wyobraźni – powiedział dziennikarzom. – Czeka nas jeszcze dużo roboty i nie chcę tutaj ubolewać nad stanem wymiaru sprawiedliwości, a raczej nad pracą niektórych jego przedstawicieli w prokuraturze czy sądownictwie, ale mamy naprawdę sporo do zrobienia tutaj – mówił. I dodał: – Nie jesteśmy w stanie – w związku z prezydentem Dudą i Nawrockim – realnie przebudować prokuratury.

PiS pod koniec rządów uchwalił przepisy, zgodnie z którymi odwołanie pierwszego zastępcy prokuratora generalnego, a jednocześnie prokuratora krajowego, może się odbyć tylko za zgodą prezydenta. Miało to zabetonować posadę prokuratora krajowego Dariusza Barskiego, przyjaciela i świadka na ślubie Zbigniewa Ziobry. Barski miał być gwarantem bezkarności polityków PiS i Suwerennej Polski, blokować rozliczenia zwykłego złodziejstwa, które rozkwitło na niespotykaną w III RP skalę.

Jednak minister Adam Bodnar znalazł lukę w planie i dowiódł, że Barski nie został skutecznie przywrócony ze stanu spoczynku, czyli nie mógł być mianowany prokuratorem krajowym. I stanowisko zajął doświadczony prokurator Dariusz Korneluk. Był to krok milowy w tej operacji. Niemniej prokuratura częściowo pozostała zabetonowana, ponieważ nie dało się odwołać zastępców prokuratora krajowego, którzy są ludźmi Ziobry i w mniejszym lub większym stopniu – torpedują rozliczenia.

Tusk ma rację: Polacy wybrali Karola Nawrockiego na prezydenta i po części zablokowali odnowienie prokuratury. Ale też te dwa i pół roku można uznać za sukces, bo po opowieściach PiS o „reżimie Tuska, bodnarowcach i żurkowcach", o „prześladowaniach polityków opozycji" i „zemście rządzących" ponad połowa Polaków jest zdania, że złodziejstwo trzeba szybko rozliczyć.

Sondaże dotyczące poszczególnych spraw – choćby czy to ucieczki Ziobry, czy to afery RARS – Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, z której wypływały gigantyczne kwoty – pokazują, że zdecydowana większość wy-

eprasa.pl ae811472f6

borców uważa, iż zarzuty wyprowadzania publicznych pieniędzy bądź na partię i kampanię wyborczą, bądź do prywatnej kieszeni, są w pełni uzasadnione.

To będzie ciążyć na notowaniach ewentualnej nowej partii byłego premiera Mateusza Morawieckiego, a już ciąży na notowaniach PiS. Bo każda frakcja w partii Jarosława Kaczyńskiego ma sporo za uszami. Sęk w tym, że to działa nie tyle na korzyść koalicji rządzącej, ile na korzyść Konfederacji Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena oraz Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna.

Ból głowy Donalda Tuska sprowadza się do jednego ważnego pytania: czy niewystarczające rozliczenia patologii z czasów PiS nie przyczynią się do demobilizacji wyborców KO. Nie będzie im się chciało zaangażować w kampanię, w dniu wyborów mogą zostać w domu.

Tusk musi znaleźć sposób, by przekonać zagorzałych anty-PiS-owców, że motywowana rozczarowaniem bierność i brak poparcia dla obecnie rządzących to działanie na rzecz całkowitego wyhamowania rozliczeń, które jednak postępują.

●

Na opinię publiczną źle działają też informacje, że rozkręca się konflikt pomiędzy ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym Waldemarem Żurkiem a prokuratorem krajowym Dariuszem Korneluk.

Korneluk w TOK FM przekonywał gorąco, że konfliktu nie ma, że mogą pojawiać się różnice zdań, ale współpraca kwitnie. Trudno w to uwierzyć, bowiem – jak pisała w „Wyborczej" Ewa Ivanowa – minister blokuje 57 wniosków prokuratora krajowego o powołanie śledczych na wyższe stanowiska. Najstarsze są jeszcze z listopada.

Korneluk był pytany o niezadowolenie społeczne, jeśli chodzi o rozliczenia oraz o długo trwające śledztwa, jak to w sprawie Polskiej Fundacji Narodowej, z której wypompowywano pieniądze na projekty partyjne oraz na luksusowe podróże.

Na czym polega problem ze śledztwem PFN? Otóż Maciej Ś. oraz Cezary J., członkowie zarządu fundacji – przy czym Maciej S. był też szefem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji z nadania PiS – wydali pieniądze na kłamliwą kampanię przeciwko niezależnym sędziom „Sprawiedliwe sądy". Co było sprzeczne ze statutem fundacji, która miała sławić Polskę na świecie, a finansowała billboardy o sędzi, który ukradł spodnie. Rzecz w tym, że prokuratura dopiero teraz postawiła im zarzuty, choć sekwencja zdarzeń była znana od 2017 roku.

Prezydent Andrzej Duda zawetował dwie ustawy sądowe, które miały podporządkować władzy wymiar sprawiedliwości, co wywołało wściekłość Kaczyńskiego i ministra-prokuratora Zbigniewa Ziobry. Niemal następnego dnia zapadła decyzja o kampanii przeciwko sędziom z kręgosłupem, zarejestrowano domenę w sieci, stwierdzono, że zrobią to spin-doktorzy PiS Piotr Matczuk oraz Anna Plakwicz i założona przez nich spółka Solvere. Po czym zaczęto szukać jelenia, który za to zapłaci. Padło na PFN, której władze podpisały się pod finansowaniem partyjnego projektu.

To wszystko było już jasne latem 2017 roku – i oczywiście nikt nie spodziewał się, że sprawą zajmą prokuratorzy ziobryści, ale ówczesna opozycja miała dość czasu, by przygotować się i ruszyć pełną parą z rozliczeniami po wygranych wyborach jesienią 2023.

Teraz Korneluk w TOK FM na zarzut przewlekania śledztwa odpowiada, że gdy wszyscy zobaczymy, co jest w aktach i ilu świadków przesłuchano, gdy powstanie akt oskarżenia, to przekonamy się, że te lata wykorzystano bardzo efektywnie. „Pośpiech w prowadzeniu postępowania przygotowawczego jest ostatnią rzeczą, która powinna się wydarzyć" – powiedział prokurator krajowy.

Te słowa na platformie X podchwyciła prokurator Ewa Wrzosek, radczyni generalna w biurze ministra sprawiedliwości i dodała ironiczny komentarz: „Aaa, to OK" i emotikon w postaci słonka w czarnych okularach.

Wcześniej pisała na X: „Liczby dnia PK: • 3 lata • 32 wnioski o uchylenie immunitetów • 23 osoby, wobec których je skierowano. Dużo? Mało? W sam raz? Zależy od punktu odniesienia. Liczba dodatnia jest zawsze większa od zera, a zero jest zawsze większe od liczby ujemnej. #sarkazm".

Wrzosek nieustannie komentuje stanowiska Lex Super Omnia. To stowarzyszenie niezależnych prokuratorów, za PiS zaangażowanych w walkę o niezawisłość trzeciej władzysprawiedliwości, po klęsce PiS nie zaprzestało krytyki różnych patologii wymiaru sprawiedliwości. Radczyni generalna pisze na przykład: „Stowarzyszenie LSO właśnie ogłosiło, że Żurek to Ziobro, tylko parę lat później. I żadna między nimi różnica. Państwu prokuratorom szczerze życzę powrotu do zdrowia". A poszło o to, że LSO zamieściło wpis: „Czym różni się polecenie Ministra Sprawiedliwości – Prokuratora Generalnego »podjęcia natychmiastowych działań w związku z decyzją prokurator z Prokuratury Rejonowej w Lublińcu« od poleceń wydawanych przez Ministra Sprawiedliwości – Prokuratora Generalnego urzędującego kilka lat temu? Niczym". Chodzi o to, że Żurek podjął działania wobec prokuratorów, którzy odpowiadają za wypuszczenie wolno pijanego kierowcy.

●

Wrzosek dawała także do zrozumienia, że ma krytyczny stosunek do decyzji o umorzeniu śledztwa „Dwóch Wież", czyli afery z niedoszłą budową drapaczy chmur na działce spółki związanej z PiS, za którą lobbował prezes Kaczyński, wykorzystując, zdaniem prokuratury, swoje wpływy w państwie.

Otwartym tekstem krytykował to mecenas Roman Giertych, zaangażowany w tę sprawę jako pełnomocnik Gerharda Birgfelnera, austriackiego biznesmena, który miał budować dwie wieże i skarży się, że Kaczyński go oszukał. „Sytuacja w prokuraturze dojrzała do rozstrzygnięć Trybunału Konstytucyjnego (po przywróceniu we wrześniu jego normalnego funkcjonowania). Pisowskie zabetonowanie istniejących tam układów musi się skończyć. Bez tego pisowscy złodzieje, oszuści i bandyci będą nam się śmiali w twarz" – zakończył wpis Giertych. Oświadczył też, że złoży zażalenie do sądu na decyzję o umorzeniu śledztwa dotyczącego dwóch wież.

Wrzucanie pani prokurator do worka z napisem prokuratura PiS jest wątpliwe, ponieważ jest związana z Lex Super Omnia, które było czymś w rodzaju prokuratorskiego ruchu oporu wobec polityki Zbigniewa Ziobry i jego prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego.

Na koncie stowarzyszenia pojawił się komentarz do Giertycha: „Wpis Pana Mecenasa dowodzi, że prokurator Szeroczyńska nie kłania się politykom i realizuje obowiązki prokuratora rzetelnie, bezstronnie i niezależnie. Warto doceniać te cechy i jeszcze głośniej mówić: wszyscy politycy ręce precz od prokuratury!".

Giertych był też krytykowany za konflikt interesów: jest znaczącym politykiem obozu władzy, a jednocześnie zarabia jako pełnomocnik prawny konkretnego klienta i wykorzystuje stanowisko do publicznego nacisku na prokuraturę, aby wydawała decyzję po myśli określonej kancelarii prawnej.

Prokuratorskie stowarzyszenie Lex Super Omnia krytykowało Ziobrę, ale teraz nie zamierza być podnóżkiem rządzących polityków tak jak ziobryści z Ad Vocem

A Korneluk wydał oświadczenie: „Szanując prawo do krytyki decyzji podejmowanych przez prokuratorów, zwracam się do osób i instytucji profesjonalnie zajmujących się stosowaniem prawa, o zachowanie rozwagi przy formułowaniu publicznych opinii. Niedopuszczalne jest personalne atakowanie prokuratora wyłącznie z powodu treści podjętej przez niego decyzji".

Umorzenie śledztwa „Dwóch Wież" budzi oburzenie w najtwardszym elektoracie KO. A pani prokurator niestety popełniła poważny błąd – długo nie przedstawiała uzasadnienia swojej decyzji.

Owszem, można się było domyślać, że uważa, iż to problem Birgfelnera, że umawiał się na budowanie wież z Kaczyńskim, a potem Kaczyński wycofał się z tych ustaleń, bowiem nie podpisano żadnych umów i a Austriak wydawał pieniądze na przygotowania do inwestycji na własne ryzyko. Pani prokurator mogła zakładać, iż jeśli Birgfelner chce dochodzić swoich racji, to niech wybierze inną, cywilną drogę zgłaszania roszczeń, zamiast angażować w to państwo polskie i prokuraturę, która ma badać sprawę oszustwa.

Birgfelner nie dochodził swoich roszczeń na innej drodze, bo musiałby zaangażować swoje pieniądze w postaci określonego procentu wartości sporu – a to wielka kwota. Nie jest jednak jasne, dlaczego nikt nie miałby ponieść konsekwencji za to, że wręczano 50 tys. zł pod stołem byłemu księdzu, by ten zgodził się na inwestycję. Każdy inny obywatel miałby problemy prawne.

Niestety prokuratura tego nie wyjaśnia, prokurator Korneluk mówi tylko, że wkrótce będzie konferencja prasowa. Kiedy? Nie wiadomo, a decyzja o umorzeniu miała miejsce na przełomie czerwca i lipca. Nie odmawiając z góry racji prokurator Szeroczyńskiej i nie znając akt sprawy, można jednak stwierdzić, że komunikacyjnie ta sprawa została totalnie położona.

◀ Minister sprawiedliwości i prokurator generalny Waldemar Żurek oraz prokurator Dariusz Korneluk

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ, ŁUKASZ CYNALEWSKI / / AGENCJA WYBORCZA.PL

●

Tak jak w sprawie „Dwóch Wież", w przypadku innych zarzutów śledztw istnieje pewna trudność w rozróżnieniu zdarzeń i decyzji, które są sprzeczne ze standardami przyzwoitości, łamią zasady kultury politycznej, są dowodem na wykorzystywanie swoich wpływów politycznych do wątpliwych inwestycji. A jednocześnie w konkretnych przypadkach bardzo trudno te zarzuty łamania standardów przetłumaczyć na język aktu oskarżenia, który obroni się w sądzie i skończy wyrokiem skazującym.

W takich przypadkach trzeba się zdać na osąd i werdykt samych wyborców. Wiele osób zapomina, że sąd interpretuje wszelkie wątpliwości na korzyść oskarżonego.

Drugie zjawisko, które jest bardzo charakterystyczne dla tego typu rozliczeń, polega na tym, że najważniejsi urzędnicy i czołowi politycy wydają polecenia, ale nie podpisują się pod konkretnymi decyzjami i tym samym trudno jest postawić ich przed sądem.

• Za zlecenie wyborów kopertowych odpowie Morawiecki, choć to Kaczyński wydał rozkaz.
• Za aferę orlenowską, a konkretnie za użycie służb specjalnych do przeprowadzenia zmian personalnych w Orlenie za czasów rządu Sojuszu Lewicy Demokratycznej, odpowiedzialność karną poniósł tylko minister Zbigniew Siemiątkowski, a nie jego przełożeni i liderzy partii tacy jak Leszek Miller czy Aleksander Kwaśniewski.
• W aferze Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, gdzie ukradziono miliony zł, też nie ma zbyt wielu wielkich nazwisk: występuje tylko nazwisko Jacka Ż, byłego wiceministra w rządzie PiS i działacza chadeckiej partii Jarosława Gowina, który potem przeciągnął część gowinowców do PiS.

Pod nosem szeryfa szeryfów ministra spraw wewnętrznych i korordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego, ksywka Niezłomny Mario, oraz pod nosem ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry rozkradziono miliony, i to nie tylko na zasadzie partyjnych powiązań – w sprawie uczestniczyli zwykli gangsterzy, którzy wykorzystywali bierność i nieudolność służb. Owszem, poza Jackiem Ż. nim jest kilkadziesiąt osób z zarzutami i są też już akty oskarżenia. Tyle że te nazwiska nie budzą społecznych emocji, choć prokuratura krajowa i europejska wykonały potężną pracę.

I mimo że prokuratura naprawdę nieźle się napracowała, to skoro nie ma (być może na razie) nazwisk z pierwszych stron gazet, opinia publiczna czuje rozczarowanie.

●

Rząd ma problem, bo w kampanii wyborczej 2023 roku tyle mówiono o rozliczeniu „tłustych kotów" i stanie państwa, że rozbudzono wielkie oczekiwania. Wyborcy mogli dojść do wniosku, że tabuny polityków PiS zaraz znajdą się w aresztach. A dziś żaden podejrzany działacz związany z PiS w celi nie jest.

To prawda, w areszcie krótko byli ludzie Morawieckiego, zamieszany w Fundusz Sprawiedliwości oraz związki ziobrystów z Lasami Państwowymi Dariusz Matecki czy urzędniczki resortu sprawiedliwości i słynny ksiądz Michał od fundacji Profeto, czerpiącej z Funduszu.

Jednak krótkie areszty to coś, za co prokuraturę należy chwalić, bo areszt nie ma być karą, lecz pomóc prokuraturze przeprowadzić sprawnie postępowanie.

W przypadku współpracowniczki Morawieckiego prokuratura wycofała się z dalszego aresztu ze względu na jej chore dziecko.

Dodajmy dla porównania, że za czasów Ziobry prokuratura takich argumentów zdrowotnych i rodzinnych nie brała pod uwagę – i na przykład długi areszt senatora Stanisława Koguta z PiS mógł się przyczynić do jego rychłej śmierci. Biznesmen Piotr Osiecki – zdaniem wielu kozioł ofiarny w sprawie firmy windykacyjnej GetBack, aferze o skali większej niż niesławna Amber Gold – też bronił się przed 16-miesięcznym aresztem, tłumacząc potrzebę bycia w domu z chorym dzieckiem o analogicznych problemach, jak w przypadku urzędniczki od Morawieckiego, ale nikt na to nie zwracał uwagi. Ostatecznie część sprawa prokuratura mu umorzyła, choć nie wszystkie.

Więc dziś wszystko wydaje się jak należy – kluczowy jest szybki akt oskarżenia i sprawna praca prokuratora w czasie procesu, dobra organizacja sądu, i szybki wyrok, a nie trwający miesiącami czy latami areszt.

Czy prokuratura może się tu pochwalić sprawnością? Tak, przynajmniej w niektórych przypadkach.

eprasa.pl ae811472f6

W sprawie urzędniczek resortu sprawiedliwości zamieszanych w aferę Funduszu i księdza Michała akt oskarżenia od dawna jest w sądzie, odbyło się już kilka rozpraw. Dwie sprawy Mateckiego oraz zarzuty pod adresem ludzi Ziobry z Lasów Państwowych też już są w sądzie, odbywają się kolejne rozprawy. Udało się to przeprowadzić w ciągu półtora roku.

Dla porównania, sprawa prywatyzacji Ciechu ciągnęła się od 2015 r. Podejrzanymi są urzędnicy resortu skarbu z czasów znienawidzonego i oczernianego przez PiS rządu PO-PSL – a mimo to przez osiem lat rządów Ziobry i Święczkowskiego prokuratura nie była w stanie wysłać do sądu aktu oskarżenia. Paradoksalnie ten akt znalazł się tam dopiero w 2025 roku za nowej władzy.

Albo sprawa Jakuba Karnowskiego, wobec którego przedstawiano dęte zarzuty, między innymi w 2019 r.: Karnowski jako szef rady nadzorczej PKP Cargo oraz inni członkowie zarządu i rady mieli wyrządzić spółce wielką szkodę majątkową. Chodziło o przepłacenie za akcje spółki AWT. Sęk w tym, że AWT zaczęła wkrótce przynosić zyski. W styczniu 2024, gdy władzę przejmował rząd Tuska, prokuratura lubelska, należąca do najbardziej dyspozycyjnych wobec Ziobry, ostatnim rzutem na taśmę wysłała akt oskarżenia – po pięciu latach. Sąd Okręgowy w Warszawie ostatecznie umorzył sprawę w październiku 2024.

●

Czy prokuratura i służby wykazały się dostateczną skutecznością wobec trzech zbiegów – Michała Kuczmierowskiego od afery RARS oraz zawiadujących Funduszem Sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry i jego zastępcy Marcina Romanowskiego?

Każdy z tych przypadków trzeba rozpatrywać osobno. W dwóch pierwszych prokuratura zrobiła wszystko, co było możliwe.

• Kuczmierowski ewakuował się poza granice Polski, zanim prokuratura pod nowym władztwem zaczęła na poważnie pracę.
• Ziobro miał czas na ucieczkę - ponieważ chronił go immunitet, musiało dojść do głosowania w Sejmie.
• W przypadku Romanowskiego na początku prokuratura popełniła błąd, zakładając, że nie chroni go immunitet Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Sąd nie zgodził się na areszt, co pozwoliło mu zbiec do Budapesztu.

Ale warto spojrzeć na to z lotu ptaka. Nie wyrzucam braku sprawczości prokuraturze, bo po prostu działała zgodnie z prawem i procedurami. A osobom, które tak przejmują się tym, że cała trójka nie siedzi w areszcie, można powiedzieć: wyobraźcie sobie, że od lat jesteście zbiegami, siedzicie po piwnicach w Serbii czy Turcji, wydajecie masę pieniędzy na prawników, żeby uniknąć ekstradycji.

W tej sprawie nie jest tak kluczowe, jak szybko ci panowie staną przed polskim wymiarem sprawiedliwości, tylko to, aby ostatecznie stanęli. Jeśli dojdzie do władzy PiS, to ten proces może zostać zablokowany.

Śledztwo w sprawie wyprowadzenia pieniędzy z RARS też powoduje na pięcie na linii minister Żurek – prokurator Korneluk.

Kilkanaście osób ma zarzuty, w tym najbliżsi współpracownicy Morawieckiego z kancelarii premiera, urzędnicy RARS i Paweł Sz., twórca marki słynnej „odzieży patriotycznej" Red is Bed, który drogo sprzedawał sprzęt Agencji. Szef RARS Michał Kuczmierowski w Londynie czeka na rozprawę ekstradycyjną. Ale opinia publiczna domaga się wielkich nazwisk. Bo pod względem pieniędzy wyprowadzonych z instytucji państwowych afera RARS bije wszystkie inne na głowę. Chodzi o blisko 700 mln zł, gdy najgłośniejsza i emblematyczna dla kumoterstwa i wykorzystywania publicznych pieniędzy do partyjnych celów afera Funduszu Sprawiedliwości to około 150 mln zł.

Prokurator Marek Wełna został przez ministra Żurka oddelegowany do oddziału Prokuratury Krajowej na Śląsku, aby patrzeć na ręce miejscowym prokuratorom, czy aby nie ociągają się, na przykład w śledztwie w sprawie RARS.

Mecenas Jacek Dubois w TOK FM mówił tak: Karol Zok, prokurator prowadzący śledztwo w sprawie RARS, w ogóle nie przesłuchał Pawła Sz. (czyli klienta Dubois) pod kątem kontaktów z Morawieckim, w ogóle to prokuratora nie interesowało. Dopiero Wełna to zrobił.

Według nieoficjalnych informacji prokurator Wełna chciał Zoka odsunąć od śledztwa, ale tak się nie stało. Jak Korneluk odpowiadał na te zarzuty? Że szanuje Dubois, ale jednak „wątek sprawowania nadzoru nad RARS jest bardzo rozwinięty, kończy się zbieranie materiału dowodowego i prokurator podejmie decyzję, w jakim charakterze Mateusz Morawiecki zostanie przesłuchany w najbliższym czasie".

Afera RARS, afera NCBiR, afera Funduszu Sprawiedliwości – zdecydowana większość wyborców uważa, że zarzuty wyprowadzania publicznych pieniędzy dla polityków PiS są w pełni uzasadnione. Problem w tym, że to nie działa na korzyść Koalicji 15 Października, lecz Konfederacji Bosaka i Mentzena oraz Konfederacji Korony Polskiej Brauna

Generalne tłumaczenia są takie: jak się chce komuś postawić zarzuty, to wzywa się go na samym końcu. Morawieckiego do tej pory nie przesłuchano. A wiemy, że bezpośrednio nadzorował RARS, Kuczmierowski był jego prawą ręką, do spotkań Pawła Sz. – także z szefem rządu – dochodziło w Kancelarii Premiera.

Prokurator wyjaśnia, że ma plan prowadzenia śledztwa, wątki są analizowane w pewnej kolejności. I że liczył, że uda się wcześniej ściągnąć Kuczmierowskiego do Polski, tymczasem sąd w Londynie po raz kolejny przekłada rozprawę ekstradycyjną z przyczyn błahych, niezależnych od polskiej prokuratury.

●

Przyjrzyjmy się jeszcze rozliczeniu Daniela Obajtka, byłego prezesa Orlenu, obecnie europosła PiS. Parlament Europejski uchylił jego immunitet w następujących sprawach:

• Obajtek polecił zawarcie bez przetargu dwóch umów na usługi detektywistyczne. Nie służyły ochronie interesów spółki, lecz gromadzeniu informacji o majątku i życiu prywatnym polityków opozycji. PE uchylił immunitet europejski w 2025 roku i już w grudniu Prokuratura Regionalna w Warszawie skierowała akt oskarżenia do sądu.
• Obajtek jest podejrzewany przez prokuraturę o składanie fałszywych zeznań przed sądem w sprawie Piotra Nisztora. Twierdził, że nie załatwiał pracy rodzinie tego pracownika TV Republika, a potem wyszły na jaw nagrania, z których wynika, iż załatwiał, a przy okazji prosił o haki Morawieckiego.
• Jest jeszcze sprawa wycofania ze sprzedaży numeru „Nie" z powodu okładki z Janem Pawłem II. Immunitet uchylony w kwietniu, aktu oskarżenia jeszcze nie ma.
• Oprócz tego prokuratura złożyła wniosek o uchylenie immunitetu w związku z podejrzeniami, że Obajtek popełnił dwa przestępstwa skarbowe i podał nieprawdę w deklaracjach PIT. Chodzi o niewykazanie przychodów z nieodpłatnych świadczeń ponad 3 mln zł – remontu dworku w Borkowie Lęborskim przez fundację oraz dofinansowania opieki medycznej przez Orlen. Skutkowało to zaniżeniem podatku dochodowego o około 968 tys. zł i około 121 tys. zł daniny solidarnościowej.

Decyzji europarlamentu jeszcze nie ma. Natomiast jeśli chodzi o wydatki z kasy Orlenu na słynny botoks i zęby oraz weekendy w Łebie niezwiązane z działalnością biznesową spółki, koncern wystąpił o zwrot pieniędzy na drodze cywilnej. Sprawa jest w sądzie od 2025 roku.

Wiele spółek i instytucji wybiera tę drogę, bo zakłada, że łatwiej będzie odzyskać środki niż w przypadku śledztwa prokuratorskiego. To samo zrobił bank Pekao SA, występując o zwrot pieniędzy za rzekome usługi doradcze od działaczy PiS i ich znajomych: Małgorzaty Raczyńskiej, Ryszarda Madziara – człowieka Jacka Sasina, „kadrowego rządu PiS" i zaufanego Kaczyńskiego, Jarosława Olechowskiego – pracownika Republiki, Rafała Bukowskiego oraz Agnieszki Piesiewicz, żony Radosława Piesiewicza, skompromitowanego prezesa PKOl, a przy okazji kolegi Sasina.

Te przykłady pokazują, że rozliczenia postępują. A jest jeszcze wiele innych śledztw.

• Na przykład w sprawie Bogdana Święczkowskiego – w związku między innym z dodatkami mieszkaniowymi wypłaconymi za Ziobry – który zarządza teraz Trybunałem Konstytucyjnym.
• Jest sprawa Morawieckiego i organizacji wyborów kopertowych. Tu nie ma aktu oskarżenia w sądzie, bo trwa postępowanie przed sądem w sprawie uchylenia tajemnicy adwokackiej i prokurator nie wyśle aktu oskarżenia, póki sąd nie podejmie ostatecznej decyzji.
• Jest sprawa sądowa posła PiS i człowieka Morawieckiego Krzysztofa Szczuckiego, dotycząca zatrudnienia w kancelarii premiera osób, które zamiast pracować dla administracji, robiły kampanię Szczuckiemu. Akt oskarżenia poszedł do sądu w kwietniu.
• Jest sprawa Michała Dworczyka, bohatera słynnej afery mailowej, w której wykradziono i upubliczniono korespondencję Morawieckiego z szefem jego kancelarii o ręcznym sterowaniu mediami publicznymi i innych brudach kuchni politycznej. Najbliższemu współpracownikowi premiera Parlament Europejski uchylił immunitet w związku z pojawieniem się informacji niejawnych w mailach.
• A także sprawa byłego ministra obrony Mariusza Błaszczaka i Sławomira Cenckiewicza, do niedawna bliskiego współpracownika Nawrockiego, w związku z ujawnieniem planów obronnych Polski. Akt oskarżenia jest w sądzie od zeszłego roku.
• I śledztwo Pegasusa, którym inwigilowano polityków opozycji, gdzie zarzuty ma człowiek Ziobry Michał Woś i funkcjonariusze służb specjalnych.

●

Trzeba przyznać, że takiej skali rozliczeń rządowej ekipy jeszcze nie było w wolnej Polsce – bo też PiS przekroczył wszelkie granice, szczególnie w kadencji 2019-23.

W 2015 r. obejmujące władzę PiS zapowiadało kompleksowe rozliczenia ustępującej ekipy Tuska, miliardy latały w powietrzu.

• W ciągu ośmiu lat skończyło się na jedynym nieprawomocnym wyroku senatora PO Stanisława Gawłowskiego zaplątanego w tak zwaną aferę melioracyjną.
• Był jeszcze proces oskarżonego o korupcję Sławomira Nowaka, niegdyś jednego z najbliższych ludzi Tuska – i wciąż jest, zmierza do końca w sądzie I instancji. Przy czym dotyczy działań Nowaka w Ukrainie jako szefa tamtejszej agencji drogownictwa, a nie w rządzie PO-PSL.
• Są sprawy ludzi PO z warszawskiego ratusza, ale to też nie dotyczy rządu Tuska, który miał ponoć sprzeniewierzyć 350 miliardów. Z wielkiej chmury mały deszcz.

Swoją drogą sprawa Nowaka też pokazuje złożoność problemu z prokuraturą. Prokurator Jan Drelewski, który za PiS prowadził śledztwo, być może będzie triumfował, gdy już zapadnie wyrok. Dziś nie zajmuje się tą sprawą, bo postanowił się wdać w osobny proces z Nowakiem. Jego prawo. Natomiast generalnie stara się przedstawiać w roli męczennika represjonowanego przez obecne władze prokuratury.

Rzeczywistość jest jednak taka: w wątku ukraińskim zapewne wykonał swoją pracę, natomiast w wątku polskim, gdzie rzekomo Nowaka korumpowali prezesi spółek skarbu państwa, poległ na całej linii. To była dęta sprawa, którą Drelewski pchał na polityczne zamówienie Ziobry. Chodziło o to, aby sprawę Nowaka w jakikolwiek sposób powiązać z polskimi realiami i z samym Tuskiem. Sąd – i słusznie – nie zostawił suchej nitki na tych ustaleniach: bo nie wiadomo gdzie, ile i w jakich okolicznościach miało dojść do rzekomej korupcji.

To pokazuje, jak trudno o ogólną ocenę danego prokuratora: na jednym odcinku być może dobrze wykonał swoją robotę, na drugim wykonywał polityczne zlecenie.

●

Te detaliczne przykłady śledztw mają pokazać złożoność problemów i trudność w sfomułowaniu ostatecznych tez, kto ma rację w sporze Korneluk – Żurek. Co nie zmienia faktu, że konflikt nie tylko istnieje, ale za kulisami wygląda o wiele gorzej niż w oficjalnych przekazach, gdyż panowie starają się powściągać emocje w publicznych wystąpieniach.

• Minister, wspomagany przez Romana Giertycha i Ewę Wrzosek, stara się mobilizować prokuraturę do energiczniejszych działań.
• Prokurator krajowy chce chronić niezależność prokuratorów referentów i pozwolić im działać autonomicznie.

Nie można jednak wykluczyć, że część prokuratorów, którzy nie umarzają absurdalnych śledztw albo spowalniają pewne działania, już orientuje się na zmianę władzy. Każdy przypadek należałoby oceniać z osobna, lecz gdy nie znamy akt sprawy i zeznań świadków, jest to bardzo trudne.

Jedno jest pewne: Żurek i Korneluk są na siebie skazani. Zapewne nie będzie wymiany ministra sprawiedliwości, a pozbawienie funkcji Korneluka też nie wchodzi w grę. PiS pod koniec rządów wprowadził przecież przepisy, że odwołanie prokuratora krajowego nie może się odbyć bez zgody prezydenta.

A do angażowania Pałacu Prezydenckiego w wymianę siłą własnego prokuratora nikt w obozie Koalicji 15 Października się nie posunie. Nie tylko dlatego, że to byłoby fatalne wizerunkowo. „Duży pałac" Korneluka nie uznaje, ale szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki – nie tylko prawnik, ale też autor co sprytniejszych manewrów wymierzonych w rząd – zapewne wykorzystałby okazję do spotęgowania chaosu, a to nie sprzyjałoby prowadzonym śledztwom.

Zresztą duet Żurek-Korneluk to nie takie złe rozwiązanie. Iskrzenie między może nam wszystkim wyjść na dobre. Bo z jednej strony mamy mobilizowanie prokuratury do bardziej wytężonej sprawy, a z drugiej mamy prokuratora krajowego i stowarzyszenie Lex Super Omnia, których intencją jest ochrona prokuratorów przed politycznymi naciskami czy realizowaniem śledztw na polityczne zamówienie.

Lex Super Omnia krytykowało Ziobrę, ale teraz nie zamierza być podnóżkiem polityków tak jak stowarzyszenie prokuratorskie ziobrystów Ad Vocem. To fundamentalna różnica między mentalnością niezależnych prokuratorów krytycznych wobec Ziobry a mentalnością fanatyków czy oportunistów prokuratorskich wysługujących się władzy PiS.

Ale o ile spór może motywować do lepszej pracy, to blokowanie awansów jest już dla funkcjonowania prokuratury groźne. Nie przesądzam, kto ma rację, ale aby ta instytucja działała sprawnie, musi dojść do porozumienia. Być może tu powinien zaangażować się premier – w jakiejś formie sam zainterweniować lub wskazać gremium, które te różnice zdań oceni.

W innym przypadku każda ze stron sporu będzie na cenzurowanym opinii publicznej – a rozliczenia osłabną. ●

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

DZIADEK SIĘ POGUBIŁ

Na finiszu kariery Kaczyńskiemu przypomina się **najgorszy czas w jego politycznym życiu**

Arkadiusz Gruszczyński

Jak w każdej opowieści o upadającym imperium i tym razem dwór nie próżnuje.

Wszystkie dostępne sondaże udowadniają, że najważniejsze dzieło Jarosława Kaczyńskiego, czyli jego własna partia, powoli, ale systematycznie gaśnie. Mówi się coraz częściej o mijance między Prawem i Sprawiedliwością a Konfederacją. Więcej: obie Konfederacje – jedna Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka oraz druga Grzegorza Brauna – w kilku badaniach miały wspólnie większe poparcie niż PiS.

Ale na biurko prezesa trafiają inne badania, o których w wielkiej konspiracji opowiadają mi posłowie. Jasne: próbują mnie przekonać, że „wcale nie jest tak źle, jak próbują nam wmówić wrogowie i liberalne media", ale jednocześnie pokazują sposób myślenia Nowogrodzkiej.

Z wewnętrznego badania, zamówionego przez partię po aferze w Szpitalu Południowym, w którym szef młodzieżówki Koalicji Obywatelskiej jako koordynator SOR-u zarobił w rok 1,6 mln zł, wynikało, że KO mogła liczyć na 32 proc. poparcia, a PiS na 30. Konfederacja miała 14 proc., a Braun 9. Jeśli więc takimi danymi dwór uspokaja prezesa, to oznacza, że zaplecze PiS jest spektakularnie pogubione.

Że otoczenie próbuje sprzedawać „Naczelnikowi" swoje narracje, to zrozumiałe, na tym opiera się każda ściśle hierarchiczna organizacja władzy.

W tych opowieściach jest powtarzający się refren, że opuszczający partię Mateusz Morawiecki, który powołał własne stowarzyszenie, co nie spodobało się Kaczyńskiemu, „odbierze nam 2 procent, bo ludzie nie lubią tych, co wywołują kłótnie". Albo przekonanie, że śpiewanie tej samej piosenki co inni radykałowie po prawej stronie sceny politycznej znów wywinduje PiS na czoło peletonu.

Wszystko to zdarte płyty, więc uparcie zadaję inne pytania: czego dzisiaj boi się prezes największej partii opozycyjnej, a jakimi lękami żyje jego środowisko polityczne.

Największym lękiem prezesa – mówią jednym głosem znawcy kulis sceny politycznej oraz posłowie PiS – jest utrata partii. Pisała o tym wielokrotnie Dominika Wielowieyska, a ostatnio Jacek Gądek z „Newsweeka", że Kaczyński woli mieć mniejszy klub niż rozbite, skłócone i nielojalne ugrupowanie.

Prezes przedstawia sprawę jasno: wszystkie stowarzyszenia, w których działają jego parlamentarzyści, mogą stanowić pretekst do pozbawienia subwencji partyjnej. A bez kasy – mówi Kaczyński – nie da się prowadzić w tym kraju polityki. Bo bez kasy nie ma kadr, a on zgadza się z zasadą Włodzimierza Lenina, że kadry są najważniejsze. Bez nich nie da się przeprowadzić kolejnego skoku na państwo.

To raz. Dwa – strategię Kaczyńskiego mają realizować wszyscy, począwszy od Przemysława Czarnka, który jest aktualnym kandydatem PiS na premiera, a kończąc na działaczach powiatowych i podporządkowanych mediach.

Wpływowa grupa skupiona wokół Jacka Sasina – od lat wiernego i sprawdzonego porucznika Kaczyńskiego, w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy kadrowego obozu władzy – przekonała prezesa, że radykalizując radykalny, hejterski przekaz o Ukrainie, Unii Europejskiej, Niemczech czy prawach mniejszości uda się odbić wyborców, którzy uciekli do Konfederacji. Problem w tym, że badania CBOS-u mówią o elektoracie skrajnej prawicy coś innego: to głównie ludzie, którzy do 2026 roku nie interesowali się polityką, aż w końcu usłyszeli program dla siebie.

Z drugiej strony wewnątrzpartyjnej barykady, czyli od zwolenników kursu Morawieckiego – technokratycznego, wychodzącego poza prawicowe oszołomstwo – słyszę inną wersję tego samego lęku. Zwolennicy byłego premiera przekonują mnie, że powtarzanie programu Konfederacji poskutkuje 15 procentami w przyszłorocznych wyborach. A potem PiS spadnie poniżej 10 proc., wieszczą moi rozmówcy.

– Rozumiemy, że dla prezesa najważniejsza jest partia, ale wszystkie znaki na niebie i na ziemi sugerują, że jego strategia jest błędna. Dziadek się pogubił – mówi mi jeden z posłów, a ja się łapię za głowę: skoro polityk PiS w rozmowie z dziennikarzem nazywa prezesa „zagubionym dziadkiem", to oznacza, że najczarniejszy koszmar Kaczyńskiego staje się jawą.

•

Kolejnym politycznym lękiem lidera PiS jest utrata autorytetu.

Do tej pory ta partia kojarzyła się z dyscypliną i ślepym zapatrzeniem w prezesa. Każda decyzja „Naczelnika" była nieodwołalna, a wokół niego ustawiał się wianuszek wyznawców i klakierów. Dzisiaj ponad 40 parlamentarzystów, którzy bez niego nie odnieśliby większych sukcesów w polityce, nie tylko krytykuje pryncypała w zakulisowych rozmowach, ale ośmiela się pisać listy otwarte do władz partii w obronie Morawieckiego.

Prezes obawia się również, że wewnętrzna wojna przykryje pieczołowicie budowaną przez Czarnka narrację, w której Polską rządzi zbrodniczy reżym Tuska, opozycja jest prześladowana, pieniądze są marnotrawione, a demokracja i wolność słowa zagrożone. Z różnych stron PiS słyszę, że telenowela z Morawieckim w roli głównej, która ciągnie się od blisko roku, odwraca uwagę opinii publicznej od „złodziejskiego i najgorszego w historii rządu Tuska".

Tym samym, mówią na Nowogrodzkiej, „harcerze" ekspremiera „pompują wynik Koalicji 13 Grudnia" – jak przekręcają w PiS nazwę rządzącego obozu, by skleić go z datą wprowadzenia stanu wojennego w PRL.

Wszystko to sprawia, że na finiszu politycznej kariery Kaczyńskiemu przypomina się najgorszy czas: w oczy zagląda mu polityczna marginalizacja, której zakosztował w latach 90. Bo przecież w pierwszych latach po upadku PRL Jarosław był ważną postacią przy prezydencie Lechu Wałęsie i wiele wskazywało, że jego pierwsza partia, Porozumienie Centrum, będzie decydować o przyszłości Polski. Kaczyński miał wówczas dobrą intuicję – może nie wtedy, kiedy mówił o lustracji, czyli rozliczeniu tajnych współpracowników komunistycznej bezpieki, ale gdy naciskał na przyspieszenie reform. Mimo tego przegrał, wypadł z Sejmu na długie lata, dopiero osobista popularność Lecha Kaczyńskiego w rządzie Jerzego Buzka w 2000 roku zbudowała potęgę start-upu o nazwie Prawo i Sprawiedliwość.

Kaczyński wie, że od pozycji głównego rozgrywającego w polityce do emerytowanego zbawcy narodu droga jest całkiem krótka, bo sam ją kiedyś przeszedł. Co gorsza, niewiele może zrobić, by z niej zawrócić. Wszystko wskazuje na to, że z obecnego zamieszania wyłania się nowy krajobraz polityczny,

• **Jarosław Kaczyński podczas wizyty na grobie brata i bratowej na Wawelu, 18.06.2026 r.**
FOT. KLAUDIA RADECKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

w którym prawica nie będzie miała jego twarzy. A wizja pracy z rządem, którym kieruje Sławomir Mentzen z wicepremierami Czarnkiem i Bosakiem, niebezpiecznie się zbliża.

•

Ale czy to oznacza, że strona demokratyczna może, jak mówi zgrany greps, rozsiąść się z popcornem i czekać na pełne zwycięstwo w przyszłorocznych wyborach?

W koalicji rządzącej słyszę narzekanie na Tuska, który nie ma pomysłu na kampanię wyborczą – choć tak naprawdę ten plan jest, a opiera się na łączeniu Kaczyńskiego z Braunem. To skojarzenie ma zmobilizować elektorat liberalny i lewicowy, co przy podziale polskiego społeczeństwa na dwie równe części – progresywną i zachowawczą – może przynieść zwycięstwo, jakiego dzisiejsi krytycy premiera sobie nie wyobrażają.

Nie wszyscy muszą być wtajemniczeni w plany otoczenia „Kierownika", ale powszechnie dostępne znaki też wskazują, że kasandryczne prognozy klęski Koalicji 15 Października są przesadzone – wskaźniki ekonomiczne są dobre, Polacy zarabiają najwięcej w historii, świadczenia socjalne płyną szerokim strumieniem, mamy dobre relacje i z Brukselą, i z Waszyngtonem, choć w Unii nieco bruździ nam Ukraina, a za oceanem środowisko Karola Nawrockiego. No i mieszkania – budujemy, tory kolejowe – kładziemy, ceny paliw – co jakiś czas obniżamy. Dlaczego więc poziom lęku w KO nie opada?

Nie chodzi tylko o zmęczonego Tuska, o którym lubią plotkować posłowie. Ani o strategię, której nie ma, komunikację, która szwankuje, niechęć do wielkich, działających na wyobraźnię i dumę Polaków projektów infrastrukturalnych czy ślimaczące się rozliczenia PiS. Według moich rozmówców z rządu to mało istotne szczegóły. Kluczowe problemy mają swoje nazwiska: Karol Nawrocki oraz Władysław Kosiniak-Kamysz.

Plan Tuska na kampanię wyborczą może przynieść zwycięstwo, jakiego krytycy premiera wewnątrz KO sobie nie wyobrażają

Na sejmowych korytarzach mówi się, że prezydent będzie chciał zbudować prawicowy blok wyborczy z obiema Konfederacjami i radykalną częścią PiS. Gdyby te plany się potwierdziły, wówczas wypchnięcie czy też ucieczka Morawieckiego z Nowogrodzkiej zyskuje nową dynamikę. Wspólna prawicowa lista pod patronatem Nawrockiego może liczyć na starcie na 40 proc. nawet bez głosów Morawieckiego. A jeśli lubiany w PSL za pragmatyzm i koncyliacyjność ekspremier dołoży swoje szable i głosy, to – jak mówił mi ostatnio ważny minister – wspólna liberalno-lewicowa lista z udziałem Polskiego Stronnictwa Ludowego będzie czymś naturalnym.

Jednocześnie mnożą się istotne pytania: który blok przytuli sieroty po Polsce 2050, z kim pójdzie Partia Razem. Istotne, bo podczas starcia dwóch wielkich bloków drobnica sondażowa będzie kluczowa, gdyż myśląc o samodzielnych rządach, nie będzie można zgubić ani jednego głosu.

•

Drugim problemem KO związanym z PSL jest – paradoksalny, zważywszy na nadzieje obozu prezydenckiego związane z ludowcami – fakt, że chłopska partia rzadko przekracza w badaniach próg wyborczy.

Z moich informacji wynika, że Kosiniak-Kamysz jest po słowie z Rafałem Brzoską, milionerem i twórcą InPostu, który ma wizerunkowo wesprzeć PSL w przyszłorocznej kampanii. Dopinane są również szczegóły startu rozpoznawalnych samorządowców. W koalicji obawiają się jednak, że to może nie wystarczyć. A o ile obóz Nawrocki-Morawiecki bez ludowców sobie poradzi, o tyle kolejny demokratyczny rząd bez nich będzie trudny do stworzenia.

Swoje własne lęki mają progresywne frakcje Koalicji Obywatelskiej. Centrowi i lewicujący politycy obawiają się, że Tusk posłucha nie intuicji, a rad spin doktorów i będzie chciał populistycznie ścigać się na radykalizm z prawicą w sprawie Ukrainy. Albo wykreśli z programu liberalizację aborcji i wprowadzenie związków partnerskich, bo „tak mu wyjdzie z badań". Z kolei konserwatywna flanka KO twierdzi, że „tęczowym programem jeszcze nikt w Polsce wyborów nie wygrał", więc z całej siły domaga się od premiera postawienia na obronność i nagrywanie filmików pod murem na granicy polsko-białoruskiej.

O ile sondaże partyjne dają Tuskowi przewagę nad rywalami, o tyle najnowsze badania CBOS-u powinny zapalić czerwoną lampkę w rządzie jako takim. W ciągu miesiąca o 6 proc. spadło zaufanie do premiera, do Kosiniaka-Kamysza, Marcina Kierwińskiego i Andrzeja Domańskiego. Mała pociecha, że również do coraz bardziej kłopotliwego wizerunkowo Rafała Trzaskowskiego. Po raz pierwszy od września 2025 roku, a więc od kryzysu wiary i sondaży po przegranych wyborach prezydenckich, poparcie rządu spadło poniżej 30 proc.

Słuchając polityków z obu obozów, odnoszę wrażenie, że biorą głęboki wdech i czekają, co się wydarzy, jakie błędy popełni druga strona, co pokażą najnowsze badania, jak na nowo ułoży się scena polityczna. Oba dwory czekają na konkretne decyzje. ●

eprasa.pl ae811472f6

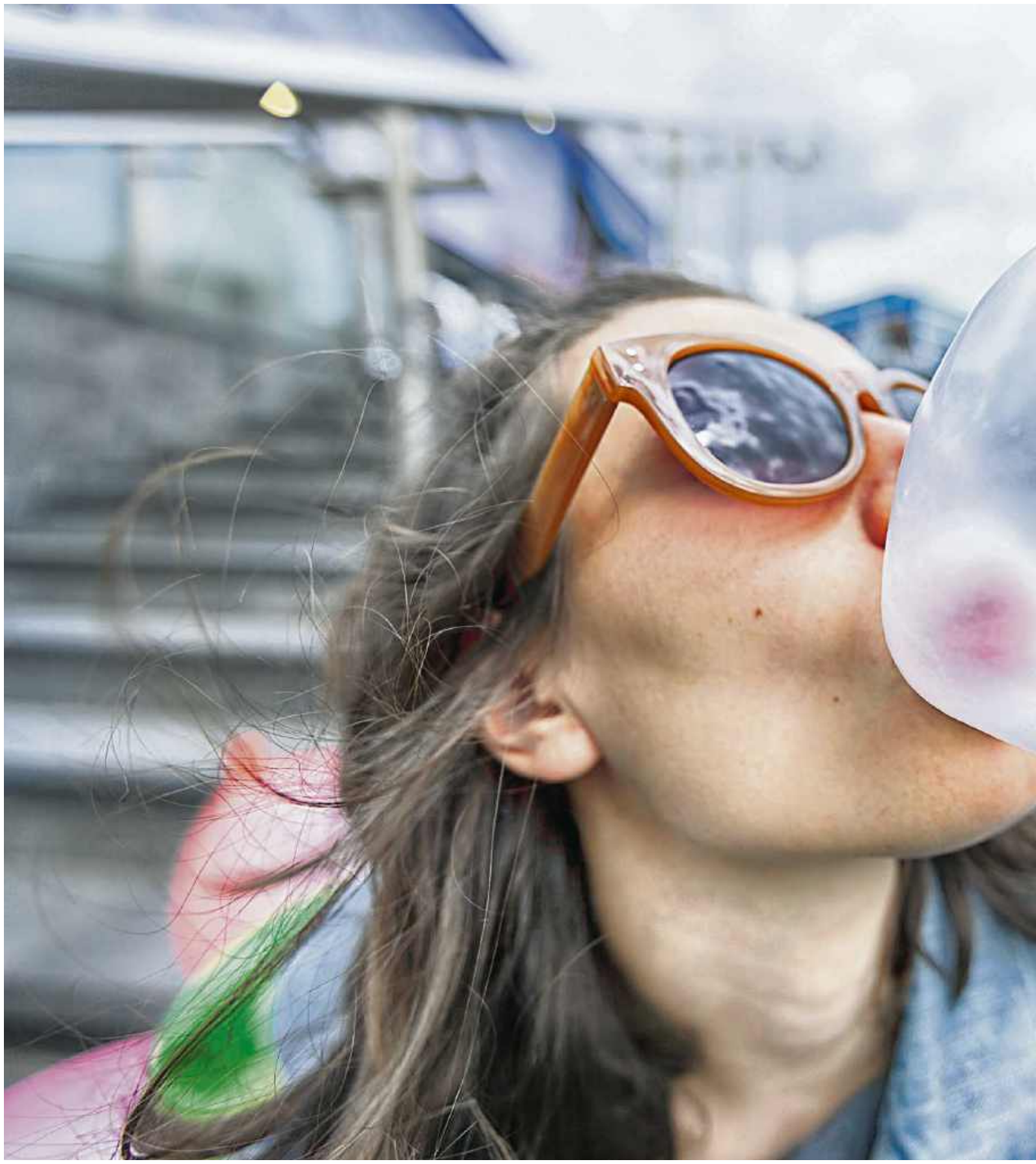

CZY W D... IM SIĘ POPRZEWRACAŁO?

Kiedy ja kończyłem studia, **nawet nie marzyłem o samodzielnym mieszkaniu i płacy w okolicach średniej krajowej**

Kamil Fejfer

Kilka tygodni temu polski internet obiegły grafiki z cyklicznego raportu „Student w pracy" przygotowywanego przez Polską Radę Biznesu oraz SW Research. Mogliśmy się z niego dowiedzieć, że 60 proc. dzisiejszych żaków za 10 lat chciałaby zarabiać więcej niż 15 tys. zł na rękę. A niemal połowa – ponad 20 tys.

W komentarzach pod artykułami relacjonującymi badanie zaroiło się od głosów o oderwanym od rzeczywistości roszczeniowym pokoleniu. Oraz obaw, że młodych czeka bolesne zderzenie się ze ścianą realiów. A to może prowadzić do frustracji, rozczarowania systemem gospodarczym, politycznym – i pokazaniem „faka" poprzez głosowanie na populistycznych radykałów. Tylko że doświadczenie z większością kulturowo-obyczajowo-społeczno-pokoleniowych imb uczy, że im dalej w analityczny las, tym więcej niuansów, które podważają efektowne tezy z gatunku „na chłopski rozum".

Zobaczmy więc, jak wygląda szeroko rozumiana sytuacja materialna młodych w zestawieniu z przedstawicielami poprzedniego pokolenia, kiedy ci byli w ich wieku.

Zastanówmy się, czy „zetki" – które wyobrażamy sobie wciąż jako nastolatki czy niedojrzałych studenciaków, a tymczasem w sporej części to już ludzie po studiach, z jakimś doświadczeniem życiowym albo i zawodowym – mają na co narzekać. A jeśli nie, to skąd to pojawiające się tu i ówdzie marudzenie? I czy na pewno czeka nas rewolucja sfrustrowanych zoomerów?

•

„Myślę, że dużo zetek korzysta z bycia pierwszym pokoleniem, które nie musi od razu startować zawodowo. Jesteśmy generacją eurosierot i świadków tego, jak nasi rodzice wypruwali sobie żyły na początku lat 2000" – mówi mi 22-letni Janek, kiedy pytam go, czy jego rówieśnicy mają poślizg w stosunku do wcześniejszych pokoleń we wchodzeniu w „ekonomiczną dorosłość".

Sam jednak nie należy do grona tych, którzy zwlekali z wejściem na rynek pracy. Pochodzi z wielodzietnej, niezamożnej rodziny i pierwsze zlecenie podpisał tydzień po ukończeniu 15 urodzin. Dzisiaj, pracując przy kontroli inwestycji unijnych i czasami biorąc dodatkowe zlecenia w branży technologicznej, wyciąga od 7 do nawet 11 tysięcy miesięcznie. Wie, że to naprawdę przyzwoite pieniądze, więc nie narzeka, choć sporą część pochłaniają dwa zaoczne kierunki studiów.

Zauważalnie mniej zarabia 23-letnia Maria, która właśnie rozpoczęła pracę po 4 miesiącach poszukiwań. Pochodząca z niewielkiej pomorskiej miejscowości studentka dziennikarstwa na trójmiejskiej uczelni dostaje minimalną godzinówkę – 31,40 zł. Przy zleceniu i statusie studenta – a więc bez konieczności odprowadzania składek i zerowej stawce PIT do 26 roku życia – kwota netto równa się kwocie brutto. Miesięcznie dziewczyna ma więc ok. 5 tysięcy do ręki.

•

Z przeprowadzonego w lutym badania „Student w pracy 2026" wynika, że wśród pracujących żaków – takich było 54 proc. – mediana zarobków to przedział 4001-5000 zł na rękę. Co stanowi okolice płacy minimalnej.

Przypomnijmy, że mediana to „wartość środkowa", która dzieli zbiór danych na połowy. W tym przypadku mamy sytuację, gdzie połowa pracujących studentów zarabia mniej od tego przedziału, a połowa więcej.

A dlaczego mówimy o przedziałach, a nie o konkretnej wartości?

To zależy od przyjętej metodologii – badacze mogą bowiem pytać o konkretne pensje lub właśnie o to, w jakich widełkach mieszczą się wynagrodzenia. Instytucje publiczne

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

FOT. GETTY IMAGES

W słowach millenialsów czy iksów o „roszczeniowym pokoleniu" jest wiele z wołania o uznanie perspektywy pamięci. I tego zetki nie mogą zrozumieć

np. Główny Urząd Statystyczny (GUS), dysponują bardziej precyzyjnymi informacjami, bo zbierają je za pomocą rejestrów skarbowych lub obowiązkowych sprawozdań prowadzonych przez przedsiębiorstwa.

Idźmy dalej. Kwoty 3001-4000 zł do ręki zarabiało 15 proc. osób. Taki sam odsetek studentów mógł się cieszyć wpływami na poziomie 5001-6000 zł. Zaś 9 proc. otrzymywało płace w wysokości ponad 7000 zł. A to już przyzwoite pieniądze jak na młodą osobę.

A dlaczego niektórzy zarabiali mniej niż najniższa krajowa? Spora część studentów pracuje dorywczo (30 proc. pracujących), na pół etatu (20 proc.) i na 3/4 etatu (16 proc.).

Zestawmy te wartości z zarobkami publikowanymi przez GUS. Wg danych za listopad – średnia płaca osób do 24 roku życia, czyli w grupie wiekowej w dużej części pokrywającej się z grupą studentów – wynosiła nieco ponad 6500 zł brutto. Mediana była dokładnie o 600 zł niższa. A to przekłada się na nieco ponad 5100 zł do ręki – albo 4650 zł w przypadku osób, które nie miały statusu studenta.

Znów – to nie kokosy, ale też niemało jak na naprawdę młodych ludzi. Dodajmy, że jest to najmniej zarabiająca grupa wiekowa.

Tutaj zastrzeżenie metodologiczne. W swoim opracowaniu GUS bierze pod uwagę tylko osoby zatrudnione na umowy o pracę (również te z najmniejszych firm). Nie liczy młodych na zleceniach – a w analizie „Student w pracy" stanowili oni aż 44 proc. badanej pracującej grupy), umowach o dzieło (nieco ponad 4 proc.) czy na B2B – umowach zawieranych jako „działalność gospodarcza", z reguły jednoosobowa (brak wyszczególnienia).

Ale zaraz, zaraz – oburzą się młodsi czytelnicy. Jak to, 5 tysięcy na rękę to „nie tak mało"? Przecież to ledwo starcza na wynajem mieszkania! Nie mówiąc już o jakimś wyjeździe raz na jakiś czas. Choćby na budżetowe wakacje za granicę.

W tej prostej i zasadnej uwadze zbiega się zaskakująco dużo różnic pokoleniowych. Potraktujmy je więc jako punkt zaczepienia w dalszej podróży.

•

Rzeczywiście, w wielu przypadkach moje „nie tak mało" to „jednak mało" dla dzisiejszych dwudziestokilkulatków.

„5 tysięcy netto to jest takie minimum, przy którym trzeba wybrać, czy chcemy mieszkać z kimś i mieć trochę środków na fajniejsze życie, czy wybieramy mieszkanie samotne, ale wtedy zostaje nam niewiele na życie" – mówi mi Maria. Dziewczyna dodaje, że jej pokolenie jest świadome, jak wyglądają stawki minimalne, do których mają prawo. A więc właśnie – to nie roszczeniowość, a różnica perspektywy.

Moja pierwsza naprawdę stała praca, którą dostałem w okolicach 2010 roku, chwilkę po pierwszych studiach (studiowałem wtedy drugi kierunek, którego nigdy nie skończyłem), wiązała się z miesięcznym wjazdem dla oszałamiających niecałych 1250 zł. Przez długie lata pamiętałem nawet groszową końcówkę tej kwoty, ale rzecz miała miejsce ponad półtorej dekady temu, więc nieubłagalnie upływający czas rozmył szczegóły. Do tego raz na jakiś czas zdarzały się dodatkowe zlecenia.

Praca w redakcji była na śmieciówce – czy, jak wolą neoliberałowie, umowie o dzieło – a kiedy mnie zwalniano, dostałem informację od przełożonej, że udało się jej „wywalczyć" dla mnie dwutygodniowy okres wypowiedzenia. Który należał mi się jak psu buda, ponieważ wykonywałem typowo kodeksową pracę – nie winię jednak szefowej, bo już wtedy rozumiałem, że na realnym rynku prawo pracy było zbiorem niezobowiązujących sugestii.

Również i dzisiaj na rynku jest sporo tego typu przestrzeni. Ale jest ich mniej niż kilkanaście – dwadzieścia lat temu.

Pracowałem w owej redakcji na 4/5 „etatu". Zróbmy więc korektę, zaokrąglając to do pełnego czasu zatrudnienia oraz dorzućmy skumulowaną inflację.

Pełny etat oznaczałby na ówczesne pieniądze mniej więcej 1560 zł. Skumulowana inflacja pod tamtego czasu wyniosła 73 proc. Wystarczy więc pomnożyć uzyskana wartość przez 1,73, aby otrzymać zawrotną kwotę w wysokości... 2700 zł.

Tyle na dzisiejsze pieniądze zarabiałem, zaczynając stałą pracę. Czy też „zarabiałbym" po przeliczeniu na cały etat. To o niemal połowę mniej, niż zarabia Maria.

Pytam ją, czy ktoś z jej rówieśników byłby gotowy do pracy za takie pieniądze. „Dziś taka kwota właściwie nie daje opcji na utrzymywanie się samemu. Jest zupełnie nieadekwatna do kosztów życia". Nie dostrzega, że te 2700 zł to środki z korektą o inflację, a więc z poprawką na koszty życia.

Z drugiej strony Janek zauważa, że niektórzy jego znajomi pracujący w „gastro" właśnie tyle zarabiają. Jak widać, prawo wciąż niektórych branż nie obowiązuje...

Cofnijmy się więc w okolice 2010 roku, mniej więcej do czasów, kiedy zaczynałem przygodę z dziennikarstwem i zobaczmy, ile wtedy zarabiali młodzi. Według GUS średnia płaca brutto dla grupy wiekowej do 24 roku życia wynosiła nieco ponad 2300 zł brutto. Dawało to 1700 zł na rękę. Po inflacyjnej korekcie dzisiaj byłoby to 2900 zł.

A więc przeciętne wynagrodzenie młodych – po poprawce na wzrost cen towarów i usług – jest dzisiaj wyższe o 76 proc. Właśnie taką premię – uśredniając – otrzymują zetki w porównaniu do starszych millenialsów tylko z powodu urodzenia się nieco później. Lub – jak to woli – z przywileju dorastania w lepiej rozwiniętym i bogatszym kraju.

•

Te przesunięcie ku zamożności widać nie tylko w obecnych płacach, ale również w aspiracjach zarobkowych.

Na początku wspomniałem, że prawie połowa młodych za dekadę chciałaby zarabiać 20 tysięcy złotych. Ale to nie koniec, bo obecnie prawie jedna trzecia studentów chciałaby dostawać za swoją pracę ponad 10 tys. zł na rękę. A za rok takie pieniądze chciałoby widzieć na koncie już ponad 40 proc. studiujących respondentów.

Pytam więc moich rozmówców, ile chcieliby zarabiać. Janek mówi, że nie operuje kwotami. Chciałby mieć taki dochód, żeby dał mu „finansową stabilność i pewność, że jeśli coś się wykrzaczy, to będzie miał pole ekonomicznego manewru". Maria natomiast chciałaby dzisiaj zarabiać dzisiaj 6-7 tys. zł do ręki. W perspektywie dekady – ze dwa razy tyle.

Niektórzy mogliby się złapać za głowę i zapytać: czy ci młodzi naprawdę już powariowali? Najczęściej w ten sposób reagują ludzie, którzy na rynku pracy są od dobrych kilku lat. Choć większość z nas nie potrafi na pamięć wyrecytować rozkładu dochodów w społeczeństwie, to zazwyczaj wiemy, że 10 tys. zł zarabia naprawdę niewiele osób.

Ale od czego jest GUS, jeśli nie od tego, żeby nam ten rozstrzał wynagrodzeń przybliżyć?

Otóż według opracowania „Rozkład wynagrodzeń w gospodarce narodowej" w listopadzie 2025 najlepiej zarabiające 10 proc. pracowników dostawało niecałe 14,5 tys. zł brutto, czyli właśnie okolice 10 tys. zł. Inaczej mówiąc – 1/3 studentów chciałaby dostawać takie wypłaty, jakimi cieszy się 1/10 najzamożniejszych etatowców w Polsce. Nic dziwnego, że niektórzy, słysząc taki postulat, unoszą brwi.

Tutaj uwaga metodologiczna – dane GUS obejmują tylko ludzi na etacie. Nie ma w nich mowy o osobach na zleceniach lub na samozatrudnieniu. Wiadomo, że ci ostatni mają wyższe dochody niż etatowcy, co może oznaczać, że prawdziwa poprzeczka górnego decyla dochodowego znajduje się wyraźnie wyżej – z czego wynikałoby, że „boomerskie" rozpoznanie „młodym w d... się poprzewracało" jest błędne. Wiarygodnych i świeżych danych jednak nie mamy.

Ale, ale! Przecież studenci odpowiadali na pytanie: „ile chcieliby zarabiać", a nie: „ile uważają, że im się należy"! Większość z nas powiedziałaby, że chciałaby zarabiać więcej niż obecnie. I to bez względu na nasze dochody.

Derek Thompson, jeden z najciekawszych dziennikarzy-analityków, autor podcastu Plain English i współautor książki „Dostatek", która niedawno ukazała się nakładem Krytyki Politycznej, trzy lata temu na platformie X opublikował ciekawą grafikę ukazującą opisane zjawisko.

Otóż osoby, które miały roczny dochód w wysokości 25-34 tys. dolarów, sądziły, że szczęście da im 50 tys. dolarów.

Ci, którzy zarabiali 50 tys., chcieli zarabiać około 75 tys. Ci z dochodem w wysokości 150 tys. twierdzili, że potrzebują 200 tys.

Ta drabina nie ma końca. Nic więc nic dziwnego, że kiedy pyta się ludzi – bez znaczenia czy są studentami, „zetkami", „alfami" czy „boomerami" – ile chcieliby zarabiać, to podbiją dzisiejszą stawkę. Najczęściej poprzeczkę podnosimy o 30-50 proc.

eprasa.pl ae811472f6

Pojawia się inne pytanie – dlaczego właściwie, kiedy ankieter pyta nas o preferowane zarobki, nie mówimy „milion dolarów”? Przecież nikt nam za to nie da po łapach, nie przyjedzie policja przesłuchać nas i aresztować, bo za wiele sobie życzymy.

Chodzi o to, że nasze pragnienia są zakorzenione w naszym doświadczeniu. Chcemy mieć więcej niż mamy – ale realnie pragniemy tego, co jest dla nas, przynajmniej teoretycznie, wyobrażalne i osiągalne.

Właśnie dlatego studenci mówią o 10 tys. obecnie i o 20 tys. za dekadę. Dekada to dla nich szmat czasu. A ci pracujący widzą, że dostają podwyżki. Ekstrapolują więc trend i dodają zdroworozsądkowe zastrzeżenie „mam wielką nadzieję, że mi się uda...”.

To zjawisko ma konsekwencje – otóż wraz ze zrostem zamożności przesuwają się granice wyobrażalnego. Dowód?

Daleko szukać nie trzeba. Raport „Student w pracy” jest realizowany od dobrych kilku lat. O aspiracje płacowe ankieterzy pytają od 2019 roku. To wystarczy, żeby przyjrzeć się trendom. Więc jakich płac oczekiwali studenci zaledwie 7 lat temu?

Tu znów musimy zrobić korektę o inflację, ponieważ surowe nominalne dane niewiele nam powiedzą. Od tamtego czasu ceny towarów i usług wzrosły o ok. 45 proc. To znaczy, że dzisiejsze 10 tys., które są punktem odniesienia w porównaniach, to 7 tys. z 2019 roku.

Ilu studentów chciało wtedy zarabiać powyżej tej kwoty? Otóż... 10 proc. Czyli odsetek osób, które na pytanie o obecne preferowane zarobki odpowiadały” „powyżej 10 tys. zł” wzrósł trzykrotnie.

W 2019 roku jedynie 16 proc. żaków twierdziło, że chciałoby „za rok” zarabiać ekwiwalent dzisiejszych 10 tys. zł – obecnie marzy o tym 40 proc.

O kategorię „powyżej 20 tys.” 7 lat temu w ogóle nie pytano.

Czy to roszczeniowość? Bynajmniej – takie przesunięcia widać w całym społeczeństwie. Każdemu apetyt rośnie w miarę jedzenia.

•

Rzućmy okiem na jeszcze dwie ważne kwestie odnoszące się do rynku pracy: bezrobocie i uśmieciowienie.

Pierwsza kategoria ostatnio coraz częściej pojawia się w mediach. Kolejne nagłówki straszą redukcjami w renomowanych firmach, bezpiecznych dotąd branżach i rosnącą liczbą osób bez pracy. Tymczasem dziennikarze zazwyczaj po prostu... nie wiedzą, na co patrzeć. I dezinformują na potęgę opinią publiczną.

Zanim przejdziemy do bezrobocia młodych, powiedzmy sobie, skąd to zamieszanie.

Bezrobocie w Polsce szacuje się na dwa sposoby.

Pierwszy to tzw. bezrobocie rejestrowane. Dane są pochodną liczby osób zarejestrowanych w urzędach pracy. Drugi to ankietowe BAEL – Badanie Aktywności Ekonomicznej Ludności prowadzone cyklicznie przez GUS. Bardzo zbliżonymi danymi dysponuje również unijny Eurostat.

Bezrobocie rejestrowane zależy od tego, w jaki sposób ludzie zapisują się w urzędach. Jeśli chodzi o te procedury, to latem ub. r. weszła w życie reforma, która znosiła obowiązek rejestracji w pośredniaku wg miejsca zameldowania. Jako bezrobotni mogli się rejestrować także rolnicy (wcześniej istniało ograniczenie odnoszące się do wielkości gospodarstwa). To spowodowało, że część osób miała ułatwiony dostęp do rejestracji, co ludzie skrzętnie wykorzystali choćby po to, by uzyskać ubezpieczenie zdrowotnego. A to z kolei napompowało bezrobocie rejestrowane.

Kiedy jednak spojrzymy na bardziej wiarygodne informacje BAEL, okazuje się, że... w zasadzie nic się nie dzieje. Osób bez pracy w Polsce jest wciąż rekordowo mało – około 3 proc. z delikatnymi odchyleniami o dziesiąte części punktu procentowego.

Również bezrobocie młodych, o którym alarmują od paru miesięcy media, po przyłożeniu precyzyjnej metodologii BAEL i Eurostatu nie daje powodów do bicia na alarm.

Rzeczywiście europejski urząd statystyczny notuje ostatnio delikatne wzrosty tego parametru – do ok. 13 proc. Ale w stanowiącym nasz punkt odniesienia roku 2010 – dla wielu całkiem niedawnym, wszak wtedy przeżywaliśmy katastrofę smoleńską i ekscytowaliśmy przygotowaniami do Euro w Polsce i Ukrainie – było to prawie 25 proc.

A w rekordowo złym 2003 roku – tuż przed wejściem do Unii – bezrobocie osób do 25 roku życia sięgało 45 proc.

Dzisiejsze medialne i facebookowe rozkładanie rąk nad pojedynczymi punktami procentowymi wzrostu bezrobocia to wynik społecznej amnezji. Zapomnieliśmy o tych naprawdę kiepskich, i nie najlepszych, i takich sobie, przeciętnych czasach.

Nie przemawia przeze mnie znieczulica, to jasne, że bezrobocie jest życiowym dramatem każdej osoby, która pozostaje bez pracy nie ze swojej chęci i nie ze swojej winy. Ale pamiętajmy, że kilka – kilkanaście lat temu takich dramatów było miliony więcej.

•

Mówiąc o aspiracjach i sytuacji ekonomicznej młodych, nie możemy pominąć czegoś, co jeszcze dekadę temu rozpalało publicystów, ekonomistów, polityków i czytelników, czyli o uśmieciowieniu. Które miało skończyć się populistyczną albo i dosłowną – „Przyjdą po nas z widłami”, jak ostrzegał publicznie Nick Hanauer, amerykański miliarder i inwestor technologiczny – rewolucją prekariuszy.

Otóż również ta patologia rynku pracy okazała się z perspektywy całego życia krótkoterminowa, charakterystyczna dla momentu dziejowego.

Owszem, pierwszą i połowę drugiej dekady XXI wieku trapiła plaga umów o pracę na czas określony. Lecz z danych wynika – co odnotowuje już w 2022 roku raport Polskiego Instytutu Ekonomicznego – że Polsce po roku 2016 obserwujemy wyraźny trend spadku umów na czas określony zarówno w całym społeczeństwie, jak i wśród osób poniżej 30 roku życia.

Zawdzięczamy to „wtrącającemu się” – ku oburzeniu neoliberałów czy Konfederatów – państwu, czyli prawnemu ograniczeniu możliwości stosowania tej formy zatrudnienia. Dzisiaj trzecia umowa musi być już na czas nieokreślony, a okres bycia zatrudnionym w ten sposób nie może przekroczyć 33 miesięcy.

W grupie najmłodszych pracowników spadek umów na czas określony był najbardziej wyraźny. W szczytowym momencie, w okolicach 2015 roku, tymczasowe zatrudnienie dotyczyło prawie 55 proc. osób do 30 roku życia, a w 2021 – 35 proc.

Wciąż to naprawdę sporo, ale po pierwsze – znacznie mniej niż zaledwie kilka lat wcześniej. A po drugie – niemała część tego odsetka nie wynika tylko z chęci pracodawców do „uelastycznienia” zatrudnienia, ale też z prostego faktu, że więcej osób młodszych niż starszych jest na okresach próbnych w pracy, bo dopiero ją zaczynają.

•

Wróćmy do kombatanckich opowieści. Wielu dzisiejszych młodych może zazdrośnie zastanawiać się, w jaki więc sposób za 2700 mogłem sobie pozwolić na wynajem mieszkania.

Otóż poza „fuszkami” i pomocą rodziców – badania pokazują, że obecnie więcej młodych dorosłych otrzymuje wsparcie od opiekunów niż w przeszłości – po prostu wynajmowaliśmy 27-metrową kawalerkę z ówczesną dziewczyną.

Sposobem na usamodzielnienie przy niższych płacach był więc wynajem na spółkę – z partnerem lub ze znajomymi. To oczywiście wciąż jest normą w realnym świecie – ale liczy się trend, któremu się przyglądamy i do którego przykładamy własną sytuację życiową. Tymczasem zdecydowanie zyskuje na popularności model, w którym preferowane jest mieszkanie samemu.

I nie chodzi mi bynajmniej o zrzędzenie, że kiedyś „było nas siedemnaścioro, żyliśmy na dnie jeziora, nikt nie narzekał” czy „ja w dzieciństwie węgiel przy torach zbierałem, lebiodę jadłem, a na ludzi wyszedłem”. Chcę tylko zwrócić uwagę, że moja perspektywa – a taki stary jeszcze nie jestem, przecież czterdziestka to nowa trzydziestka – to perspektywa człowieka pamiętającego Polskę o zupełnie innym poziomie rozwoju gospodarczego. A tę pamięć mają przecież wszystkie starsze pokolenia. Stąd ich rytuały narzekania na młodych.

To męczące „ja to w twoim wieku...” nie bierze się wyłącznie ze złośliwej przypadłości zwanej dziaderstwem, lecz z biografii. Z niełatwych doświadczeń, które są bardzo głęboko wpisane w tożsamość starszych roczników.

Zostańmy przy mieszkaniówce. Otóż mielone w „socjalowych” komentarzach zawołanie „za taką wypłatę nie da się wynająć mieszkania” ma w sobie dwa haczyki.

Pierwszy jest taki, że, no cóż, domyślnym benchmarkiem – czyli punktem odniesienia – lokalu na wynajem jest kawalerka w śródmieściu Warszawy.

Tak dobrze znane wszystkim z dramatycznych nagłówków hasło „Wynajem mieszkania to minimum 3,5 tysiąca” to odnosi się właśnie do jednopokojowych lokali o wysokim standardzie w centrum stolicy – czyli w najdroższym miejscu w Polsce.

Ale odpaliwszy wiodący portal ogłoszeniowy nawet w Śródmieściu widzę sporo „M1” z cenami ofertowymi w okolicach 3 tys. zł lub nieco poniżej, i to już z czynszem. Ba, spora część z nich ma więcej niż urągające godności człowieka 25 metrów kwadratowych. A w całej stolicy takich kawalerek są setki.

Po drugie zaś – zmieniła się perspektywa. Za czasów dzisiejszych czterdziestolatków samodzielne mieszkanie na studiach lub chwilę po nich było czymś zarezerwowanym dla znacznie, ale to znacznie mniejszego grona osób niż dzisiaj. Były to albo dzieciaki z zamożnych domów, albo niezwykle zdolne, pracowite i fartowne osoby, które już wtedy zarabiały spore pieniądze.

Jakie mam dowody na swoją tezę?

Oprócz doświadczeń własnych i tuzinów znajomych – bliskich, przyjaciół, dawnych i obecnych kolegów ze studiów czy pracy – dane Eurostatu, dzięki którym możemy zobaczyć jak w przytaczanym okresie wzrosła liczba młodych osób (18-25 lat) żyjących samodzielnie. Otóż w 2010 rok takich osób w Polsce było to 123 tysiące, a w 2025 – okrągłe solidne 100 tysięcy więcej.

1 RP

Apetyt rośnie w miarę jedzenia

4001-5000 zł

• W takim przedziale na rękę mieści się mediana zarobków pracujących studentów

2700 zł

• wynosiła – w dzisiejszych pieniądzach, po uwzględnieniu inflacji – w okolicach 2010 roku pierwsza płaca autora w mediach

76 proc.

• O tyle jest wyższe – po poprawce na wzrost cen towarów i usług – wynagrodzenie młodych pracowników w stosunku do roku 2010

100 tys.

• O tyle wzrosła od 2010 roku liczba osób w wieku 18-25 lat mieszkających samodzielnie – 15 lat temu było ich 123 tys.

2,9 mln osób

• w wieku 18-25 lat żyje obecnie w Polsce. W 2010 roku było ich około 4,6 mln

19 proc.

• młodych ludzi w wieku szkolnym wyjeżdża „wyłącznie za granicę”, 32 proc. odpoczywa i za granicą, i w kraju. W 2016 r. odpowiednio 8 i 20 proc.

eprasa.pl ae811472f6

Hasło „za taką wypłatę nie da się wynająć mieszkania ma dwa haczyki. Pierwszy – cenowym punktem odniesienia jest kawalerka w śródmieściu Warszawy. Drugi – kilkanaście lat temu samodzielne mieszkanie na studiach lub chwilę po nich było zarezerwowane dla znacznie mniejszego grona osób

Dodajmy do tego jeszcze jedną zmienną – kurczenie się kohort wiekowych. W 2010 roku osób w wieku 18-25 lat było niecałe 4,6 mln, w 2025 roku – 2,9 mln. A to oznacza, że w kohorcie wiekowej 18-25 odsetek osób mieszkających samotnie w 2010 roku wynosił 2,7 proc., a w 2025 już 7,6 proc. Biorąc pod uwagę liczebność roczników, mamy trzykrotny wzrost.

I to znów jest wynik wskazujący na polepszającą się sytuację młodych.

Półtorej dekady temu naprawdę mała liczba moich rówieśników tworzyła w głowie aspiracyjny punkt odniesienia w postaci indywidualnie wynajmowanego mieszkania. Dla znacznej większości z nas to było na tyle nieosiągalne, że nawet o tym nie marzyliśmy.

Obecny opisywany w setkach artykułów oraz setkach tysięcy komentarzy na Facebooku, X i Instagramie kryzys mieszkaniowy jest wynikiem nie tyle obiektywnie pogarszającej się sytuacji na rynku – bo ta się poprawia – co zmiany oczekiwań.

●

Międzypokoleniową różnicę na plus w sposobie życia widać również w sposobie podróżowania.

Kiedy byłem studentem, wakacyjne wyjazdy zagraniczne, owszem, zdarzały się, ale były naprawdę o wiele rzadsze niż dzisiaj. Co wynikało z prostego powodu – permanentnego braku pieniędzy na niemal wszystko. Zagraniczne wakacje, o ile dochodziły do skutku, to raczej od wielkiego dzwonu – raz na dwa, trzy lata. Za granicę ludzie znacznie częściej jeździli po prostu do pracy.

Tymczasem kiedy rzucimy okiem na dane CBOS, to zauważymy, że dziś podróże do innych krajów są coraz częściej domeną dzieci. Z opracowania „Letnie wyjazdy wypoczynkowe uczniów" z 2025 roku dowiadujemy się, że 19 proc. młodych w wieku szkolnym wyjeżdżało „wyłącznie za granicę".

I owszem – uczniowie to nie studenci, lecz CBOS nie podaje oddzielnych informacji dla studentów, natomiast przyjrzenie się wypoczynkowi już-prawie-studentów lub młodych pracowników pozwala określić trend.

Kolejne 32 proc. odpoczywało i za granicą, i w kraju. W 2016 roku – w czasie, kiedy najstarsze zetki były jeszcze nastolatkami – było to odpowiednio 8 i 20 proc.

Opracowanie nie sięga dalej wstecz, jednak trendu możemy się domyślać. Wakacje, a i owszem, były dostępne, ale mniejszej liczbie dzieciaków. A wypady znacznie częściej ograniczały się do wyjazdu do dziadków na wieś.

●

Nie ulega wątpliwości, że zetki mają się ekonomicznie lepiej na każdym istotnym polu materialnym w zestawieniu z pokoleniami starszymi, włączając w to również milenialsów. Mają o wiele wyższe płace, przyjaźniejszy rynek pracy, niższe bezrobocie, niższe uśmieciowienie. Wbrew temu, co twierdzą niektóre media oraz przedstawiciele samej generacji Z, mają lepszy dostęp do mieszkań, a te są wygodniejsze i większe niż kiedyś. Mają więcej okazji do lepszego i bardziej komfortowego podróżowania.

To wszystko przekłada się na rosnące aspiracje – mają więcej i chcą więcej. Co – zastrzegam, by uniknąć zarzutu moralizowania czy piętnowania – w żaden sposób nie odróżnia ich od poprzednich pokoleń. Te, kiedy się bogaciły, również oczekiwały wyższych pensji, lepszych mieszkań i łatwiejszego dostępu do odpoczynku.

Napięcie pojawia się w miejscu punktów odniesienia. Dla starszych pokoleń perspektywą, przez którą patrzą na świat, jest ich własna pamięć nierozerwalnie związana z ich tożsamością. Pamiętamy, jakby to było wczoraj, jak zarabialiśmy grosze i jak za te grosze staraliśmy się dobrze bawić.

Co nam się przecież zresztą udawało! – ktoś powie. Tyle że tu kłania się zjawisko selektywnej pamięci – zazwyczaj przeszłość pamiętamy lepiej, niż ją odczuwaliśmy, kiedy była teraźniejszością.

Pomijam już, że poziom tych napięć zależy od geografii. Są niższe w krajach starego, sytego Zachodu, gdzie nawet mimo Wielkiego Kryzysu czy zniszczeń drugiej wojny światowej kolejne pokolenia kumulowały kapitał, a przynajmniej doświadczały minimalnej pewności bytowej. „Te nasze dzieci, wnuki są beztroskie, nieodpowiedzialne, niedojrzałe, słuchają dziwnej muzyki i mają dziwne gusta, ale będą żyły lepiej niż my" – mogli sobie mówić Niemcy czy Francuzi.

Raz jeszcze podkreślę – nie, nie chodzi o to, że my millenialsi czy „iksy" tęsknimy za tymi czasami. Przynajmniej nie w aspekcie ekonomicznym. Albo, że chcemy ich powrotu dla naszych młodszych kolegów i koleżanek, dla młodszego rodzeństwa albo dla naszych dzieci.

W słowach o „roszczeniowym pokoleniu" jest wiele z wołania o uznanie perspektywy pamięci. I tego zetki nie mogą zrozumieć. A nie mogą, ponieważ świadome rozumienie rzeczywistości mają od kilku, góra kilkunastu lat. Trudno wyobrazić sobie doświadczenia rodziców czy dziadków, a co dopiero je uwewnętrznić, zrozumieć, skoro nie ma się pamięci dekad.

To nie pamięć tworzy ramy aspiracji młodych. Tworzy ją popkultura, influencerzy, zamożniejsi znajomi wrzucający na TikToka czy Instagrama filmiki z wystawnego życia. Słowem – tworzą je pragnienia rozpędzone przez zamożny świat. Ten, który budowali również milenialsi, pokolenie X oraz pokolenie wyżu powojennego. To świat, który obiecuje dobre, wygodne życie, niezłe zarobki, podróże i samorealizację.

Co przewrotne – większość tych obietnic zostanie spełnionych. Ale jeszcze nie teraz; może za dekadę, może za półtorej. Niestety – i sama młodość, i dzisiejsza kultura natychmiastowej gratyfikacji są bardzo niecierpliwe.

Z drugiej strony – i millenialsi, i X-y oraz baby boomersi wydają się nie rozumieć punktów odniesienia młodych. To również typowe – amnezja wołu, co nie pamięta, jak cielęciem był. A także nie pamięta, że on sam wyobrażał sobie, że życie „na Zachodzie" wygląda tak, jak w amerykańskich serialach, niemieckim „B"avo" czy reklamach dropsów Orbit.

Zarówno narracja o „dziadersach" kolportowana przez zoomerów, jak i rytualne jojczenie starszych na roszczeniowe młode pokolenie są po prostu nieadekwatne. A ta nieadekwatność napędza wzajemną niechęć do zrozumienia odmiennych punktów widzenia.

Została ostatnia rzecz do rozstrzygnięcia. Czy rozbuchane aspiracje zetek spowodują, że będziemy mieli wielkie społeczne niezadowolenie? Cóż, a któż z nas, wchodząc na rynek pracy, nie myślał, że za chwile będzie zarabiał bajońskie sumy? A no właśnie. A czy zrobiliśmy jakąś rewolucję? No właśnie.

Niektórzy powiedzą, że to szkoda, że rewolucji nie było. Ale cały powyższy wywód sugeruje, że system całkiem nieźle sobie radzi w dostarczaniu zamożności. Więc może dobrze, że odstąpiliśmy od rewolucyjnego czynu.

To, czego brakuje, to mądre przekierowanie przynajmniej owoców tego wzrostu dla tych, którym zabrakło szczęścia – bo urodzili się w złym miejscu lub czasie, bo trafiła im się inna pula genowa, bo nie dostali w odpowiedniej chwili pomocnej dłoni – by samemu po nie sięgnąć. Ale to temat na zupełnie inny tekst. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414014

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU:
PRESJA WYGLĄDU: PIĘKNO TO BESTIA

ZWIĄZKI: Pary z ADHD, jak ze sobą wytrzymują

SEKS: Tajemnice kobiecego orgazmu

URODA: Zdrowy mikrobiom włosów ważniejszy niż kolor

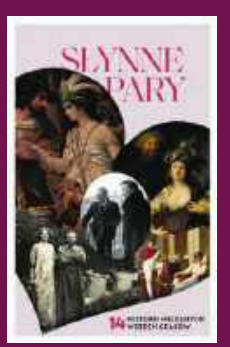

wysokie obcasy extra

Numer dostępny
z książkami do wyboru

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

ŚWIAT

NIC LEPSZEGO NA TYR nie zwymyśli

Nie da się niczego zbudować, bo zawsze ktoś zaprotestuje. Kanada jest najlepszą ilustracją, co poszło nie tak z liberalizmem i jak go naprawić

Z **MICHAELEM IGNATIEFFEM *** KANADYJSKIM HISTORYKIEM I BYŁYM POLITYKIEM ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

Przeczytam panu coś.
– Byleby nic, co sam napisałem.

„Emmanuel Joseph Sieyès, XVIII-wieczny francuski liberalny filozof, został pod koniec życia zapytany, co robił w czasie terroru rewolucji francuskiej. Odpowiedział »przetrwałem go«. Analizując dzisiaj postawę Sieyèsa, Michael Ignatieff konkluduje, że to właśnie poprzez zwykłe przetrwanie liberałowie mogą przejść przez czasy rewolucyjne". To esej Iwana Krastewa z magazynu „Prospect", zatytułowany „Liberalizm w czasach końca". Więc pytam pana jako ikonę tej ideologii: czy liberalizm może już tylko próbować przetrwać?
– Czasami rzeczywiście może jedynie walczyć o przetrwanie – ale nie zapominajmy, że liberalizm to ideologia nieustannie wymyślająca się na nowo. I zwykle ta auto-reinterpretacja zwykle następuje właśnie w czasach rewolucyjnych. Dzięki temu, że świat przechodzi rewolucję, czyli odwrócenie struktury i relacji władzy, liberalizm wchodzi w styczność z siłami tej rewolucji i tworzy nowy porządek.

Sieyès jest być może postacią mało znaną, ale szalenie ważną, bo był jednym z europejskich pionierów konstytucjonalizmu i władzy mieszanej, podzielonej na różne instytucje. Inni myśliciele, którzy przetrwali ten okres, to chociażby Benjamin Constant, Alexis de Tocqueville, do pewnego stopnia też John Stuart Mill. Oni wszyscy tworzą później podwaliny liberalizmu, doktryny dominującej w XX wieku, właśnie w reakcji na wydarzenia rewolucji francuskiej.

W gruncie rzeczy bowiem liberalizm jest szalenie prostą ideologią. Da się ją zamknąć w jednym zdaniu – proponuje świat, w którym każda władza jest nadzorowana przez inną władzę, żeby ludzie pozostawali wolni. Do dzisiaj to jedyna wiarygodna, dzia-

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

ANÓW

no

• **Premier Kanady Mark Carney z żoną Dianą Fox Carney tuż po ogłoszeniu informacji o zwycięstwie Partii Liberalnej w wyborach. Sztab wyborczy liberałów w Ottawie, 29.04.2025 r.**
FOT. NATHAN DENETTE/ ASSOCIATED PRESS/ EAST NEWS

łająca gwarancja powstrzymania rządów tyranicznych.

Tylko czy ta gwarancja nadal działa? Od co najmniej trzech dekad liberalizm krytykują wszyscy od lewa do prawa – jako ideologię samozadowolonych elit, egoistyczną, bo skoncentrowaną na jednostce, oddającą państwo w ręce rynków, nieczułą na ubogich i tych, którym się nie powiodło, niemal leseferystyczną. Reakcyjna prawica spod znaku Steve'a Bannona i MAGA twierdzi nawet, że liberalizm ukradł tradycyjne idee konserwatyzmu, jak państwo prawa czy własność prywatna, i zamienił je w perwersje.
– Liberalizm ma tak naprawdę dwa założenia teoretyczne.

Po pierwsze, zakłada, zawsze i wszędzie, że władza jest z natury niebezpieczna. Według doktryny liberalnej jakakolwiek władza powierzona jednostce, choćby niewielka, będzie zawsze obarczona ryzykiem nadużyć. Z tego wynika podstawowy problem polityczny – trzeba stworzyć taki układ sił w państwie, żeby żadna władza, a przez to żadna jednostka, nie była w stanie uprawiać terroru wobec reszty społeczeństwa.

Drugim założeniem jest konieczność pokojowego utrzymywania różnicy zdań. W naturze ludzkiej leży to, że się ze sobą nie zgadzamy. Mamy różne opinie, co może prowadzić do dramatycznych konsekwencji, bo z powodu tych różnic jesteśmy gotowi się mordować.

Liberalizm powstał w odpowiedzi na te dwie kwestie i rozwiązuje je najlepiej w historii polityki. Ryzyko tyranii i społeczna polaryzacja to nie są współczesne wynalazki. Patrzymy na nie w ten sposób dzisiaj – jako na coś niebywałego, horrendum, upadek norm i wartości – bo każdy zawsze analizuje rzeczywistość przez pryzmat czasów, w których sam żyje. Ale obie te rzeczy dostaliśmy w spadku po poprzednich pokoleniach, sami ich nie stworzyliśmy. Dlatego liberalizm jest tak ważny, bo ma historyczne doświadczenie w zmaganiach z tymi problemami.

Fundamentem bycia liberałem stało się przekonanie, że nie jest się, wręcz nie można być trwale przypisanym do konkretnego miejsca na ziemi i przez to miejsce definiowanym. Tożsamość indywidualna wynikająca z geografii, tradycji i narodowości stała się synonimem antyliberalizmu. Ten trend trzeba odwrócić

A jednocześnie z tego właśnie powodu liberalizm jest zawsze w kryzysie.

Bo?
– Bo zawsze odpowiada na realne ryzyko tyranii, wojny domowej, przemocy, polaryzacji, autorytaryzmu. Musi działać w okolicznościach, w których każde umiarkowanie jest pod presją.

Historycznie liberalizm miał jednak i trzecią cechę – przetrwał także dzięki zdolności absorbowania postulatów i kluczowych założeń innych ideologii. Co powinien wziąć dziś od sił, które dzisiaj go atakują, wręcz chcą unicestwić?
– Współczesny liberalizm ostatnich dekad sam się osłabił poprzez bezkrytyczne przyjęcie czegoś, co nazywam kosmopolityzmem bez korzeni. Fundamentem bycia liberałem stało się przekonanie, że nie jest się, wręcz nie można być trwale przypisanym do konkretnego miejsca na ziemi i przez to miejsce definiowanym. Tożsamość indywidualna wynikająca z geografii, tradycji i narodowości stała się synonimem antyliberalizmu. Ten trend trzeba odwrócić.

Liberalizm musi jak najszybciej odbić patriotyzm i dumę narodową z rąk nowej prawicy. Powinien przypomnieć ludziom, że każda polityka, niezależnie od formy, jest z natury polityką lokalną, dotykającą małych społeczności bezpośrednio.

Dlatego, zamiast próbować regulować wszystko w sposób uniwersalny i tworzyć restrykcyjne zestawy zasad, liberałowie powinni wrócić do korzeni – kilku szerokich pryncypiów, które są interpretowane indywidualnie w różnych miejscach. Przecież oczywistym jest, że co innego oznacza bycie liberałem w Kanadzie, a co innego w Polsce. Liberalna ideologia musi wreszcie zmierzyć się z coraz większą złożonością, również rasową, współczesnych społeczeństw narodowych i stworzyć dla nich nowy język. Taki, który zarezonuje z wyborcami.

Opisał pan właśnie świętego Graala współczesnej polityki – liberalny język polityki, który przemawia do mas. Jeszcze nikt go znalazł, choć wszyscy wierzą, że istnieje.
– Jeśli mamy już operować na konkretach, to powiedziałbym, że potrzebujemy jakiejś formy liberalnego nacjonalizmu. Takiego, który byłby wolny od nienawiści do obcych i nie nalegałby na jednolitość rasową i etniczną.

To tylko na pozór wydaje się oksymoronem. Historia idei, w tym historia nacjonalizmu zna przykłady myślicieli i projektów narodowych, które oparte były na otwartym, inkluzywnym rozumieniu społeczności narodowej. To dziedzictwo europejskiego Oświecenia, z tego wyszła też Europa republikańska, wolna od monarchii. Zresztą pan chyba coś o tym wie, bo Giuseppe Mazzini, jeden z ojców zjednoczenia Włoch, towarzysz Garibaldiego, tak właśnie rozumiał liberalizm.

Pobawmy się zatem w ćwiczenia z niemożliwego. Niech pan mi przedstawi założenia liberalnego nacjonalizmu na XXI wiek.
– Musi być oparty na zestawie rzeczy, wartości, pojęć, na którym nam wszystkim zależy i o które chcemy walczyć wspólnie jako wolni ludzie. To mogą być bardzo różne rzeczy, bo jak powiedziałem, co innego będzie miało wartość w kontekście historii i tradycji w Polsce, a co innego we Francji czy w Kanadzie.

Ważne, żeby pamiętać o działaniu w wolności, bo liberalizm umiera lub odradza się tylko w kontekście swojego przywiązania do wolności.

Czyjej?
– Wolności jednostki. Nie ma innej wolności niż wolność indywidualna, bo wolność nie jest wartością zbiorową. Twoja, moja, cudza wolność nie będzie nigdy taka sama. Indywidualizm jest prawdopodobnie najmniej popularną cechą liberalizmu, ale to właśnie on zapewnia jego przetrwanie.

Na pierwszy rzut oka te dwie rzeczy – indywidualizm i społeczność narodowa – zdają się sprzeczne, ale wcale nie są.

Liberałowie muszą nauczyć się opowiadać o wspólnocie narodowej – ona jest realną rzeczą i realną potrzebą wyborców. Polska to kraj, naród, związek ludzi o głębokich tradycjach, konkretnych doświadczeniach, a nie przystanek autobusowy, z którego odjeżdża się w świat. Tak samo Kanada i inne państwa. Te wspólnoty nie są takie same i liberałowie muszą to wreszcie rozpoznać. Uznanie jednostkowości wspólnot narodowych jest tak samo ważne, jak uznanie, szanowanie i obrona głębokiej jednostkowości każdego obywatela w społeczeństwie. Co rzecz jasna jest niesamowicie trudne do osiągnięcia, głównie dlatego, że nikt specjalnie nie przepada za wolnościami innych.

Możemy spędzić długie godziny na rozmowie o wolnościach pozytywnych i negatywnych, odwoływać się do Johna Rawlsa i Isaiaha Berlina, ale nikt chyba dylematu granic wolności jednostki trwale nie rozwiązał. A dzisiaj reakcyjna prawica używa tego tematu jak pałki, mówiąc, że liberalne wolności indywidualne zniszczyły wspólnotę – i trochę racji ma.
– Esencją liberalizmu jest zdolność zaakceptowania cudzej wolności, choć nie podobają ci się rzeczy, które inni z tą wolnością robią. Na to właśnie się wszyscy zgadzamy, zapisując się do państwa liberalnego.

W ostatnich latach zapomnieliśmy o kluczowym fakcie dotyczącym tej doktryny: liberalizm nie jest żad-

FOT. WIKIMEDIA COMMOS CC BY 2.0

Michael Ignatieff

• Rocznik 1947. Kanadyjski historyk, pisarz i były polityk. W latach 2016-21 rektor Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego (CEU) w Budapeszcie, później – po populistycznej kampanii Orbana wykorzystującej chochoła jako postać George'a Sorosa, fundatora uczelni – w Wiedniu. Wykładał na Harvardzie, Cambridge i Uniwersytecie w Toronto. Laureat Nagrody Dana Davida (za osiągnięcia o wielkim znaczeniu naukowym, kulturalnym lub społecznym) i Nagrody Księżnej Asturii w dziedzinie nauk społecznych. W latach 2006-11 zastępca przewodniczącego, a następnie lider Liberalnej Partii Kanady – od ponad 150 lat jednego z najważniejszych kanadyjskich ugrupowań. Autor książek „A Just Measure of Pain: Penitentiaries in the Industrial Revolution", „Blood and Belonging: Journeys Into the New Nationalism", „Warrior's Honour: Ethnic War and the Modern Conscience", „Isaiah Berlin: A Life", „Virtual War: Kosovo and Beyond", „Human Rights as Politics and Idolatry", „The Lesser Evil: Political Ethics in an Age of Terror".

eprasa.pl ae811472f6

ną ciepłą wodą w kranie, tylko poważnym zobowiązaniem ochrony suwerennego prawa jednostki do oceny rzeczywistości. Bez tego liberalizm to puste słowo.

Społeczeństwa mogą funkcjonować w liberalnych ramach państwa tylko wtedy, jeśli ich członkowie gotowi są bronić wzajemnego prawa do posiadania innego zdania na ten sam temat, jednocześnie wiedząc, że należą do tej samej wspólnoty, są lojalni wobec tych samych zasad.

Obywateli Polski do łez doprowadza coś innego, niż obywateli Niemiec czy USA, ale samo wzruszenie wspólną historią czy kulturą jest wartością powszechną i nikt nigdy nie powiedział, że musi przynależeć do konserwatyzmu czy innej formy prawicowości.

To robią ruchy antyliberalne: przejmują dyskurs wspólnotowy. A pan uczestniczył w tej walce liberalizmu z antyliberalizmem na pierwszej linii – jako rektor Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego. Viktor Orbán was demonizował, aż wyrzucił uczelnię z Budapesztu do Wiednia.
– Orbán długo był bardzo przekonujący w swojej opowieści o zaletach antyliberalizmu. Ale od lekcji z jego sukcesów i błędów cenniejsze są te płynące z analizy ruchu społecznego, który Orbána ostatecznie obalił. To przecież nie był ruch liberalny, tylko centroprawicowy, a wygrał, bo Peter Magyar nie zgodził się na bezwarunkowe oddanie Orbánowi języka dumy narodowej. Wręcz przeciwnie, uderzał w niego właśnie za pomocą odniesień do wspólnoty. Przekaz Magyara był szczery i prosty – mówił ludziom Fideszu, że jest takim samym Węgrem jak oni, ale ich wersja węgierskości zdegenerowała kraj, wprowadziła zgniliznę moralną i korupcję. Dlatego TISZA powstała, żeby z powrotem odbić Węgry z rąk antyliberalnej prawicy.

Jeśli Magyar będzie szanował prawa jednostki, jeśli nie zbuduje wokół siebie własnej wersji starego reżimu – wówczas otwarcie wesprę taki dyskurs.

Jeśli liberalizm odda prawicy język dumy narodowej, równie dobrze może zwinąć cały swój projekt polityczny.

A relacja z władzą? Jan-Werner Müller, inny wybitny znawca liberalizmu, często powtarza, że to ideologia reprezentowania tych na dole przed tymi na górze, ochrony słabszych przed elitami sprawującymi władzę. Bez tego liberalizm nie istnieje. Tylko że w ostatnich dekadach zapomniał o tym.
– Rozmawiamy niedługo po dniu, w którym Elon Musk, najbogatszy człowiek na świecie, stał się bilionerem. To nie anegdota, a problem władzy w czystej formie. Dożyliśmy czasów, w których powstała całkowicie nowa konfiguracja władzy ekonomicznej i państwo musi ją uregulować.

Liderzy technologiczni, miliarderzy z Doliny Krzemowej kontrolują naszą strefę publiczną, nasz dostęp do informacji, kanały komunikacyjne, satelity, cały obszar cyfrowy. Tu nie ma co silić się na nowe rozwiązania, tu potrzeba regulacji, w przeciwnym razie nastąpi koniec kapitalizmu, bez którego też nie ma liberalizmu.

Relacja między władzą a kapitałem w liberalizmie praktycznym, tym u władzy, jaki znamy z krajów Zachodu ostatnich czterech dekad z okładem, też się zdegenerowała.
– Zacząłbym od stwierdzenia, że niemal wszyscy lubimy kapitalizm, choć rzadko zastanawiamy się, dlaczego. Otóż kapitalizm jest ważny z powodu wolności osobistych, z których korzystanie umożliwia. Ale umożliwia je tylko wtedy, kiedy rynek i siły nim kierujące są regulowane. A kiedy sześciu miliarderów właściwie na wyłączność ma lub kontroluje nasze media, naszą infrastrukturę cyfrową, nasz dostęp do wiedzy eksperckiej, nowych technologii – nie można mówić o żadnych wolnościach indywidualnych.

Nie ma innej wolności niż wolność indywidualna, bo wolność nie jest wartością zbiorową. Twoja, moja, cudza wolność nie będzie nigdy taka sama. Indywidualizm jest prawdopodobnie najmniej popularną cechą liberalizmu, ale to właśnie on zapewnia jego przetrwanie

Poluzowanie wielkiemu kapitałowi to zdecydowanie największy błąd liberalizmu w XXI wieku – a wziął się z braku odwagi politycznej, którą na przykład miał Roosevelt. Tym, co odróżnia liberałów od socjalistów, to chęć regulacji, a nie konfiskaty majątków. My nie chcemy niczego nikomu zabierać, tylko stworzyć ramy, dzięki którym nie staniemy się wszyscy niewolnikami w świecie zbudowanym z klocków należących do kilku ludzi takich jak Musk.

Tylko czy nie jest już za późno? Podstawą suwerenności państwa jest zdolność do wprowadzania zmian w każdym elemencie swojego funkcjonowania, a dzisiejsze państwa ją straciły. Suwerenność wycieka do sektora prywatnego, ogon już macha psem.
– Niestety. Ten problem mówi wiele o liberalizmie, bo pokazuje, że choć jego zasady są stałe, to siły, przeciwko którym walczy, przyjmują różną naturę. Kiedy ja stawałem się liberałem w późnych latach 60., wyzwaniem było poszerzenie wolności indywidualnych – kobiet, mniejszości rasowych, uciśnionych ludzi z Europy Wschodniej.

Naszym przekazem była walka o wolność jednostki i był to przekaz o wielkiej sile. A teraz, w 2026 roku, walczymy z kompletnie nowym rodzajem władzy tyranicznej, nowymi formami opresji. Ale nie, nie uważam, że jest za późno. Państwo nie straciło wszystkich swoich zdolności.

Musi pan trochę bardziej postarać, bo ja dalej nie czuję się przekonany.
– Niech pan nie zapomina, że państwo wciąż może zamykać ludzi w więzieniach. Może konfiskować majątki, zasoby, zmieniać poziom życia ludzi w sposób radykalny. Ma wciąż te wszystkie uprawienia i być może będzie musiało ich użyć.

Ale to się stanie, dopiero gdy zrozumiemy, z jakim wyzwaniem się teraz mierzymy. Sztuczna inteligencja jest zagrożeniem dla przyszłości naszych gospodarek, naszej polityki, naszych miejsc pracy – i musimy błyskawicznie uregulować jej wpływ na świat. Pocieszam się, że liberalizm zawsze potrafił znaleźć równowagę pomiędzy zapewnianiem wolności do tworzenia innowacji i nowych rzeczy a budowaniem ram, dzięki którym ta wolność nas wszystkich nie zniszczy.

Reakcyjna prawica będzie ponosić kolejne porażki, gdyż rezultaty ich rewolucyjnej kontrrewolucji okazały się fatalne w całej rozciągłości. Donald Trump nie zrobił niczego, co pomogłoby zwykłym ludziom, podniosłoby ich poziom życia

Ale skala dzisiejszego wyzwania jest nieporównywalna z niczym, co znamy z historii. Musk i jemu podobni mają pieniądze, kanały komunikacji, zarządzają uwagą i kontrolują infrastrukturę, która obsługuje te rzeczy.
– Z tą skalą też bym nie przesadzał. Problem leży gdzie indziej. Jeśli pan wróci do Adama Smitha, to zobaczy pan natychmiast, że on bez pudła zidentyfikował zagrożenie dla kapitalizmu – jest nim monopol. Tu nie ma wielkiej filozofii, monopole są zagrożeniem dla sprawnego działania rynków.

Czyli potwierdza pan, że mamy problem – bo Dolina Krzemowa chce pełnego monopolu. Peter Thiel mówi wprost, że celem każdego startupu powinno być dojście do pozycji monopolisty, a konkurencja rynkowa jest dla frajerów.
– No to czas ich uregulować i tyle. Liberalizm zajmuje się tym problemem od 200 lat i zawsze dochodzi do tych samych wniosków. Kapitał trzeba regulować, żeby istniała konkurencja.

Dzisiaj firmy prywatne są potężniejsze, mają większe zasoby niż w XX wieku, więc potrzeba będzie większej odwagi politycznej, ale to nie jest niemożliwe.

Dużo pan mówi o konieczności ochrony praw jednostki, a ja się zastanawiam, czy właśnie tutaj liberalizm się nie pogubił. Zwłaszcza jeśli chodzi o wolności negatywne. W USA popularność zyskuje tak zwany Ruch Dostatku, który chce zwiększyć zdolność państwa do budowania, przeprowadzania inwestycji, zmiany świata wokół nas. Francis Fukuyama i znany komentator Ezra Klein, którzy go popularyzują, twierdzą, że we współczesnych państwach zachodnich jest byt dużo podmiotów z prawem weta. Rozwinięte społeczeństwa budują kolejne warstwy sprzeciwu, aż system przestaje się w ogóle ruszać z miejsca, bo zmiany są blokowane już na poziomie idei.
– Ten problem wewnętrznej sprawczości państwa odciska się na stosunkach międzynarodowych. Weźmy Kanady, czyli kraju, który boryka się z tym, o czym mówią Klein i Fukuyama. W Kanadzie prawo weta mają podmioty na każdym szczeblu administracji: lokalnym, miejskim, regionalnym, centralnym. W rezultacie bardzo trudno jest choćby cokolwiek zbudować. Jednocześnie przechodzimy najpoważniejszy kryzys w naszych relacjach ze Stanami Zjednoczonymi, więc chcemy się uniezależnić – ale nie możemy, bo tworzenie własnych rozwiązań jest niemożliwe przez nasze krajowe weta.

Celem państwa liberalnego miało być zwiększanie sprawczości jednostki, ale zwiększanie jej poprzez poszerzanie i absolutyzowanie prawa weta sprawiło, że sprawczość jest ograniczana tak bardzo, że nikt nie może nic zrobić.

Rozwiązaniem tego problemu jest demokracja.

Ale demokracja to też prawo weta. Więc co pan ma na myśli?
– To, że politycy mogą otrzymać od wyborców mandat do zredukowania liczby podmiotów z prawem weta i systemowych ograniczeń. To jest właśnie główne założenie projektu politycznego premiera Marka Carneya – przekonanie ludzi, że wetować trzeba mniej, żeby wspólnie móc zrobić więcej.

Tylko że to jest stąpanie po kruchym lodzie. Bo nie wiadomo, jak bardzo może pan ograniczyć prawa jednostki, w tym prawo weta, żeby nie skończyć pod rządami tyranii, z którą liberalizm ma walczyć.
– Witam w świecie liberalnej polityki. Prawdziwy liberał rozumie, że polityka to kompromisy. Coś się odda, coś się zyska, ale zawsze trzeba coś wybrać, podjąć jakąś decyzję.

Właściwie wszystko, o czym rozmawiamy, rozbija się o instytucje. Silne, niezależne, odważne politycznie. Sam jestem fanem liberalnych instytucji demokratycznych, ale obawiam się, że zostały zaprojektowane dla świata, który już nie istnieje. Liberalna demokracja była ustrojem funkcjonującym dzięki powszechnemu wzrostowi gospodarczemu, brakowi wojen, stabilnej sytuacji demograficznej przy zastępowalności pokoleń oraz postępowi technologicznemu relatywnie powolnemu w porównaniu z dzisiejszą galopadą.
– Jakich instytucji my w ogóle potrzebujemy, żebyśmy funkcjonowali w demokracji? Reprezentatywnych, pochodzących z wyborów organów, wolnych mediów i niezależnych sądów. One nadal istnieją, ale nie mają zdolności operacyjnych, żeby radzić sobie z wyzwaniami XXI wieku. Są analogowe w świecie cyfrowym. Dlatego trzeba dać im więcej możliwości – ale to nie znaczy, że trzeba wszystko stawiać od zera.

Co oczywiście nie znaczy, że instytucji nie trzeba zmienić. Nie można oczekiwać od obywateli poszanowania dla praworządności i państwa prawa, jeśli ci obywatele muszą czekać cztery lata na sprawiedliwość w sądzie, bo wymiar sprawiedliwości działa tak wolno. Nikt nie będzie bronił sądownictwa, jeśli musi wziąć pożyczkę, żeby był reprezentowany w sądzie, bo takie są koszty dostępu do usług prawniczych.

Nie będzie reprezentatywnej demokracji bez parlamentu, który może wejść w spór i ograniczyć władzę wykonawczą. Jeśli w danym kraju parlament zostanie zamieniony w instytucję, która po prostu potwierdza decyzje egzekutywy, to o demokracji nie może być mowy.

Brzmi, jakbyśmy rozmawiali o Ameryce.
– Przyszłość amerykańskiej demokracji jest zagrożona, niemniej jestem optymistycznie nastawiony.

Siły kontrrewolucyjne, które reprezentuje dzisiejsza reakcyjna prawica, będą ponosić kolejne porażki, aż wreszcie całkowicie ustąpią, gdyż rezultaty ich rewolucyjnej kontrrewolucji okazały się fatalne w całej rozciągłości. Donald Trump nie zrobił niczego, co pomogłoby zwykłym ludziom, podniosłoby ich poziom życia. Dlatego uważam, że jeśli niezależne instytucje będą po prostu wykonywać swoje zadania, koniec końców wyrzucą tych zbirów. Amerykańska demokracja przetrwa.

Wie pan, liberalizm był w dialogu z rewolucją od samego początku istnienia. Liberałowie poprawnie zidentyfikowali swoją rolę w rewolucyjnych czasach już podczas rewolucji francuskiej: zrozumieli, że nie mogą stać się siłą kontrrewolucyjną. To nie jest ich zadanie, żeby walczyć z rewolucją tymi samymi metodami.

Ci wszyscy liberałowie schyłku XVIII i XIX wieku doskonale zdawali sobie sprawę z nieodwracalności rezultatów rewolucji. Po rewolucji nie ma powrotu do tego, co było. Nawet taki arystokrata jak Tocqueville to wiedział.

Zadaniem naszej generacji liberałów jest zrozumienie – i tak, wiem, to bardzo trudne – że nie ma powrotu do świata sprzed ery Trumpa. Nie można wrócić do czegoś, co już nie istnieje, bo zniknęło. Musimy nauczyć się funkcjonować w nowym świecie. A przede wszystkim – po prostu nie bać się w nim żyć. ●

Za pomoc w przeprowadzeniu wywiadu dziękuję Europejskiej Radzie Spraw Zagranicznych (ECFR)

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

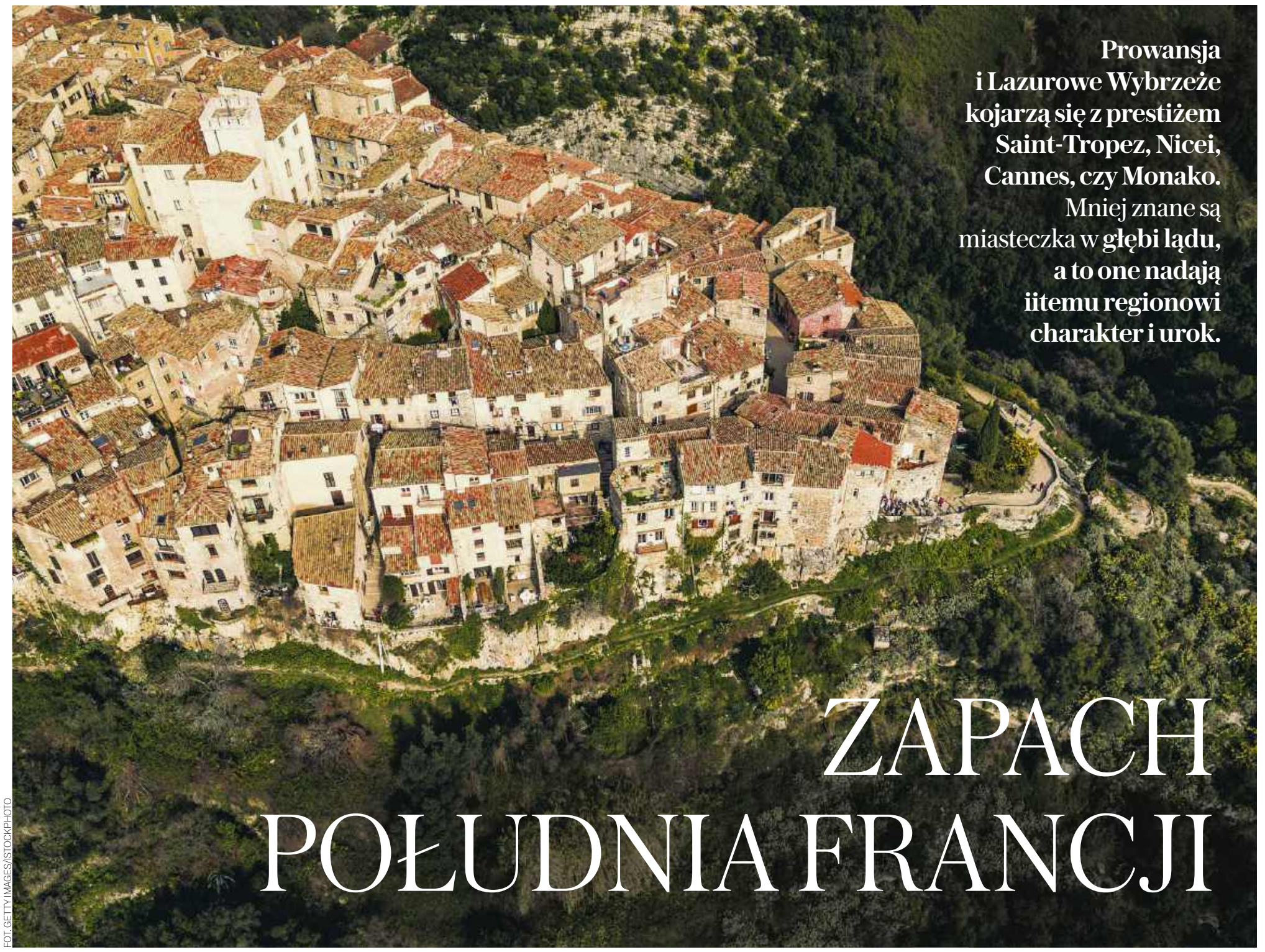

Prowansja i Lazurowe Wybrzeże kojarzą się z prestiżem Saint-Tropez, Nicei, Cannes, czy Monako. Mniej znane są miasteczka w **głębi lądu, a to one nadają iitemu regionowi charakter i urok.**

FOT. GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

ZAPACH POŁUDNIA FRANCJI

Piotr Moszyński

Kiedy już, strudzony wędrowcze, nasycisz oczy śródziemnomorskim wybrzeżem, obejrzysz nicejską starówkę i Promenadę Anglików, wyobrazisz sobie, że jesteś gwiazdą kina stojąc przed pałacem festiwalowym w Cannes, dowiesz się, że do kasyna w Monte Carlo nie wejdziesz w szortach lub postoisz godzinę w korku, próbując wjechać do Saint-Tropez – wtedy usiądź wygodnie i przymknij oczy.

I pomyśl, jak przyjemnie by było przenieść się gdzieś, gdzie czas się zatrzymał, gdzie zieleń jak okiem sięgnąć, gdzie panuje kameralna atmosfera, gdzie przy okazji można zobaczyć dużo ładnych miejsc i zjeść w knajpce lokalne, robione na miejscu potrawy.

Marzenie? Nie, masz to na wyciągnięcie ręki.

Eze na wysokiej skale

Do Eze (czytaj: Ez) można i z Nicei i z Monako dojechać pociągiem, ale najwygodniej autem albo autobusem. Dlaczego? Bo choć leży blisko morza i ma nawet własną plażę, to samo miasteczko jest położone dalej, a przede wszystkim wyżej – dokładnie 429 m n.p.m.

Ze stacji kolejowej można się do tam wspiąć, ale to spory wysiłek. Na wejście trzeba przeznaczyć godzinę do półtorej, na zejście – trzy kwadranse do godziny. Można też podjechać autobusem na przystanek Eze-Village. Trzeba uważać, żeby wysiąść właśnie na tym przystanku kiedy się jedzie z Nicei albo Monako, bo inaczej znajdziemy się na dole, przed dworcem albo na plaży. Automobiliści mogą korzystać z wygodnego podziemnego parkingu nieopodal wjazdu do miasteczka.

Eze powstało na wysokiej skale, która zapewniała średniowiecznym budowniczym trudny dostęp do tutejszej fortecy i znakomity punkt obserwacyjny na okolicę. Dzięki temu współcześni turyści mogą się zachwycać się wyjątkową panoramą Lazurowego Wybrzeża, zarówno od strony morza, jak od strony lądu. Przy dobrej pogodzie można stamtąd dostrzec nawet Korsykę.

Wędrówka po Eze też jest wymagająca ze względu na różnice poziomów, częste podejścia i schody. Ale naprawdę warto. I nie warto się spieszyć. Można zwiedzić całość w dwie godziny, ale to absolutne minimum. Lepiej zarezerwować sobie pół dnia, albo i cały.

Otuleni prowansalską słodyczą i sztuką

Wtedy można spokojnie zagłębić się w plątaninę urokliwych średniowiecznych – doskonale zachowanych i utrzymanych – uliczek. Trudno opisać atmosferę starych prowansalskich miasteczek. Trzeba ją poczuć.

Nie chodzi tylko uczucie przenoszenia się w czasie ze względu na stare, grube mury, wąskie brukowane uliczki czy niewykorzystywane od dawna urządzenia jak np. kamienne pralnie. Tamtejsze słońce wydobywa z murów, ziemi i roślin specyficzny konglomerat barw i zapachów, a także powoduje, że całość tchnie ciepłem. Chodzą tam ma się poczucie, jakby otulała nas miękka, słodkawa i ciepła materia. Chyba najlepiej opisać ją mówiąc, że pachnie po prostu południem Francji.

Tę ciepłą i kolorową, nieco odrealnioną atmosferę wzmacniają w niektórych miasteczkach liczne galerie sztuki i warsztaty artystów, którzy w nich wystawiają. Tak jest i w Eze. Nic dziwnego, bo wszystko dookoła – nastrój, kolory, pejzaże, architektura – może łatwo stać się artystyczną inspiracją. Pobudza wyobraźnię. Dostarcza przechodniom wyjątkowych doznań estetycznych, bo sztuka we wszelkich odmianach jest tam obecna na każdym kroku.

W Eze obowiązkowo

W Eze nie trzeba chodzić z planem w ręce. Wprawdzie uliczki bywają dość kręte i rozchodzą się w różnych kierunkach, ale miasteczko jest niewielkie i – mówiąc trywialnie – zawsze się gdzieś dojdzie i jakoś się odnajdzie drogę powrotną.

Do punktów orientacyjnych można zaliczyć wieżę kościoła Notre-Dame-de-l'Assomption z XVIII w. Sam w sobie jest on wart uwagi zwłaszcza dla miłośników kontrastów. Prosta neoklasycystyczna fasada nie zapowiada rozmaitości wrażeń. Tymczasem po wejściu okazuje się, że wnętrze pyszni się wystrojem typowo barokowym. Lekki szok!

O wiele starszym miejscem kultu jest kaplica Świętego Krzyża (Chapelle de la Sainte-Croix), zwana też kaplicą Białych Pokutników. Powstała w 1306 r., a jej nazwa nawiązuje do mieszkańców Eze, którzy podczas epidemii dżumy przywdziewali białe kaptury i nieśli pomoc chorym, traktując to jako akt poku-

• **Widok na miasteczko Tourrettes-sur-Loup w regionie Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże. Zachowało średniowieczny układ urbanistyczny i jest usytuowane na skalnym cyplu nad doliną rzeki Loup**

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl ae811472f6

• Eze. Widok na Lazurowe Wybrzeże z najwyższej części i wielkiej atrakcji tego miasteczka – Ogródu Egzotycznego

FOT. GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

Perełki na Lazurowym Wybrzeżu

INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

ty. Trzeba tylko uważać, żeby jej nie przeoczyć. Wprawdzie nad drzwiami jest napis, a po ich prawej stronie wisi tablica z informacjami historycznymi, ale wejście jest zamknięte ozdobną kratą, przez którą można zaglądnąć do wnętrza – jednak tylko wtedy, gdy nie są zamknięte drugie, tym razem drewniane drzwi.

Eze to nie tylko gwiazdki Michelina

Ci, którzy przyjadą wcześnie rano, by w sezonie nie zderzać się z innymi turystami, mogą już koło południa poczuć się głodni. I będzie to prawidłowa reakcja przystosowawcza układu pokarmowego do wymagań otoczenia społecznego. Francuzi jedzą obiad między 12:00 a 14:00 i restauracje – zwłaszcza małe – wydają posiłki tylko w tych godzinach. Potem kuchnia się zamyka i otwiera dopiero koło 19:00 na kolację.

Jeśli lokal pozostaje otwarty po południu, to przede wszystkim dla tych, którzy chcą wpaść na kawę, herbatę, piwo, wino, napoje chłodzące lub podstawowe desery. W miejscowościach o dużym i międzynarodowym ruchu turystycznym coraz częściej zdarzają się restauracje anonsujące „service continu", czyli „obsługę ciągłą", ale w małych miejscowościach na uboczu można się srodze rozczarować, celując na obiad o 15:00 czy 16:00.

Mówiąc o Eze, znawcy gastronomii najczęściej wymieniają wyróżnione gwiazdkami Michelina dwie restauracje hotelowe: „La Chèvre d'Or" i „Château Eza". Są rzeczywiście znakomite, luksusowe, rewelacyjnie położone i umożliwiają podziwianie pięknych widoków, ale są też oczywiście drogie.

Warto więc zauważyć, że miasteczko – choć nieduże – ma ponad 30 rozmaitych knajpek i restauracji, w których można całkiem nieźle zjeść za niższe kwoty, a niektóre też mają tarasy i ciekawe widoki na okolicę.

Ogród w mandarynkowej stolicy

O ile położone bliżej granicy włoskiej – i też piękne – Menton słynie z cytryn i karnawałowego Święta Cytryny, o tyle rejon Eze jest znany z mandarynek i z wytwarzanego na ich bazie likieru „Mandarinette". Dlatego na zakończenie wizyty w tym urokliwym miejscu trzeba zajrzeć do sklepu „Au Pays de la Mandarine" („W Krainie Mandarynki"), gdzie można zobaczyć, jaką rozmaitość produktów wytwarzają specjaliści na bazie albo z domieszką tych owoców: od wspomnianego likieru i (oczywiście!) konfitur, przez oliwę i pesto, aż po musztardy.

W najwyższej części Eze leży jego wielka atrakcja – Ogród Egzotyczny. Wstęp do tej części miasteczka jest płatny. Bilety, ważne przez rok, można kupować przez internet, co pozwala uniknąć kolejek do kasy. Dorosły płaci obecnie 10 euro, a młodzież od 12 do 17 lat – 6. Poniżej 12 roku życia wstęp jest bezpłatny.

Ogród Egzotyczny powstał na miejscu średniowiecznej fortecy i znajdują się tu resztki zamku z XII wieku, zburzonego w 1706 r. na rozkaz króla Ludwika XIV. Widoki z ogrodu na morze i wybrzeże są wspaniałe, a spacer po jego krętych ścieżkach niezwykle relaksujący. Niezależnie od wrażeń krajobrazowych, lawiruje się między bardzo ciekawymi typami roślinności. W części południowej to rośliny charakterystyczne dla stref suchych i pustynnych, a w północnej – roślinność śródziemnomorska i przystosowana do obszarów wilgotnych.

„Trójkąt bermudzki artystów"

W poszukiwaniu południowo-francuskiego piękna i uroku, pora przenieść się bardziej w głąb lądu, w rejon, który można by nazwać „Trójkątem bermudzkim artystów". Ta okolica tak bardzo ich przyciąga, przywiązuje do siebie i wchłania, że niektórzy żyją tam, pracują tam i tam też umierają.

Trójkąt ten tworzą miasteczka Tourrettes-sur-Loup, Saint-Paul de Vence, i Vence.

1.Tourrettes-sur-Loup jak galeria obrazów

To urokliwe miasteczko („Loup" w nazwie nie nawiązanie do wilka, tylko do rzeki o tej nazwie), określane przez znawców i miejscowych jako „muzeum pod gołym niebem". Wzięło się to stąd, że lokalni artyści, owszem, urządzają też standardowe wystawy i warsztaty, ale przede wszystkim wtapiają swoje dzieła bezpośrednio w tkankę miejską. Dlatego tamtejsze uliczki wyglądają trochę jak galerie sztuki. Na murach i ścianach domów rozmieszczone są obrazy, co nadaje miasteczku osobliwą atmosferę. Są one co pewien czas zmieniane i co roku szczególnie eksponowany jest inny artysta.

W sezonie można ich spotkać przy pracy na placykach i w uliczkach. Dotyczy to szczególnie pejzażystów, malujących w różnych ujęciach to samo Tourrettes. Nic zatem dziwnego, że wśród rozmieszczonych na murach obrazów nie brakuje pejzaży miejskich. A jest tu co malować, bo miasteczko jest samo w sobie urokliwe. Nawet jeśli trafimy na rzadkie uliczki bez wystroju artystycznego trudno temu urokowi nie ulec.

W tegorocznej kolekcji „muzeum pod gołym niebem" mocno zaznaczyły swoją obecność zwierzęta. Jak się wydaje, szczególnie inspirujące okazały się koty. Na jednym z obrazów kot wpatruje się w miejski pejzaż. Ledwie go widać, pełni tu rolę dyskretnego obserwatora, ale na innych obrazach widzimy m.in. jaskrawego kota we wszystkich kolorach tęczy, albo parę strojnych kotów ilustrujących „Święto prowansalskie". Jest też zupełnie nie prowansalski, ale wyraźnie zadowolony z życia miś panda. Na innym obrazie w postać malarza wciela się sympatyczny ptaszek – może to fantazyjny autoportret artysty?

FOT. GETTY IMAGES

• Rejon miasteczka Eze jest znany z uprawy mandarynek i z wytwarzanego na ich bazie likieru „Mandarinette"

Nie wyczerpuje to tematyki wszystkich obrazów zdobiących mury Tourrettes, ale daje pojęcie o ich rozmaitości i o specyficznej atmosferze, jaką tworzą na ulicach.

Tourrettes dzieli od Nicei ok. 60 km. Jego tereny mają za sobą bogatą historię. Ślady obecności ludzkiej sięgają czasów bardzo odległych. Znaleziono tam m.in. szczątki neandertalczyka sprzed ok. 70 tys. lat. Natomiast początki obecnego miasteczka są jednak dużo bliższe czasowo. Po trwających od V wieku n.e. kolejnych najazdach Wizygotów, Hunów, Franków i Lombardów, pod koniec X wieku Saraceni uznali to miejsce za interesujące strategicznie i postanowili wznieść tam fortecę. Z 1024 roku pochodzi wzmianka o miejscowości Castrum de Torretis, złożonej z zamku i okalających go domów, sięgających brzegów urwisk i wąwozów, gdzie pełniły też funkcję umocnień zewnętrznych.

Współczesne Tourrettes ma charakter zdecydowanie artystyczno-rzemieślniczo-turystyczny. Do lat 50. XX wieku ważną rolę odgrywały uprawy drzew pomarańczowych, jaśminu i róż. W kwiaty zaopatrywało się tam pobliskie Grasse, słynące z produkcji perfum. Do dziś ostały się tylko emblematyczne dla Tourrettes fiołki: W każdą drugą lub trzecią niedzielę marca jest tam organizowane Święto Fiołków, połączone z paradą odpowiednio ukwieconych pojazdów. Ale także poza tymi terminami można tam zjeść np. fiołkowe lody.

„Ciepła koza na łóżku z sałaty"

A skoro o jedzeniu mowa, nigdzie we Francji nie należy go sobie odmawiać. Oczywiście, można źle trafić, zwłaszcza w dużych restauracjach w masowo odwiedzanych miejscach, gdzie dominuje nastawienie na maksymalne wykorzystanie przyjezdnych. Takie „fabryki posiłków", proponujące najbardziej podstawowe dania z kuchni amerykańskiej, włoskiej, hiszpańskiej, greckiej, a czasami francuskiej, lepiej omijać szerokim łukiem. W wielu niepozornie wyglądających knajpkach można całkiem przyzwoicie zjeść i nie stracić majątku. Jak się zdaje, niezłym sposobem jest przy-

eprasa.pl ae811472f6

glądanie się, gdzie siedzi dużo „lokalsów". Tam przeważnie dają jeść dobrze, zdrowo i świeżo. Po prostu, swoich stałych klientów nie nabierają – zresztą wiadomo, że ci „swoi" wiedzą, gdzie dobrze. Dlatego warto iść ich śladem.

Francuzi lubią nadawać swoim potrawom fantazyjne, czasami zaskakujące nazwy. Z osobistego doświadczenia pamiętam, jak niedługo po przyjeździe do Francji zobaczyłem w restauracyjnym menu danie o nazwie „ciepła koza na swoim łóżku z sałaty". Ha! Jak tu się oprzeć? Zamówiłem i nie żałowałem. Był to kozi ser na grzankach i zielonej sałacie, w towarzystwie kawałków chudego boczku, pomidorków koktajlowych i innych warzyw. Pychota!

W razie wątpliwości, trzeba szukać pod nazwą dania wymienionych drobnym druczkiem składników, albo pytać wprost kelnera. Zazwyczaj chętnie podają wszystkie informacje, bo to też forma zachęcania klienta do konsumpcji, no i do dania dobrego napiwku (zwyczajowo ok. 10 proc, chyba że na rachunku jest zaznaczone „service compris", czyli „obsługa wliczona").

Podobnie jak w Eze, w Tourrettes nie brakuje restauracji. Wystarczy stanąć na placu przed merostwem, by stwierdzić, że jest on zastawiony stolikami. Za zupełnie przyzwoity i smaczny obiad złożony z przystawki, dania głównego, dzbanka 0,25 l wina i kawy można zapłacić ok. 40 euro od osoby, a jeśli ktoś nie nawykł do przystawek (na zupę we Francji bym nie liczył – chyba że cebulową), to jeszcze mniej.

Plac przed merostwem jest właściwie wielkim tarasem z panoramicznym widokiem na okolicę. Jest stamtąd także widok na pobliski zamek. To własność prywatna. Tylko jego część jest wynajmowana turystom w formule hotelowej. Jeśli jednak ktoś chciałby zatrzymać się w Tourrettes na dłużej, znajdzie oczywiście hotele i pokoje do wynajęcia także w miasteczku.

Zamieszkać z artystami

Tourrettes liczy ok. 5 tys. mieszkańców. W ogromnej większości są oni właścicielami lub lokatorami prywatnych mieszkań. To miejscowość, zajmująca trzecie od końca miejsce we Francji pod względem dostępności lokali HLM (Mieszkań o Umiarkowanym Czynszu), które w odniesieniu do warunków polskich można by nazwać kombinacją koncepcji spółdzielczej z kwaterunkową. Według regionalnego dziennika „La Dépêche du Midi", lokale takie stanowią w Tourrettes zaledwie 1,74 proc. parku mieszkaniowego.

Aby dostać przydział mieszkania HLM, trzeba mieć odpowiednio niskie dochody. Można podejrzewać, że nawet gdyby w Tourrettes istniała obfita oferta takich mieszkań, to prawdopodobnie stosunkowo niewielu mieszkańców kwalifikowałoby się do ich zajęcia. Od kilku dziesięcioleci miasteczko żyje głównie przede wszystkim z turystów, w tym i tych najzamożniejszych. To głównie z myślą o nich tylko w średniowiecznej części ok. 40 artystów i rzemieślników zaprasza do swoich warsztatów, sklepów i galerii. Oferta jest szeroka: od tkactwa i garncarstwa, przez obrazy i rzeźby po biżuterię. Sporym powodzeniem cieszą się też miejscowe kozie sery, miody czy wina.

Miłośnicy kultury mogą czerpać z wizyty w Tourrettes-sur-Loup dodatkową przyjemność, bo kroczą śladami wielu znanych postaci, które co najmniej na pewien czas wiązały swoje losy z tym miasteczkiem, ulegając jego urodzie i atmosferze. Większość z nich jest znana głównie Francuzom, jak np. gwiazda telewizji Jacques Martin czy popularny stand-uper Guy Bedos. Ale przebywali tam także artyści o sławie międzynarodowej, jak kompozytor Francis Poulenc, czy sławny poeta i scenarzysta Jacques Prévert.

Ten ostatni mieszkał w Tourrettes wraz z gronem przyjaciół podczas II wojny światowej. Nie każdy wie, że to właśnie w tym miasteczku Prévert i Joseph Kosma napisali jedną z najpiękniejszych piosenek Jacquesa Brela, „Les feuilles mortes" („Zwiędłe liście").

FOT. GETTY IMAGES

• **Saint-Paul-de-Vence. Szyld legendarnej oberży „La Colombe d'Or" („Złota Gołębica"), którą od 1932 r. prowadzi rodzina Roux. Ulubionego miejsca malarzy i aktorów**

FOT. PIOTR MOSZYŃSKI

• **W Tourrettes-sur-Loup na murach, ścianach i oknach domów rozmieszczone są przeróżne obrazy, co nadaje miasteczku atmosferę galerii pod gołym niebem**

FOT. GETTY IMAGES

• **Średniowieczne Saint-Paul-de-Vence. Tradycyjny, stary kamienny dom porośnięty jaśminem, w którym w latach 40. XX wieku mieszkał sławny francuski poeta i scenarzysta Jacques Prévert (1900-77)**

Posłuchajcie podcastu „Poznajmy naszą Europę"

• **Czy we Francji naprawdę wszystko załatwia się przy jedzeniu?** W podróż do największego unijnego kraju, Republiki Francuskiej zabierze nas gość Alicji Dąbrowskiej, autor dzisiejszego tekstu – **Piotr Moszyński,** dziennikarz i korespondent licznych polskich mediów, od dekad mieszkający we Francji.

2. Saint-Paul de Vence to plan filmowy

Idąc dalej śladami Préverta, łatwo trafić do pobliskiego, równie atrakcyjnego i też niewielkiego (ok. 3 tys. mieszkańców) Saint-Paul de Vence. Tu powietrze jest dosłownie nasycone nazwiskami wielkich artystów i wspomnieniami o związkach miasteczka z kinematografią. Jest tam dom samego Préverta, ale miejscem szczególnie naładowanym historią artystyczną jest legendarna już oberża „La Colombe d'Or" („Złota Gołębica"), założona w 1932 r. przez rodzinę Roux i do dziś będąca w jej posiadaniu.

Urzeczeni atmosferą tworzoną przez gospodarzy i podawanymi przez nich prowansalskimi potrawami, bywali tam tacy giganci malarstwa – a zarazem okoliczni mieszkańcy – jak Pablo Picasso, Henri Matisse, Fernand Léger (w nieodległym Biot jest wspaniałe muzeum poświęcone jego twórczości) i Marc Chagall, którego grób znajduje się na miejscowym cmentarzu.

Prévert mieszkał w Saint-Paul de Vence przez ok. 15 lat i przyciągnął tam wielu ludzi ze świata filmu. Niektórzy przyjeżdżali przy okazji pracy w studiach Victorine w Nicei, ale sporo filmów i scen filmowych nakręcono także w samym Saint-Paul. Dlatego spacerując tam można śmiało sobie wyobrażać, że jest się na planie filmowym – i nie będzie w tym przesady. Bo nakręcono tam m.in. fragmenty „Kochanków z Werony" (1949, reż. André Cayatte), „Julesa i Jima" (1962, reż. François Truffaut), a z nowszych – „Rough Cut" (2015, reż. Owen Cary Jones) czy „Alibi.com" (2017, reż. Philippe Lacheau).

Karuzela z gwiazd w „Złotej Gołębicy"

Nieomal symbolem Saint-Paul de Vence stała się słynna para aktorska Simone Signoret i Yves Montand. Poznali się w „Złotej Gołębicy" w 1949 r., a dwa lata później wzięli ślub w miejscowym merostwie. Przez pewien czas mieszkali w domu naprzeciwko tego urzędu. Dużo później, w 1993 r., ślub wziął tam również basista zespołu The Rolling Stones, Bill Wyman.

Swojej popularności jako planu filmowego nie zawdzięcza Saint-Paul tylko lobbingowi Préverta czy Montanda, ale sobie samemu. Jest tam tyle pięknych zakątków, że aż same się dopraszają o obecność kamer. Zresztą, środowisko filmowe ceni sobie to miejsce do dziś. Widać to szczególnie w okresie festiwalu w Cannes, kiedy biorący w nim udział aktorzy, reżyserzy i producenci uciekają od festiwalowego zgiełku i spotykają się w spokojniejszych miejscach, jak np. Saint-Paul de Vence.

Można dostać zawrotu głowy, kiedy zaczyna się wymieniać nazwiska gwiazd kina i estrady, które przy takich okazjach spotykały się w „La Colombe d'Or": Charlie Chaplin, Orson Welles, Curd Jurgens, Romy Schneider, Vittorio de Sica, Sophia Loren, Juliette Gréco, Michael Caine, Liza Minelli, Robert de Niro, Sting, Julia Roberts, Brad Pitt; Beyoncé i Jay-Z, a nawet...Winston Churchill, który jednak wolał występować tam raczej w roli malarza. Aż trudno tam spokojnie przełknąć jedzenie, kiedy się o tym pomyśli.

Jednakże kino kinem i estrada estradą, a inne dziedziny sztuki są w tym miasteczku też silnie reprezentowane. Wystarczy wspomnieć o znajdującej się na obrzeżach Saint-Paul Fundacji Maeght i jej fantastycznej kolekcji i wystawach czasowych sztuki współczesnej.

3. Vence i polski akcent

Będąc tu, trzeba zajrzeć także do sąsiedniego, znacznie większego (ok. 20 tys. mieszkańców) Vence – choćby ze względu na ważny akcent polski. Mieszkał tam w latach 1964-69 Witold Gombrowicz. Został pochowany na tamtejszym cmentarzu, a w jego domu mieści się obecnie jego ciekawie pomyślane i doskonale prowadzone muzeum.

Jako ciekawostkę dodajmy, że w Vence kilkakrotnie zaobserwowano... niezidentyfikowane obiekty latające. Np. w 1994 r. były to świetliste punkty w kształcie trójkąta, a w 2016 r. świecące latające statki. No, ale to już zupełnie inna historia, bez żadnego związku z niepowtarzalną atmosferą, kulturą czy gastronomią Prowansji i Lazurowego Wybrzeża. ●

FOT. GETTY IMAGES

• **Od końca XIX w. Tourrettes-sur-Loup jest znane z upraw fiołków. Bywa też nazywane „Miastem Fiołków", a nawet ich francuską stolicą. Na początku marca jest organizowane Święto Fiołka z wystawami, koncertami i tradycyjną „kwiatową bitwą"**

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Piotr Moszyński

• Z wykształcenia psycholog. W latach 1981-82 był dziennikarzem tygodnika „Polityka". Od 1983 r. mieszka we Francji, gdzie przez 35 lat pracował w Radio France Internationale. Od 1991 r. równolegle współpracował jako korespondent we Francji m.in. z Radiem Zet, tygodnikiem „Wprost" i „Gazetą Wyborczą".

eprasa.pl ae811472f6

KULTURA OBYCZAJE

Kiedy mam wolne, wszystko mnie boli

Z AKTOREM **ANDRZEJEM GRABOWSKIM** ROZMAWIA **PIOTR GUSZKOWSKI**
ZDJĘCIE **MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Jak słyszę takie pobłażliwe słowa, powstrzymuję się, żeby nie odpowiedzieć: **„A weź spieprzaj, ja nie chcę być żadną ikoną”.**

Dlaczego boi się pan nie pracować?
– Nie rozumiem ludzi, którzy potrafią leżeć na plaży przez dwa tygodnie i nic nie robić. Dla mnie to strata czasu. Kiedy mam wolne, zaczynam się męczyć. Nagle wszystko mnie boli. Zastanawiam się, czy to już coś poważnego. Czy przypadkiem nie jestem chory. A im starszy jestem, tym łatwiej o takie diagnozy.

Jak pracuję, nie mam czasu o tym myśleć.

Teraz kręcę film – stąd mój wygląd, ta broda i wszystko – w którym gram główną rolę i mam dwadzieścia kilka dni zdjęciowych. Zastanawiałem się, czy w ogóle dam radę fizycznie. 12 godzin dziennie na planie. A potem się okazało, że właśnie wtedy czuję się najlepiej. Zaraz mam urlop, jadę na dziesięć dni do Hiszpanii i już się zastanawiam, co tam będę robił. Chyba wezmę książkę. Bo inaczej po trzech dniach zacznę szukać sobie jakiejś roboty.

Z drugiej strony powiedział pan kiedyś o sobie, że jest leniwym pracoholikiem.
– No właśnie, paradoks, prawda? Taki jak to stare pytanie: skoro Pan Bóg jest wszechmocny, to czy może stworzyć kamień, którego sam nie zdoła podnieść? Każda odpowiedź jest zła. Ze mną jest podobnie. Nie tylko nie umiem nie pracować, ale też jestem mistrzem odkładania pewnych rzeczy na później. Są elementy tego zawodu, których szczerze nie znoszę.

Na przykład?
– Nie znoszę się uczyć tekstu. Przyjmuję rolę i potem sobie myślę: „Coś ty zrobił, Andrzej? Tyle cię czeka roboty”. Ludziom się wydaje, że aktorzy mają nadzwyczajną pamięć. Nic podobnego. Uczymy się dokładnie tak samo jak wszyscy. Jak dziecko w pierwszej klasie. Czyta, zamyka książkę, próbuje powtórzyć, znowu czyta. I tak w kółko. Na szczęście do filmu nie trzeba od razu nauczyć się wszystkich kwestii. Tylko na dany dzień. Na koniec dnia czyszczę dysk. W teatrze mamy czasem dwa miesiące prób, można się z tekstem osłuchać.

To lenistwo objawia się jeszcze w jakiś sposób?
– Całe życie chciałem nauczyć się grać na gitarze. Kupiłem gitarę. Przez tydzień ćwiczę, potem mnie bolą palce, nic nie wychodzi i rzucam to w cholerę. Za jakiś czas znowu patrzę na tę gitarę i myślę: „Nie wypada, żeby się tak kurzyła – może teraz się uda?”. Tylko że jest rozstrojona. A stroić nie umiem. No i koniec nauki.

Tak samo z językami. Od lat sobie powtarzam, że trzeba się wreszcie nauczyć porządnie angielskiego. Rozumiem sporo, dogadam się, ale mówić swobodnie nie potrafię. I zawsze znajdzie się jakiś powód, żeby odłożyć naukę. Za to starsza córka nadrobiła za mnie. W liceum wyjechała na kilka miesięcy do Stanów Zjednoczonych w ramach wymiany. Chodziła tam normalnie do szkoły, miała wszystkie przedmioty po angielsku.

Obie pana córki zostały aktorkami. Jak pan zareagował, kiedy to zapowiedziały?
– Pomyślałem, że wybierają trudny zawód. W naszej rodzinie łatwo było uwierzyć, że aktorstwo jest łatwe, wręcz naturalne: mama, Anna Tomaszewska, aktorka, wujek Mikołaj, reżyser i dyrektor teatru, ciocia Iwona Bielska, aktorka, przyjaciele rodziców – Jan Frycz, Jan Peszek i wielu innych – aktorzy. Każdemu z nich się w zawodzie powiodło. Ale ja widziałem też tych wszystkich, którym się nie udało. A tych jest zdecydowana większość

Mój ojciec kochał teatr, jeszcze na studiach statystował w Teatrze Słowackiego, żył tym wszystkim. Ale nie uważał aktorstwa za prawdziwy zawód. Dla niego mogło być pasją, hobby, ale nie sposobem na życie.

Córkom powiedziałem: „Nie będę za was podejmował tej decyzji. To wasza odpowiedzialność. Nie będę was namawiał ani zniechęcał, bo nie chcę za dwadzieścia lat usłyszeć: »Tato, przez ciebie nie zostałam aktorką, a mogłam być szczęśliwa«”.

Doczekał się pan wnuków. Dziadkiem jest pan innym niż ojcem?
– Myślę, że nie byłem za dobrym ojcem i nie jestem za dobrym dziadkiem. Nie mam zamiaru opowiadać bajek na ten temat. Mój ojciec też nie był człowiekiem szczególnie ciepłym. Nie traktował nas źle, nic z tych rzeczy. Po prostu taki był, raczej z dystansem. Nie pamiętam, żeby mnie przytulał albo powiedział: „Andrzej, chodź, pójdziemy na rower”. Na wycieczkę rowerową zabrał mnie raz. Pamiętam, bo była jedyna.

Pamiętam też, jak kupił mi książkę na imieniny. W kiosku Ruchu. Miałem może dwanaście lat. Zacząłem czytać i już na pierwszych stronach była scena ostrego seksu. Pomyślałem wtedy: „Oj, tatuś chyba nie sprawdził, co kupił”.

I podobnie patrzy pan dziś na siebie?
– Trochę tak. Zawsze byłem bardziej ojcem niż tatusiem. A poza tym to mnie ciągle nie było. Wyjazdy, spektakle, plany filmowe... Kiedyś powiedziałem, że moje córki częściej widywały mnie w telewizji niż w domu i niestety coś w tym jest. A z dziadkowaniem jest jeszcze trudniej. Nie mieszkamy przecież razem. Każdy ma swoje życie. Staram się nadrabiać. Co roku jeżdżę nad morze w to samo miejsce, dokąd jeżdżą moje córki z wnukami. Wtedy naprawdę jesteśmy razem.

Nawiązałem do tego trochę w serialu „Morfeusz”. Jest tam scena, w której mój bohater pokazuje wnukom tatuaż z babcią. Mówi: „Śliczna dziewczyna. A nogi jakie miała! Tutaj akurat nóg nie widać, ale pokażę wam zdjęcie. Zrobiłem je w Jastarni na plaży, to w 1987 roku było, w lipcu, w drugiej połowie lipca”. Takie małe nawiązanie do „Rejsu”.

Czyli jednak jest w panu trochę dziadka?
– Pewnie. Kocham moje wnuczki. Bardzo. Tyle że jestem dla nich takim dziadkiem od święta. Jest drugi dziadek, który przyjeżdża częściej, bawi się z nimi, spędza czas. A ja często jestem gdzieś w trasie.

Był moment, gdy miałem u nich wyjątkowe notowania – jak byłem jurorem w „Tańcu z gwiazdami”. Wtedy byłem naprawdę ważny. Wnuczki lubią taniec, więc dziadek nagle się okazał gwiazdą.

Zastanawiałem się, po co panu był ten „Taniec z gwiazdami”, teraz już wiem... A tak serio, to chyba chciał pan, żeby ludzie zobaczyli innego Andrzeja Grabowskiego.
– Trochę tak. Kiedy ludzie mnie pytają: „A dlaczego pan to zrobił? Dlaczego pan tam wystąpił?”, odpowiadam: „Bo to jest moja praca. Ja z tego żyję”.

Z drugiej strony pomyślałem, tak jak pan wspomniał, że może wreszcie część ludzi zobaczy, że nie mieszkam we Wrocławiu przy ulicy Ćwiartki 3/4, nie przesiaduję całymi dniami w domu z puszką piwa i mam w szafie coś innego niż dresy. Bo przez lata wiele osób utożsamiało mnie z Ferdkiem Kiepskim. A po „Tańcu z gwiazdami” coś się zmieniło. Nie mówię, że nagle zaczęli mnie traktować jak profesora uniwersytetu, ale przestali podcho-

eprasa.pl ae811472f6

dzić z tekstem: „Kurwa, Ferdek, chodź na browara". Zobaczyli, że istnieje jeszcze Andrzej Grabowski, który potrafi sklecić zdanie po polsku, porządnie się ubrać.

Jest taka historia związana z Edwardem Albeem. Jego ojciec był aktorem i przez całe życie grał hrabiego Monte Christo. To była jego największa zawodowa bolączka – że wszyscy widzieli w nim tylko jedną postać. Tyle że między hrabią Monte Christo a Ferdkiem Kiepskim jest jednak pewna różnica. Do niego mówili: „Panie hrabio", a do mnie: „Ferdek, cycu, ja pierdzielę".

Może nie profesor, ale przez pewien czas uchodził pan za specjalistę od literatury.
– Bez przesady. Prowadziłem z Agnieszką Wolny-Hamkało program o książkach „Hurtownia książek". To bywało potwornie męczące. Trzy książki tygodniowo, niekoniecznie takie, po które sam bym sięgnął. Jeśli książka mi się podobała, było łatwiej. Człowiek czyta, wciąga się, potem jeszcze wraca. Ale jeśli uważałem, że jest słaba, i chciałem to uczciwie powiedzieć, musiałem mieć argumenty. Bywało, że wstawałem o czwartej rano i doczytywałem do końca, zanim pojechałem na plan.

Mimo wszystko lubiłem ten czas. Najprzyjemniejszy był moment po nagraniu programu. Najgorszy, kiedy przychodziła paczka z nowymi książkami i człowiek się zastanawiał: „No dobrze, co ja teraz dostałem?". Pamiętam biografię Steve'a Jobsa. Jestem kompletną nogą komputerową. Wtedy jeszcze większą niż dziś. Czytałem o jakichś procesorach, dyskach, systemach i miałem wrażenie, że obcuję z fantastyką naukową. Ale dzięki programowi poznałem też autorów, których wcześniej nie znałem. Choćby Sándora Máraia. Fenomenalny człowiek, bardzo ciekawa postać. Żeby w wieku prawie 90 lat popełnić samobójstwo? Na swoich zasadach.

Kocham moje wnuczki. Bardzo. Tyle że jestem dla nich takim dziadkiem od święta. Był moment, gdy miałem u nich wyjątkowe notowania – jak byłem jurorem w „Tańcu z gwiazdami".

A dziś znajduje pan jeszcze czas na czytanie dla przyjemności?
– Chciałbym w końcu przeczytać „Księgi Jakubowe" Olgi Tokarczuk. Na to trzeba znaleźć czas jak na Prousta. Może na urlopie? Poza tym ostatnio głównie czytam scenariusze.

Zabrzmiało to tak, jakby nie była to najprzyjemniejsza lektura.
– Bo nie zawsze jest. Dużo tych scenariuszy teraz dostaję, staram się wybrać z tego coś dla siebie, łatwo nie jest.

Za rządów PiS zagrał pan Jarosława Kaczyńskiego w filmie „Polityka" Patryka Vegi. Dostało się panu za tę rolę?
– Paradoksalnie bardziej od ludzi, którzy Kaczyńskiego nie lubią. Bo niektórzy mieli pretensje, że go „ocieplił". Była taka scena z Maćkiem Stuhrem, który zagrał masażystę prezesa, kiedy Kaczyński wspomina dzieciństwo, puszczanie kaczek z bratem. I ja nie chciałem grać polityka. Chciałem zagrać człowieka, który przypomina sobie szczęśliwy moment z dzieciństwa. No bo przecież każdy takie momenty ma. Jeżeli nie miał patologicznego dzieciństwa, to pamięta matkę, ojca, jakieś wakacje, jakieś zabawy. Nagle się okazało, że dla części ludzi to już było za dużo człowieczeństwa.

Dzisiaj chyba coraz trudniej nam dopuścić myśl, że ktoś może być jednocześnie człowiekiem i politykiem, którego nie lubimy.
– Bo wszystko zrobiło się zero-jedynkowe. Albo jesteś z tej strony, albo z tamtej. Nie ma środka. Ja pamiętam jeszcze czasy PRL-u. Wydawało się wtedy, że wszyscy są przeciw komunie. A przecież nie byli. Byli ludzie, którzy cynicznie korzystali na tym ustroju, ale też tacy, którzy naprawdę wierzyli w komunizm. Weźmy Władysława Broniewskiego. Jeden z największych polskich poetów. Człowiek, który siedział w sowieckim więzieniu, a mimo to do końca pozostał komunistycznym ideologiem. Marek Hłasko wspominał, jak Broniewski się obraził na niego, kiedy powiedział przy nim o Stalinie per „Ziutek Słoneczko". Podobno wstał wściekły od stołu i wybiegł z pokoju. Po chwili przybiegła przerażona służąca i ostrzegła Hłaskę, żeby uciekał, bo pan Broniewski dzwoni do Urzędu Bezpieczeństwa.

Miał pan okazję zagrać w amerykańskich filmie.
– Nawet w dwóch. Raz projekt upadł, gdy wycofała się aktorka, która miała zagrać główną rolę. I wie pan co? Poczułem ulgę.

Dlaczego?
– Bo miałbym wyjechać na kilka miesięcy, siedzieć w Ameryce i jeszcze kuć angielski tekst. Już wcześniej grałem po angielsku u Jurka Bogajewicza w „Bożych skrawkach", więc wiedziałem, z czym to się wiąże. I po włosku grałem, w filmie „La ballata dei lavavetri".

Zawsze przywołuje pan ten tytuł w oryginale. Po polsku nie brzmi już tak magicznie.
– „Ballada o czyścicielach szyb". Dla mnie to jednak była magia: jedną z finałowych scen kręciliśmy przy murach Zamku Świętego Anioła. W miejscu, które zobaczyłem po raz pierwszy jako dziecko, kiedy z otwartą buzią oglądałem „Rzymskie wakacje" z Audrey Hepburn i Gregorym Peckiem. Pal licho, że byłem golusieńki, a partnerowała mi świnia.

Ale wracając do propozycji ze Stanów: nie bałem się samej roli. Bardziej tego wszystkiego wokół. Ja mam jednak charakter prowincjusza z Alwerni. Naprawdę.

To był pierwszy raz. A drugi?
– Wtedy odmówiłem. Powiedziałem, że jestem bardzo zajęty.

Jak to brzmi: jedyny polski aktor, który odmówił Hollywood. Rzeczywiście był pan zajęty?
– Byłem. Ale nie aż tak bardzo. Tych kilka dni zdjęciowych bym wcisnął. Akurat miałem grać u Wojtka Smarzowskiego w „Pod Mocnym Aniołem".

Dla pana to chyba ważny film? Ze względów osobistych.
– Tak, ale nie ze względu na alkohol, tylko Jurka Pilcha. Chyba nie przesadzę, jak powiem, żeśmy się przyjaźnili. Ale z drugiej strony bez przesady, nie byliśmy znowu takimi przyjaciółmi, co to codziennie się widują. Wydaje się, że znaliśmy się od zawsze, od 1970 roku w każdym razie, jeśli dobrze liczę. Z Krakowa. Pilch studiował polonistykę, ja byłem w szkole teatralnej. Potem ciągle gdzieś się nasze drogi przecinały. No i, nie ma co ukrywać, połączyły nas też pewne skłonności. Jego bardziej niż moje, ale jednak.

W skrócie: wiedział pan, o czym jest ta książka.
– Wiedziałem. Jurek mi potem powiedział: „Ty wiesz, że ja ciebie cytowałem w tej książce". Nawet tego nie pamiętałem. Ale rzeczywiście, była taka sytuacja. Nasza znajoma wróciła zmartwiona z milicji. Znowu nie da-

Andrzej Grabowski

• Urodził się w 1952 r. w Chrzanowie. Aktor teatralny i filmowy, zajmuje się też kabaretem i stand-upem, śpiewa. Debiutował już na studiach w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, gdzie z przerwami występuje do dziś. W Starym Teatrze grał m.in. u Andrzeja Wajdy. Wielokrotnie współpracował ze swoim bratem Mikołajem. Szerokiej publiczności jest znany z sitcomu „Świat według Kiepskich". Ma na koncie wiele ról filmowych i serialowych m.in: w „Bożej podszewce", „Pitbullu" (serial i filmy), „Dniu świra", a ostatnio w „Morfeuszu" (SkyShowtime).

eprasa.pl ae811472f6

li jej paszportu, a chciała pojechać do męża w Szwecji. Zażartowałem wtedy: „Powiedz następnym razem, że jak nie dostaniesz paszportu, to się tutaj skurwisz". Wszyscy zaczęli się śmiać. I w „Pod Mocnym Aniołem" jest taka postać, poetka Alberta Lulaj. Przychodzą znajomi do Jureczka, który ma chody w „Tygodniku Powszechnym", i proszą, żeby opublikował jej wiersz, żeby mógł go przeczytać papież. A jeżeli nie, to „gotowa popaść w kurewstwo".

Od razu pomyślałem, że z tego powinien powstać film. A jak później książka dostała Nagrodę Nike, to już byłem pewien. Mówię do zaprzyjaźnionego producenta, nieżyjącego już niestety Jacka Rzehaka: „Jacek, musimy to zrobić". Zadzwoniłem do Pilcha. Okazało się, że uprzedził nas Witold Adamek.

Miał opcję na prawa do ekranizacji, ale nie wykorzystał jej w określonym czasie, więc wróciliśmy z Jackiem do gry. Jak się Smarzol zgodził reżyserować, to i przyszły pieniądze. Tyle że po drodze minęło sześć czy siedem lat. Wojtek uznał, że jestem już za stary na Jureczka. Wziął Roberta Więckiewicza, który był wtedy u szczytu kariery.

Pana obsadził w rolach dwóch doktorów: Granady z oddziału delirycznego i Swobodziczki, który pojawia się w reminiscencji głównego bohatera.
– Najśmieszniejsze jest to, że doktor Granada naprawdę istniał. To był krewny mojej obecnej partnerki. Człowiek z Wisły. Nazywał się Grenda, ale wszyscy mówili na niego Granada. Podobno był fenomenalnym lekarzem i jednocześnie strasznym pijakiem. Pilch takie postacie po prostu kolekcjonował. Na premierę już Jurek nie przyszedł. Parkinson bardzo go wtedy wyniszczał. Przed seansem przeczytałem list od niego do widzów.

Jurek poprosił mnie jeszcze, żebym nagrał audiobooka. Potem zadzwonił: „Andrzej, to już nie jest moja książka. To jest twoja książka". To było jedno z najdziwniejszych doświadczeń w moim życiu, a przy tym pięknych. Czytając tę książkę, cały czas słyszałem Pilcha. Jego głos, jego rytm mówienia, jego sposób budowania zdań. Znałem go przecież dobrze – i w tych trzeźwych momentach, i w tych gorszych.

Mieszkaliśmy z Jurkiem niedaleko siebie. Dzwonię do niego kiedyś, a on bełkocze. Nic nie mogłem zrozumieć. Myślę sobie, że poszedł w tango, mówię: „Słaby mam zasięg, jutro pogadamy". Ale następnego dnia to samo, co mnie zdziwiło, więc do niego poszedłem. Okazało się, że był po zabiegu wszczepienia elektrod do mózgu. Przestał się trząść, ale mówił jak po wylewie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak okrutna potrafi być ta choroba. W końcu wyciągnął te elektrody, przecież dla niego to był koszmar, język był jego narzędziem, jego siłą.

Pamiętam, że na pogrzebie Pilcha, to w pandemii było, wiele osób się pozarażało, ja na szczęście nie. Janek Nowicki był na tym pogrzebie. Też go już nie ma z nami. „Odchodzimy sobie pomalutku. W tę krainę, gdzie cisza i błogość. Może czas już i mnie zbywszy smutku. Zbierać marny dobytek – i w drogę...".

Jesienin?
– Oczywiście.

Wiele myśli przemyślałem w ciszy,
Wiele pieśni o sobie złożyłem.
Na tej ziemi, co jęk zewsząd słyszy,
Jam szczęśliwy po prostu, że żyłem.
Że kobiece całowałem piersi,
Gniotłem kwiaty i trawy w parowie,
I że zwierząt, braci naszych mniejszych,
Nigdy pałką nie biłem po głowie.

Przecież to jest opowieść o życiu sprowadzona do kilku prostych zdań. Banał – można by powiedzieć. Ale wyrażony w taki sposób, że człowiekowi przechodzą ciarki po plecach. W „Hurtowni książek" omawialiśmy z Agnieszką nowe tłumaczenie Jesienina. Nie powiem czyje, bo po co, skoro mi się ono niezbyt podobało. Może dlatego, że jestem przyzwyczajony do tłumaczeń Anny Kamieńskiej i jej wersje noszę w głowie. A Adam Pomorski – o, jednak powiedziałem, czyje to tłumaczenie – zrobił wszystko inaczej.

Zaprosiliśmy do tego programu Janusza Głowackiego, też już świętej pamięci. Rozmawialiśmy o tych ostatnich wierszach Jesienina, słynnym pożegnaniu napisanym krwią. Agnieszka Wolny-Hamkało, młoda dziewczyna, stwierdziła, że to pretensjonalne. A my z Głowackim obaj łapiemy się za głowę: „Jak to?!". Przecież taki finał idealnie pasował do Jesienina.

Bo wszystko zależy od tego, kto taki gest wykona. To trochę jak z Gustawem Holoubkiem. Holoubek był znany z dowcipów tak hardcorowych, że dziś nie wypadałoby ich nawet powtarzać. Tylko że kiedy opowiadał je Holoubek, nie chodziło o sam dowcip. Za tym zawsze stało coś więcej: inteligencja, ironia, obserwacja człowieka. I nagle rzecz, która u kogoś innego byłaby ordynarna, stawała się błyskotliwa.

Podobnie było ze „Światem według Kiepskich". Jeżeli ktoś myślał, że szczytem naszego dowcipu jest to, że Ferdek mówi do Paździocha: „Panie, a zasadził panu ktoś kiedyś kopa w dupę?", i że na więcej nas nie stać, to znaczy, że miał nas za idiotów. A przecież nie o to chodziło. Tam było nagromadzenie głupoty do takiego stopnia, że ta głupota czasami zaczynała się zamieniać w mądrość. Trochę jak u Erazma z Rotterdamu w „Pochwale głupoty". Nie zawsze, oczywiście. Ale czasami tak.

Pan nigdy nie ukrywał, że nie tyle chciał pan zostać aktorem, ile być w szkole teatralnej.
– I może dlatego nim zostałem, bo traktuję ten zawód bez zadęcia. Nie uważam się za żadne sumienie narodu. Nie jestem Winkelriedem narodów. Jestem rzemieślnikiem, szewcem, który szyje buty dla publiczności. Jeżeli dobrze zrobię te buty, to ludzie będą chcieli je kupować. Jak gorzej, to nie będą. Tyle.

Z kolei Tadeusz Łomnicki powiedział, że nie będzie pana chwalił, bo przez to mógłby pan zacząć gorzej grać.
– Mikołaj zrobił wtedy w Teatrze Stu „Kto się boi Virginii Woolf?". Łomnickiemu spektakl się spodobał. Z tym swoim charakterystycznym uśmieszkiem opowiadał o Mikołaju, o Iwonie, aż w końcu spojrzał na mnie i powiedział: „A panu nic nie powiem. Bo gdybym powiedział, to mógłby pan gorzej grać". Jakby uznał, że po jego uwadze mogę wejść w przesadę, a teraz jest w porządku. W gruncie rzeczy wziąłem to za komplement, tylko podany w jego stylu.

Miał rację? Jak pan reaguje na pochwały?
– Nigdy specjalnie w nie nie wierzyłem. A szczególnie teraz. Ludzie na widok starszego pana czują, że wypada go pochwalić. „Nie no, panie Andrzeju, jest pan prawdziwą ikoną". Jak słyszę takie pobłażliwe słowa, powstrzymuję się, żeby nie odpowiedzieć: „A weź spieprzaj, ja nie chcę być żadną ikoną. Chcę być normalnym człowiekiem".

Ale wracając do propozycji ze Stanów: nie bałem się samej roli. Bardziej tego wszystkiego wokół. Ja mam jednak charakter prowincjusza z Alwerni. Naprawdę

Wróćmy jeszcze do Głowackiego, bo mnie pan jego reakcją trochę zaskoczył.
– A pan myśli, że ja nie byłem zaskoczony? Janusz Głowacki: człowiek piekielnie inteligentny, ironiczny, potrafiący jednym zdaniem człowieka załatwić. A tu nagle się okazało, że kocha Jesienina równie mocno jak ja. I wtedy sobie pomyślałem, że z ludźmi jest odwrotnie, niż się wydaje. Ci najwięksi cynicy często są bardzo sentymentalni.

Dokładnie tak samo było z Jankiem Nowickim. Dziennikarze trochę się go bali. Wiedzieli, że potrafi wbić szpilę tak, że człowiek będzie ją pamiętał przez tydzień. A jednocześnie potrafił godzinami opowiadać o Kowalu, z którego pochodził. O ojcu szewcu, jak chodził w mundurze Ochotniczej Straży Pożarnej. Był z tego dumny. I mówił o tym z takim wzruszeniem, że trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek. Ja zresztą Janka uwielbiałem. Naprawdę się przyjaźniliśmy.

To on przepowiedział panu aktorstwo.
– Byłem gówniarzem po dziesiątej klasie. Janek miał już za sobą pierwsze sukcesy, był pięknym chłopakiem, grał w teatrze, w filmie robił karierę. Spotkaliśmy się na obozie żeglarskim studentów szkoły teatralnej, gdzie zabrał mnie mój brat Mikołaj. Po bankiecie, późna noc, wszyscy się już wykruszyli. Janek mi o czymś opowiadał, na co Halinka Wyrodek (aktorka, gwiazda Piwnicy pod Baranami): „Co ty gadasz do niego, on nawet nie jest aktorem". Janek spojrzał na mnie i powiedział: „Ale będzie aktorem". Następnego dnia powiedziałem Mikołajowi, że zdaję na aktorstwo.

W przypadku aktora, w dodatku znanego, to w ogóle możliwe?
– Jest świetny dowcip o dwóch przyjaciołach aktorach, którzy spotykają się po latach na zjeździe absolwentów. Jednemu się powiodło, drugiemu nie bardzo. Siadają przy stoliku, a ten pierwszy zaczyna narzekać: że musi dokończyć serial, zaczyna film, dyrektor teatru zmusza go do grania roli, której nie chce, zagranica czegoś od niego chce... Same problemy człowieka sukcesu. A potem mówi: „Ale nie gadajmy o mnie. Opowiedz, co u ciebie. W jakiej roli mnie ostatnio widziałeś?".

Ja zawsze bałem się zostać takim człowiekiem. Aktor powinien być egoistą, jasne. Krąży taka anegdota, że Łomnicki wychodził przed premierą przed kurtynę i krzyczał do pustej sali: „Macie szczęście, bo mnie będziecie oglądać!". W ten sposób też się rozładowywał. Nawet tak stary aktor jak ja się w takiej sytuacji denerwuje.

Wielu aktorów mówi, że trafili do tego zawodu mimo nieśmiałości. Pan był nieśmiały?
– Nie wiem, czy to była nieśmiałość, czy jednak nie wstydliwość. Chodziło nie o wejście na scenę, bardziej o to, że aktorstwo to taki niemęski zawód. Że co ja mam: wiersze mówić? Pan sobie wyobrazi, że pierwszy raz mówiłem wiersz publicznie dopiero na egzaminie do szkoły teatralnej. Naprawdę. Może właśnie dlatego miałem przewagę nad resztą. Nie byłem jeszcze zmanierowany, zepsuty przez polonistki, które posyłały te wszystkie dzieci na konkursy recytatorskie. Mówiłem tak, jak umiałem. A że mam przekorną naturę, to nawet kiedy Mikołaj przygotowywał mnie do egzaminów, to dla świętego spokoju przytakiwałem, a potem robiłem po swojemu.

Z braci był pan najmłodszy.
– Zawsze i wszędzie byłem najmłodszy. Sześć lat miałem, kiedy poszedłem do szkoły, siedemnaście, kiedy zdałem maturę i poszedłem do szkoły teatralnej. Więc zawsze było: „Andrzej po bułki, Andrzej po papierosy, Andrzej po wódkę". Ciągle mi się wydaje, że mam w sobie tamtego Andrzejka na posyłki. I na szczęście – przynajmniej tak mi się wydaje – nie mam w sobie takiego aktora na życie, który wiecznie występuje.

Byłem dzieckiem starych rodziców, prawdopodobnie przypadkiem. Mama miała już czterdzieści lat. Urodzić w tym wieku, a mówimy o roku 1952, to było coś! W związku z tym byłem hołubiony. Dwóch starszych braci mogło się mną opiekować.

Miałem być dziewczynką. Rodzice, jak się dowiedzieli, że będą mieli trzecie dziecko, chcieli córkę. Ale wyszedłem ja. Taki blondynek byłem z włosami kręconymi. Nazywali mnie „Złotóweczka". I dziwna sprawa, bo mówiłem o sobie w rodzaju żeńskim. W Alwerni się z tego podśmiewywali. To była mała miejscowość, wszyscy się znali.

Kiedyś poszedłem po ogórki kiszone do pani Rychowskiej i wypaliłem: „Chciałam ogórka i koniac". Więc w innych słowach też wymieniałem „e" na „a", nie tylko, żeby był rodzaj żeński.

Kiedy skończyło się bycie dziewczynką?
– Jak poszedłem do szkoły. A poszedłem wcześniej niż inni. Umiałem już czytać i pisać, szkoła była naprzeciwko – 100 metrów od domu, dyrektor znajomy, więc starszy brat mnie zaprowadził i zapisał. Tylko że potem się okazało, że rok różnicy w dzieciństwie to jest przepaść. Inni chłopcy byli zahartowani, w gospodarstwie pomagali, a ja z inteligencji raczej, nigdy tak naprawdę nie pracowałem. Mama była kierowniczką kasy spółdzielczej, ojciec – z wykształcenia historyk – kierownikiem zaopatrzenia w zakładach chemicznych.

Potem było liceum w Chrzanowie. Pobudka o piątej dziesięć, ciemno jeszcze za oknem. Dwa kilometry przez las na pociąg, zimą zjeżdżałem na teczce po śniegu. Wiedziałem jednak, że jeśli chcę się uczyć, to nie ma wyjścia. Znowu byłem najmłodszy.

A właściwie jeszcze gorzej. W klasie w pewnym momencie było ponad 50 osób. Większość z Chrzanowa, Libiąża, Chełmka czy Regulic. A ja sam jeden, najmniejszy, w dodatku rodzynek z Alwerni. Zdaje pan sobie sprawę, co to znaczy?

Mogę się domyślić.
– Nie znosiłem wtedy tej szkoły, tego miasta. Zyskałem w oczach kolegów dopiero w dziesiątej klasie. Przyniosłem zdjęcie Mikołaja na koniu z juwenaliów. Jak się okazało, że mam brata aktora, to się zmieniło: „Andrzej, to chodź z nami na piwo".

Dziś patrzę wstecz raczej z nostalgią. W tym roku mija 56 lat od matury. Jak to mówię na głos, to sam nie wierzę. Wie pan, człowiek niby wie, ile ma lat, ale pewne liczby działają dopiero wtedy, kiedy się je przeliczy na życie.

Ja teraz często jeżdżę z takim swoim stand-upem. Opowiadam rożne anegdoty o „Świecie według Kiepskich" i zawsze pytam ludzi: „Jak myślicie, ile lat kręciliśmy ten serial". Padają różne odpowiedzi. 18, 20, czasem ktoś rzuci 28. Wtedy żartuję: „Nie, 28 to ja mam". W końcu mówię: „22 lata".

Ale ludzie dalej nie zdają sobie sprawy, ile to czasu. Żeby im to uzmysłowić, mówię, że gdybyśmy dziś zaczęli tych „Kiepskich" kręcić, to skończylibyśmy w 2048 roku. Wtedy zawsze zapada cisza. I mówię: „Wiem, o czym myślicie – dożyję czy nie. Nie ja, wy". ●

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

Boisko do koszykówki – instalacja w kościele św. Ludgera w Bochum. Jeśli ktoś nie trafi piłką do kosza grają kościelne organy

FOT. RAINER SCHLAUTMANN

NA MECZ DO KOŚCIOŁA

Na parafialnej tablicy ogłoszeń Markuskirsche obok terminów najbliższych nabożeństw wisi plakat z hasłem: **„To nie jest kościół". Niedługo świątynia zostanie zdesakralizowana.**

Sebastian Słowiński

Jadąc przez Zagłębie Ruhry z Duisburga do Essen, mija się krajobraz osobliwy. Znad koron drzew wystają zarówno przemysłowe kominy nieczynnych fabryk i szyby zamkniętych kopalń, jak i strzeliste wieże kościołów. Też w dużej części nieczynnych.

Niemieckie kościoły są zamykane od lat. Część zostaje zamieniona w centra kulturalne lub miejsca aktywności sąsiedzkiej, ale spora część po prostu stoi pusta. Przez najbliższe 5-10 lat swoją sakralną funkcję straci niemal połowa, czyli aż 20 tys. kościołów.

Idea „Pantoffelkirche"

Spójrzmy na zachodnie Niemcy. W Nadrenii Północnej-Westfalii około 43 proc. kościołów powstało po 1945 roku, w znacznej mierze stawiano je tak, by było łatwo i szybko do nich dotrzeć. Franz Hengsbach, pierwszy biskup Essen, diecezji obejmującej sporą część Zagłębia Ruhry, ukuł w latach 50. ubiegłego wieku termin „Pantoffelkirche", czyli kościół o sąsiedzku, do którego można przyjść w kapciach.

W zachodnich Niemczech trwał Wirtschaftswunder – gospodarczy cud nad Renem. Niemcy w szybkim tempie odbudowywały swoją gospodarkę po wojnie, rozwijając przemysł wydobywczy, hutniczy i stalowy. Zagłębie Ruhry stało się ekonomicznym centrum Niemiec i Europy Zachodniej.

Potrzeba było rąk do pracy, zaczęto ściągać pracowników fizycznych zza granicy – gastarbeiterów, pracowników gościnnych. W większości z Turcji, Maroka, Włoch czy Grecji, ale także z Polski. Gastarbeiterzy zaczęli tworzyć własne wspólnoty i zakładali rodziny.

Dziś krajobraz jest całkiem inny. Fabryki i kopalnie zamknięto, wiele z nich zamieniono w centra aktywności lokalnej, muzea, galerie. W największym w Europie dyskowym magazynie gazu dla znajdujących się niedaleko hut w Oberhausen zorganizowano przestrzeń wystawienniczą. Działający zaś od XIX wieku kompleks przemysłowy kopalni i koksowni Zollverein w Essen zamienił się w ośrodek kultury. W 2001 roku to miejsce wpisano na listę dziedzictwa kulturowego UNESCO.

Ale proces dezindustrializacji zaowocował przede wszystkim bezrobociem, a ludzie zaczęli z Zagłębia Ruhry wyjeżdżać. I wiele kościołów już jest niepotrzebnych.

Do tego zmienia się społeczeństwo. Gdy w latach 50. jako chrześcijanie deklarowało się ok. 90 proc. Niemców (katolicy czy protestanci), dziś jest to mniej więcej 50 proc., z czego niewielka część uczestniczy w liturgii.

„To nie jest kościół", czyli 16. edycja biennale Manifesta

Z Hedwig Fijen siedzimy na ławce przed Thomaskirche w Gelsenkirchen, jednym z większych miast Zagłębia Ruhry. To kościół, który ponad pół roku temu przestał działać, a pod koniec maja został oficjalnie zdesakralizowany.

To tu pod hasłem: „To nie jest kościół" odbywa się tegoroczne europejskie biennale sztuki Manifesta, wydarzenie założone właśnie przez Hedwig Fijen w 1994 roku. Ma miejsce co dwa lata w innym kraju i stawia pytania związane z lokalnymi problemami. Zaczyna się od miejsca, a hasło edycji tworzy się w działaniu.

Hedwig Fijen: – Nie narzucamy tematu. Pomysł wyszedł od mieszkańców, to oni zwrócili nam uwagę na problem. Powiedzieli, że mają wspaniałe kościoły, które się zamykają, i zapytali, czy możemy im pomóc.

eprasa.pl ae811472f6

FOT. IVAN EROFEEV (2), RAINER SCHLAUTMANN

Tegoroczna Manifesta gości więc w 12 kościołach czterech miast Zagłębia Ruhry: Duisburgu, Essen, Gelsenkirchen i Bochum. Stawia pytania o przyszłość wspólnot: tych małych, sąsiedzkich, i tych globalnych – Europy i świata.

W Thomaskirche oglądamy wystawę opowiadającą m.in. historie gastarbeiterów, którzy w latach 50. przywieźli do RFN swoje języki, historie i doświadczenie.

Hedwig Fijen opowiada, że gdy powstawała Manifesta, panował optymizm, powszechnie wierzono w jednoczącą się Europę. Teraz dominują nastroje pesymistyczne: Rosja napadła na Ukrainę, Stany Zjednoczone wycofują się z Europy. Co to ma wspólnego z kulturą? – Wielu ludzi ma w sobie strach, który towarzyszył nam w czasach zimnej wojny. A przestrzenie, które służyły życiu społecznemu i lokalnym wspólnotom, znikają. Mówimy tu właśnie o kościołach – mówi Fijen.

Dodaje, że w ciągu 5-10 lat w całych Niemczech zamkniętych zostanie 20 tys. kościołów. Manifesta zastanawia się, co można w tych przestrzeniach zorganizować dla wspólnoty.

– To także pytanie polityczne, ponieważ, zwłaszcza w Zagłębiu Ruhry, rosną nastroje skrajnie prawicowe, politycy zatruwają debatę, antagonizując diaspory migranckie z tzw. prawdziwymi Niemcami. Myślę, że przekształcając przestrzenie kościelne w miejsca, gdzie możemy razem gotować, rozmawiać, grać w koszykówkę czy, tak jak dzisiaj, znaleźć schronienie przed upałem, możemy ponownie nauczyć się, jak żyć razem. A także użyć tych „antykościołów" jako symboli demokracji, ponieważ gdy były budowane w latach 50. i 60., chodziło o to, aby każdy mieszkaniec mógł należeć do wspólnoty – mówi. I podkreśla, że dziś ludzie mają poczucie, że nie należą nigdzie.

W kościele św. Bonifacego faktycznie napijemy się herbaty, a w kościele św. Ludgera w Bochum zagramy w koszykówkę. To instalacja „FAIL LAUDER" autorstwa CaboSanRoque i kolektywu FLEXO ARQUITECTURA. Są tu kosze, linie, bramki, ale ustawione tak, by zerwać z logiką rywalizacji. Gdy ktoś nie trafi piłką do kosza, instalacja wydaje dźwięki kościelnych organów.

„Ten kościół to element naszej codzienności"

Do kościoła zbudowanego w latach 60. w Frohnhausen, zachodniej części Essen, wchodzi się z wąskiej uliczki Postreitweg. Skręcając w prawo, przechodzi się przez osiedle dwupiętrowych bloków, na balkonach ludzie cieszą się ładną pogodą. Piją piwo, grają w karty, z niektórych mieszkań słychać telewizor. Z okien powiewają dziesiątki flag niemieckich i tureckich. Mundial.

Upał, 32 stopnie. Przed samym kościołem dzieci bawią się w brodziku, starsi siedzą na ławce. Za nimi znajduje się Markuskirche, kościół w procesie desakralizacji, co znaczy, że zaraz przestanie być kościołem, choć jeszcze de iure nim jest. Ten przejściowy status znajduje odzwierciedlenie na parafialnej tablicy ogłoszeń: obok informacji z terminami najbliższych nabożeństw znajduje się plakat z tegorocznym hasłem Manifesty: „To nie jest kościół".

– Czemu miałoby nam to przeszkadzać? – dziwi się Jürgen, jeden z seniorów siedzący na ławce. – Jestem starszy, to prawda, może nie wszystko rozumiem, ale przecież sam nie chodziłem do kościoła. Zobacz, ten kościół jest dosłownie wciśnięty pomiędzy świetlicę, bloki mieszkalne i przedszkole. To element naszej codzienności – tłumaczy.

– Kościoły w trakcie Manifesty przemieniają się w ogrody, boiska do gry w koszykówkę, ogrody herbaciane, wystawy. Słowem, chcemy dać znać politykom, żeby sami zrobili międzynarodowy plan dotyczący tego, co zrobić z pustymi kościołami – podkreśla Fijen. Zaznacza, że Manifesta zadaje pytania, diagnozuje problem, sugeruje rozwiązania. I dodaje, że cały pomysł był konsultowany z sąsiadami.

Polska reprezentacja

Wśród artystów z całej Europy silną reprezentację ma Polska. W samym zespole kuratorskim znaleźli się Anda Rottenberg i Krzysztof Kościuczuk, którzy odpowiadają za wystawy w trzech kościołach w Bochum: Christ-König, św. Anny i protestanckiego Gethsemane-Kirche. W skład zespołu artystycznego tegorocznej Manifesty weszło aż dziewięcioro artystów z Polski: Mirosław Bałka, Zuza Golińska, Nicolas Grospierre, Jarosław Kozłowski, Katarzyna Kozyra, Małgorzata Mirga-Tas, Anka Sasnal, Wilhelm Sasnal i Mikołaj Sobczak.

– Skoro to nie jest kościół, Madonna musi stać przed nim – Anda Rottenberg mówiła przed kościołem Christ-König o rzeźbie Mirosława Bałki „Madonna". Wykonana ze stalowej konstrukcji i wypełniona bryłkami wę-

• Rzeźba Mirosława Bałki „Madonna" przed kościołem Christ-König w Bochum, to stalowa konstrukcja wypełniona bryłkami węgla

• Protestancki Gethsemane-Kirche. Instalacja Zuzy Golińskiej „Butle tlenowe I-VII" z butli znalezionych m.in. w okolicach Stoczni Gdańskiej

• Obraz Wilhelma Sasnala na ołtarzu bocznym w kościele Christ-König. Wystawiają tu też prace m.in. Katarzyny Kozyry i Anki Sasnal

eprasa.pl ae811472f6

W ciągu najbliższych 5-10 lat w całych Niemczech zamkniętych zostanie 20 tys. kościołów. Manifesta zastanawia się, co można w tych przestrzeniach zorganizować dla wspólnoty

gla nawiązuje do polskiej mniejszości, która w Zagłębiu Ruhry była drugą co do wielkości diasporą. To także rzecz jasna gra z jednym z najważniejszych symboli polskiej religijności – Matką Boską.

Protestancki Gethsemane-Kirche powstał na przełomie lat 40. i 50. i jako Notkirche, czyli kościół pomocowy, miał zapewnić wsparcie duchowe i przestrzeń w kryzysowych sytuacjach. Cały czas pełni swą funkcję. Znalazły się tam prace Mirosława Bałki, Mehtap Baydu, Zuzy Golińskiej, Mariny Naprushkiny, Mikołaja Sobczaka i Cassidy Toner.

Instalacja Zuzy Golińskiej „Butle tlenowe I-VII" z cyklu „SWARM" składa się z butli znalezionych w okolicach Stoczni Gdańskiej i Nowego Portu. – Są dla mnie dwuznacznym symbolem. Po pierwsze, tlen kojarzymy z życiem, z drugiej strony, sprężone powietrze jest łatwopalne i niebezpieczne – tłumaczy Zuza Golińska.

– W Polsce podejście do kościołów jest zupełnie inne, wciąż nabożne – mówi artystka. – Nie chodzę już do kościoła, ale byłam wychowana w katolickim duchu, więc możliwość uczestnictwa w tegorocznej Manifeście jest dla mnie wyjątkowa. Transformacja kościołów w inicjatywy społeczne i sąsiedzkie wydaje mi się świetnym kierunkiem. Pewnie czeka nas to też w Polsce, choć niektórym trudno to sobie wyobrazić.

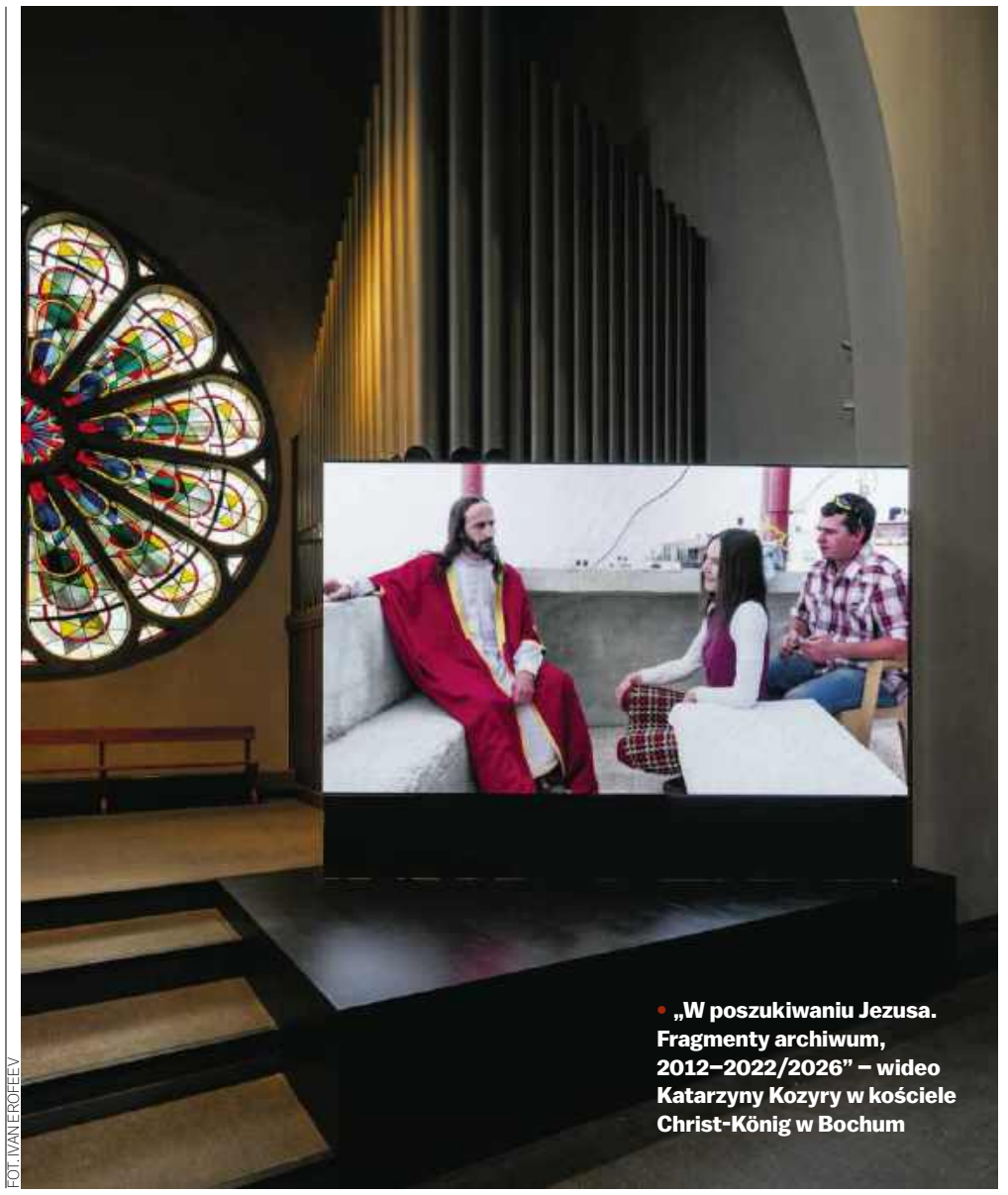

FOT. IVAN EROFEEV

• **„W poszukiwaniu Jezusa. Fragmenty archiwum, 2012–2022/2026" – wideo Katarzyny Kozyry w kościele Christ-König w Bochum**

W Gethsemane-Kirche prezentowana jest także praca Mikołaja Sobczaka – „Die Spinne", czyli „pająk". To nawiązanie do nazwy dragowego klubu, który działał w Monachium od powojnia do pandemii COVID-19 i był prowadzony przez Hansa Heinricha Portatiusa i jego partnera.

W 1936 roku Portatius na podstawie paragrafu 175 niemieckiego kodeksu karnego został osadzony w więzieniu za homoseksualność. Tam napisał dziennik, w którym wyrażał wolę, aby jego historia została opowiedziana przez artystę i kogoś „o ciepłym i otwartym sercu".

Instalacja Sobczaka to dwa obrazy i wideo, które ukazują queerową egzystencję w świecie rosnącego w siłę faszyzmu. – Portatius pochodził ze Śląska, wylądował w Bawarii. Podobny charakter ma też Zagłębie Ruhry, choć nie jest regionem styku realnych granic, to przyjeżdżały tu różne mniejszości i współtworzyły ten region – tłumaczy Mikołaj Sobczak.

Hasło „To nie jest kościół" w Polsce może zostać odebrane jako prowokacja. Nic podobnego nie ma miejsca na Manifeście. Hasło stwierdza fakt i diagnozuje społeczeństwo: miejsca, które były przez dekady ostojami lokalnych wspólnot, dziś stoją puste.

Pytanie o to, co zamiast kościołów, możemy odczytać jako pytanie o europejską wspólnotę. Problem nie polega na tym, że Europa się laicyzuje, ale na tym, czym zastąpić puste kościoły. Inaczej bez aksjologicznego gruntu Europa będzie pękać na kolejne kawałki. ●

16. Manifesta w kościołach czterech miast Zagłębia Ruhry: Duisburgu, Essen, Gelsenkirchen i Bochum trwa do 4 października.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414016

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ"

Sanatoria i uzdrowiska

- Alfabetyczny katalog miejscowości
- Zabiegi i pomysły na czas wolny
- Sprawdź, dokąd pojechać na leczenie i rehabilitację

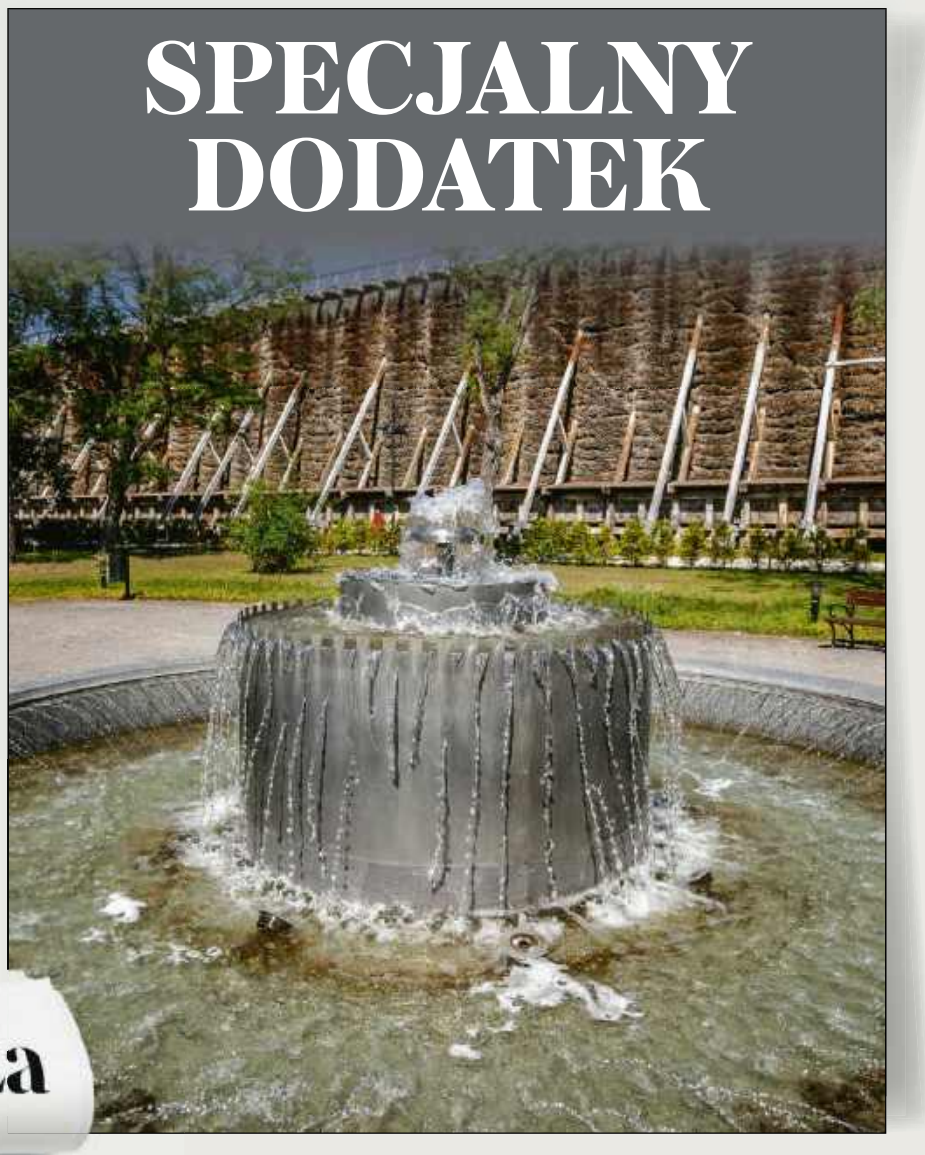

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

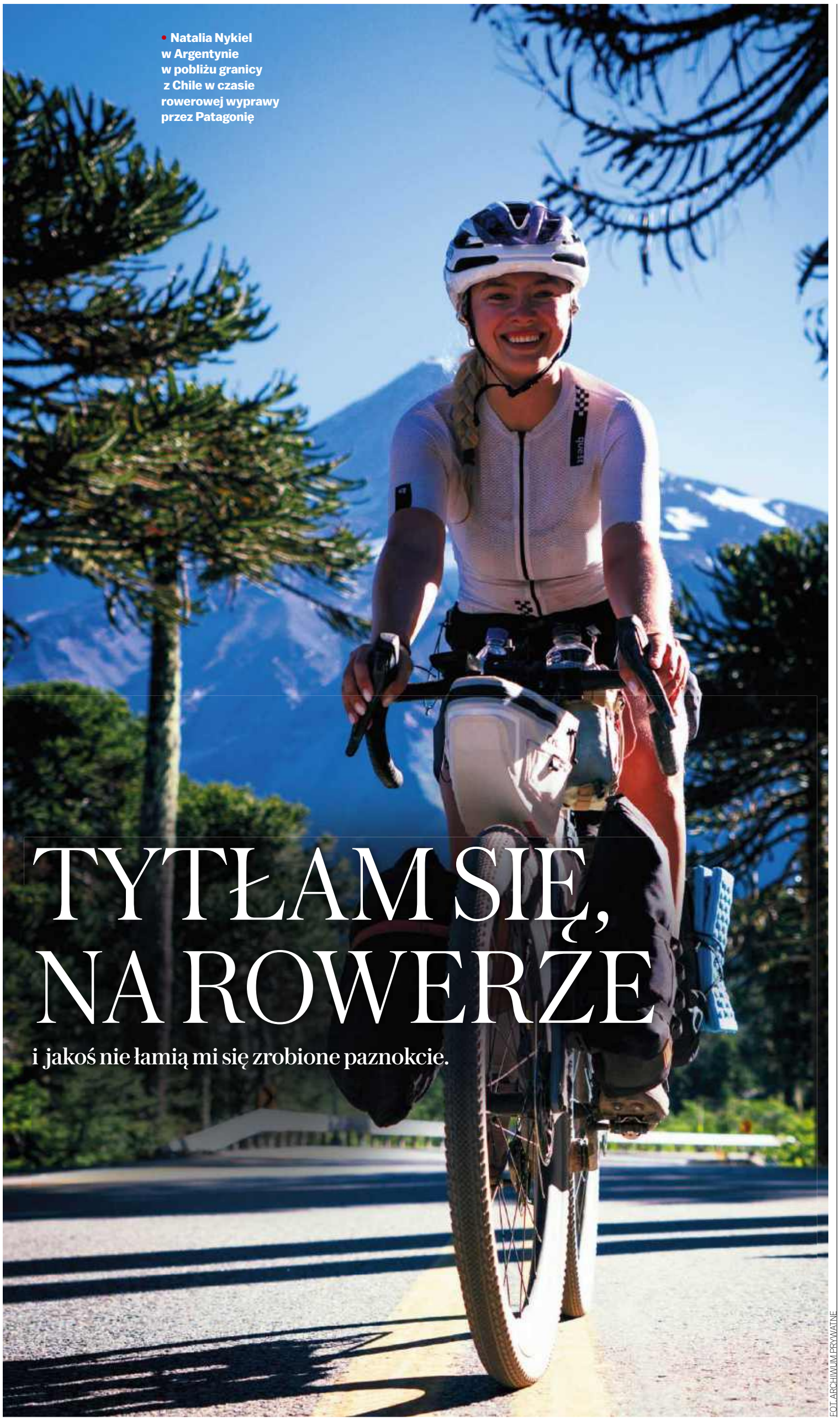

• Natalia Nykiel w Argentynie w pobliżu granicy z Chile w czasie rowerowej wyprawy przez Patagonię

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

TYTŁAM SIĘ, NA ROWERZE

i jakoś nie łamią mi się zrobione paznokcie.

Z PIOSENKARKĄ **NATALIĄ NYKIEL** ROZMAWIA **DANUTA PAWŁOWSKA**

Zacznijmy od poważnego pytania, które zawsze pada w gronie osób z poważną rowerową zajawką. Ile masz rowerów?
– Aktualnie jeden. To tytanowy gravel polskiej marki z Puszczykowa. Pozbyłam się wszystkich innych, bo uważam, że co za dużo to niezdrowo. A ten jeden rower jest dla mnie na tyle uniwersalny, że nie patrzę już na inne. Ale oczywiście rowerów było dużo po drodze, także szosowy.

A czym się charakteryzuje jazda na ramie tytanowej?
– Tytan to taki specyficzny materiał, który jest bardzo miękki. Jadąc po szutrach, ma się poczucie, jakby tam był rozłożony dywan. Miałam rowery aluminiowe, miałam z włókien węglowych, więc czuję różnicę.

Tytan jest w dodatku bardzo wytrzymały. Kiedy pęknie rama karbonowa, to jest do wyrzucenia, a tytan jest nieśmiertelny i to jest rama na całe życie. Mój rower waży mniej niż 9 kilogramów, ale jadąc przez Patagonię, miałam pod sobą prawie 30 kilo.

To zajrzyjmy do tych sakw, jakie gadżety wozisz. Z czego korzystasz na co dzień, a co zabierasz na wyprawy?
– W Patagonii miałam ze sobą chyba wszystko. To jednak była wyprawa na prawie dwa miesiące, więc trzeba było zabrać bardzo dużo różnych rzeczy. Nie korzystam z typowych sakw. Mam specjalny bagażnik rowerowy i do niego przytwierdzone najróżniejsze torby. Mieliśmy ze sobą cały zestaw namiotowy i do gotowania, musieliśmy być gotowi w zasadzie na każde warunki, również na spanie na dziko. A tak na co dzień to w zasadzie jeżdżę tylko z nawigacją, światłami, zawsze mam pompkę, łyżki, dętkę, jakieś żele energetyczne. No i kask oczywiście.

A czy od razu polubiłaś się z pedałami zatrzaskowymi? Wiele osób na początku podchodzi do wpinania się z rezerwą. Bo a co, jak nie zdążę wypiąć nogi, zatrzymując się albo w razie nagłej sytuacji.
– Szybko weszłam w SPD, nie miałam strachu ani żadnych traumatycznych zdarzeń. Im więcej jeżdżę, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że to jest kwestia bezpieczeństwa. Szczególnie na zjazdach mam pewność, że noga się nie ześlizgnie z pedału. No i jeżdżąc w „zatrzaskach" oszczędza się dużo energii.

Czy masz trenażer?
– Kupiłam trenażer dopiero w poprzednim sezonie, jak już wiedziałam, że będę jechała do Patagonii. Wyjazd był w grudniu i musiałam być w formie, nie mogłam sobie pozwolić na zimowe spowolnienie. Przez to, że latem dużo koncertuję, jeżdżę wtedy, kiedy nikt nie jeździ, czyli głęboką jesienią, wczesną zimą i wiosną. I jeszcze w środku tygodnia mogę gdzieś wyskoczyć w godzinach „prezesowskich", czyli w środku dnia, kiedy wszyscy są w pracy.

A gdzie można wpaść na Natalię Nykiel? Masz w Warszawie ulubione trasy?
– W Warszawie, jak chcę sobie wyjść na luźną rundę, to jeżdżę na „mosty". Konfiguruję sobie trasę na różne sposoby, można jeździć wzdłuż Wisły po obu stronach od Mostu Południowego do Północnego, albo od Łazienkowskiego do Północnego. Na dłuższe przejażdżki bardzo lubię trasę Zegrze wzdłuż Kanału Żerańskiego. Chętnie wypuszczam się do Kampinosu, ale tylko jesienią i wiosną, kiedy nie jest sucho i nie ma dużo piachu. Do kultowej Góry Kalwarii jeździłam często, kiedy miałam szosówkę, teraz już mniej, bo moim zdaniem na gravelu to jednak nudna trasa.

Planujesz trasę z wyprzedzeniem czy kręcisz się na spontanie?
– Zawsze planuję i rozrysowuję na mapie.

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

Jestem tą samą osobą w pełnym makijażu, w szpilkach, na scenie, w światłach reflektorów i na rowerze po przejechaniu ultramaratonu.

Bycie kobiecą nie wyklucza się z byciem silną kobietą

FOT. KRYSTIAN LIPIEC

To rocznie ile kilometrów ci wychodzi? Zliczasz je? Wyniki, statystyki są dla ciebie ważne?
– Zliczam wszystkie przejechane kilometry na Stravie. Można mnie tam zaobserwować i pobierać moje pomysły na trasy. Najmniej w roku to myślę, że wychodzi ze 3 tysiące kilometrów, a najwięcej 6-7 tysięcy.

To nie tak, że budzę się w styczniu i ustalam sobie, że w tym roku przejadę 8 tysięcy. Jeżdżę dla przyjemności i dla pasji.

Nie masz w sobie obawy przed pokazywaniem sportowego wizerunku? On jest jednak nieco inny niż ten dla fanów. Na rowerze jesteś spocona albo czerwona, cera nieidealna, paznokcie się łamią...
– Stop! Mnie się nie łamią paznokcie, bo są dobrze zrobione. Od 10 lat jeżdżę w długich.

A nie bałaś się, że pokazując Natalię utytłaną i spoconą na rowerze, ucierpi twój sceniczny wizerunek gwiazdy?
– Oczywiście, że miałam w sobie taki strach i bardzo długo nie zakładałam publicznego profilu rowerowego. Bałam się zmiany wizerunku. Ba! Mam świadomość, że wciąż dla wielu ludzi to się ze sobą kłóci. Nawet dochodzą do mnie albo do mojej ekipy, głosy, że skoro poszłam w rower, to znaczy, że już nie śpiewam. Absurdalne.

Uważam, że my kobiety jesteśmy bardzo wszechstronne i możemy robić kilkanaście rzeczy na raz. Widzę to po wszystkich koleżankach, po mamie, po siostrze. Dlaczego ja nie mogłabym też mieć pasji, która nie musi od razu przejmować całego mojego życia zawodowego? To jakby do człowieka, który pracuje w korporacji i właśnie wkręcił się w triathlon, ktoś podszedł i stwierdził: nie no, stary, ty już nie pracujesz, przecież zajmujesz triathlonem.

Zdaję sobie sprawę, że niektórzy ludzie mogą postrzegać to bardzo zero-jedynkowo. Ale właśnie w czasach serwisów społecznościowych i zdawaniu się wielu osób publicznych na algorytmy w kwestii wizerunku ja bardzo potrzebuję mieć poczucie, że jestem sobą na wielu poziomach. Jestem tą samą osobą w pełnym makijażu, w szpilkach, na scenie, w światłach reflektorów i na rowerze, czując się silna po przejechaniu ultramaratonu.

Mam poczucie siły fizycznej, którą w sobie buduję. Mogę mieć kilka różnych stron i wszystkie mogą być prawdziwe. Bycie kobiecą nie wyklucza się z byciem silną kobietą na rowerze.

A naprawy: dętki, regulacje, zerwany łańcuch? Uczyłaś się tego?
– W boju! Ale tak zupełnie szczerze, to przez ostatnie 5 lat raz mi się zdarzyło, że byłam sama i musiałam zmieniać dętkę. Zmieniłam.

Nie boję się prosić o pomoc, uważam, że jeśli ktoś obok zrobi to trzy razy szybciej i ma ochotę mi pomóc, to zapraszam. A poza tym nie jesteś w stanie mieć ze sobą wszystkich możliwych narzędzi, części czy zestawów naprawczych. Te podstawowe oczywiście trzeba mieć, ale Polska to nie jest koniec świata, żeby utknąć bez zasięgu i żywej duszy w okolicy. Nawet jeżeli trzeba z zepsutym rowerem przejść kilka kilometrów, no to nikomu korona z głowy nie spadnie. A liczba tutoriali w sieci, opisujących każdy problem, jest tak duża, że damy sobie ze wszystkim radę. Tylko oby w godzinie prawdy był zasięg.

Tylko muszę zastrzec, że nie jestem taka sprytna, zachowawcza czy ostrożna, że tylko raz w życiu zmieniałam dętkę. Po prostu od wielu lat jeżdżę na „mleku", czyli na systemie *tubeless*, bezdętkowym, ze specjalnym płynem w oponie, który ratuje skórę w przypadku mniejszych dziur w ogumieniu. Gdyby nie to, to miałabym flaka już wiele razy.

Mazurską pętlę w wariancie 250 kilometrów zrobiłaś sobie sama, nawet bez żadnych zawodów. Wolisz jeździć solo niż się z kimś umawiać?
– Raczej nie jeżdżę na ustawki. Okej, może jak widzę, że gdzieś tam koleżanki organizują kobiece jazdy, to się zgłaszam. Ale chyba jestem samotniczką. Jeśli jadę w grupie, to muszę wiedzieć, że się dogadamy. Dla mnie jazda rowerem to jest medytacja. Lubię pobyć sama.

Ale oczywiście wspaniale się też jeździ z kimś albo w małej grupie – o ile to są fajne, zaufane osoby i mamy podobny styl jazdy. Ważne, żeby się odnaleźć w podobnym tempie. Kiedy w Patagonii jechałam w pięcioosobowej ekipie, to było super doświadczenie.

Jednak czasem startujesz w zawodach. Trzy lata temu ukończyłaś zawody Great Lakes Gravel, czyli 500-kilometrowy ultramaraton od Puszczy Romnickiej po Węgorzewo, Ruciane Nidę i Olecko. Przez ponad dobę jechałaś na rowerze. Co planujesz w tym roku?
– Kalendarz mam już zapełniony koncertami, być może na jesieni jakiś ultramaraton wcisnę w Polsce.

Czy jak jesteś już te kilkaset kilometrów w trasie, to wciąż masz ochotę zachwycać się pejzażami, jak słońce wschodzi, a mgły się rozlewają na polach, czy już tylko napierasz, skupiasz się na przedniej oponie, wyświetlaczu nawigacji, piekących płucach i obolałych nogach?
– Uwielbiam zwiedzać i nawet jak jadę długą, wymagającą trasę z ogromnym wysiłkiem, to też staram się doceniać niezwykłe momenty. Nawet teraz, kiedy gadamy, przypominam sobie wschód słońca i zające na polach podczas Great Lakes Gravel. Magia.

Właśnie dlatego przesiadłam się z szosy na gravel, bo lubię odkrywać dzikie miejsca. Na szosie miałam poczucie, że bardziej liczy się prędkość niż przyjemność. Choć tak się złożyło, że w tym sezonie jeździłam nad Gardą, w kultowej miejscówce szosowców – i okazała się bardzo przygodowym miejscem. Nie dla ludzi z łapanki, bo jest sporo stromych i trudnych podjazdów oraz stresujących zjazdów, ale właśnie w tym była frajda. A widokowo cudownie!

Co było najtrudniejszego w wyprawie po Patagonii? Przejechałaś z ekipą, w której była między innymi Maja Włoszczowska, 2800 kilometrów i 37 000 metrów przewyższeń w 42 dni.
– Najtrudniejsze było to, co się działo przed wyjazdem, czyli poczucie, że jadę z dużo lepszymi od siebie. I myśli w głowie: czy ja dam radę, czy oni mnie gdzieś w połowie drogi nie zostawią? Bałam się, że będę zawsze ostatnia i moje ego na tym bardzo ucierpi. Jazda przez dwa miesiące z poczuciem, że jest się najgorszym w grupie, naprawdę może dojechać. Właśnie na to się psychicznie nastawiałam.

Ale zaraz, myślę sobie, przecież jadę z naprawdę świetnymi osobami, z championami jak Maja Włoszczowska, więc mam pełne moralne prawo jechać ostatnia. Już samo to, że ja z nimi jade, że mnie wzięli, a ja się odważyłam, to ogromne osiągnięcie i jestem wygrana. Więc tylko trzeba mocno jechać, nie poddawać się. A później już nic mnie nie wywaliło z siodełka. Było tylko pięknie. Tak naprawdę dzięki temu, że jechałam z mocniejszymi, to zrobiłam formę życia.

Uważam, że jeżdżąc długie dystanse w grupie, absolutnie najważniejsze jest utrzymanie takiego wspólnego frontu dobrej energii. Bo jak energia do jazdy się znajdzie, to nogi same będą pedałować. Najgorzej, jak się trafi jakiś wampir energetyczny albo ktoś jedzie i narzeka i się zła energia udziela wszystkim.

To była absolutnie podróż mojego życia, a jeśli zdarzały się naprawdę trudne podjazdy, to po prostu schodziłam z roweru i pchałam i w końcu wchodziłam na górkę.

Jeśli ktoś o twoich przebiegach i stażu mówi o „naprawdę trudnych podjazdach", to aż boję się zapytać o ich nachylenie i długość.
My jechaliśmy akurat przez niższą część Andów, więc solidne przewyższenia robiły się na kilku mniejszych górkach każdego dnia. Podjazd z kategorii tych szalonych pamiętam szczególnie jeden, kiedy 5 kilometrów w górę miało średnie nachylenie 14 procent. Po nieutwardzonym singletracku – ścieżce szerokiej na jeden, dwa rowery. Oczywiście na koniec etapu. Rower z pełnym bagażem po prostu wepchałam na górę. Ten podjazd zmęczył nawet Maję.

Wiało? Nie każdy wie, że wmordewind albo boczny wiatr potrafi bardziej dać w kość niż górska premia.
– Bardzo wiało. Szczególnie w południowych rejonach Patagonii duło okrutnie. Jednego dnia mieliśmy odcinek typu „długa prosta" i wiatr w plecy przez pierwszą część dnia. Pchało nas tak, że na odcinku 80 kilometrów z rowerami obładowanymi bagażami, wyszła nam średnia 35 na godzinę. No ale potem dojechaliśmy do skrzyżowania i wiatr się zmienił na boczny. Ciągły napór z taką siłą, że człowiek czuł, jakby stał w miejscu. Nie dało się jechać, musieliśmy przeczekać.

To była argentyńska pampa, czyli odkryte pustkowie, przez 250 kilometrów pół sklepu, rzeczki, żadnego drzewa – a okazało się, że to najfajniejszy dzień naszej wyprawy. Postanowiliśmy przeczekać do nocy, bo po zachodzie słońca wiatr się uspokajał. Ruszyliśmy przed północą na kolejne 150 kilometrów. I to była najpiękniejsza noc całego mojego rowerowania. Takich gwiazd na niebie w życiu nie widziałam. Jechaliśmy całkiem szybko, droga była asfaltowa i gładziutka, a ja miałam głowę cały czas zadartą w górę.

Czy po takim przeżyciu masz jeszcze jakieś marzenia rowerowe, plany, cele?
Oczywiście, ale już zdecydowanie bliższe. W zeszłym roku miałam ogromną przyjemność i przywilej odwiedzenia Ameryki Południowej, i to aż trzy razy. Ale teraz przynajmniej przez jakiś czas wolę lokalne podróże, gdzie mogę dojechać samochodem albo tylko parę godzin samolotem.

Bardzo marzy mi się Szkocja. W Patagonii odkryłam, że jestem człowiekiem Północy, który kocha jazdę w deszczu. Może niekoniecznie w wietrze, ale w deszczu spoko.

Więc odpowiada mi bardzo nasza polska pogoda. Jest taka... dla koneserów. ●

Natalia Nykiel

• Urodzona w 1995 r., piosenkarka, tekściarka, kompozytorka, jedna z najpopularniejszych polskich wokalistek. Zaczynała od poezji śpiewanej, dziś kojarzona z nowoczesnym, mocno elektronicznym popem. Przepustką do kariery był dla niej finał II edycji „The Voice Of Poland" w 2013 r.. Ma na koncie trzy krążki – „Lupus Electro", „Discordia", „Regnum" – oraz dwie diamentowe płyty, dwie złote i jedną platynową. Laureatka Eska Music Awards i Fryderyka. Z wykształcenia inżynierka środowiska.

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl ae811472f6

RYS. JACEK GAWŁOWSKI

Czytanie o chwytaniu za klamkę i chwytanie za klamkę – dla naszych neuronów granica między czynnością opisaną a wykonaną jest zaskakująco cienka.

Tomasz Witkowski*

UWAŻAJ, CO CZYTASZ

Czy czytanie książek ma jeszcze sens? 59 proc. Polaków nie przeczytało w ciągu poprzedniego roku ani jednej, ale jeśli ktoś przyzna się do tego publicznie, jak Ewa Chodakowska, która stwierdziła, że nie czyta książek, bo teraz sama je pisze, naraża się na zmasowany atak tłumu, który ani nie czyta, ani nie pisze.

Nie zawsze tak było. Artur Schopenhauer, który sam dużo czytał, nie miał oporów, aby w eseju „O czytaniu i książkach" stwierdzić, że czytanie jest jedynie surogatem samodzielnego myślenia. Porównał czytelnika do ucznia, który ołówkiem poprawia linie nakreślone przez nauczyciela.

Filozof uważał, że nadmiar czytania pozbawia umysł elastyczności. I że należy unikać lektury tego, co w danej chwili czytają wszyscy – bestsellerów, ulotnych pism politycznych czy modnych powieści. Potępiał też pisarzy, którzy tworzą dla pieniędzy lub z chęci zdobycia urzędu, uważając ich dzieła za bezwartościowe i szkodliwe dla „prawdziwego pszenicznego ziarna" literatury.

Drażnią mnie płytkie pochwały czytelnictwa zawierające niczym niepoparte obietnice rozwoju wyobraźni i empatii. Irytuje mnie poczucie wyższości ludzi, którzy pochłaniają bezwartościową sieczkę czytelniczą, która zaprząta ich umysł w równym stopniu jak tych, którzy zostają pochłonięci przez kolejny sezon popularnego serialu.

Z tych i kilku innych powodów postanowiłem sprawdzić, co warte jest zajęcie objęte takim społecznym tabu.

Symulator lotu w twojej czaszce

Kiedy w 1999 roku Keith Oatley, angielsko-kanadyjski psycholog poznawczy, a zarazem ceniony powieściopisarz, publikował na łamach „Review of General Psychology" przełomową pracę, zaproponował metaforę: fikcja literacka to rodzaj symulatora lotu dla ludzkiego umysłu.

To porównanie nie było jedynie akademicką igraszką słowną. Oatley, opierając się na odkryciach rodzącej się wówczas kognitywistyki, postawił tezę, że czytanie opowieści nie jest pasywnym odbiorem informacji, lecz procesem uruchamiania skomplikowanego programu w naszym biologicznym mózgu.

Tak jak piloci ćwiczą sytuacje awaryjne czy lądowanie w ekstremalnych warunkach w bezpiecznej kabinie symulatora, tak czytelnik testuje scenariusze społeczne, dylematy etyczne i skomplikowane relacje w zaciszu własnego fotela.

Warto tu przywołać intuicję samego Roberta Louisa Stevensona, szkockiego powieściopisarza, który już w 1884 roku przyznał, że postacie literackie, takie jak jego słynny pirat Długi John Silver, nie są z tego świata.

Stevenson porównał je do kręgów – geometrycznych abstrakcji. Tak jak fizycy używają idealnych kół do rozwiązywania problemów z zakresu mechaniki, tak pisarze i czytelnicy używają fikcyjnych postaci jako „społecznych abstrakcji" do symulowania relacji w realnym świecie. To spostrzeżenie pozwala nam zrozumieć, że fikcja nie jest kłamstwem, lecz precyzyjnym narzędziem myślowym.

Keith Oatley, pisząc o swojej koncepcji, sięgnął do „Poetyki" Arystotelesa, przypominając nam o fundamentalnej różnicy między historią a poezją (fikcją). Historia mówi o tym, co się wydarzyło – o konkretach, które są martwe i zamknięte.

Fikcja natomiast traktuje o tym, co mogłoby się wydarzyć. Dzięki temu operuje ona uniwersaliami, a nie partykularnymi faktami. To właśnie dlatego fikcja jest „dwukrotnie prawdziwsza od faktów" – nie opisuje ona tego, co zrobił jeden konkretny człowiek, ale testuje to, jak każdy z nas mógłby się zachować w danej sytuacji. To nie kłamstwo, to laboratorium możliwości.

Mózg szaleje przy powieści

To, co Oatley opisał jako intuicyjną metaforę, szybko znalazło potwierdzenie w twardych danych z zakresu neuroobrazowania.

Jeffrey Zacks, wybitny badacz procesów poznawczych i neuronauki z Washington University w St. Louis, ze swoim zespołem przeprowadził serię eksperymentów, które rzuciły wyzwanie naszym przekonaniom o nierealności literatury.

Wykorzystując funkcjonalny rezonans magnetyczny (fMRI), Zacks wykazał, że kiedy czytamy o bohaterze, który chwyta za klamkę i wchodzi do kuchni, w naszym mózgu aktywują się dokładnie te same obszary, które odpowiadają za fizyczne chwytanie przedmiotów i orientację przestrzenną.

Innymi słowy, dla naszych neuronów granica między czynnością opisaną a wykonaną jest zaskakująco cienka.

Opublikowany w 2009 roku artykuł opisujący te wyniki wywołał spore poruszenie w świecie nauki.

Jeszcze bardziej intrygujące światło na ten proces rzuciły badania Jennifer Summerfield i Eleanor Maguire z University College London opublikowane w 2010 roku. Badaczki te, chcąc sprawdzić, jak mózg buduje obrazy z samych słów, umieściły ochotników w skanerach fMRI i podawały im zestawy krótkich fraz, takich jak: „ciemnoniebieski dywan", „rzeźbiona komoda" czy „pomarańczowy ołówek w paski".

Wynik był elektryzujący: okazało się, że wystarczą zaledwie trzy takie drobne wskazówki, aby mózg badanych osiągnął maksymalną możliwą aktywność w obszarze hipokampa. To właśnie hipokamp – kluczowa struktura odpowiedzialna za pamięć – pozwalał czytelnikom na wygenerowanie sceny o najwyższym stopniu plastyczności.

Oznacza to, że nasz umysł jest biologicznie zaprojektowany, by z minimalnej ilości literackiego paliwa budować pełnowymiarowe symulacje rzeczywistości.

Tu jednak nauka stawia ważny znak zapytania: Czy samo bierne przesuwanie wzrokiem po literach wystarczy, by cokolwiek zostało nam w głowach?

Julia Schindler i Tobias Richter, psychologowie z Julius-Maximilians-Universität w Würzburgu, współpracując z Raymondem Marem z York University w Toronto, dowiedli, że informacje, które musimy w umyśle stworzyć sami – na przykład poprzez układanie rozsypanych zdań w spójną całość – są zapamiętywane znacznie lepiej niż te, które po prostu podano nam „na tacy" do przeczytania.

To odkrycie demaskuje pewien rynkowy mit: literatura faktu, choć pozornie nas „uczy", jest dla mózgu trudniejsza do przyswojenia, o ile nie zmusimy go do aktywnego wysiłku, na przykład robiąc notatki, podczas gdy fikcja literacka ma ten mechanizm wpisany w swoją naturę.

W przypadku opowieści fabularnych nasz mózg niemal zawsze pracuje na najwyższych obrotach, próbując samodzielnie wypełnić luki w narracji i zrozumieć motywy bohaterów, co sprawia, że fikcję zapamiętujemy lepiej i głębiej bez żadnych dodatkowych ćwiczeń.

W testach pamięciowych to fikcja zazwyczaj wygrywa, bo dobra literatura czyni z nas współtwórców doświadczenia, oferując umysłowi najbardziej naturalny i efektywny rodzaj treningu.

Kropkę nad „i" w koncepcji literackiego symulatora postawił wspomniany już wcześniej Raymond Mar, który w 2011 roku przeprowa-

eprasa.pl ae811472f6

dził gigantyczny przegląd statystyczny 86 badań z wykorzystaniem fMRI.

Mar zidentyfikował obszary mózgu, które angażowane są do trzech pozornie różnych zadań: rozumienia fabuły, wykonywania testów na empatię oraz przewidywania stanów mentalnych innych ludzi.

Odkrył on istnienie tzw. core mentalizing network – wspólnej sieci neuronalnej, która rozbłyskuje z identyczną siłą zarówno podczas czytania o perypetiach bohaterów, jak i w trakcie prób odgadnięcia, co czuje nasz rozmówca w realnym świecie.

To obala przeświadczenie wielu, że książki to tylko wypełniacze czasu. Nauka mówi jasno: każda minuta spędzona z literaturą to intensywny trening teorii umysłu – zdolności do rozumienia intencji i emocji innych – bez którego bylibyśmy społecznie kalecy.

Czytanie jako inkubator empatii?

W 2006 roku Mar i Oatley ogłosili wynik badań potwierdzających, że czytelnicy fikcji lepiej radzą sobie z odczytywaniem emocji z oczu innych ludzi. Prawdziwą bombę rzucili jednak w środowisko badaczy w 2013 roku David Comer Kidd i Emanuele Castano z New School for Social Research w Nowym Jorku, twierdząc na łamach „Science", że wystarczy zaledwie krótki kontakt z literaturą piękną, by natychmiastowo podnieść poziom naszej empatii poznawczej.

Problem w tym, że te rewelacje o błyskawicznym zastrzyku empatii szybko trafiły na metodologiczną rafę. W 2016 roku Maria Panero i jej zespół z Boston College powtórzyli badania, by sprawdzić ich wiarygodność, i ponieśli klęskę. Efektu Kidda i Castano nie udało się potwierdzić.

Ostateczne sprowadzenie na ziemię przyniosły wielkie metaanalizy: Micah Mumper i Richard Gerrig ze Stony Brook University w 2017 roku oraz David Dodell-Feder z University of Rochester i Diana Tamir z Princeton University w 2018 roku wykazali, że owszem, związek między czytaniem a empatią istnieje, ale jego siła jest – mówiąc bez ogródek – znikoma.

Czytanie może nas uwrażliwić, ale jeśli liczysz na to, że po jednej książce nagle staniesz się altruistą, to równie dobrze możesz wierzyć, że od samego patrzenia na mapę staniesz się obieżyświatem.

Warto jednak w tym miejscu podkreślić, że empatia nie jest równoznaczna z umiejętnościami rozumienia innych ludzi określanymi wspólnym mianem teorii umysłu, która jest zdolnością do rozumienia tego, że inni ludzie mają własne myśli, przekonania i intencje.

Empatia to zdolność do współodczuwania emocji innych oraz rozumienia ich perspektywy. Teoria umysłu umożliwia poznanie tego, co myślą inni ludzie i jakimi motywami się kierują, podczas gdy empatia to odczuwanie tego, co czują inni i rozumienie tych przeżyć.

Dobre książki i złe ekrany

No dobrze, ale czy tych samych korzyści nie dostarczą nam ekrany telewizorów i kin? Czy powszechne przekonanie, że telewizja „lasuje mózg", podczas gdy książki go ratują, nie jest przypadkiem kolejnym mitem naszej kultury?

Choć intuicyjnie czujemy, że lektura wymaga od nas większego wysiłku, rzetelne badania pokazują, że kluczem do sukcesu nie jest sam nośnik – ekran czy papier, lecz to, co za jego pośrednictwem trafia do naszej głowy.

Jedno z najważniejszych badań udzielających odpowiedzi na te pytania przeprowadził w 2010 roku wspominany już Raymond Mar z zespołem. Badacze wzięli pod lupę grupę przedszkolaków i odkryli intrygującą zależność: dzieci, którym częściej czytano książki lub które oglądały filmy fabularne, miały znacznie lepiej rozwiniętą teorię umysłu.

Ale częste oglądanie czegokolwiek, co akurat leciało w telewizji, nie dawało takich korzyści, a wręcz wiązało się z gorszymi wynikami. Powód jest prozaiczny: większość programów telewizyjnych rzadko zmusza widza do analizowania skomplikowanych intencji bohaterów czy przyjmowania ich punktu widzenia, co jest fundamentem empatii poznawczej.

Z teoretycznego punktu widzenia literatura ma nad filmem istotną przewagę. Jak zauważa Mar, literatura jest systemem symbolicznym – słowa na stronie to jedynie abstrakcyjne znaki, które czytelnik musi samodzielnie przetłumaczyć na obrazy, dźwięki i sytuacje społeczne w swojej głowie.

Wymaga to intensywnego zaangażowania wyobraźni i procesów inferencji – wnioskowania o tym, co nie zostało powiedziane wprost.

Film natomiast podaje nam gotowe dane zmysłowe – widzimy kły potwora i słyszymy jego ryk, co czyni odbiór bardziej pasywnym i odbiera nam kontrolę nad dystansem emocjonalnym. Z tego powodu czytanie jest często postrzegane jako bardziej wymagający trening umysłowy niż oglądanie telewizji.

Najnowsze dane sugerują jednak, że ten podział na „dobre książki" i „złe ekrany" może być mylący. W 2015 roku Jessica Black i Jennifer Barnes przeprowadziły serię eksperymentów, z których wynikało, że oglądanie wartościowych seriali dramatycznych (padł przykład „Żony idealnej") podnosi wyniki w testach na empatię równie skutecznie, co lektura literatury pięknej.

Z kolei oglądanie programów dokumentalnych nie dawało żadnego efektu doskonalenia umiejętności społecznych. Brak efektu w przypadku dokumentów był uderzający zwłaszcza w tzw. teście Mind in the Eyes polegającym na odgadywaniu stanów emocjonalnych wyłącznie na podstawie spojrzenia.

Te badania mówią, że dla naszego mózgu ważniejsza od nośnika jest złożoność narracji – jeśli historia zmusza nas do śledzenia skomplikowanych relacji i emocji bohaterów, będzie dla nas korzystna bez względu na to, czy trzymamy w ręku pilota, czy papierowy tom.

Fiction czy non-fiction?

Jeśli oglądanie filmów dokumentalnych nie dawało rezultatów, to wróćmy do pytania o korzyści z czytania fikcji i literatury faktu.

Wyczerpującej odpowiedzi dostarczyło badanie, którego tytuł brzmi niemal jak zapowiedź komedii o amerykańskich licealistach: „Mole książkowe kontra nerdzi". Ten opublikowany w 2006 roku na łamach „Journal of Research in Personality" artykuł ukruszył przekonanie, że ludzie pochłaniający stosy powieści to aspołeczni samotnicy uciekający od rzeczywistości w świat fantazji.

Głównym sprawcą tego naukowego zamieszania był Raymond Mar, wówczas ambitny doktorant, który wraz z Keithem Oatleyem i m.in. Jordanem Petersonem (tak, tym samym, który później stał się celebrytą) postanowił sprawdzić, czy czytanie fikcji rzeczywiście czyni nas społecznymi kalekami.

Badacze zaprosili do współpracy 94 osoby i zastosowali sprytny fortel zwany testem rozpoznawania autorów (ART, Author Recognition Test). Zamiast pytać: „Ile czytasz?", co zwykle skłania ludzi do radosnego konfabulowania, podsunęli im listę nazwisk, na której wymieszano prawdziwych twórców literatury pięknej i faktu z całkowicie zmyślonymi postaciami.

Większość z nas w ankietach deklaruje, że czyta więcej niż w rzeczywistości, by wypaść lepiej w oczach ankietera lub własnych. ART, sprawdzając realną znajomość nazwisk, obiektywnie odsiał literackich pozerów od rzeczywistych moli książkowych.

Wyniki, które uzyskali Mar i jego koledzy, były dla wielu rzetelnym policzkiem wymierzonym w tzw. zdrowy rozsądek. W starciu moli książkowych z nerdami okazało się, że to właśnie ci pierwsi, czytający dużo fikcji literackiej, osiągali znacznie wyższe wyniki w testach empatii i teorii umysłu.

Nerdzi, czyli czytelnicy skupieni wyłącznie na faktach, historii czy nauce, radzili sobie w testach społecznych gorzej.

Wygląda na to, że mózg miłośnika literatury faktu działa jak bibliotekarz gromadzący dane, podczas gdy umysł czytelnika powieści przypomina raczej eksperta od relacji międzyludzkich.

Badanie to podważyło opinię, jakoby czytanie było czynnością izolującą. Mar i Oatley wykazali, że mole książkowe w rzeczywistości cieszą się bogatszymi sieciami wsparcia społecznego i rzadziej czują się samotni niż czytelnicy literatury faktu.

> Nasz umysł jest biologicznie zaprojektowany, by z minimalnej ilości literackiego paliwa budować pełnowymiarowe symulacje rzeczywistości

A Frank Hakemulder, badacz z Utrecht University, udowodnił w swoim badawczym eksperymencie, że literacka historia konkretnej algierskiej kobiety pozwala nam głębiej zrozumieć jej sytuację społeczną niż suchy raport o prawach kobiet w tym kraju. Fikcja nie jest więc ucieczką od prawdy, lecz metodą na jej zrozumienie niejako od wewnątrz.

Prawdziwie rewolucyjny dowód na to, jak fikcja nas przeprogramowuje, dostarczyła Maja Djikic, psycholożka z University of Toronto, w badaniu z 2009 roku. Badaczka podsunęła jednej grupie ochotników genialne opowiadanie Antoniego Czechowa „Dama z pieskiem", a drugiej jego streszczenie – suchy raport z sądu.

Wynik był elektryzujący: tylko kontakt z Czechowem doprowadził do mierzalnych, choć subtelnych zmian w osobowości czytelników. Co najciekawsze, każdy badany zmienił się w inny, właściwy tylko sobie sposób. Fikcja literacka nie narzuca nam zatem jednego wzorca, ale poluzowuje nasze sztywne mechanizmy obronne, pozwalając nam na chwilę stać się kimś innym.

Ta sama badaczka wraz z Oatleyem i Mihneą Moldoveanu wykazała, że w procesie otwierania naszego umysłu i zmiany osobowości kluczowy nie jest sam gatunek literacki, lecz poziom artystyczny tekstu. W ich badaniach z 2013 roku okazało się, że zarówno wysokiej próby fikcja, jak i eseje o dużych walorach artystycznych – autorstwa takich mistrzów jak Henri Bergson czy George Bernard Shaw – prowadziły do mierzalnych zmian w obrazie samego siebie u czytelników, czego nie potrafiły dokonać teksty czysto informacyjne.

Oznacza to, że to literackość i kunszt autorów, a nie tylko fabuła, są paliwem dla naszej psychicznej transformacji.

Zanim jednak zamkniemy tę listę korzyści, warto wspomnieć o jeszcze jednej, niezwykle cennej w dzisiejszych, spolaryzowanych czasach, właściwości lektury.

Maja Djikic udowodniła w 2013 roku, że czytanie literatury pięknej znacząco obniża tzw. potrzebę domknięcia poznawczego. Ludzie o wysokim natężeniu tej potrzeby nienawidzą niejednoznaczności, szukają szybkich, czarno-białych odpowiedzi i łatwo ulegają autorytetom.

Wielka literatura, poprzez swoją złożoność i brak tanich happy endów, uczy nas trwania w niepewności.

W świecie, który domaga się kategorycznych sądów, czytanie klasyków okazuje się najlepszym treningiem intelektualnej pokory i odporności na propagandowe uproszczenia.

Ostateczny argument: długowieczność

Czy zatem Schopenhauer mylił się w swoich przeczuciach? Niezupełnie. Wielki myśliciel w pewien sposób przeczuł to, co dzisiaj wiemy na podstawie badań. Jego przestrogi przed złą literaturą i pogonią za nowościami znajdują potwierdzenie w dowodach na wyższość klasyków nad literaturą czysto komercyjną. Filozof dzielił twórców, używając metafory astronomicznej, która do dziś pozostaje boleśnie aktualna.

Gwiazdy spadające: dają chwilowy efekt, robią dużo szumu (jak dzisiejsze viralowe hity z TikToka czy LinkedIna) i szybko znikają na zawsze.

Planety: świecą światłem odbitym, mają lokalny i ograniczony wpływ; często mylone przez laików z gwiazdami stałymi.

Gwiazdy stałe: są niezmienne, stoją na firmamencie, świecą własnym światłem i należą do całego świata, choć ich światło często potrzebuje wielu lat, by dotrzeć do ludzkości.

Prawdziwy geniusz, jak twierdził autor „O czytaniu i książkach", czerpie bezpośrednio z „księgi świata", a wybitne dzieła („gwiazdy stałe") są rzadko doceniane przez współczesnych, gdyż ich sława jest jego zdaniem „późnym owocem".

Dzisiejsza neuronauka stawia jedynie kropkę nad „i": warto czytać te „gwiazdy stałe" nie dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że głównie one oferują naszym umysłom paliwo o wystarczającej liczbie oktanów, byśmy mogli wystartować w nich w podróż ku lepszemu rozumieniu samych siebie.

Jeśli jednak po tych wszystkich wyjaśnieniach nadal szukamy twardego dowodu na wspaniałość książek, warto przywołać badania Avni Bavishi z Yale University z 2016 roku. Przeanalizowała ona dane ponad 3600 osób i odkryła, że regularni czytelnicy książek (nie czasopism czy gazet!) żyją średnio o 23 miesiące dłużej niż osoby nieczytające.

Nawet po uwzględnieniu wieku, płci, wykształcenia czy stanu zdrowia „zaleta przeżycia" u miłośników lektury pozostała znacząca. ●

***dr Tomasz Witkowski**

• Psycholog, pisarz, publicysta. W 2025 r. ukazał się jego zbiór esejów „Zawracanie statków głupców", a w 2026 r. powieść historyczna „Tryptyk haniebny". Za walkę z pseudonauką otrzymał w 2010 r. tytuł Racjonalisty Roku, a w 2020 r. zwyciężył w plebiscycie czytelników magazynu „Focus" w kategorii „Naukowy aktywista".

eprasa.pl ae811472f6

NIE ZAMIENIĘ CZŁOWIEKA NA MŁOTEK

Użyłem nawiasu w tytule książki, bo nie mogłem się zdecydować, czy moje losy powinny być dla czytelników zachętą, czy ostrzeżeniem.

Z **PROF. KRZYSZTOFEM APTEM,** AUTOREM WSPOMNIEŃ „JAK (NIE) ZOSTAĆ EMIGRANTEM" ROZMAWIA **MARTA GRZYWACZ**

FOT. JOHANNES SIMON/GETTY IMAGES

Życiem rządzi przypadek czy determinizm?
– Wiele rzeczy w moim życiu było efektem przypadku. W Paryżu się znalazłem, bo odwiedziłem znajomą parę informatyków w Nancy, którzy powiedzieli, że jeśli będę aplikował do francuskiego odpowiednika PAN-u i dostanę pracę, to będę mógł zostać we Francji na stałe. W Austin, w Teksasie, zostałem zatrudniony, bo ktoś się dowiedział, że opuszczam Paryż. Przypadkiem zająłem się informatyką i teorią gier. Moje małżeństwa też były zupełnie przypadkowe.

Ale z drugiej strony musiałem być na te przypadki otwarty. Moją drugą żonę poznałem w samolocie. Niby przypadek, ale gdybym nie dojrzał do tego, żeby założyć rodzinę, to bym po prostu nie odpowiedział na jej zainteresowanie.

Pana małżeństw by nie było, gdyby – jak pan pisze – nie poczucie osamotnienia na emigracji.
– Bardzo niechętnie mówię i piszę o samotności, bo to bolesny temat. Człowiek eksponuje swoją słabą stronę, tak jakby samotność wiązała się z porażką. A wiem przecież, że nie ja jeden tego doświadczyłem. Wielu przyjezdnych na początku jest osamotnionych. Jednak nie wliczałem tego w koszty, kiedy wyjeżdżałem z kraju.

A co pan myślał o sobie, opuszczając Polskę?
– Wyobrażałem sobie, że w którymś momencie zostanę Francuzem, ale jak by to się miało stać, to już się nie zastanawiałem. Po raz pierwszy wyjechałem na Zachód za sprawą Françoise, którą poznałem w 1973 roku, w Warszawie, podczas „semestru logicznego". Na uniwersytet przyjechało wówczas wielu specjalistów z logiki i studentów. Françoise zaprosiła mnie potem do Paryża, załatwiła mi wykład na tamtejszym uniwersytecie, ale zaznaczyła, że naszego polskiego romansu nie będziemy kontynuować. Mimo wszystko pojechałem. Spędziłem w Paryżu tydzień.

Dwa miesiące później wyjechałem na prestiżową konferencję z logiki do Wielkiej Brytanii i tam przeżyłem szok. Zobaczyłem demonstrację, która nie była pacyfikowana, tak jak w Polsce, tylko ochraniana przez policję.

Drugim szokiem była wizyta grupy nastolatków w szkolnych mundurkach, która zwiedzała Muzeum Nauki w Londynie. Pomyślałem: Jak to? To oni sobie tu tak po prostu chodzą i oglądają te cuda, a ja, ze swoimi ambicjami naukowymi, mogę co najwyżej zobaczyć je w encyklopedii? Dotarło do mnie, jak wolny może być człowiek w kapitalistycznym kraju, dlatego postanowiłem, że wrócę na Zachód.

Drogą do tego miał być doktorat, bo wierzyłem, że dzięki temu będę miał większą szansę na stypendium, najlepiej w Paryżu oczywiście. Doktorat zrobiłem pół roku później, z logiki matematycznej. Podobno jako najmłodszy w Polsce. Miałem 24 lata. Wyjeżdżałem bez pieniędzy, ale w poczuciu, że mam wiedzę.

Jednak zamiast w Paryżu znalazł się pan w holenderskim Nijmegen.
– Profesor Andrzej Mostowski, mój promotor, załatwił mi tam roczne stypendium, z którego już do Polski nie wróciłem. Mimo że miałem etat w Polskiej Akademii Nauk, to żadnej szansy na mieszkanie w Warszawie, bo na stałe byłem zameldowany we Wrocławiu. Był 1974 rok. Uznałem, że nie mam w Polsce perspektyw.

A za granicą szybko przyszło rozczarowanie...
– Poziom nauki w zakresie logiki matematycznej był na uniwersytecie w małym, prowincjonalnym Nijmegen fatalny. Więc ten rok poświęciłem niemal wyłącznie na szukanie pracy. Nie miałem szans, żeby wykładać matematykę, ale pewien znajomy logik poradził mi, żebym szukał w informatyce. To była nowa dziedzina, nic na jej temat nie wiedziałem, ale inni też niewiele.

Pomogło mi matematyczne wykształcenie. Zostałem zatrudniony na kontrakcie w Mathematisch Centrum w Amsterdamie, jednak bez prawa stałej pracy, które miałem uzyskać później. Były z tym kłopoty, a nie chciałem się uciekać do nieetycznego chwytu, że byłem w Polsce prześladowany, bo nie byłem. W końcu udało mi się dzięki pomocy szefowej działu personalnego. Sześć lat później dostałem holenderskie obywatelstwo.

Podobała się panu nowa praca?
– Seminaria bardzo się różniły od polskich. Ludzie siedzieli od siebie daleko, prawie ze sobą nie rozmawiali. Nikt nie chciał się wybijać. Holendrzy uważają, że nie należy się wywyższać, że trzeba zachować skromność. Nazywam to „holenderską chorobą". Moim zdaniem taka postawa wynika z przekonania, że Holandia jest krajem małym i nieważnym, że trzeba pracować uczciwie, ale nie wolno dać się ponieść ułudzie sławy.

Jeden z moich znajomych, Guido van Rossum, Holender, stworzył język programowania Python, najpopularniejszy na świecie. To było w naszym instytucie, w Amsterdamie. Ale nikt go tam poważnie nie traktował. Karierę zrobił za granicą. Kiedyś moja córka rozwiązywała krzyżówkę „New York Timesa", bardzo trudną. I jedno z haseł brzmiało: imię twórcy języka Python. Wysłałem mu maila z tą krzyżówką i napisałem, że powinien ją sobie wydrukować i powiesić na ścianie, bo ile osób z imienia i nazwiska stało się bohaterami krzyżówki „New York Timesa"?

Inny kolega, Lambert Meertens, stworzył nowatorski komputerowy program generujący muzykę. Nikt z jego otoczenia się tym nie przejął. Holandia to nie jest kraj dla wybitnych ludzi. Niemniej zdobyłem tam doświadczenie w nowej dziedzinie wiedzy i mogłem ruszyć dalej, tym bardziej że kontraktu w Amsterdamie mi nie przedłużono. Okazałem się niesubordynowanym pracownikiem, poparłem nie tę osobę, co trzeba, i trzy lata później musiałem odejść.

Andrzej Blikle pisał na okładce pana książki, że naukowcy – informatycy z Europy Wschodniej – byli na Zachodzie traktowani po macoszemu.
– Andrzej jest ode mnie 10 lat starszy, jego sytuacja była trochę inna, ale faktem jest, że komunizm ograniczał kontakty z Zachodem, także naukowe. Do Polski pewne nowości nie docierały, więc naszym informatykom już na starcie było trudniej. Ja akurat wygrałem los na loterii, bo studiowałem matematykę we Wrocławiu, a mój promotor miał bliskie kontakty z naukowcami z Zachodu, więc logika na naszym uniwersytecie była na światowym poziomie. Na Zachodzie nieraz potem słyszałem: „Ach, ty jesteś z polskiej szkoły matematycznej!". To mi bardzo pomogło.

W tamtych czasach nie wszyscy też umieli się odnaleźć za granicą. Kiedyś z przyjaciółmi z Polski zwiedzałem Amsterdam. Na jednym z mostów pokazywałem im łodzie mieszkalne usytuowane wzdłuż kanałów. I nagle stojący na jednej z nich mężczyzna odzywa się do nas: „Słyszę, że mówią państwo po polsku". Okazało się, że był Polakiem. Zaprosił nas do siebie. Nie byliśmy z żoną pewni, czy iść. Był starszy, bardzo zaniedbany. Pytam go: A kim pan jest z zawodu? Matematykiem. O, ja też. A gdzie pan studiował? We Wrocławiu. To tak, jak ja! A z kim? Z Hulanickim. Na moją uwagę, że był to udany rok, bo byli na nim świetni matematycy, jak Balcerzyk i Świerczkowski, usłyszałem: To ja jestem Świerczkowski!

To dopiero zbieg okoliczności.
– Niezwykły. Staszek był oryginałem. Wyjechał z Polski na początku lat 60., porzucił pracę na uniwersytecie, bo go stresowała, wyjechał do Kanady, gdzie został kierowcą ciężarówek. Do Holandii przyjechał po to, żeby zbudować jacht, ale opornie mu to szło, był w trudnej sytuacji finansowej. Miał co prawda ofertę pracy na wydziale matematyki Uniwersytetu Amsterdamskiego, ale ją odrzucił. W końcu, żeby z czegoś żyć, wylądował na Uniwersytecie w Omanie. Na koniec przeniósł się do Australii i tam zmarł w 2015 roku.

Witold Lipski – wspaniały informatyk, którego poznałem we Francji jesienią 1983 roku, mój rówieśnik, dostał roczne stypendium we Francji. Był po Politechnice Warszawskiej, świetnie wykształcony, z dobrymi kontaktami za granicą, ale rok po przyjeździe do Paryża zmarł na raka. Miał 35 lat. 20 lat później, wspólnie z kolegami zainicjowaliśmy Nagrodę imienia Witolda Lipskiego dla młodych polskich naukowców w dziedzinie informatyki.

Wielką karierę zrobił natomiast doktorant Lipskiego Tomasz Imieliński, który osiadł w Stanach i pracuje na Rutgers University w New Jersey; Marta Kwiatkowska została profesorem informatyki w Oksfordzie. Także w Liverpoolu i na Uniwersytecie w Warwick pracują wybitni polscy informatycy. Anglia ze względu na mniejszą barierę językową dawała większe możliwości. Młode pokolenie informatyków radzi sobie doskonale. Szczególnie ci, którzy pracują w firmach zajmujących się sztuczną inteligencją.

Tymczasem, po odejściu z Mathematisch Centrum, majaczyło przed panem widmo powrotu do Polski.
– To nie wchodziło w grę. Mogłem nawet trafić do więzienia. Szczęśliwie kolega powiedział mi, że jest praca w Rotterdamie. Ale tam nikt nie pracował naukowo. Prowadzono tylko wykłady. A w każdej wolnej chwili plotkowano. Ja w tym czasie siedziałem w bibliotece, przygotowując publikacje naukowe, co budziło ogromne zdziwienie. Wreszcie po siedmiu latach w Holandii udało mi się wyjechać do Paryża.

A tam poświęcił się pan raczej polityce niż nauce.

eprasa.pl ae811472f6

– To były czasy „Solidarności", która wielu z nas porwała. Jeszcze gdy byłem w Holandii, zaczęła do mnie docierać literatura wydawana przez „Kulturę Paryską". Przeczytałem „Zniewolony umysł" Miłosza, „Archipelag Guług" Sołżenicyna, „1984" Orwella i byłem porażony, jakimi kłamstwami karmiono nas w Polsce. W czasie wakacji pojechałem do Paryża, jeszcze wtedy licząc na dalszą znajomość z Françoise, i przy tej okazji skontaktowałem się z Jerzym Giedroyciem. On i Herling-Grudziński potraktowali mnie, młodego człowieka, bardzo poważnie. Może przekonały ich te książki, które przeczytałem. Zacząłem prenumerować paryską „Kulturę", dostawałem też od nich paczki z książkami, które szmuglowałem do Polski.

Po przeprowadzce do Paryża chciałem nadal działać dla „Solidarności" i przez Aleksandra Smolara poznałem Basię Toruńczyk, która wpadła na pomysł, aby stworzyć „Zeszyty Literackie". I namówiła mnie, żebym został dyrektorem wydawniczym. Chyba wyczuła, że mam żyłkę organizacyjną.

Zajmowałem się absolutnie wszystkim poza treścią, łącznie z naklejaniem znaczków na koperty. Byłem też intensywnie zaangażowany w organizację szmuglu „Zeszytów" do Polski. W tej sytuacji nauka faktycznie zeszła na drugi plan, co miało konsekwencje dla mojej kariery. Może gdyby nie fakt, że zająłem się „Zeszytami", poznałbym więcej Francuzów i mógł się lepiej rozwinąć? A tak to człowiek się zagnieździł w tym polskim grajdołku.

Wyczuwam żal.
– Może nie żal, ale los, którego nie dało się uniknąć.

Czyli jednak determinizm.
– Żeby było jasne – uważam, że z zagranicy mogłem pomóc „Solidarności" lepiej, niż będąc w Polsce. Uważałem też, że w ten sposób spłacam dług wdzięczności wobec kraju, w którym się wychowałem i wykształciłem za darmo. Bo miałem z tego powodu wyrzuty sumienia. Podobnie zresztą jak wobec rodziny, która została w Polsce. Mama, siostra bliźniaczka. Po jakimś czasie doszedłem jednak do wniosku, że jeśli nadal chcę pracować naukowo, to muszę komuś przynajmniej ten szmugiel do Polski przekazać. Tym kimś był Mirek Chojecki. Dwa lata później wróciłem do Holandii.

A potem były jeszcze Stany Zjednoczone, Singapur. Pół świata pan objechał w poszukiwaniu swojego miejsca na ziemi.
– W Ameryce trudno jest być emigrantem. Pisali o tym Miłosz i Stanisław Ulam, wybitny matematyk, który uważał, że Stany to pustynia kulturalna. Wiele osób nie potrafiło się tam odnaleźć. Ja też to podobnie odczuwałem. Paryż z kolei był bardzo szowinistyczny. Francuzi są przekonani o swojej wyższości i przez to niedostępni dla innych. Nie od razu to widać, bo są też bardzo towarzyscy i mają dużą ogładę. Choć przy tej ogładzie fatalnie przedstawiał się stan ich toalet. Szokowało mnie, że w ogromnym budynku uniwersytetu znajdowała się jedna toaleta. Rezultat był taki, że w garażu zawsze unosił się charakterystyczny smród.

Z drugiej strony rozmowy były ciekawsze niż w Rotterdamie, a na lunch piło się wino, niewiele droższe niż woda mineralna. Holandia to kraj w pewnym sensie chłopski, więc Holendrzy bywają niezgrabni w towarzystwie, mało rozmowni, ale mają pewne cechy, które ogromnie cenię. Przede wszystkim uczciwość i rzetelność. Dla mnie to bardzo ważne, dlatego osiadłem w końcu na stałe w Holandii.

Dawniej w Holandii nie zamykano drzwi na klucz, dziś już jest inaczej.
– To jednak wciąż jest kraj, gdzie panuje transparentność. I szczerość. Holendrom się wydaje, że słuszne jest mówić ludziom prawdę w oczy, bez ogródek. Dla mnie to trochę za dużo, ale Holandia jest dobra z wielu innych względów. O ile w Ameryce czułem się źle, bo tam się wszędzie jeździ samochodem, to w Holandii samochodu nie używam i w ogóle nie posiadam. Chodzę pieszo albo jeżdżę rowerem. Często, gdy zatrzymuję się na światłach, rozmawiam z drugim rowerzystą albo przechodniem. To jest całkiem naturalne i odpowiada mojej potrzebie kontaktu z ludźmi.

Poza tym bardzo podoba mi się holenderski system ekonomiczno-polityczny. Holendrzy są po prostu nastawieni na kompromis i wiedzą, że taką albo inną drogą muszą dojść do zgody. To jest również bardzo tolerancyjne społeczeństwo, dlatego między innymi mogą tu funkcjonować pokojowo różne religie.

Tolerancji uczyłem się właśnie w Holandii, bo z Polski jej nie wyniosłem.

A Azja?
– Singapur to jest pewnego rodzaju oświecona autokracja. Są tego plusy i minusy. Kraj prowadzony jest jak wielkie przedsiębiorstwo, z różnymi ograniczeniami, ale i korzyściami. Kiedy organizowałem tam konferencję, nie mogłem sobie wyobrazić lepszej obsługi. W Holandii musiałem się uganiać za sekretarką, prosić, żeby coś zrobiła, a tam przydzielono mi ludzi do pomocy, którzy jeszcze pytali, co więcej mogą zrobić. Trzy lata w Singapurze były wspaniałe. Ale cieszyłem się, że wracam do Europy. Obsesyjne stawianie na jakość regularnie mierzoną, od której zależała moja pensja, było dla mnie bardzo trudne do zniesienia.

Zmieniał pan kraje i dziedziny wiedzy. Oprócz matematyki i informatyki zajmował się pan ekonomią i teorią gier, która według definicji określa optymalne zachowanie w przypadku konfliktu interesów, a odnosi się do ekonomii, biologii, socjologii. Do życiowych wyborów także?
– Tak, bo są różne strategie podejmowania decyzji. Niektóre bardziej zachowawcze, inne ryzykowne. Na mój wyjazd z Polski patrzę jak na strategię bardzo ryzykowną, bo mogłem na tym wygrać, ale i przegrać. Teoria gier to dobre narzędzie do rozumienia różnych konfliktów.

Grać czy nie grać?
– Przede wszystkim jak grać. Weźmy tak zwaną „tragedię wspólnego pastwiska". Powiedzmy, że mamy pastwisko z darmową trawą. Wiadomo więc, że każdy przyjdzie tam ze swoją krową i pastwisko szybko zniknie. W teorii gier rozważamy, jak uniknąć tego problemu. A patrząc szerzej – jak doprowadzić do tego, aby zasoby, które posiadamy i które należą do nas wszystkich, nie wyczerpały się za szybko. Jak sprawić, żebyśmy ich nie zniszczyli.

Jest też „dylemat więźnia". Przypuśćmy, że jakieś małżeństwo się rozwodzi. Każde z małżonków decyduje się na adwokata. Drogi adwokat załatwi nam lepszą ugodę rozwodową. Tańszy gorszą. Więc każdy będzie wolał tego droższego, tylko że oboje małżonkowie na tym stracą. Wygraliby, gdyby każde z nich wzięło tańszego adwokata, bo zapłaciliby mniej za jego usługi. W polityce „dylemat więźnia" najlepiej oddaje wyścig zbrojeń. Państwa wydają na zbrojenia duże pieniądze, które są w istocie wyrzucone w błoto. Lepiej by więc było, gdyby strony zbroiły się na małą skalę. Wtedy państwa chroniłby swój budżet. Warunkiem jest jednak, aby wszyscy robili to samo.

Ominął pana boom na sztuczną inteligencję?
– Gdy jeszcze pracowałem, bo od 12 lat jestem na emeryturze, sztuczna inteligencja dopiero raczkowała, ale nie ominęła mnie do końca. Postawiłem jednak na złego konia, bo na tak zwane podejście symboliczne – dochodzenie do pewnych wniosków za pomocą dedukcji. Zajmowałem się sztuczną inteligencją, która była oparta na rozszerzeniu logiki. I to wówczas był główny kierunek. Osoby, które tworzyły tę dzisiejszą AI, na podstawie sieci neuronowych, były przez grono naukowców z mojego kręgu tępione. Tak jak Geoffrey Hinton, potem laureat Nobla z fizyki i Nagrody Turinga z informatyki, który nie mógł dostać pracy po doktoracie, bo sieci neuronowe nikogo nie interesowały. Zaproszono go na jedną rozmowę – na Wydziale Psychologii. Wyjechał potem do Stanów i Kanady. Ja nie miałem wówczas tak szerokich horyzontów, żeby dostrzec, że za podejściem, które prezentował, kryje się wielki potencjał. Wtedy te jego pomysły uważano za niepoważne.

Dlaczego?
– Nikomu nie przychodziło do głowy, że maszyny mogą się uczyć. A zaczynało się od najprostszych rzeczy. Pisze o tym Andrzej Dragan w swojej ostatniej książce „Quo vAIdis". Uczenie polega na popełnianiu błędów i naprawianiu ich. Jest, powiedzmy, seria zdjęć psów i kotów. I trzeba napisać program, który będzie odróżniał jedne zwierzęta od drugich. Coś takiego Hinton robił już dawno. W 2010 r. współtworzył program, który się uczy, oparty właśnie na sieci neuronowej.

Polak Jarosław Kutyłowski był współzałożycielem firmy DeepL, której popularny program do tłumaczenia też jest oparty na sieciach neuronowych. Natomiast w tej sztucznej inteligencji, którą ja się zajmowałem w latach 80. i 90., wszystko było oparte na logice. Dzisiejsze sieci neuronowe są tak rozwinięte, że trzeba ogromnej liczby procesorów, żeby je przetworzyć. A o tym, że takie procesory powstaną, 20 lat temu nie mieliśmy pojęcia.

Nie obawia się pan tej siły, która może nam się wymknąć spod kontroli?
– Jestem przerażony tym, że ludzie chcą używać AI do zastąpienia kontaktów towarzyskich.

Trzeba mieć świadomość, po co żyjemy. Bo nie po to, żeby ciągle coś usprawniać. Używam Kindla z konieczności, ale to nie jest mój wybór

AI to jest narzędzie, takie samo jak młotek. Ale ja bym nie zamienił żadnego człowieka na młotek. A po drugie – trzeba mieć świadomość, po co żyjemy. Bo przecież nie po to, żeby ciągle coś usprawniać. Lubię trzymać w ręku książkę, przewracać kartki. Używam Kindla z konieczności, ale to nie jest mój wybór. W kwestii smartfona wreszcie się poddałem, ale dopiero dwa lata temu. Życie składa się z drobnych rzeczy, które nie są sformalizowane. Nasza rozmowa nie musi przecież prowadzić do usprawnienia czegokolwiek.

Uganianie się za coraz większym ekranem telewizora to droga donikąd.

I kto to mówi... Przecież to wy, naukowcy, cały czas usprawniacie nam świat. Dokąd nas to zaprowadzi?
– Mogę sobie wyobrazić, że jakiś robot odpali kiedyś bombę atomową. A z drugiej strony – każde narzędzie niesie ryzyko. Bomba atomowa oznacza zniszczenie, ale energia atomowa jest przydatna jako rozwiązanie na zanieczyszczone powietrze. Dlatego jestem za tym, żeby takie rzeczy były zabezpieczone prawem. W dyskusji, która toczy się między Europą a Stanami, jestem po stronie Europy, i za tym, żeby do prawodawstwa wprowadzić przepisy, które będą regulowały dostęp do pewnych informacji i narzędzi.

Osiągnął pan w życiu to, co pan chciał?
– W pewnym sensie tak. Ale mam starszego kolegę z pracy, i tak sobie rozważamy czasem, że nasze kariery mogły się lepiej potoczyć. Nauka jest coraz bardziej zbiurokratyzowana, człowiek jest ciągle zobowiązany do pracy nad nowymi projektami, do planowania kolejnych kroków. W związku z tym nie ma chwili, żeby można było odsapnąć i szerzej się zastanowić, co jest ważne, dlaczego chcę się tym zajmować itd. Jeżeli chce się być kreatywnym, to potrzeba wolności, nie można cały czas odczuwać presji.

Wyjechał pan z Polski, żeby mieć wolność, a teraz mówi pan, że mu jej brakowało.
– Najbardziej z tej wolności skorzystałem w Singapurze, gdzie nauczyłem się ekonomii. Właściwie od zera. Ale byłem już po pięćdziesiątce. W Austin, gdy mogłem się zajmować tym, czym chciałem, to akurat nie miałem jakichś istotnych nowych pomysłów naukowych.

Znalazł się pan kiedyś na liście 250 najbardziej cytowanych informatyków na świecie, otrzymywał pan oferty pracy z całego świata, siadał pan do rozmów z noblistami. Czego panu zabrakło do poczucia, że osiągnął pan pełnię sukcesu?
– Naprawdę wybitne osiągnięcia polegają na tworzeniu nowych teorii. A ja nie umiałem się wybić na ten poziom. Usprawniałem teorie innych. Robiłem to bardzo dobrze, i to jest niezmiernie ważna rola, bo wiele osób nie wie, że twórcy nowych teorii informatycznych mają pomysły, których nie dopracowują. Inni to za nich robią. I ja właśnie byłem osobą, która sprząta po innych. Przykład – kryptografia. Karty kredytowe, którymi płacimy, zabezpieczane są kryptograficznymi algorytmami. Dzięki temu płatności są bezpieczne. Na pomysł wpadło dwóch Amerykanów, ale to ci, którzy dopracowali jego szczegóły, jako pierwsi dostali Nagrodę Turinga. A twórcy dopiero potem.

Więc w gruncie rzeczy nie narzekam, bo wiem, że moja rola w nauce była bardzo ważna. W szczególności przyczyniłem się do stworzenia podstaw programowania przy użyciu logiki i miałem istotny wkład w jedną z głównych teorii dowodzenia poprawności programów. Napisałem też często cytowanie książki. Ale własnej teorii nie stworzyłem. Czasami nie ma się tej iskierki geniuszu.

Szczerze pan mówi o sobie. I pisze.
– W autobiografiach, szczególnie polityków i naukowców, mierzi mnie skupianie się na sukcesach. To jest w pewnym sensie nieuczciwe. Dlatego uznałem, że napiszę otwarcie o swoich porażkach i sukcesach, życiowych i naukowych.

Pretekstem do spisania wspomnień była śmierć mojej siostry bliźniaczki. Ciężko przeżyłem jej odejście. Pomyślałem też, że może innych zainteresuje plejada fascynujących osób, które poznałem w życiu prywatnym i naukowym: Staś Świerczkowski, Edsger Dijktra, Alina Margolis Edelman, Wojtek Karpiński, Adam Zagajewski i inni. Użyłem tylko nawiasu w tytule książki, bo nie mogłem się zdecydować, czy moje losy powinny być dla czytelników zachętą, czy ostrzeżeniem. Ale dzisiaj, kiedy śnię, to są to sny zadowolonego z życia człowieka. ●

FOT. INSTYTUT INFORMATYKI UW

Prof. Krzysztof Apt

• Urodził się w 1949 r. w Katowicach. Jest światowej sławy informatykiem afiliowanym przy CWI, holenderskim matematyczno-informatycznym instytucie w Amsterdamie oraz przy Uniwersytecie Warszawskim. Współzałożyciel i pierwszy dyrektor administracyjny „Zeszytów Literackich".
Na stałe mieszka w Holandii. Jego autobiograficzno-naukowo-publicystyczną książkę **„Jak (nie) zostać emigrantem"** wydały Iskry w marcu 2026. Dostępna także w formie e-booka na Publio.pl.

eprasa.pl ae811472f6

HAMLET NIE DO ZNIESIENIA

„To po prostu mały, niewdzięczny, uprzywilejowany gnój, który zachowuje się okropnie"

Z AKTOREM **ANTKIEM SZTABĄ**, „WYWROTOWYM" HAMLETEM Z TEATRU POWSZECHNEGO ROZMAWIA **MAJA STANISZEWSKA**

FOT. PAWEŁ JAŚKIEWICZ

W teatrach w Polsce mieliśmy w tym sezonie aż 8 adaptacji „Hamleta". Trzy z nich, w tym ta, w której grasz, rywalizują teraz na Festiwalu Szekspirowskim o Złotego Yoricka*. Dlaczego akurat „Hamlet", a nie „Makbet" albo „Ryszard III"?
– Nie mam pojęcia. Żyjemy w epoce remiksu. Pierwsza scena naszego spektaklu insynuuje, że za pomocą sztucznej inteligencji – albo braku naszej własnej – będziemy tylko powielać to, co już było. W kulturze hip-hopu powszechne jest samplowanie dawnych utworów, wrzucanie ich w pętle. Taki recykling z zaskakującym często efektem.

Mnie się podoba reinterpretowanie dawnych dzieł. Tylko warto mieć na to pomysł, wiedzieć, po co się to robi i co się chce tym opowiedzieć, a nie kolejny raz pokazywać coś, co już zostało pokazane. Wydaje mi się, że w naszym „Hamlecie" w warszawskim Teatrze Powszechnym to się udało.

Co zrobiliście?
– Zdjęliśmy prawie wszystkie monologi Hamleta napisane przez Szekspira i rozebraliśmy księcia z całej jego szlachetności. A wtedy okazało się, że to po prostu mały, niewdzięczny, uprzywilejowany gnój, który na elsynorskim dworze, a właściwie w naszej firmie – Danii – zachowuje się okropnie. Niby ma jakiś cel, ale – jak sam mówi – „stracił tyle sposobności spełnienia strasznego rozkazu" i go wciąż, nie wiedzieć czemu, nie realizuje.

Klei mi się to z obrazem mojego pokolenia, które z jednej strony ma bardzo dużo świadomości i wrażliwości, mówi o emocjach, o uczuciach, o tym, co się dzieje na świecie, a z drugiej – jak wypunktowuje pięknie Ania Ilczuk w dopisanym przez reżysera Kamila Białaszka monologu Gertrudy: co możemy zrobić? Przykleić się do ulicy? Zrobić petycję na Facebooku? To niby są szlachetne ruchy, ale co one dają w większej perspektywie? Niewiele. Nadal żyjemy w tym systemie, a system jest za silny.

Wchodząc w dorosłość, wielu, w tym ja, myśli: „o tak, odkryłem Matrix, teraz z niego wyjdę", i szuka tego wyjścia, próbuje nie być w systemowym społeczeństwie. No i co? Nawet walcząc, prędzej czy później stajesz się

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

elementem kodu. Gdzieś ostatnio przeczytałem zdanie, z którym się bardzo utożsamiam, mając już 24 lata, czyli powoli jakieś doświadczenie w dorosłości zbierając: że ostatnim etapem wyjścia z Matriksa jest po prostu zaakceptowanie go i nauczenie się jak żyć w nim po swojemu.

Ale Neo jednak starał się ludzkość uwolnić, bo człowiek jako bateria dla maszyny to nie jest coś, czym chcemy być.
– Jedyna wizja uwolnienia, jaka mi się snuje, jest apokaliptyczna. Że musiałoby się coś naprawdę wielkiego stać, jakiś ogromny przewrót, wojna światowa, atomówki. Albo – jak w naszym spektaklu – powrót człowieka do małpy.

Trudno mi dziś wyobrazić sobie tak głęboką zmianę bez jakiegoś ogromnego przełomu.

A jak się czujesz jako Hamlet podczas monologu Gertrudy? U Szekspira przychodzi on do matki z pretensjami, że po śmierci jego ojca wyszła za mąż za stryja: „Zrobiłaś coś, co skaziło całą twoją czystość, zmieniło cnotę w obłudę". Pierwszy raz oglądałam spektakl, w którym królowa, zamiast się wstydzić czy kajać, odpowiada synowi wprost, że on nie ma pojęcia, o czym mówi.
– To moja ulubiona scena z całego spektaklu i dużo moich znajomych czy obcych widzów podziela tę opinię. Uważam, że Kamil popisał się dramaturgicznie, zarówno jeżeli chodzi o Gertrudę, jak i Ofelię, poszerzając ich historie. Ten monolog jest doskonałym przykładem.

Hamlet w oryginale Szekspira przychodzi nawrzucać matce, a tutaj jest na odwrót – zderzenie go z rzeczywistością jak z tirem. Zawsze sobie pod tę scenę – kiedy dziecko, czyli Hamlet, wchodząc w dorosłość, łapie perspektywę rodzica – podkładam swoje sytuacje z mamą czy z tatą. Szczególnie kiedy ona albo ojciec byli na widowni. Byłem bardzo ciekaw, jak odbiorą tę scenę, w ogóle cały spektakl. Nie zawiodłem się.

A jak ja się czuję? Mam wrażenie i taki też jest mój zamysł, żeby być w niej obrazem mojego pokolenia, które, jak już mówiłem, za świadomość społeczną, emocjonalną czy ogólną wrażliwość bardzo cenię, ale są też rzeczy, których nie lubię. Również w sobie.

Sam jako Antek lubię otrzymać jakąś nieznaną mi prawdę na swój temat, dlatego super móc to zagrać w takich warunkach. Z tym, że Hamlet radzi sobie z przyjęciem tej prawdy trochę gorzej.

Czuję się wtedy obnażony jako Hamlet, Antek i trochę jako pokolenie. Wspaniale jest tym żonglować.

Są też w tej scenie rzeczy, które nam wyszły z improwizacji, organicznie, jak dialog o prawictwie Kanta czy wyniesienia ciała Poloniusza. Takiej prawdziwości relacji matko-synowskiej i międzypokoleniowej to nabrało w małych gestach.

Kiedy oglądałam spektakl, za mną na widowni siedziała twoja babcia, Katarzyna Grochola.
– Przyszła drugi raz. Była w secie premierowym, widownia była niezbyt reaktywna, mimo że ten spektakl daje do tego duże pole. A ona jako pierwsza widzka swoim niskim, przepalonym głosem na pytanie, które zadaję publiczności jako Hamlet: czy mordowałaby, żeby zemścić się za śmierć bliskich, odpowiedziała trochę za głośno: „No ja bym tak zrobiła". Zdziwiony zmierzyłem ją tylko wzrokiem, widownia w śmiech, a ja szybko kalkulowałem w połowie monologu, czy mogę wejść z nią w dialog, mocno prywatnie, ale wtedy pomyślałem, że to nie jest właściwy moment.

Potem sobie plułem w brodę i powiedziałem babci po spektaklu, że żałuję, bo mogliśmy razem zagrać. A ona stwierdziła, że przyjdzie drugi raz. I zagraliśmy sobie.

Jakie to uczucie, kiedy przychodzą najbliżsi?
– Najwspanialsze! Kocham to.

Nie masz większej tremy?
– Nie! Pytam ich, gdzie siedzą! Nie chcę powiedzieć, że gram wtedy dla nich, bo wiadomo, że jest cała sala widzów, którzy są równie ważni, ale to jest dla mnie najwspanialsze. To chyba coś z dzieciństwa, kiedy się robi przed rodziną różne pokazy. Ja może wtedy tego nie robiłem, ale teraz to sobie odbijam. I zawsze jestem bardzo ciekawy ich odbioru.

Nasz spektakl ma opinie raczej pozytywne, ale jest dość odważny, kontrowersyjny, toteż zdarza się, że ktoś wyjdzie w trakcie. Dlatego tym bardziej jestem ciekaw, co się nie podobało, która postać czy scena przykuła ich uwagę itd. Jest to dla mnie interesujące przez mnogość perspektyw.

Inaczej było przy „1989", kiedy prezydent Kwaśniewski przyszedł w końcu na spektakl. Wtedy, mimo że już byłem po ponad stu spektaklach, w których go grałem, czyli miałem to dobrze obcykane, wjechała nagle trema. Po pierwsze, żebym wszystko zrobił dobrze, a po drugie – co on pomyśli, widząc interpretację swojej osoby na scenie. Interpretację, jak to ktoś określił, brawurową.

I co powiedział?
– Wydawał się zmieszany, bardzo przejęty. Ale raczej zadowolony. Chwilę rozmawialiśmy, ale ja przejęty byłem chyba jeszcze bardziej, bo wiele z tej rozmowy nie pamiętam.

Pani Jolanta Kwaśniewska za to rozmarzyła się, co by to było, gdyby jej mąż tak tańczył jak ja.

Mnie się podoba reinterpretowanie dawnych dzieł. Tylko warto wiedzieć po co się to robi. Nasz spektakl ma opinie raczej pozytywne, ale jest kontrowersyjny, zdarza się, że ktoś wyjdzie w trakcie. Dlatego jestem ciekaw, co się nie podobało

Mówiłeś, że w dzieciństwie przed najbliższymi nie występowałeś. Skąd się zatem wzięło aktorstwo?
– W podstawówce były pierwsze kółka teatralne, jeszcze nie do końca z mojej inicjatywy, tylko mama mnie trochę popychała, bo uważała, że może warto. Byłem adehadowym dzieckiem, rozwalałem wszystkie zajęcia, na które chodziłem, czy to szkolne, czy pozaszkolne, albo mnie wyrzucano, albo próbowano wyrzucić.

Byłem koszmarem małym, ale przełożyło się to właśnie na to, i do dzisiaj w sumie to tak funkcjonuje, że jak mam miejsce, gdzie mogę to wyładować, jak scena, no to się trochę uspokajam.

W 2012 roku pojawiła się moja ukochana szkoła musicalowa, czyli Warsztatowa Akademia Musicalowa, w której spędziłem osiem lat, czyli pół dzieciństwa. Właściwie aż do momentu, kiedy dostałem się do Szkoły Filmowej w Łodzi.

Coroczne występy odbywały się w Teatrze Roma albo na Torwarze i to we mnie zaszczepiło bakcyla scenicznego. Kocham być na scenie, szczególnie kiedy mogę złapać kontakt z publicznością.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że chęć występowania wynika z jakiegoś deficytu, że musisz pokazać się i być docenionym, oklaskiwanym. Coś może być na rzeczy, bo mamy wszyscy jakiś wspólny mianownik. Nie wiem, jaki mam deficyt, ale lubiłem i lubię to robić.

Był moment, kiedy z przesytu pracy i wielu projektów naraz czułem, że skręcam w stronę jakiegoś wypalenia – co byłoby dosyć dziwne w moim wieku – ale wróciłem na dobry tor. Znowu się tym jaram.

Na stronie Teatru Słowackiego w Krakowie, w którym dostałeś etat jeszcze w trakcie studiów, napisałeś w biogramie: „Lubię tańczyć i krzyczeć. Doceniam, że są ludzie, którzy lubią to oglądać i płacić za to pieniądze".
– Lubię, że w 2026 roku ludzie nadal lubią wydarzenia na żywo, mimo że prawie wszystko można teraz obejrzeć na ekranie. A to, że dają za to pieniądze, jest w ogóle wyborne.

Ale przede wszystkim cieszy mnie, kiedy mogę dać ładunek pozytywnej energii, albo w ogóle jakiejś. Zapewnić przeżycie czy zrozumiale podać historię ciekawą.

Studiowałeś w Łodzi, jak się więc znalazłeś w Krakowie?
– Do Krakowa w ogóle nie zdawałem, bo nie chciałem się tam przeprowadzać, co przewrotnie życie zweryfikowało parę lat później. Kiedy po drugim roku w Szkole Filmowej w Łodzi dostałem rolę w musicalu „1989" w Teatrze Słowackiego w Krakowie, musiałem wziąć dziekankę.

Spektakl okazał się niemałym sukcesem, grania było bardzo dużo, więc by łączyć to ze szkołą, za namową przyjaciółki z obsady przeniosłem się do Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie.

Byłem zachwycony – nie tylko szkołą, ale też Krakowem jako miejscem do życia, jego siecią teatrów, życiem artystycznym. Ten etap już mam za sobą, skończyłem szkołę, odszedłem z etatu i wróciłem do Warszawy. Mam sentyment do Krakowa, do zespołu Słowaka, do szkoły, ale w pewnym momencie poczułem, że to już nie moje miejsce. Mam wrażenie, że jeśli nie jesteś z Krakowa albo nie planujesz tam życia i zapuszczania korzeni, to dokładanie sobie premier, żeby kolejne pół dekady spędzić w pociągu albo na autostradzie, nie było dla mnie. Zresztą lubię zmiany.

Czyli to sprawka „1989"?
– Tak. Dogadaliśmy się z władzami krakowskiej szkoły, które już wówczas spektakl widziały. Kilku wykładowców ze szkoły w nim występowało, więc to była formalność właściwie. Pamiętam, że nigdy nie byłem tak zaangażowany w szkołę jak w pierwszym semestrze w Krakowie.

W drugim zacząłem mieć mega dużo pracy, bo i „Hamlet" w Teatrze STU i „Wesele" w Słowackim, seriale „Przesmyk" i „Aniela". Byłem w tym semestrze w szkole łącznie jakieś 10 dni. Ale udało się to z każdym z kolegów i z profesorów dogadać, tak żeby wyszło fair. I dziś jestem świeżo upieczonym magistrem bardzo wdzięcznym za to doświadczenie. Było super zarówno edukacyjnie, życiowo, jak i ludzko. Zostałem tam zaproszony do stada. I tutaj wielkie dzięki dla mojego roku, naprawdę bardzo wyrozumiałego w tej sytuacji.

„Przyjrzyjmy się faktom: nie ma nic gorszego niż rapujący aktor. Rap w teatrze i filmie" to tytuł twojej pracy dyplomowej. Dlaczego teraz w teatrze, w filmach i serialach ciągle ktoś rapuje?
Rap wbił się z buta na salony i stał najpopularniejszą formą muzyki. Jest wszędzie i wyniki robi ogromne.

Nawet kiedy nie był jeszcze w mainstreamie, potrafił przebijać popularnością piosenki radiowe. I dlatego nie dziwię się, że twórcy filmowi czy teatralni zainteresowali się tym środkiem i kulturą.

Chapeau bas, jeżeli umieli w nią faktycznie wejść i przedstawić jak należy. Ale są też tacy, którzy po prostu widzą liczby, jakie to generuje, i stwierdzają – super, ci młodzi to lubią rap, to teraz damy im rap.

Nie będę kategoryzował, które dzieła się zaliczają do której grupy, jednak dla mnie samego ważne jest, żeby to miało taki core, wiedzę, z czego to się wywodzi, dlaczego jest takie, a nie inne. I to się super udało zrobić w „1989", dlatego że odpowiadali za to Webber, Bober czy Łona, którego cytat z tytułu mojej pracy przytoczyłaś. To są ludzie, którzy na tym zjedli i nadal jedzą zęby.

Filmowcy czy twórcy teatralni, a szczególnie aktorzy często myślą, że zrobią „joł, joł" i wystarczy. No nie wychodzi to autentycznie. A autentyczność to słowo, którego chyba w swojej pracy użyłem najwięcej razy i które najbardziej definiuje to, jak to powinno wyglądać. Tylko jak bym miał zdefiniować, co to właściwie znaczy „autentyczne", to chyba miałbym problem. Trudne do uchwycenia słowami. Łatwiej w czuciu.

To znaczy, że musisz być z getta, żeby być raperem?
– Myślę, że są puryści, którzy by powiedzieli, że tak. Ale rap już tak urósł komercyjnie, że ich głosem raczej mało kto się przejmie, bo spójrzmy, jak to dziś wygląda: influencerzy rapują, youtuberzy rapują, onlyfansiary rapują, nawet aktorzy w teatrze czy Netfliksie. Już dawno zostało to odarte z początkowych założeń.

Reżyser Kamil Białaszek to też raper.
– Słuchałem jego muzy od 16. roku życia, więc kiedy zadzwonił z zaproszeniem do roli w tym spektaklu, zajarałem się bardzo. Ważny moment.

Kamil jest młody, raptem rok starszy ode mnie, też wychowany w kulturze internetu. Myślę, że jego skill raperski pomaga w sytuacjach, gdzie na przykład jakąś sytuację trzeba na rytmie rozegrać, ale akurat skróty, jakie robił w tekście, nie zachowywały rytmu zapisanego przez Szekspira i przetłumaczonego przez Barańczaka. Bardziej chodziło o wyciąganie sensów. Nie mam też wrażenia, że Kamilowi chodzi do końca o Hamleta. To jest świetna historia, o czym świadczyć mogą chociażby mnogie jej interpretacje, ale tutaj Hamleta traktuję bardziej jako środek przekazu, ale zdecydowanie nieprzypadkowy. Tak jak rap w „1989".

Synowie prawników też rapują. Jak Banan, twój bohater z serialu „Aniela", który przypominał Matę.
– Miałem nieco inne wyobrażenie o kierunku, w którym mogłaby pójść ta postać. Skojarzenia się pojawiły, bo rzeczywiście charakteryzacja, kostium i kontekst mało subtelnie rzutowały na to, o kogo może chodzić, ale nie był to mój pomysł. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, czy z reżyserem, czy z produkcją, że parodiujemy Matę. Ja tego nie robiłem ani moją grą, ani w piosenkach, które tworzyliśmy z Szattem.

Antek Sztaba

• Urodził się w 2001 r. w Warszawie. Aktor, absolwent Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie. Od 2022 r. gra w głośnym musicalu „1989" (wspólna produkcja Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego i Teatru im. Słowackiego w Krakowie). O jego Hamlecie w Teatrze Powszechnym recenzenci piszą, że jest „wywrotowy" i „imponująco plastyczny". „To Hamlet, który pozuje na silnego i wrażliwego, choć w rzeczywistości jest irytujący, pogubiony, niedojrzały i naćpany" (pisała Wiktoria Tabak w „Wyborczej"). Na ekranie pojawił się m.in. w filmach „Zadra" (2023) i „Minghun"(2024) oraz serialach „Aniela" i „Przesmyk" (oba 2025), którego drugi sezon czeka na premierę.

eprasa.pl ae811472f6

Nie widzę w tym parodii, nie wyśmiewasz go. Zresztą już sama ksywka mówi wszystko – to jest bananowe dziecko.
– No tak, ale dla mnie to jednak było zbyt dosadne, zbyt bezpośrednie. Myślę, że warto widzowi zostawiać pole do interpretacji, „pracy własnej", a nie wszystko wystawiać na tacy i wskazywać palcem. A widząc końcowy efekt, miałem takie wrażenie.

Twój Hamlet jest też bananem. Chłopcem z bogatego domu, który może się zająć swoją zemstą, bo wszystko ma zapewnione. Wie, że odziedziczy tron.
– Uprzywilejowany gnojek, nie wiem, jak to ładniej powiedzieć, któremu się wydaje, że może wszystko, i który nie zderzył się jeszcze z rzeczywistością. Ale trochę też na tym chyba polega wchodzenie z dorosłość. Jest inteligentny, tego mu nie chciałem odebrać, jest wrażliwy. Tylko nie ma zdolności wejścia w czyjeś buty.

Chociażby jak wtedy, gdy mówi, że nie ma przed sobą perspektyw, gdy król chce go uczynić następcą tronu Danii, co dla takiego Rosencrantza czy Guildensterna jest niedościgłym marzeniem. Z jego perspektywy życia na dworze od dziecka w takim, powiedzmy, blasku fleszy, to nie jest jakaś super wartość: „Kto powiedział, że ja chcę być CEO"?

Cała ta dyskusja, która się toczy wokół „nepo babies"...
– ...czekałem na ten temat. Zaczynamy od Heli Englert czy od razu ode mnie?

Nie, zaczynamy od Brooklyna Beckhama, bo dla mnie to jest sztandarowy przykład „nepo baby".
– A czym on się zajmuje?

No właśnie. Zajmuje się wszystkim: jest modelem, fotografem, kucharzem, ale tak naprawdę w niczym z tego nie jest dobry. Jest kimś, kto trafił tam, gdzie trafił – na wybiegi i do kampanii reklamowych – dlatego, że ma na nazwisko Beckham. Ty masz znane nazwisko, znanych rodziców i babcię, ale nie jesteś ani muzykiem, jak ojciec, ani nie prowadzisz programów w telewizji, jak mama, ani nie piszesz bestsellerów, jak babcia.
– Dziękuję bardzo, że ktoś to zauważył. Ostatnio rozłożyło mnie kompletnie, gdy pod postem Teatru Powszechnego o tym, że zagram Hamleta, ktoś napisał: „mamunia załatwiła".

Moja matka [Dorota Szelągowska] nie jest dyrektorką teatru, mój ojciec nie jest reżyserem castingu, moja babcia nie prowadzi agencji aktorskiej. Być może jestem gdzieś brany, bo mam tak, a nie inaczej na nazwisko, ale moi rodzice nie spędzają czasu na tym, żeby mi coś załatwiać.

Wydaje mi się też, że już mogę to powiedzieć, że po dyplomie w szkole aktorskiej i zagraniu kilkuset spektakli w ciągu ostatnich kilku lat, że nie można mi zarzucić, że ktoś mi coś załatwił. Bo to nie jest tak, jak właśnie mówisz o tym Beckhamie, że ja teraz mam taki kaprys, że sobie pobędę aktorem i zagram w filmie, bo chcę być sławny.

Myślę, że gdybym chciał, to już bym naprawdę wyskakiwał z lodówki. Ale nie mam korby na to – selekcjonuję projekty, w których biorę udział, stronię od telewizji, nie chodzę na ścianki, z wyjątkiem tych na moich premierach, gdzie jest to element mojej pracy.

Mnie to nie kręci, może właśnie dlatego, że od dziecka miałem wgląd w ten świat przez rodziców.

To aktorstwo mnie jara. Dla niego spędziłem 13 lat w różnych szkołach, dla niego pracuję w teatrach ze skręconymi kostkami, ze zdartym po tygodniu grania gardłem, dla niego będę robił operację strun głosowych.

Wydaje mi się, że to jest jakiś dowód, że mi zależy, że nie wziąłem się z przypadku czy nie stwierdziłem pewnego dnia, że bym sobie zagrał w teatrze, więc „mama, zadzwoń do kogoś".

Albo tata, skoro musical, a jego nazwisko kojarzy się z muzyką.
– Nazwisko – kolejny temat, o którym rozpisywanie się przez szmatławce jest już po prostu żenujące, bo nie wiem, od ilu już lat pojawia się ten sam artykuł. Adam Sztaba mnie wychowywał, odkąd miałem rok. Z biologicznym ojcem nie miałem dużo do czynienia i nie rozumiem, czemu miałbym zostawać przy jego nazwisku. Nie chciałem być z nim identyfikowany, mimo że nie mam, a raczej nie miałem, bo niedawno zmarł – co również obrzydliwie wykorzystano, żeby znowu napisać ten sam artykuł – z jego strony żadnych problemów. To był człowiek, który mi dał życie, ale nie brał udziału w moim wychowaniu.

A że tak się złożyło, że nazwisko ojca jest znane, to tylko mój problem teraz. Albo moje błogosławieństwo. Są dwie strony medalu. Dla mnie liczy się to, że mam na nazwisko tak samo jak mój tata, dziadek, babcia, brat. Ciekawie byłoby się dowiedzieć kiedyś, które projekty faktycznie dostałem przez nazwisko. Bo tego nie wiem, raczej mówią w drugą stronę, że nie wiedzieli o mojej rodzinie. Nie wnikam w to. Robię swoje. Dla widzów, dla siebie.

Co jest „swoje"?
– Teraz jestem zajarany „Hamletem" i bardzo chcę, żeby ludzie przychodzili i go oglądali. Super, że po trzech latach pracy głównie w Krakowie i trochę w Gdańsku mam w końcu spektakl w Warszawie, na który przychodzą znajomi. Prawie zawsze mam kilka takich osób na spektaklu, wychodzę potem do nich

Aktorstwo mnie jara. Dla niego spędziłem 13 lat w różnych szkołach, dla niego pracuję w teatrach ze skręconymi kostkami i ze zdartym po tygodniu grania gardłem

i się ściskamy, idziemy coś zjeść i gadamy o tym, co im się podobało, a co mniej.

Dostałem też swoją pierwszą główną rolę w filmie, więc czeka mnie pracowita jesień i powolutku kroczki stawiam sobie do przodu.

Cieszę się z tego tempa, bo gdyby mnie coś w pierwszym czy drugim roku pracy tak na maksa wywindowało, to nie wiem, czy bym sobie z tym poradził. I tak „1989" to był start naprawdę z bardzo wysokiego C, tak wysokiego, że bałem się, że potem każda kolejna premiera teatralna już nie będzie taka zachwycająca. Na szczęście tak nie jest. Przeważnie.

Chciałam jeszcze wrócić do rewolucji. Bo wybrałeś sobie twórczy zawód w czasach odtwórczych, w czasach AI i tworzonego przez niego slopu. Nie boisz się, że jakiś wykreowany twór zastąpi cię na ekranie?
– Kiedy wybierałem zawód, to jeszcze się AI tak prężnie nie rozwijało. To się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku lat i zobaczymy, jak wyjdzie. Na razie mam pracę, mam warunki do opowiadania historii na swój sposób i niech to trwa.

Nie masz jeszcze w umowach klauzuli, że oddajesz swój wizerunek na wieczność?
– Nie podpisałbym takiej umowy. Nie biorę udziału w castingach do reklam, ale opowiadał mi ziomek, który na takie chodzi, że są takie klauzule. Do tego dość ogólne, tak na wszelki wypadek, jakby nagle stwierdzili, że nie wiem – nie wyciągasz paczki hot dogów, tylko paczkę penisów psich. On tego nie podpisuje, więc go nie zatrudniają, co uważam za bardzo krzywdzące.

O to strajkowano w Hollywood kilka lat temu – tam aktorzy epizodyści i statyści dostawiali takie umowy, wchodzili do przyczepy, gdzie skanowano ich w 3D, żeby później móc dowolnie wykorzystać w produkcjach danego studia. A to by oznaczało, że wkrótce dla takich ludzi zabraknie pracy, zabraknie też punktu wejścia do zawodu.
– Nie da się ukryć, że ryje nas to AI, jakby nam usypiało mózgi. Zaczyna się od tych najmniejszych rzeczy typu „zrób mi listę zakupów", „zaplanuj coś tam", choć to jest coś, co byś mógł zrobić sam, poświęcając na to pewnie trochę czasu czy zasięgając wiedzy. AI skraca tę drogę.

W ogóle mam wrażenie, że z każdym rokiem wszystko, absolutnie wszystko jest coraz bardziej skondensowane. Że piosenki są krótsze, seriale są krótsze, filmy są krótsze. I tylko teatr nie. Ale też dużo ludzi mi mówi, że trudno im się skupić na np. trzygodzinnym spektaklu.

Na szczęście nasz Hamlet jest na tyle bodźcujący, że – jak powiedział mi po spektaklu mój przyjaciel – czuł się, jakby przez trzy ostatnie godziny scrollował TikToka. Nie wiem, czy to dobrze, ale moje pokolenie lubi bodźce.

Wracając do początku naszej rozmowy, myślę, że wszechobecne AI to element naszego matriksa, z którego już nie ma ucieczki, ale że każdy z nas może codziennie świadomie podejmować małe decyzje, żeby tam, gdzie nie musi, nie iść na skróty, bo to powoli odbiera nam sprawczość. A ja np. lubię czuć, że ją mam.

Gdy wchodziłam na widownię Powszechnego, chłopak za mną, którego ewidentnie dziewczyna zabrała do teatru, westchnął ciężko, ile jeszcze zniesie tych „Hamletów", a z ich rozmowy wynikało, że dzień wcześniej byli na „Hamlecie" w Teatrze Narodowym.
– Mój jest absolutnie nie do zniesienia. Zapraszam! ●

*Festiwal Szekspirowski w Gdańsku
23 lipca – 2 sierpnia

• W programie 30. edycji międzynarodowego festiwalu znalazły się spektakle szekspirowskie z Kanady, Wlk. Brytanii, Rumunii, Czech, Hiszpanii i Polski, w tym interpretacje uznanych twórców jak Robert Lepage czy Silviu Purcarete oraz przedstawienia młodych reżyserów.

• O nagrodę Złotego Yoricka walczą trzy inscenizacje „Hamleta": „Tragedyjo Hamleta, ksiyncia Dynymarku", reż. Robert Talarczyk, Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego w Katowicach; „Hamlet", reż. Kamil Białaszek, Teatr Powszechny im. Z. Hübnera w Warszawie; „Hamlet", reż. Jacek Jabrzyk, Teatr Zagłębia w Sosnowcu.
Program i bilety:
www.festiwalszekspirowski.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34440497

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

ADAM MICHNIK POLECA

UCZ SIĘ HISTORII, *bo cię oszukają*

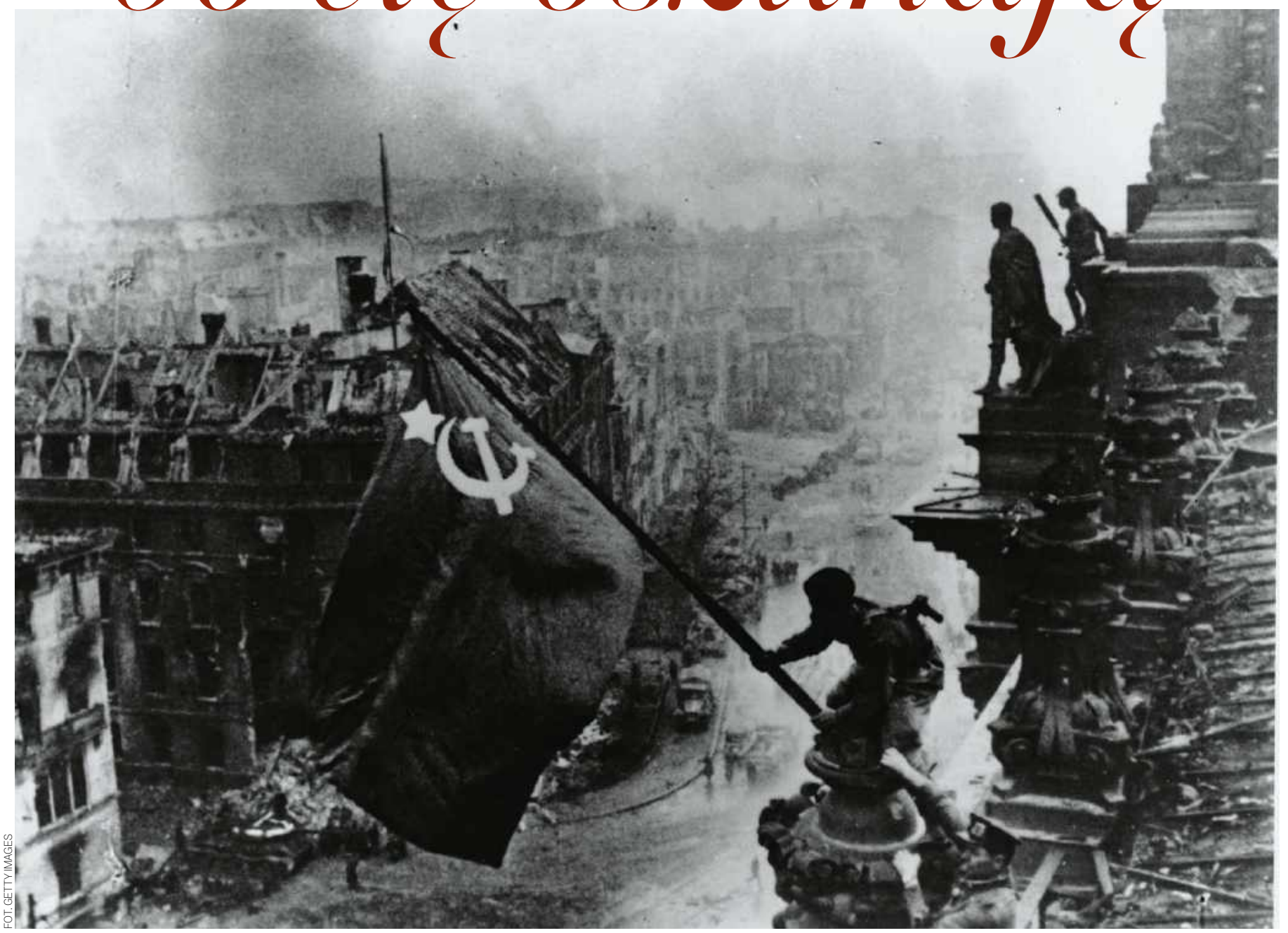

FOT. GETTY IMAGES

• **Słynne zdjęcie zatknięcia radzieckiego „sztandaru zwycięstwa" na Reichstagu w Berlinie 2 maja 1945 r. autorstwa Jewgienija Chałdeja, fotografa Armii Czerwonej. Po latach okazało się, że było manipulacją, m.in. nie ci ją zawieszali, którzy są na zdjęciach, a przed publikacją usunięto im z rąk liczne zegarki, które ukradli Niemcom**

Jeśli ktoś chce zapanować nad jakimś społeczeństwem, będzie starał się zapanować nad jego przeszłością. Niebezpieczna gra!

Jan Pomorski*

Splątanie życia człowieka i jego historii to jeden z ważniejszych tematów rozmowy Timothy'ego Snydera z Tonym Judtem. Jako przykłady takiego splecenia pojawiają się w nich postaci Erica Hobsbawma i François Fureta. Przytoczona przez Judta teza brytyjskiego historyka, że nie da się w pełni zrozumieć XX stulecia, jeśli samemu nie podzielało się jego złudzeń, natychmiast spotkała się ze znakomitą kontrą Snydera.

Na grząskim gruncie

Oto stosowna wymiana myśli. Zaczyna Judt:

„Nigdy do końca nie zatraciliśmy poczucia, że – jak pewnie utrzymywałby sam Hobsbawm – nie można w pełni zrozumieć dwudziestego wieku, jeśli nie podzielało się kiedyś jego złudzeń, szczególnie złudzenia komunistycznego.

W tym miejscu historyk dwudziestowiecznego życia intelektualnego wkracza na grząski grunt. Wybory, których ludzie dokonywali w latach trzydziestych (i przyczyny, że wybierali tak, a nie inaczej), są dla nas zrozumiałe, nawet jeśli nie możemy sobie wyobrazić, że sami byśmy ich dokonali, i pomimo że doskonale wiemy, iż ci sami ludzie dwadzieścia lat później będą żałowali swoich wyborów albo będą je interpretować w sprzyjającym świetle jako błędy młodości, decyzje podyktowane okolicznościami i tak dalej" (*Judt, Snyder, „Rozważania o wieku XX", przeł. Paweł Marczewski, Rebis 2013*).

Pamiętajmy, że mówi to ktoś o poglądach zdecydowanie lewicowych, ten, który w swej biografii miał różne epizody, łącznie z byciem syjonistą-anarchistą.

Jak na tę wypowiedź reaguje Snyder?

„Jeśli było się komunistą, to jest się skłonnym do wyrozumiałości; rozumie się, jak to było, pamięta się własne zaangażowanie w to, co wydawało się głównymi problemami wieku, ma się wzorcowy materiał, z którego można czerpać. Jako historykowi daje to przewagę, gdyż wszyscy dążymy do współodczuwającego rozumienia.

Jednak z metodologicznego punktu widzenia oznaczałoby to również, że pożądana byłaby także tożsamość byłego nazisty. Ostatecznie z perspektywy wglądu historycznego była to wizja równie ważna i na pewno nie brakowało jej wielkości.

Dziś może się to wydawać niezbyt interesujące, ale bez wątpienia nie można uznać za nieambitny projektu odprzemysłowienia dużej części Europy Wschodniej, zmiecenia z powierzchni ziem i miast Związku Radzieckiego, zagłodzenia lub zniewolenia większości jego ludności, zabicia wszystkich Żydów i tak dalej. I nie można zapominać, że ten projekt stał za działaniami nie tylko garstki megalomanów, ale także tysięcy esesmanów i jeszcze większych zastępów niemieckich żołnierzy" (*Judt, Snyder, cytat z tej samej książki*).

Znaleźli sens w komunizmie

To bardzo celna riposta przyszłego autora „Czarnej Ziemi"! Judt ma tego świadomość. Skupia się zatem na wątku pokoleniowym i autobiograficznym autora „Wieku skrajności":

„Gdy czytałem wspomnienia Erica Hobsbawma, uderzyło mnie, że całe jego życie i wszystkie, w innym wypadku niewytłumaczalne, sojusze polityczne łączą się z ostatnimi latami Republiki Weimarskiej. W 1912 roku, jako piętnastolatek, mieszkał w Berlinie i obserwował, jak wali się niemiecka demokracja. Przystał do partii komunistycznej z wyraźnym poczuciem, iż nadszedł moment zwrotny stulecia, i dokonuje wyboru wtedy, gdy trzeba się za czymś opowiedzieć. Ten wy-

eprasa.pl ae811472f6

bór nie tylko wpłynął na resztę jego życia, ale i nadał sens wszystkiemu, co go poprzedzało.

Wielu spośród tych, którzy dokonali niegdyś tego samego wyboru, ale potem go odrzucili, nie potrafiło wyjaśnić, co teraz nadawało sens ich życiu – poza pisaniem i argumentowaniem przeciwko temu, co ów sens nadawało kiedyś" *(Judt, Snyder, jak wyżej)*.

Snyder dodaje, że to także problem Fureta, który próbuje się z własną historią rozliczyć w swej „Przeszłości pewnego złudzenia. Eseju o idei komunistycznej w XX w.". Na co Judt odpowiada błyskotliwie, że Furet stosuje po prostu taktykę samousprawiedliwienia:

„Jest to sposób, by pokazać, że »moje« niegdysiejsze wybory nie były kwestią wiary, lecz racjonalną odpowiedzią na wymogi określonej sytuacji. Dzięki temu można było być dumnym zarówno z tego, że zostało się komunistą, jak i decyzji, by przestać nim być" (*Judt, Snyder, „Rozważania..."*).

Nic dodać, nic ująć – chciałoby się powiedzieć, odnosząc to także do polskich realiów.

Snyder dopowiada: „Furet daje świetny przykład tej hiperracjonalizacji, kiedy pisze, jak w 1947 roku przeczytał »Ciemność w południe« Koestlera. Opis terroru w Związku Radzieckim nie przekonał młodego Fureta, lecz napełnił go podziwem dla racjonalności, jaką podczas stalinowskich procesów pokazowych okazywali zarówno śledczy, jak i oskarżeni" (*jak wyżej*).

Ta jedna wypowiedź francuskiego historyka sfalsyfikowała w oczach Snydera całą misternie utkaną konstrukcję naukowca „obiektywisty/symetrysty", dokonującego rzekomo „współodczuwającego" rozumienia splątanej historii. Judt stawia sprawę równie mocno:

„Problem ze splątanymi wydarzeniami historycznymi polega na tym, że aby lepiej pojąć ich zasadnicze elementy, musimy je rozdzielić, ujrzeć opowieść w całej złożoności, musimy te elementy na powrót ze sobą spleść. Niestety, spora część historiografii (...) polegała albo na wymuszonym rozdzielaniu, albo na stanowczej odmowie dokonywania jakichkolwiek rozróżnień. Rozdział fałszuje jedną część historii, jego brak zniekształca inną" (*jak wyżej*).

Historyk też człowiek

Tymczasem bez takiego zabiegu poznawczego zrozumienie tego, co przyniósł wiek XX, jest niemożliwe. Jak się okaże, szczególnego znaczenia nabiera w tym wypadku konieczność rozdzielenia dyskursu pamięci od dyskursu historycznego i historii narodowej od historii transnarodowej.

Przeszłości nie da się zamknąć/zredukować do tego, co z niej wydobędzie pamięć. Podobnie nie da się jej zamknąć w historii opowiedzianej z perspektywy jednego narodu. To absurd! Ale ciągle możemy spotkać historyków, którzy próbują to robić.

Dla Tony'ego Judta najważniejsze były dwie dyrektywy metodologiczne.

Pierwsza to nakaz widzenia własnego przedmiotu badania (i opowieści o nim) w szerszym kontekście historycznym. Ujmowanie w kontekście jest częścią procedury eksplanacji, bowiem czas (w wielu swoich formach obecności) staje się w takim podejściu zmienną wyjaśniającą.

Dyrektywa druga to samoświadomość czasu, z jakiego historyk „patrzy" na przedmiot badania. Tego, że jest się nie tylko uczonym, ale i obywatelem „uwikłanym w swój czas", co ma zawsze konsekwencje etyczne. Czas, w jakim przeszłość była teraźniejszością dla ludzi ją tworzących, i czas historyka, który o niej opowiada ze swojej perspektywy, winny być - z metodologicznego punktu widzenia - rozdzielone, choć epistemologicznie pozostają one ze sobą w nierozerwalnym związku. Pisze Judt:

„Będę bronił tego, co dla większości amerykańskich historyków składa się na dwa sprzeczne podejścia metodologiczne. (...) Historyk musi pisać, umiejscawiając przedmiot swojego pisarstwa w kontekście. Ujmowanie w kontekście to część wyjaśniania, a zatem zdystansowanie wobec tematu odróżnia historię od innych, równie prawomocnych sposobów wyjaśniania ludzkiego zachowania: antropologii, politologii i innych".

Przeszłości nie da się zamknąć w historii opowiedzianej z perspektywy jednego narodu. To absurd! Ale ciągle możemy spotkać historyków, którzy próbują to robić

Powstanie, rozwój, rozkład

Kontekst historyczny urasta w tej rozmowie o najważniejszych ideach, które pobudzały ludzi do działania w XX wieku, do jednej z najważniejszych kategorii metodologicznych. Judt przypomina:

„W latach sześćdziesiątych Quentin Skinner [historyk brytyjski] napisał serię świetnych artykułów, które odmieniły metodologię historii idei. Pokazał, jak niespójne jest uprawianie historii intelektualnej, kiedy nie umieszcza się ich w ich kontekście. Słowa i myśli mają swoiste znaczenie, na przykład dla siedemnastowiecznych czytelników i pisarzy. Nie wolno wyrywać ich z tego otoczenia, jeśli chcemy zrozumieć, co mieli na myśli w swoim czasie").

Od siebie zaś dodaje:

„Czytając eseje Skinnera, ma się pokusę, by wyciągnąć wniosek, że spójna, narracyjna historia idei jest po prostu niemożliwa. Sam akt objaśniania materiału dzisiejszym czytelnikom musi gwałcić jego sens i tym samym podważać cale przedsięwzięcie. A jednak dziesięć lat później Skinner opublikował »The Foundations of Modern Political Thought«, świetnie skonstruowaną dwutomową historię narracyjną europejskiej myśli politycznej od późnego średniowiecza do wczesnej nowoczesności". A zatem dowiódł w praktyce, że jest to możliwe.

Tony Judt, czyniąc swoim głównym przedmiotem badania historię intelektualną XX wieku, poszedł tym właśnie tropem: aby zrozumieć ideę, należy umieścić ją we właściwym kontekście historycznym, gdzie faktycznie objawiała swoją „moc sprawczą".

Przywoływana tu kategoria rozumienia ma w refleksji metahistorycznej długą historię. Snyder przenosi ją na grunt praktyki badawczej historyka, podążając tu za myślą Marca Blocha. Jego zdaniem rozumienie wydarzeń z przeszłości „wymaga od historyka porzucenia jednego schematu i zaakceptowania, że kilka może być prawdziwych jednocześnie. Przynosi to o wiele mniejszą natychmiastową satysfakcję, ale sprawia, że osiągnięcia są o wiele trwalsze. Z akceptacji przez Tony'ego tak pojętego pluralizmu zrodziły się jego najlepsze prace.

Kwestia pluralizmu sprawiła również, że własna ścieżka intelektualna Tony'ego przecięła się z historią intelektualną dwudziestego wieku. Trajektorie dwóch części tej książki, biograficznej i historycznej, spotkały się w 1989 roku, roku rewolucji w Europie Wschodniej, ostatecznego upadku marksistowskich schematów i roku, kiedy Tony zaczął pisać swoją niezrównaną historię powojennej Europy" (*Snyder pisze o książce Judta „Powojnie. Historia Europy od roku 1945", polskie wydanie w przekładzie Roberta Bartolda)*.

Pluralizm wynikający z oglądu badanej sytuacji z różnych punktów widzenia stoi też za dialogicznością ich myślenia historycznego: płynnym operowaniem zmiennymi perspektywami (optykami) dla pełniejszego zrozumienia (poznawczego uchwycenia) sprawczości dziejowej.

W rozumieniu przeszłości chodzi w równym stopniu o ludzi – o to, w co wierzyli i jak żyli – co o same idee: rodzą się one w czyimś umyśle i znajdują drogę do umysłów innych. Jak to ujmował, badając marksizm, Leszek Kołakowski: idee powstają, rozwijają się i ulegają rozkładowi w czasie historycznym (*„Główne nurty marksizmu"*).

Szczególnie ważne są te, które odnoszą się do wspólnie podzielanych doświadczeń z przeszłości. Judt w pewnym momencie zauważa:

„Trudno sobie wyobrazić, by jakiekolwiek społeczeństwo mogło sobie poradzić bez spójnej, akceptowalnej narracji na temat swojej przeszłości. Spoczywa na nas odpowiedzialność dostarczenia takiej narracji, uzasadnienia jej, a potem jej nauczania" *(Judt, Snyder, jak wyżej)*.

W rozumieniu przeszłości chodzi w równym stopniu o ludzi – o to, w co wierzyli i jak żyli – co o same idee. Rodzą się one w czyimś umyśle i znajdują drogę do umysłów innych

Oczekiwana spójność narracji o przeszłości, zwłaszcza o tej niedawno minionej, to nieustanne konfrontowanie/zderzenie pamięci z historią (wiedzą historyczną). Judt nazywa je „siostrami przyrodnimi", które „nienawidzą się, ale mają wystarczająco dużo wspólnego, aby być nierozłączne. Co więcej, są skazane na kłótnie o dziedzictwo, którego nie mogą ani porzucić, ani rozdzielić między siebie" (*jak wyżej)*. To prowadzi nas wprost do pytania o społeczną odpowiedzialność historyka. Zobaczmy, czy i na ile Judt i Snyder poszerzają tu pola problemowe.

Gdzie pamięć, gdzie historia

Zacznijmy tę część rozważań od zasygnalizowanego już powyżej zderzenia historii z pamięcią. Pisze Judt:

„Godzenie się z tym, by pamięć zastąpiła historię, jest niebezpieczne. Podczas gdy historia z konieczności przyjmuje formę zapisu, nieustannie przepisywanego i konfrontowanego ze starymi i nowymi źródłami, pamięć jest zgodna z celami popularnymi, nienaukowymi - pasuje do parków rozrywki, pomników, muzeów, budynków, programów telewizyjnych, wydarzeń, świąt, rag [typ muzyki indyjskiej].

Takie manifestacje przeszłości zakorzenione w pamięci są z konieczności częściowe, przelotne, wybiórcze. Ci, którzy je organizują, prędzej czy później skazani są na mówienie prawd częściowych lub ewidentnych kłamstw - czasem kierują się najszczytniejszymi intencjami, a czasem nie. Tak czy inaczej nie mogą one zastąpić historii" (*jak wyżej*).

Także Snyder podpisuje się pod tą tezą. Obydwaj uważają na przykład, że historii Zagłady nie da się zastąpić ekspozycją w Muzeum Pamięci Holokaustu w Stanach Zjednoczonych, opartą na świadectwach pamięci. Jest ta ekspozycja, zdaniem Judta, „selektywnym wyborem stosownych wspomnień użytych do szczytnego celu publicznego. Możemy doceniać intencję, ale nie powinniśmy się oszukiwać co do rezultatów. Bez historii pamięć jest podatna na nadużycia.

Ale jeśli historia – pisze – jest na pierwszym miejscu, to pamięć zyskuje wzór i przewodniczkę, która ułatwia jej pracę i z którą może być konfrontowana. Ludzie, którzy studiowali historię dwudziestego wieku, mogą zwiedzać Muzeum Holokaustu, mogą myśleć o tym, co zostało im zaprezentowane, oceniać to w szerszym kontekście i wnosić namysł krytyczny. Muzeum służy tutaj istotnemu celowi, konfrontując wspomnienia z historią w umysłach publiczności. Ale widz, który wie tylko tyle, ile mu pokazano, jest pokrzywdzony: odcięty od przeszłości, skazany jest na taką jej wersję, której nie zdoła ocenić".

Problem w tym, że większość odwiedzających Muzeum tej wiedzy historycznej nie posiada. Łatwo zatem poddać ich manipulacji, co mocno akcentuje Snyder, odnosząc tę swoją tezę zwłaszcza do państwowej polityki historycznej:

„Jeśli chcesz zapanować nad jakąś populacją, musisz zapanować nad jej przeszłością. Ale jeśli populacja ta jest już wychowana lub zindoktrynowana, by sądzić, że przeszłość jest wyłącznie grą polityczną, to staje się drugorzędne, czy główny rozdający jest profesorem czy prezydentem.

Jeśli każdy jest krytykiem, to każdy jest zniewolony. Jeśli każdy jest krytykiem, wszyscy wydają się wolni, ale w rzeczywistości wszyscy są w niewoli tego, kto potrafi najlepiej manipulować, i nie mogą przywołać na swoją obronę faktów czy prawd".

Dlatego polityka historyczna pozostaje w służbie rywalizujących ze sobą pamięci, a nie historii. To pamięć jest zwykle racją jej istnienia, a bynajmniej nie jakaś wyższa racja stanu, jak to próbują nam wmawiać politycy.

Gdzie prawda, gdzie postprawda

Snyder zwraca uwagę na jeszcze jedną – bardzo istotną – różnicę pomiędzy historią a pamięcią. Ta pierwsza nie ma formy czasownikowej: czasownik „to history" nie istnieje, inaczej jest z pamięcią: to czynność („to remem-

eprasa.pl ae811472f6

ber"), a na dodatek istniejąca w pierwszej osobie. Ma to istotne konsekwencje:

„Ponieważ pamięć posługuje się pierwszą osobą – pisze Snyder – może być nieustannie rewidowana i z czasem staje się coraz bardziej osobista, podczas gdy historia, przynajmniej teoretycznie, podąża w przeciwnym kierunku: w miarę rewidowania staje się coraz bardziej otwarta na perspektywę osób trzecich i przez to ma szanse się stać uniwersalna. Historyk może rozpocząć od problemów, które są palące i osobiste – i zapewne musi od nich rozpocząć – i drążyć je. Przekraczając swoją początkową perspektywę, dociera do czegoś zupełnie innego".

Historyk, a zwłaszcza historyk najnowszy, nie uniknie tej konfrontacji z pamięcią świadków i pamięcią wspólnoty. Jest nieustannie pod ich presją. Pola semantyczne prawdy pamięci i prawdy historii mają różny zakres. Niestety w dyskursie publicznym jest to nieustannie lekceważone. W konsekwencji różnica między prawdą i postprawdą zaciera się. Nie bez winy są tu sami historycy, mylący role społeczne, w jakich występują w mediach. Ma to zawsze także swój wymiar etyczny.

Jak ujmuje to Tony Judt, „żaden uczony ani historyk, ani przedstawiciel innej dyscypliny, nie jest zwolniony z etycznej odpowiedzialności za swój czas tylko dlatego, że jest uczonym. Uczestniczymy w historii, mamy swój udział w miejscu, nie możemy się od tego uchylać".

Obywatelami też jesteśmy

Zatem kolejna kwestia rozważana przez Judta i Snydera w ramach społecznej odpowiedzialności historii to zaangażowanie historyka w obronę określonych wartości. Pisze Judt:

„Nie jesteśmy jedynie historykami, ale i niezmiennie obywatelami, obarczonymi odpowiedzialnością korzystania ze swoich umiejętności we wspólnym interesie. Oczywiście musimy pisać historię tak, jak ją widzimy, jakkolwiek mało pociągająca wydawałaby się współczesnym odbiorcom. A nasze odkrycia i interpretacje są tak samo podatne na nadużycia, jak temat naszych badań.

Przypomnij sobie recenzje »Sąsiadów« w »Commentary« i innych pismach, w których traktowano tę książkę jako kolejny dowód na odwieczny antysemityzm Polaków i że to, co »my« sądziliśmy o tych szubrawcach, było słuszne. Jan [Gross - J.P.] nie mógł zapobiec tego rodzaju wątpliwym, opartym na nadużyciach pochwałom swojej pracy, ale oczywiście jako na historyku ciąży na nim odpowiedzialność, by na nie odpowiedzieć, nie możemy się od niej nigdy uwolnić".

Snyder formułuje w odpowiedzi niezbędny warunek minimalistyczny:

„Skłaniam się ku myśli, że etyczny wymiar historii polega na przypominaniu, że pewne rzeczy faktycznie się wydarzyły, że zbrodnie i cierpienia były prawdziwe, ludzie przez nie przeszli lub stracili życie w ten, a nie inny sposób. I bez względu na to, czy żyli w Albanii w latach pięćdziesiątych, czy w Polsce w latach czterdziestych, wymiar moralny tych doświadczeń jest taki sam, jak naszych doświadczeń, a przynajmniej jest dla nas możliwy do uchwycenia, przez to zaś nieodparcie rzeczywisty".

Jeśli historyk nie respektuje tej zasady, powinien spotkać się ze środowiskową infamią. Nie jest bowiem tak, że profesjonalny historyk nie potrafi odróżnić prawdy od postprawdy. Pisze Snyder:

„Skłaniam się ku myśli, że dobrzy historycy mają swoistą intuicję negatywną. Potrafią stwierdzić, kiedy coś jest najprawdopodobniej fałszem. Mogą nie wiedzieć, kiedy coś jest prawdą, i nie znać faktów – na Boga, dziś bardzo nieliczni z nas mogą się poszczycić przesadną znajomością faktów. Ale mają pewną intuicję, która podpowiada, kiedy sprawy ne passent pas ensemble, nie idą ze sobą w parze".

Judt dodaje do tego warunku minimalistycznego coś jeszcze: w „Historii niedokończonej" znajduję taką jego myśl: historia „nie jest i nie powinna być oskarżeniem. A jednak istnieją granice dla braku zaangażowania. Dla każdego czytelnika jest intuicyjnie zrozumiałe, że historyk nazizmu staje przed problemami, z jakimi nie musi się mierzyć na przykład historyk średniowiecznego monastycyzmu. Starając się wyjaśnić zjawisko odpychające, na które czytelnik zazwyczaj reaguje niechęcią, nie jest się zwolnionym z obowiązku dokładności, ale nie ma się również obowiązku udawania neutralności. Zajmując się historią powojennych francuskich intelektualistów, nie staram się stwarzać takich pozorów" (*Judt, „Historia niedokończona. Francuscy intelektualiści 1944-1956", przeł. Paweł Marczewski, Krytyka Polityczna 2013*).

Wiarygodność, głupcze

Obiektywizm narracji historycznej bywa zwodniczy i najczęściej jest pozorowany, skrywa dokonywane wybory –źródeł, faktów, perspektyw, ideologii, systemów wartości - pod rozmaitymi maskami, na przykład konwencją pisania w trzeciej osobie, co rzekomo ma gwarantować tak potrzebny dystans wobec przedmiotu badania historycznego. Ale jest też konwencja odwrotna, której źródłem jest polityzacja historii.

U Judta odnajduję ten sam niepokój:

„Wielu dzisiejszych historyków w gruncie rzeczy traktuje historię jako udział w polemikach politycznych. Chodzi o ujawnienie czegoś na temat przeszłości, co ukrywały konwencjonalne ujęcia – skorygowanie jakiegoś błędnego odczytania przeszłości, na ogół po to, żeby stronniczo zaangażować się w teraźniejsze spory. Przygnębia mnie, kiedy jest to robione prostacko i bezwstydnie. To oczywista zdrada powołania historyka, które polega na próbach zrozumienia przeszłości" *(Judt, Snyder, jak wyżej)*.

Dotykamy tu niezwykle ważnego problemu wiarygodności przedstawienia przeszłości przez historyka. Zdaniem Judta kluczowe znaczenie ma wspólnotowy charakter uprawiania badań historycznych. To poddanie własnych tez pod weryfikację/sprawdzenie przez bliźnich w profesji jest kryterium rozstrzygającym. Na tym polega społeczny charakter wiedzy naukowej, w tym historycznej:

„Powstaje jednak pytanie, kto ma orzekać o wiarygodności. W tym wypadku zdałbym się na własny osąd, wziąwszy pod uwagę moją wiedzę. Ale nie mógłbym ocenić wiarygodności pracy historycznej dotyczącej, dajmy na to, powstania miast średniowiecznych, zakładając, że napisałby ją kompetentny, wiarygodny uczony. To dlatego historia jest z konieczności zbiorowym wysiłkiem uczonych, który opiera się na wzajemnym zaufaniu i szacunku. Tylko dobrze poinformowany, wtajemniczony czytelnik może stwierdzić, czy dzieło historyczne jest dobre".

Kłopot z bezstronnością

I na koniec trzecia kwestia, będąca przedmiotem namysłu Judta i Snydera w kontekście społecznej odpowiedzialności historyka: kwestia konieczności zachowania dystansu poznawczego/aksjologicznego w stosunku do przedmiotu swojego badania. Tak widzi ten problem Tony Judt w „Powojniu": „W moim wypadku sytuację komplikuje to, że ponieważ urodziłem się niedługo po zakończeniu wojny, większość opisanych w tej książce wydarzeń zachodziła za mojego życia i pamiętam, że w znacznej części się o nich uczyłem lub im przypatrywałem – a nawet w nich uczestniczyłem – w miarę jak tworzyła się historia. Ułatwia mi to czy utrudnia zrozumienie dziejów powojennej Europy? Nie wiem. Wiem jednak, że czasami może to dość poważnie utrudnić osiągnięcie koniecznego dla historyka bezstronnego dystansu.

Pisząc tę książkę, nie próbowałem zdobyć się na olimpijski obiektywizm. Mam nadzieję, że nie sprzeniewierzając się obiektywności i uczciwości, »Powojnie« przedstawia wyraźnie moją osobistą interpretację niedawnej przeszłości Europy. Jednym słowem, które niezasłużenie nabrało pejoratywnego wydźwięku, książka ta jest subiektywna".

Subiektywizm oznaczał dla niego autorską interpretację wydarzeń i nieobojętność w stosunku do opisywanych spraw i ludzi. Intelektualna uczciwość nakazywała uczynić te założenia sterujące badaniem/narracją historyczną widocznymi dla czytelnika. Poddanie się jego kontroli. W dyskusji ze Snyderem dodaje:

„Historyk (i każdy inny człowiek) bez własnych opinii nie jest interesujący i byłoby dziwne, gdyby autor książki o swoich czasach nie miał wyrazistych poglądów na temat ludzi i idei, którzy je zdominowali. Różnica między książką wyrażającą silne poglądy i taką, którą zniekształcają uprzedzenia autora, jest moim zdaniem następująca: autor pierwszy zna źródła oraz naturę swoich poglądów i nie rości sobie pretensji do bezwarunkowej obiektywności.

Jeśli o mnie chodzi, to zarówno w wypadku »Powojnia«, jak i najnowszych tekstów wspomnieniowych wsadzałem swoją perspektywę w czasie i miejscu mojego urodzenia, w moim wykształceniu, doświadczeniu rodzinnym, klasie, pokoleniu. Nie mają one służyć za wyjaśnienie, a już na pewno nie usprawiedliwienie określonych interpretacji - mają posłużyć czytelnikowi do ich oceny i pozwolić mu umieścić je w kontekście".

Niezależność naukowa – to opinia także Snydera – nie oznacza zerwania z własnym środowiskiem, z własną kulturą, ale poddanie ich kontroli: postawienie pytania, w jaki sposób i na ile mogą one wpływać na finalny efekt. Wymaga to wejścia na poziom meta – przyjrzenia się własnej kulturze poznającej niejako z zewnątrz. Pozwala to uniknąć wielu pułapek. Ale może okazać się też rozczarowujące, zwłaszcza wtedy, gdy bardzo jesteśmy przywiązani do własnych sądów, powiada Snyder.

Przeciw manipulacjom

Pora na podsumowanie. Chciałbym, by raz jeszcze przemówił Tony Judt:

„Wziąwszy pod uwagę, że jesteśmy skazani na wykorzystywanie przeszłości do uzasadniania dzisiejszej polityki, nie sposób przecenić wiedzy historycznej. Lepiej poinformowanych obywateli trudniej będzie oszukać, manipulując przeszłością, żeby uprawomocnić dzisiejsze błędy.

Społeczeństwo otwarte musi znać swoją przeszłość. Wszystkie społeczeństwa zamknięte w dwudziestym wieku, lewicowe i prawicowe, manipulowały historią. To najstarsza forma sprawowania kontroli nad wiedzą - jeśli masz władzę nad interpretacjami tego, co się kiedyś wydarzyło (lub po prostu możesz o tym skutecznie kłamać), teraźniejszość i przyszłość są do twojej dyspozycji. A zatem demokratyczny rozsądek nakazuje upewnić się, że obywatele należycie znają historię". ●

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*prof. Jan Pomorski

• Urodził się w 1954 r., historyk, metodolog historii, filozof nauki. Publikowany przez nas tekst to fragment jego książki **„Historyk jutra. Portret intelektualny Timothy'ego Snydera".** Ukazała się ona dwa tygodnie temu nakładem Instytutu Europy Środkowej w Lublinie.
Tytuł i śródtytuły tekstu – „Wyborcza".

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Katarzyna Kuczyńska-Koschany*

Kijów: 24

(Putin pije czerwonego szampana
szampan smakuje
nieostygłą krwią)

naloty na najbardziej zaludnione
miejsca ukraińskiej stolicy
na wysokie bloki mieszkalne
przypominają ekonomię
każdego dobrze
zaplanowanego ludobójstwa

(w komorach gazowych zabijano
wydajniej niż oddając strzały
jeden za drugim aż rozboli ręka
dlatego powstały
komory gazowe
oprawca nie wymiotował
nie wpadał w depresję
nie widział ofiar wkładał
tylko błękitne sterylne
kryształki cyklonu B
we wskazane miejsce)

wydobyto na razie
24 osoby zabite
nowymi rakietami
nowym wspaniałym światem
ruskim mirem
resztę pogrzebały wessały
gruzy zapadliska

(w krematoriach palono
zagazowanych
z wydajnością znakomitą
żadna fabryka Trzeciej Rzeszy
tak rekordowo nie pracowała)

śnił mi się płonący Kreml
śnił mi się świat bez Rosji

widziałam
jak biegną wolontariusze
jak ratują bez wytchnienia
jak płaczą ranni
jak krzyczą reanimowani
jak żyją wciąż żywi
widziałam

14-15 MAJA 2026, PO BOMBARDOWANIU KIJOWA PRZEZ ROSJAN, W 1541.-1542. DNIU WIELKIEJ WOJNY.

***Katarzyna Kuczyńska-Koschany.** Urodziła się w 1970 r., profesorka, literaturoznawczyni, eseistka, poetka. Autorka m.in. książek o Rilkem i Tuwimie. Wydała tomy poetyckie „Zielony promień" i „Łania w styczniu". Wiceprzewodnicząca Komitetu Nauk o Literaturze PAN, członkini Otwartej Rzeczypospolitej i Polskiego PEN Clubu.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl ae811472f6

ALE HISTORIA

PRZESZŁOŚĆ NIEWIELE NAS NAUCZYŁA

Manipulowanie historią – to, co robi prezydent Nawrocki i prawica, by poprawić swoje polityczne notowania – to nie jest polski interes, to wyłącznie ich interes.

Z **PROF. PAWŁEM MACHCEWICZEM** ROZMAWIA **WALDEMAR KUMÓR**

FOT. RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Paweł Machcewicz – jeden z najwybitniejszych polskich historyków, pracuje PAN, pierwszy dyrektor Muzeum II Wojny Światowej; kierował Biurem Edukacji Publicznej IPN; autor m.in.: „Wokół Jedwabnego" (z Krzysztofem Persakiem), „Wina, kara, polityka. Rozliczenia ze zbrodniami II wojny światowej" (z Andrzejem Paczkowskim), „Narodowy komunizm po polsku. »Partyzanci« Moczara"

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

WALDEMAR KUMÓR: Rozmawiamy w lipcu, miesiącu trzech bolesnych rocznic: 85. pogromu w Jedwabnem, 80. pogromu w Kielcach i jeszcze 83. zbrodni wołyńskiej. Czy te daty są dziś ważne? Co znaczą?
PROF. PAWEŁ MACHCEWICZ: Jeżeli mamy obowiązek o nich pamiętać, to po pierwsze jako o przestrodze. Po drugie dlatego, że te wydarzenia współtworzą naszą przeszłość, która składa się nie tylko z kart chwalebnych i heroicznych. Naszym dziedzictwem są też zbrodnie – Jedwabne i Kielce są symbolami jednych z najgorszych popełnionych przez Polaków w XX wieku.

Mówiąc „Jedwabne”, mam na myśli także ponad 20 innych miejsc w okolicach Białegostoku, w których w tym czasie Polacy zabijali Żydów. Mówiąc „Kielce”, mam na myśli falę antysemityzmu i przemocy w pierwszych latach powojennych, gdy Polacy zamordowali około 1500 Żydów.

Czy można mówić o ciągłości i konsekwencji przedwojennego antysemityzmu? Do ludzi nie dotarło jeszcze tak naprawdę, co się działo w takich miejscach jak Auschwitz?
– Można mówić o pewnej ciągłości. Przemoc wobec Żydów istniała już wcześniej. Pogrom z listopada 1918 roku opisał Grzegorz Gauden w książce „Lwów. Kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918”. W innych miejscach antysemityzm i pogromy wiązały się częściowo z wojną polsko-bolszewicką i postrzeganiem Żydów jako rzekomych sojuszników bolszewików.

Można powiedzieć, że ówczesna przemoc wobec Żydów początkowo wynikała z powojennego chaosu, ale w latach 30. stała się częścią polskiego życia publicznego, politycznego i społecznego. Dochodziło do ataków na studentów żydowskich na uczelniach wyższych, ale także do bojkotu żydowskich sklepów i niekiedy do tumultów i pogromów. Na przykład w marcu 1933 roku w Radziłowie endecy z Obozu Wielkiej Polski zaatakowali żydowskich mieszkańców; doszło do grabieży i niszczenia sklepów i domów, zabito jedną Żydówkę. W tym samym Radziłowie 7 lipca 1941 roku Polacy zabili i spalili kilkuset, czyli większość żydowskich mieszkańców miasteczka.

Ale jako historyk muszę patrzeć i brać pod uwagę wszystkie szczegóły tych zbrodni.

I co pan widzi?
– Liczy się czas i kontekst. Fala przemocy wobec Żydów, do której doszło w lipcu 1941 roku i której częścią były mordy w Radziłowie i Jedwabnem, związana jest z tym, że to Niemcy zachęcali i inspirowali te zbrodnie, czasem je wręcz współorganizowali. Były też miejsca, gdzie Polacy sami z siebie zabijali, ale liczy się atmosfera sprzyjająca zabijaniu. To był taki moment, kiedy Niemcy sami dawali przykład, że można zabijać.

Trzeba też pamiętać, że to był teren, który wcześniej znajdował się pod okupacją sowiecką. Duża część polskiej społeczności postrzegała Żydów – stereotypowo i krzywdząco – jako współpracujących z władzą sowiecką. Tyle że współpracowała z nią tylko niewielka część społeczności żydowskiej. Ale w takich sytuacjach fakty nie mają znaczenia – to była zemsta czy wymierzanie sprawiedliwości wobec tych, którzy rzekomo kolaborowali z Sowietami i byli współodpowiedzialni za cierpienia Polaków pod okupacją.

W Kielcach w 1946 roku Niemców nie było.
– Nie było. Byli Polacy. Podłożem była nienawiść do Żydów. Katalizatorem pogromu w Kielcach, ale także wcześniejszych w Rzeszowie czy w Krakowie, nie było przekonanie, że Żydzi są odpowiedzialni za komunizm, ale to, że Żydzi porywają polskie dzieci i je zabijają. Uczestnicy pogromów opowiadali o tym, że Żydzi – wycieńczeni wojną i ciężkimi warunkami w Rosji sowieckiej – zabijali polskie dzieci, bo potrzebowali ich krwi do tego, by się zregenerować i nabrać sił do życia. W Kielcach tłum wkracza do budynku przy ulicy Planty w Kielcach, gdzie mieszkają Żydzi, którzy rzekomo uwięzili polskiego chłopca. Opisała to wszystko Joanna Tokarska-Bakir w monumentalnym dwutomowym dziele „Pod klątwą. Społeczny portret pogromu kieleckiego”.

W Kielcach doszło do takiej radykalizacji nastrojów, że do tłumu przyłączyli się żołnierze i milicjanci, których władza posłała na Planty, by ochraniać Żydów. Ludzi ogarnia amok, tłum nie myśli racjonalnie, radykalizuje się. Pogrom wylewa się na ulice miasta. Poluje się na Żydów. Wyciąga się ich z pociągów, które akurat przyjeżdżają do Kielc.

Ta antysemicka atmosfera dotyczy nie tylko Kielc. Niektóre oddziały podziemia niepodległościowego mordują Żydów, bo są rzekomo współtwórcami systemu komunistycznego czy sowieckiego. Inni zabijają, bo Żydzi ponoć mają majątki, pieniądze, wracają, a przecież miało ich nie być – Polacy przejęli ich domy, warsztaty i sklepy. O tym, jak to wyglądało w Radomiu, opowiada przejmująco historyk Łukasz Krzyżanowski w książce „Dom, którego nie było. Powroty ocalałych do powojennego miasta”.

Zastanawiająca jest ta moc i skuteczność najbardziej prymitywnej plotki. To jest przerażające w naturze ludzkiej, że tak łatwo w to wierzy.
– Nie ma w tym żadnej racjonalności, myślenia, dyskusji. Ale trzeba też wziąć pod uwagę, że mówimy o społeczeństwie straumatyzowanym po kilku latach niezwykle brutalnej niemieckiej okupacji, oswojonym także z przemocą, której doświadczali na co dzień. Mówimy o społeczeństwie, w którym elity zostały przetrzebione – największe procentowo straty ponieśli ludzie z wyższym i średnim wykształceniem. Kto miał więc apelować do rozumu?

Polsko-ukraiński konflikt pamięci w pewnym sensie był nieuchronny i jest on moim zdaniem nierozwiązywalny, przynajmniej w bliskiej perspektywie

Władza i populiści potrafili wykorzystać antysemityzm. Korzystali z wiedzy o człowieku, który wzmocniony propagandą działa stadnie. Opisał pan to w książce „Narodowy komunizm po polsku. »Partyzanci« Moczara”.
– Antysemityzm znów się ujawnił w warunkach zerwania ze stalinizmem w 1956 roku. W całej Polsce dochodziło wtedy do różnego rodzaju aktów przemocy wobec Żydów, jak na przykład we wrześniu w Wałbrzychu, gdzie zaczęło się od bójki w sklepie mięsnym należącym do spółdzielni żydowskiej. Rozeszła się plotka, że pracownik sklepu, Żyd, ugodził nożem klienta, Polaka. Plotka błyskawiczne urosła do rangi wydarzenia, że Żydzi atakują Polaków. Wokół sklepu zgromadził się tłum wykrzykujący antysemickie hasła. Milicja parę dni patrolowała Wałbrzych i pilnowała spokoju.

Moczar i jego ludzie od lat 60. świadomie manipulowali nastrojami antysemickimi znacznej części Polaków. Szczyt tej manipulacji nastąpił w marcu-kwietniu 1968 roku. Przekaz medialny był taki: Polska jest zagrożona przez spisek żydowski czy – jak pisano – syjonistyczny. Mało tego: Żydzi działają do spółki z Niemcami. Po to, by wykreować w świecie, że to Polacy odpowiadają za Holokaust, a nie Niemcy. Moczarowi udało się zagrać na nucie godnościowej, że oto dobre imię Polski jest szargane, a odpowiedzialni są za to Żydzi. Do tego dochodziło przeświadczenie, że odpowiadają oni za komunizm, sowietyzację Polski, brutalne represje w stalinizmie i niszczenie polskiej kultury. Wielu w taką opowieść uwierzyło.

Mam poczucie, że gdybyśmy teraz zamienili słowo „Żyd” na „Ukrainiec”, to mówilibyśmy o podobnych mechanizmach. Ukraińcy się u nas przecież „panoszą”, „dostają niezasłużoną pomoc finansową”. Efekt: ataki słowne, wyczuwalny i podsycany nastrój antyukraiński.
– Trzeba bić na alarm, bo ta atmosfera jest absolutnie niepokojąca właśnie ze względu na akty przemocy wobec mieszkających u nas Ukraińców. Jednocześnie trzeba widzieć różnicę.

Antysemityzm i antyjudaizm, przemoc wobec Żydów, zarówno ta fizyczna, jak i symboliczna, jak również dyskryminacja, były przez całe wieki częścią kultury chrześcijańskiej i polskiej historii. Natomiast nastroje antyukraińskie czy konflikt z Ukrainą można analizować od początku XX wieku, czyli to dość świeża historia, abstrahując oczywiście od powstań kozackich w czasach I Rzeczypospolitej, które trudno jednak postrzegać we współczesnych kategoriach etnicznych. To jest wojna polsko-ukraińska w roku 1918-19 w Galicji, czy też to, co się działo w czasie II wojny światowej.

I trzeba wyraźnie i jednoznacznie mówić, że jeśli chodzi o II wojnę światową, to przede wszystkim Polacy byli ofiarami. Obie strony popełniały zbrodnie na cywilach, ale to OUN-UPA zamordowała około 100 tysięcy Polaków, a polskie formacje zbrojne około 15 tysięcy Ukraińców. Żeby obraz był pełny, trzeba też pamiętać o dyskryminacji Ukraińców w II RP, ale nie może być ona oczywiście usprawiedliwieniem dla masowych mordów z okresu II wojny światowej.

Są i podobieństwa. „Partyzanci” Moczara politycznie wykorzystywali i wywoływali poczucie zagrożenia w latach 60. Robili to przeciwko Żydom, a teraz polska prawica robi to przeciwko Ukraińcom. I paradoksalnie znowu wszystko jest nieracjonalne, ale – tak jak już mówiliśmy – nastroje społeczne bardzo często nie rządzą się racjonalnością. Bo przecież Ukraina powinna być postrzegana jako nasz sojusznik, który zatrzymuje rzeczywiste zagrożenie dla Polski, czyli imperializm rosyjski. Ale coraz szersze nastroje antyukraińskie są oparte na niechęci i – paradoksalnie – na poczuciu zagrożenia i lęku: że rzekomo Ukraińcy mieszkający w Polsce mają wiele przywilejów kosztem Polaków, a ostatnio głównie na sprawach dotyczących przeszłości, tej sprzed ponad osiemdziesięciu lat.

Znowu widać wymiar godnościowy. W tej narracji Ukraińcy nas obrażają. I nie chcą uszanować pamięci polskich ofiar zabitych na Wołyniu.

Widzimy zderzenie dwóch historii, pamięci o niej plus dwie polityki historyczne.
– Polityka historyczna współczesnej Ukrainy, zwłaszcza w czasie wojny z Rosją, buduje tradycję niepodległościową wokół UPA, formacji rzeczywiście antyrosyjskiej, prowadzącej bohaterską walkę przeciw Sowietom jeszcze do początku lat pięćdziesiątych. I tu następuje zderzenie z Polską pamięcią, bo ta tradycja dla nas to przede wszystkim zbrodnie masowe na Polakach.

Ten konflikt w pewnym sensie był nieuchronny i jest on moim zdaniem nierozwiązywalny, przynajmniej w bliskiej perspektywie. Teraz widać ewidentne usztywnienie stron. I nie tylko w środowiskach nacjonalistycznych. Ukraińska opinia publiczna popiera teraz prezydenta Wołodymyra Zełenskiego w konflikcie z Polską, nawet ci, którzy w innych sprawach są wobec niego krytyczni. Bardzo to niebezpieczne, gdyż ogranicza szansę jakiegokolwiek dialogu. A polska prawica zacznie jeszcze bardziej stygmatyzować mieszkających u nas Ukraińców. Boję się, że będzie jeszcze częściej dochodziło do aktów przemocy.

Najbardziej się cieszą w Moskwie, bo to przecież odradzającym się rzekomo nazizmem tłumaczyli swój atak na Ukrainę. Niemal tych samych fraz i argumentów co kremlowska propaganda użył niedawno wobec Ukrainy Przemysław Czarnek, a wszystko w związku ze sprawami, które dotyczą wydarzeń sprzed ponad osiemdziesięciu lat.

Czyli fałszywa jest sentencja: „Historia magistra vitae est”. Historia nie jest nauczycielką życia. Mówię tu o historii, a nie polityce historycznej. Niczego się nie nauczyliśmy. Natura człowieka jest taka, że populiści i dyktatorzy mogą, jeśli i jak chcą, zarządzać ich emocjami i lękami.
– Mam pesymistyczny ogląd rzeczywistości. Historia na ogół nie jest nauczycielką życia ani nie pozwala unikać kolejnych błędów. Przykład z Polski, o którym mówiliśmy: już po Auschwitz, po wymordowaniu niemal wszystkich polskich Żydów, po 1945 roku dochodzi wobec nich do aktów przemocy. Okazuje się, że Holokaust oczywiście wstrząsnął Polakami, ale niekoniecznie doprowadził do wzrostu nastrojów empatii czy solidarności z Żydami.

To nie dotyczy tylko historii Polski. Odkrycie zbrodni dokonanych w czasie wojny, zwłaszcza po wyzwoleniu obozów koncentracyjnych i obozów zagłady, wstrząsnęło opinią światową, ale na dłuższą metę niczego nie zmieniło. Masowe zbrodnie na świecie są dokonywane właściwie nieustannie.

Użyję przykładu, który dla wielu może być kontrowersyjny. Amerykanie, zaledwie kilka miesięcy po wyzwoleniu Auschwitz i innych obozów, żeby zakończyć wojnę z Japonią, świadomie zdecydowali się, że zrzucą bomby atomowe na Nagasaki i Hiroszimę. Od początku założyli, że ofiarami będzie ludność cywilna, zginęło w ciągu paru dni sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Oczywiście to nie jest porównywalne z Holokaustem, bo to nie był systematyczny mord zaplanowany na całym narodzie. Ale nawet to pokazuje, że wojna doprowadziła do takiej brutalizacji, że każdy pomysł był dobry, by osiągnąć cele polityczne i militarne.

W świecie pozaeuropejskim pamięć Auschwitz czy w ogóle pamięć Holokaustu miała bardzo ograniczone albo wręcz żadne znaczenie. W 1949 roku chińscy komuniści wymordowali po zdobyciu władzy według umiarkowanych szacunków co najmniej dwa miliony ludzi, których uważali za wrogów klasowych. W 1965 roku armia w Indonezji dokonała puczu i wymordowano według różnych ocen od kilkuset tysięcy do miliona ludzi uznawanych za komunistów. Inny przykład: Kambodża, Czerwoni Khmerzy zabili ponad milion ludzi – w kraju zaledwie kilkumilionowym. I oczywiście mord na Tutsi w Rwandzie.

Znowu użyję kontrowersyjnego przykładu. Tożsamość współczesnego Izraela została zbudowana na pamięci Holokaustu. Wielu izraelskich badaczy i publicystów twierdzi, że dzisiaj ta pamięć jest nadużywana. Zagrożenie ze strony Palestyńczyków jest utożsamiane z zagrożeniem tej samej rangi co w czasie wojny ze strony Niemców i jest traktowane jako zagrożenie dla przetrwania narodu żydowskiego. Tak więc pamięć Holokaustu staje się uzasadnieniem dla masowych zbrodni dokonywanych na cywilach palestyńskich.

Organizacja Hamas powstała też po to, by zabić wszystkich Żydów.
– Oczywiście, mam tego świadomość, ale jednocześnie za działania Hamasu nie odpowiadają wszyscy palestyńscy cywile, zwłaszcza kobiety i dzieci. Jest też rzecz jasna kwestia liczb i proporcji. Nie zamierzam równać śmierci kilkudziesięciu tysięcy palestyńskich cywilów z Holokaustem, choć zabicie nawet jednego niewinnego i bezbronnego człowieka zawsze jest zbrodnią. Mówię tu o tym, że nawet ofiary i ich potomkowie mogą dokonywać zbrodni. Chcę tylko pokazać, że pamięć Auschwitz też może być w różny sposób nadużywana.

Ale chcę też podkreślić, że to wszystko nie oznacza, że my mamy nie pamiętać o tych

eprasa.pl ae811472f6

wszystkich zbrodniach. Może bez tej pamięci byłoby ich dziś jeszcze więcej.

Pamiętanie o zmarłych, o ofiarach i oddawanie im hołdu jest częścią kultury chrześcijańskiej i cywilizacji europejskiej. To też część podtrzymywania tożsamości narodowej. Jeśli chcemy przetrwać jako wspólnota, to musimy pamiętać o naszej przeszłości.

Ale – mówię to jako zaniepokojony obywatel – nie można przesadzić i nieustannie podbijać bębenka bezkrytycznego patriotyzmu i nacjonalizmu.

– Zgadzam się. Megalomania narodowa, której częścią jest przekonanie o własnej wyjątkowości i skupienie się wyłącznie na swoich krzywdach, jest szkodliwa najbardziej dla tego narodu, który jej ulega. Zawiesza myślenie racjonalne i krytyczne. Widać to teraz, gdy się przyjrzeć wzmożeniu emocjonalnemu wokół zbrodni wołyńskiej.

Cyniczne wzmożenie?

– W dużej mierze tak, bo nie chodzi w nim tylko o pamięć zamordowanych Polaków, ale o interesy polityczne, a wręcz partyjne. Już doprowadziło to do pogorszenia relacji z Ukraińcami, którzy są naszymi sąsiadami, a powinni być także sojusznikami. Musimy sobie ułożyć relacje, a historia nie może stać się w tym nieprzezwyciężalną przeszkodą. W interesie Polski przecież jest ochrona naszej niepodległości i bezpieczeństwa. Chodzi o obronę Polski i Europy przed imperializmem rosyjskim.

Podkreślam: w dłuższej perspektywie megalomania narodowa, ksenofobia i nastroje antyukraińskie po prostu godzą w polską rację stanu, w polskie bezpieczeństwo i niepodległość.

Manipulowanie historią – to, co robi prezydent Karol Nawrocki, to, co robi prawica, by poprawić swoje notowania i dojść do władzy – to nie jest polski interes, to jest tylko ich polityczny interes. Nie zmniejsza to oczywiście odpowiedzialności Zełenskiego za sprowokowanie ostatniego kryzysu i – szerzej mówiąc – narastających nastrojów nacjonalistycznych po ukraińskiej stronie, które utrudniają porozumienie z Polską. Tylko trzeba pamiętać, że w Ukrainie od czterech i pół roku trwa straszna wojna, która takim nastrojom sprzyja, a my wciąż żyjemy w warunkach pokoju, choć także wzrastającego zagrożenia.

Czyli nie pozostaje nic innego jak syzyfowa praca, porządna edukacja, porządne media i nieustanne, żmudne tłumaczenia, prostowanie kłamstw i manipulacji polityków, szanowanie i słuchanie autorytetów.

– Tak, nie mam co do tego wątpliwości.

Wszystko to, o czym mówimy – Jedwabne, Kielce, Wołyń – pokazuje, że historycy przestają być głównymi autorytetami. To się wiąże też z pojawieniem się mediów społecznościowych, każdy może tam zabrać głos. Głos specjalisty, historyka jest traktowany przez odbiorców na równi z innymi.

W internecie można bezkarnie właściwie wygłosić każdy sąd, najbardziej niedorzeczne teorie spiskowe dotyczące współczesności czy historii. Politycy też historią bardzo chętnie manipulują. Okazało się bowiem, że budzi ona rezonans społeczny, wywołuje emocje. W związku z tym bardzo trudno jest przebić się z głosem rozsądku.

Obowiązkiem historyków jest tłumaczyć, co się wydarzyło, sugerować jakieś drogi prowadzące do dialogu, w tym przypadku polsko-ukraińskiego. Ale nasz głos jest jednym z wielu. Są też oczywiście historycy, którzy bynajmniej nie nawołują do dialogu polsko-ukraińskiego. Prezydent Karol Nawrocki, historyk przecież, odbierając Medal Orła Białego Zełenskiemu, uzasadniał, że robi to w imię naszej godności narodowej, a tak naprawdę robił to dla budowania własnej pozycji na prawicy, szkodząc polskiej racji stanu.

A jak oceniłby pan obecny IPN w kontekstach, o których mówimy?

• **Listopad 1936 roku, narodowcy blokują bramę wejściową na dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego. Napis na transparencie: „Żądamy getta dla Żydów i obowiązek opłat" (za studia)**

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

– IPN już od co najmniej dziesięciu lat nie spełnia swoich ustawowych zadań – prowadzenia rzetelnych badań naukowych i edukacji historycznej. Stał się narzędziem jednej partii – Prawa i Sprawiedliwości, badacze, którzy w tę linię się nie wpisują, zostali w IPN zmarginalizowani albo z niego usunięci. IPN nie ma w tej chwili żadnego autorytetu, by jego głos się liczył w jakichkolwiek istotnych sprawach historycznych – czy dotyczy to Jedwabnego, Kielc, czy konfliktu polsko-ukraińskiego. Przy okazji ostatniej rocznicy zbrodni w Jedwabnem przekaz płynący z IPN dotyczył rzekomego odkrycia, że w czasie tego mordu aktywny był Polak będący niemieckim agentem. Nie podano żadnych konkretów, ale brzmiało to jak rewizjonizm – negowanie sprawstwa Polaków.

Na ten temat wypowiadał się m.in. Mateusz Szpytma, który wkrótce potem został przez Sejm wybrany na prezesa IPN, także głosami Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jest to osoba, która wcześniej sprawowała przez 10 lat funkcję wiceprezesa IPN i jest współodpowiedzialna za wszystkie jego patologie: skrajne upolitycznienie, wyrzucanie z pracy historyków za publikacje niezgodne z polityką historyczną PiS, używanie tej instytucji do budowania na prawicy pozycji politycznej Karola Nawrockiego, poważne nieprawidłowości finansowe potwierdzone przez NIK. Jeżeli wybór ten potwierdzi Senat i Szpytma rzeczywiście zostanie prezesem, będzie to oznaczało, że obecna koalicja sankcjonuje wszystkie nieprawości, które się w IPN w ciągu ostatniego dziesięciolecia wydarzyły.

Czy teraz – gdyby pan miał wiedzę o naturze mediów społecznościowych, podważaniu autorytetów i krytycznego myślenia, coraz słabszych tradycyjnych mediów – inaczej opracowałby ze swoim zespołem koncepcję Muzeum II Wojny Światowej? Czy to muzeum ma znaczenie, skoro historia nie jest nauczycielką życia?

– Myślę, że nie, że ta nasza koncepcja na muzeum się sprawdza. Odwiedziło je już ponad cztery miliony ludzi. Analizujemy reakcje zwiedzających. Są na ogół bardzo pozytywne. Ludzie, wychodząc, są niezwykle poruszeni i wzruszeni, co widać choćby po wpisach w księgach, które są na końcu wystawy.

Co doceniają?

– Cywilny wymiar wystawy, czyli koncentrowanie się na perspektywie ludności cywilnej. Zwiedzający utożsamiają się z przedstawieniem wojny jako ogromnej tragedii zwykłych ludzi. Doceniają to, że to jest muzeum pokazujące los Polaków, ale nie tylko Polaków, także doświadczenia innych narodów.

Myślę więc, że to nasze muzeum jest potrzebne bardziej niż kiedykolwiek w czasach narastającej ksenofobii, konfliktów narodowościowych. Także konfliktu polsko-ukraińskiego.

Mam nadzieję, że jeżeli prawica dojdzie ponownie do władzy, to znów nie zmieni wystawy. Ale może nie powinienem mieć takich nadziei, bo to są złudzenia.

Ale – znów powtórzmy – chociaż nikt jeszcze nie dostał Nagrody Nobla za szczepionkę na populizm, trzeba porządnie opowiadać i pisać o historii mimo tych nieszczęsnych mediów społecznościowych i pozornej demokratyzacji debaty.

– Po prostu wykonywać pracę organiczną. Każdy może. Ja jako historyk, rozmawiając z panem, adresuję to, co mówię, nie tylko do czytelników moich książek historycznych, ale do ludzi, którzy czytają gazety. Ogromną rolę mają do odegrania muzea. Brakuje mi dobrych programów historycznych w telewizji publicznej. Może w pogoni za widzem z tego zrezygnowano? Może się zmieniły oczekiwania widza? Ale przecież nie można się poddawać mimo narastającej fali nastrojów nacjonalistycznych. Mówiłem, że to, co zrobił Nawrocki, uważam za szkodliwe dla polskiej racji stanu i godzące w polskie bezpieczeństwo. I co? Natychmiast mu wzrosło poparcie. Okazuje się więc, że tego rodzaju podbijanie bębenka dumy narodowej spotyka się z aprobatą wyborców.

Nie tylko on. Dziennikarze – i to nie ci z najbardziej skrajnych i populistycznych mediów – bez cienia wstydu mówią m.in., że wkurzają je przyjeżdżające do nas umalowane i dobrze ubrane Ukrainki. Albo poszukiwanie ukraińskich korzeni wśród przedstawicieli polskiego rządu.

– To przejaw nastrojów społecznych, przekonania, że Ukraińcy rzekomo nie okazują nam wdzięczności. A poszukiwanie ukraińskich korzeni wśród członków rządu przypomina poszukiwanie na stanowiskach syjonistów i Żydów w latach 1967 i 1968.

Trzeba, powtarzam, cierpliwie tłumaczyć, że to my powinniśmy być wdzięczni Ukraińcom, że codziennie walczą, giną i powstrzymują armię Putina, która jest największym dla nas zagrożeniem.

Z czasów PRL niektórzy z Warszawy pamiętają też takie nieoficjalne głosy wypowiadane po cichu i ze strachem przez ocalałych z II wojny światowej: „Nie jedź na drugą, wschodnią stronę Wisły, bo tam już czyhają Ukraińcy i wbijają widły w plecy". W propagandzie tego nie było. Był sączony, kiedy to było wygodne, antysemityzm – że Żydzi rządzą światem.

– W PRL prawie nie mówiło się o konflikcie polsko-ukraińskim. Jeżeli w ogóle, to ograniczano go do walk z UPA w Bieszczadach. Nie bez powodu. Po pierwsze dlatego, że w ogóle nie mówiło się o ziemiach wschodnich, które po wojnie przejął Związek Radziecki. Nie mówiło się, że Wołyń czy Galicja Wschodnia były częścią Polski. Po drugie dlatego, że obowiązywała ta oficjalna przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, którego częścią była Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka. Także w latach 90., już za czasów III RP bardzo mało mówiono o wydarzeniach na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, w pierwszym dziesięcioleciu koncentrowano się na zbrodniach sowieckich, o których przed 1989 rokiem też nie wolno było pisać. Dopiero od lat 2000 temat rzezi wołyńskiej staje się częścią debaty publicznej.

W 2009 roku Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku zamówiło badania socjologiczne dotyczące pamięci wojny. Wyniki okazały się zdumiewające. Okazało się, że badani najgorzej oceniali w perspektywie doświadczeń II wojny światowej Ukraińców. Gorzej niż Niemców i Rosjan.

Dlaczego?

– Moim zdaniem dlatego, że to pojednanie polsko-niemieckie, bardzo kulawe, ale jednak zaczęło się w latach 60., od listu biskupów polskich do niemieckich, czyli ponad pół wieku wcześniej. A dialog polsko-ukraiński i dyskusja o najtrudniejszych kartach historii zaczęła się raptem tak naprawdę od początku lat 2000. Mamy więc wiele do zrobienia, a tocząca się teraz wojna nie sprzyja dialogowi. Ten dialog potrwa dziesięciolecia. Tymczasem mamy konflikt i ustalanie przeciwstawnych pamięci narodowych – polskich i ukraińskich.

Znamienne jest, że polska prawica nie wykorzystuje haseł antyrosyjskich, jej część jest nawet prorosyjska. Sięga się wciąż po hasła antyniemieckie i antyukraińskie. Piętnuje Niemców i Ukraińców jako tych, którzy nam zagrażają. Nie ma to związku z rzeczywistością, ale robi się to, by obudzić emocje swoich elektoratów.

Historia nie jest nauczycielką życia, ale jest bardzo ważna, by osiągać polityczne cele. Nie tylko w Polsce. Sięgają po nią populiści na całym świecie. Nie straszą bezrobociem czy kryzysami ekonomicznymi, tylko walą pałką historyczną. Dlaczego?

– Bo paradoksalnie historia jest w pewnym sensie najłatwiejsza jako paliwo polityczne. Łatwo się wokół niej zmobilizować, wokół dumy narodowej albo poczucia zagrożenia. Znacznie trudniejsze i nieprzynoszące natychmiastowych efektów jest tworzenie i realizowanie programów zapewniających Polsce rozwój, naprawę służby zdrowia, systemu emerytalnego czy edukacji, rozwiązanie problemów demograficznych itd.

Wystarczy mówić o ofiarach. Przekaz jest uniwersalny i łatwiejszy do zrozumienia niezależnie od indywidualnej sytuacji ekonomicznej czy wykształcenia.

Może trzeba przejrzeć podręczniki do historii? Skuteczniej uczyć krytycznego myślenia, skoro historia jest taka popularna?

– Mam poczucie, że polska szkoła, ale także instytucje demokratyczne i my wszyscy ponieśliśmy porażkę, skoro mamy do czynienia z narastającą ksenofobią. Tak jak wcześniej, za rządów PiS-u mieliśmy do czynienia z demontażem demokracji, przy obojętności znacznej części – może nawet większości – społeczeństwa. Powinniśmy być świadomi, że musimy potraktować – jako jedno z zadań priorytetowych – budowanie edukacji obywatelskiej i historycznej. Żeby była lepsza niż do tej pory, żeby przynosiła lepsze skutki.

Polin czy Muzeum II Wojny Światowej to za mało.

– Za mało. ●

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

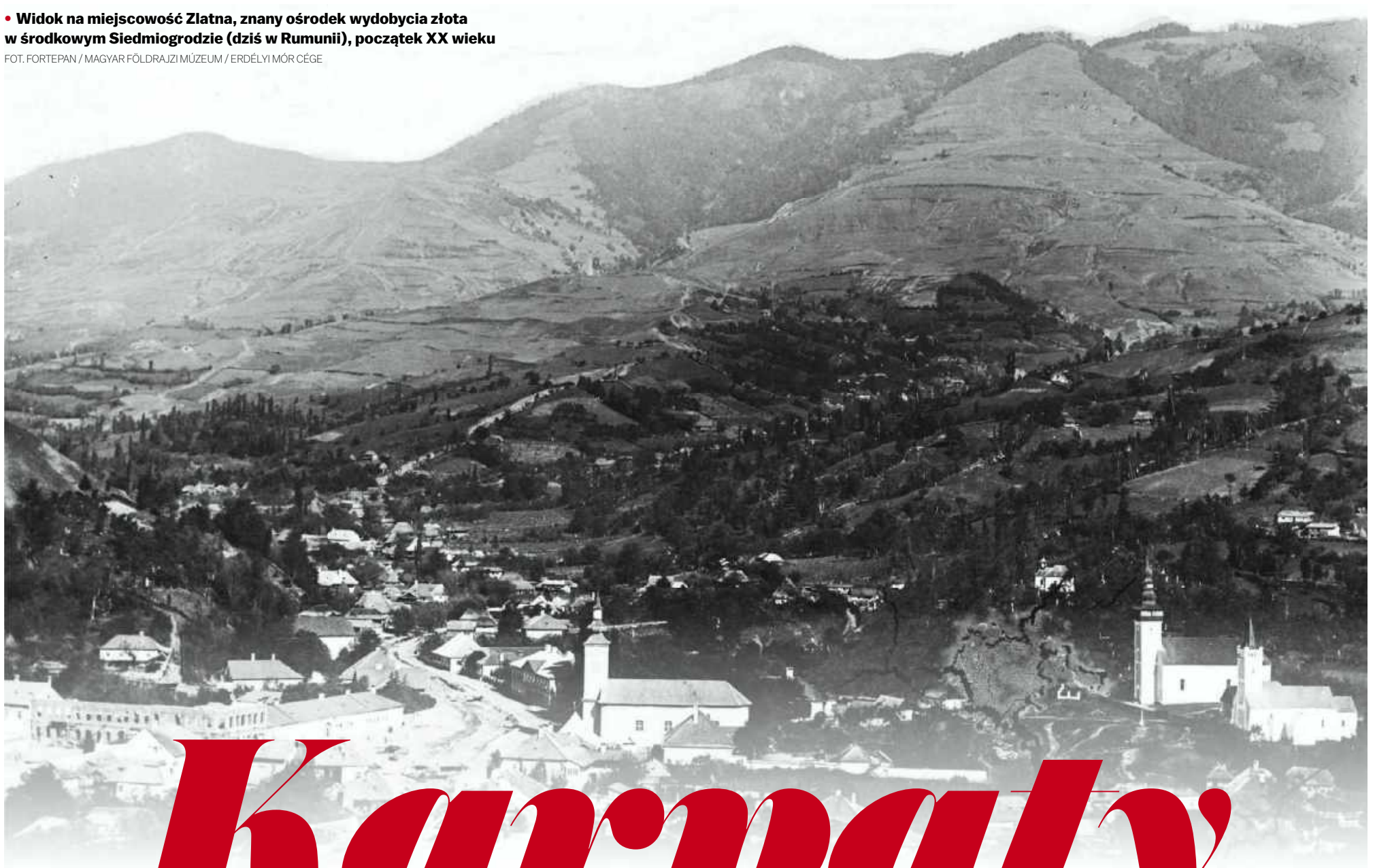

• **Widok na miejscowość Zlatna, znany ośrodek wydobycia złota w środkowym Siedmiogrodzie (dziś w Rumunii), początek XX wieku**
FOT. FORTEPAN / MAGYAR FÖLDRAJZI MÚZEUM / ERDÉLYI MÓR CÉGE

Karpaty
MOZAIKA LUDÓW

Historię Polski można pisać z perspektywy Krakowa, Warszawy, dodając czasem Wilno, Lwów, może Poznań i Gdańsk. W przypadku Karpat ograniczenie się do kilku miejscowości jest niemożliwe.

Z PROF. MACIEJEM JANOWSKI ROZMAWIA ANDRZEJ BRZEZIECKI

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Zastanawiam się, kiedy udało ci się zejść Karpaty i przeczytać te wszystkie książki o nich. Przecież nie jesteś staruszkiem, a po drodze napisałeś jeszcze kilka innych książek, zostałeś profesorem historii i dyrektorem IH PAN...
PROF. MACIEJ JANOWSKI: Po prawdzie całych Karpat nie zszedłem, a ogromnej większości książek o Karpatach nie przeczytałem; jest ich tak wiele, że nie tylko życia, ale i dziesięciu żyć by nie starczyło. Jeśli jednak dodam do siebie wszystkie moje wakacyjne wyjazdy – począwszy o ósmego roku życia, średnio na dwa tygodnie – to przez pół wieku z haczykiem uzbiera się tych wycieczek sporo. A bywały okresy, gdy w rejonie Karpat przebywałem dłużej. Choć, zaznaczę, że nie jestem takim fanatykiem gór jak niektórzy moi znajomi, którzy niemal w każdy weekend bladym świtem jechali do Zakopanego.

A książki... Cóż, należę do ludzi, dla których czytanie jest przyjemnością, a nie ciężkim obowiązkiem.

Znam jeszcze kilkoro ludzi, którzy lubią góry, czytają, a nawet piszą książki, ale nie wszyscy piszą własne książki o górach.
– To prawda. Taki Darek Stola, dyrektor Polin, złaził więcej gór niż ja, a książki o nich na razie nie napisał. Chodząc po górach, miałem ciągłe poczucie, że muszę sobie te Karpaty jakoś w głowie ułożyć. Pamiętam, jak w latach 90. XX wieku w jednym z klasztorów w rumuńskich Karpatach ujrzałem freski, na których były przedstawione postaci fundatorów i naszło mnie wrażenie, że oni przecież wyglądają niemal tak samo jak nasza szlachta. Mieli głowy podgolone, szable podobne do naszych karabeli. Nie byli w kontuszach, ale czymś w rodzaju żupanów. W każdym razie nie wyglądali na zachodnioeuropejskich muszkieterów, ale oczywiście też nie mieli turbanów jak nieodlegli Turcy. Zdałem sobie sprawę z tego, że choć daleko od Warszawy, to jestem w tym samym regionie kulturowym. Podobne uczucie mam, nieraz idąc jakąś doliną w południowych Karpatach, gdy wydaje mi się, że jestem gdzieś w Beskidach. Od razu zaznaczę, że nie jestem przyrodnikiem, więc pewnie nie dostrzegam różnic w gatunkach drzew czy krzewów.

A w takich Karkonoszach to jest już inny duch, teutoński?
– Kulturowo to są zupełnie inne góry. Jest choćby inna architektura.

Czyli gdyby góral spod samiuśkich Tatr spotkał się z góralem z Siedmiogrodu, mieliby o czym gadać?
– Pewnie, żeby mieli o czym gadać. Parzenice według jednej z teorii przyszły na Podhale z Węgier w XIX wieku, bo żołnierze węgierskich pułków mieli takie wzory na spodniach. Są muzyczne podobieństwa na terenie Karpat i że jest taniec w Siedmiogrodzie bardzo podobny do krakowiaka. Dostrzegam więc na terenie całych Karpat elementy wspólnoty gospodarczo-kulturowej. Jest nią na przykład drewniana architektura sakralna, i to niezależnie od wyznania. Drewniane kościoły w okolicy, powiedzmy Suwałk, są zupełnie inne od tych, jakie widywałem w Beskidzie, ale także na południe od Polski.

Oczywiście nie jest tak, że jeśli pewne zjawiska występują w Karpatach, to nie ma ich gdzie indziej i są wyjątkowe dla tych gór. Sprawy honoru czy zemsty rodowej występują nie

eprasa.pl ae811472f6

Prof. Maciej Janowski

• (ur. 1963), historyk, dyrektor Instytutu Historii PAN. Zajmuje się dziejami Polski i Europy Środkowej w XIX wieku. Autor m.in.: „Inteligencja wobec wyzwań nowoczesności. Dylematy ideowe polskiej demokracji liberalnej w Galicji w latach 1889-1914", Warszawa 1996; „Polska myśl liberalna" (Warszawa-Kraków 1998), „Dzieje inteligencji polskiej do roku 1918" (wraz z Jerzym Jedlickim i Magdaleną Micińską), Warszawa 2008.

tylko w tych górach, ale pasterstwo karpackie różni się od alpejskiego.

Karpaty wydają się bardziej zróżnicowane kulturowo niż potężne Alpy, gdzie dominują żywioły romański i germański.
– Też mi się tak wydaje, choć boję się to powiedzieć głośno, bo jeszcze znawcy Alp powiedzą nam, że nasze przekonanie wynika z nieznajomości tamtych gór... Karpaty to rzeczywiście mozaika: mamy tu ludność słowiańską, madziarską, romańską, germańską, żydowską, ormiańską. Mamy katolików łacińskich, katolików wschodnich, prawosławnych, protestantów wszystkich możliwych odcieni, żydów, muzułmanów...

Piszesz, że Karpaty to część tego samego łańcucha górskiego co Alpy, a jednak nie stały się Alpami Wschodnimi.
– Granica między Alpami a Karpatami jest wyznaczona dość arbitralnie. O Karpatach pisano kiedyś po łacinie Alpes. Myślę jednak, że w ostatecznym rozrachunku to nie przypadek, iż ta nazwa się nie przyjęła. I może dobrze. Gdyby taki trend się utrzymał, dziś niemieccy czy szwajcarscy historycy, pisząc monografie Alp, musieliby na końcu każdego rozdziału wspominać o Alpach Wschodnich w danej epoce. Pewnie by ze trzy strony poświęcili.

Może wpływ na peryferyjność Karpat, jak i całej środkowej oraz wschodniej Europy miało to, że znajdowały się poza rzymskim limes.
– Rzymianie grań Karpat pokonali, bo zajęli część Wołoszczyzny i Siedmiogrodu po obu stronach. Marek Aureliusz to już niemalże chciał ziemie dzisiejszej Słowacji przyłączyć, ale jego syn Kommodus się z tych planów wycofał.

Nie wiem, czemu Rzym nie chciał posuwać się dalej w naszą stronę. Może istnieje coś takiego jak limit ekspansji? W Siedmiogrodzie były kopalnie złota, którego Rzym potrzebował, i te kopalnie zajął. Pewnie legiony, gdyby dostały rozkaz, mogłyby pójść jeszcze dalej, bo przecież ani Alpy, ani Pireneje nie były dla nich przeszkodami, ale w końcu pojawiłoby się pytanie – po co?

Jeśli świat coś wie o Karpatach, to tyle, że stamtąd pochodzi Drakula.
– Chyba zdecydowały statystyka i ślepy traf. Rumuńskie Karpaty są największe, stanowią ponad połowę całego pasma, a wysokością niewiele ustępują Tatrom. Najwyższa góra w Rumunii – Moldoweanu – jest niższa tylko o sto metrów od Gerlacha. Dwutysięczników jest tam jednak więcej niż w Polsce i na Słowacji i średnia wysokość jest w efekcie wyższa.

Faktycznie to góry mroczne i znacznie bardziej puste. Można całymi dniami po nich podróżować, nie napotykając na większe ślady cywilizacji.
– Z drugiej strony z Wiednia łatwiej było tam dojechać niż np. w Tatry. W XIX-wiecznym Bedekerze polskie Tatry są omówione w rozdziale

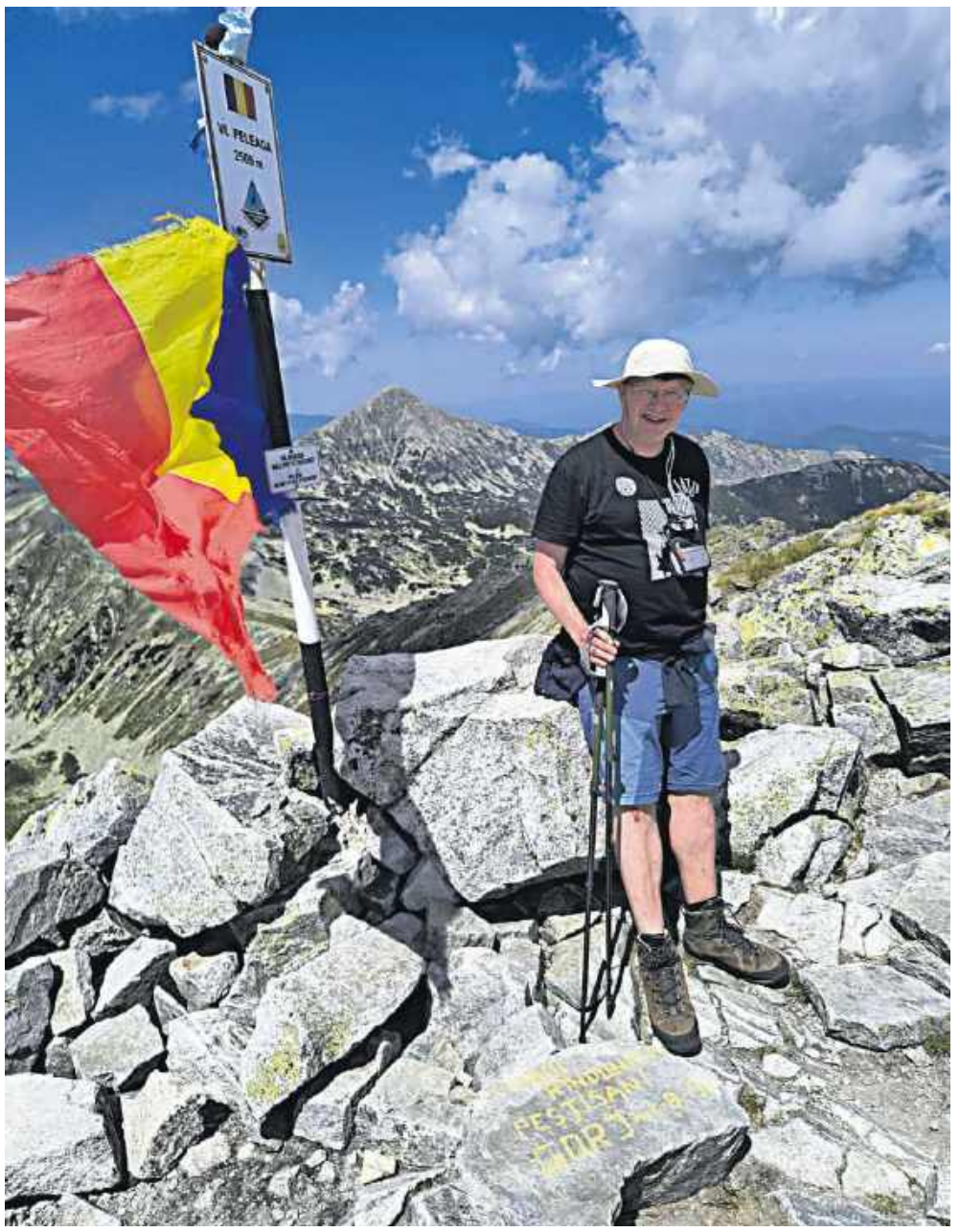

• **Prof. Maciej Janowski na liczącym 2509 metrów n.p.m szczycie Vârful Peleaga w Karpatach Południowych, lipiec 2025 roku** FOT. MAREK GENSLER

o Węgrzech. Ewidentnie zakładano, że turysta z Zachodu nie przyjedzie w góry przez Kraków, tylko najpierw do Wiednia i potem w góry. Ale z Wiednia, jak już mówiłem, do południowych Karpat jednak było bliżej.

Wszystko to sprawiło, że twórca postaci Drakuli Bram Stoker akurat w rumuńskich Karpatach umyślił sobie ulokować zamek wampira, którego protoplastą był Wlad Palownik – XVI-wieczny władca księstwa Wołoszczyzny. Nie był zbyt wybitną postacią ani znacznie bardziej okrutną od współczesnych mu, ale jego legendzie akurat sprzyjał wynalazek druku. Okrucieństwa księcia Wlada zostały uwiecznione w rycinach i broszurach, które powielano w całej Europie. To chyba cała tajemnicy kariery tego człowieka.

Piszesz, że na wspólnotę gospodarczo kulturową Karpat wpłynęły głównie cztery migracje: Słowian, Madziarów, Wołochów i Niemców.
– To one w dużym stopniu zdefiniowały Karpaty. Nie zapominam przy tym ani o Cyganach – dziś mówimy Romowie, ale uważam, że w tekstach historycznych możemy używać dawnej nazwy nazwy, Ormianach, ani oczywiście o Żydach. Choć z zaskoczeniem dowiedziałem się, że pod koniec XVIII wieku w Siedmiogrodzie było kilkakrotnie więcej Cyganów niż Żydów.

Słowianie, Węgrzy, Wołosi, czyli między innymi Rumuni – to oczywiste, bo zamieszkują te góry od co najmniej tysiąca lat. A co Karpatom dali Niemcy?
– Samorządność. Zgadzam się z Karolem Modzelewskim, że i u Słowian, jak i na całym obszarze tego, co Modzelewski określa mianem „Barbarzyńskiej Europy", istniała pewna forma wiejskiej samorządności już we wczesnym średniowieczu, ale to Niemcy w XIII i XIV wieku nadali jej określony kształt w postaci ustroju i planu lokowanych miejscowości z ryneczkiem, kościołem, ratuszem i karczmą.

• **Huculskie obchody święta ku czci Najświętszej Maryi Panny w karpackiej wsi Krzyworównia w zachodniej Ukrainie**
FOT. MIKHAIL KAPYCHKA / WIKIMEDIA COMMONS

Rynki mogą być kwadratowe albo podłużne, jak na Węgrzech, ale zasada jest taka sama. Oczywiście ten ustrój wykracza poza Karpaty, niemniej je także zdefiniował. Tak samo jak sztuka gotycka.

Twierdzisz jednak, że mimo tej wspólnoty trudno pisać historię Karpat, bo nie mają one jednego centralnego punktu.
– Historię Polski można pisać z perspektywy Krakowa, Warszawy, dodając czasem Wilno, Lwów, może Poznań i Gdańsk. W przypadku Karpat takie ograniczenie się do kilku większych miejscowości jest niemożliwe. W przypadku wszystkich państw, które mają na swoim terytorium Karpaty, są one pograniczem – choć w Rumunii i na Słowacji zajmują sporą część kraju. Rola Karpat w narodowym uniwersum jest wszędzie różna. Gdy Węgrzy zajęli tereny dzisiejszej Słowacji i tak pozostali ludźmi równiny, dla Polaków zaś nasze Tatry, które zajmują maleńki ułamek terytorium państwa, są świętością.

Wydawało mi się, że najwięcej uwagi poświęcisz epoce Habsburgów, tymczasem znaczna część książki jest o wiekach wcześniejszych.
– Irytowało mnie, że w wielu książkach historycznych okres do XVIII wieku mieści się na stu stronach, a potem ostatnie dwieście lat zajmuje czterysta stron. Postanowiłem napisać książkę na przekór tym tendencjom. Jeśli jednak epokę Habsburgów w Karpatach, a przynajmniej w części Karpat, liczymy – tak jak powinniśmy – od odziedziczenia przez tę dynastię tronów czeskiego i węgierskiego w 1525 roku, a nie dopiero od wygnania Turków prawie dwa wieki później, to sądzę, że epoka habsburska ma w książce mocniejszą reprezentację, niż mówisz. Oczywiście zawodowo zajmuję się wiekiem XIX, więc i on jest obszernie opisany. Za to wiek XX znacznie krócej, co pewnie mi koledzy po fachu wypomną...

Ale właśnie w epoce Austro-Węgier niemal całe Karpaty, z wyjątkiem części Wołoszczyzny i Mołdawii, były w jednym państwie. Wcześniej poszczególne regiony Karpat należały do różnych organizmów państwowych. Czy Habsburgowie oznaczali unifikację Karpat?
– I tak, i nie. Wszyscy wiemy, że do dziś po dworcach i stacjach kolejowych łatwo się zorientować, czy dana miejscowość była kiedyś pod panowaniem Wiednia czy nie. Nawet jednak nowożytne zbiurokratyzowane państwo habsburskie nie było jednorodne. Istniały w nim choćby różne rodzaje administracji. Inaczej rządził król czeski, a inaczej król węgierski, chociaż był to jeden i ten sam człowiek, czyli cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego, a od 1804 roku – cesarz Austrii. Weźmy ziemie dzisiejszej Polski i dzisiejszej Słowacji, czyli ówczesnych Węgier – po zajęciu Galicji przez Habsburgów granica z Węgrami pozostała granicą realną. Panował tam inny system polityczny, inna administracja i inne prawo. Do połowy XIX wieku była także granicą celną.

Na przykład nieporozumienia między rządami w Budapeszcie i w Wiedniu powodowały, że budowa kolei do Galicji Wschodniej napotykała wielkie trudności, bo Austriackie Koleje Państwowe i Królewsko-Węgierskie Koleje Państwowe miały odmienne koncepcje.

Cło i urzędniczy opór trudniej pokonać niż pasmo gór?
– Najwyraźniej, ale są też przykłady odwrotne: zajęcie Siedmiogrodu przez Habsburgów na początku XVIII wieku sprawiło, że zmieniły się kierunki przegonów bydła. Wcześniej pasterze siedmiogrodzcy gonili owce w ramach imperium osmańskiego, a teraz Turcy robili z tym kłopoty, żądali opłat itd. Więc pasterze zdecydowali się przeganiać bydło wewnątrz krajów habsburskich i ruszyli w drugą stronę. Analogicznie w międzywojennej Czechosłowacji, słowaccy pasterze, którzy przed 1918 roku wypasali bydło na Nizinie Węgierskiej, teraz ko-

eprasa.pl ae811472f6

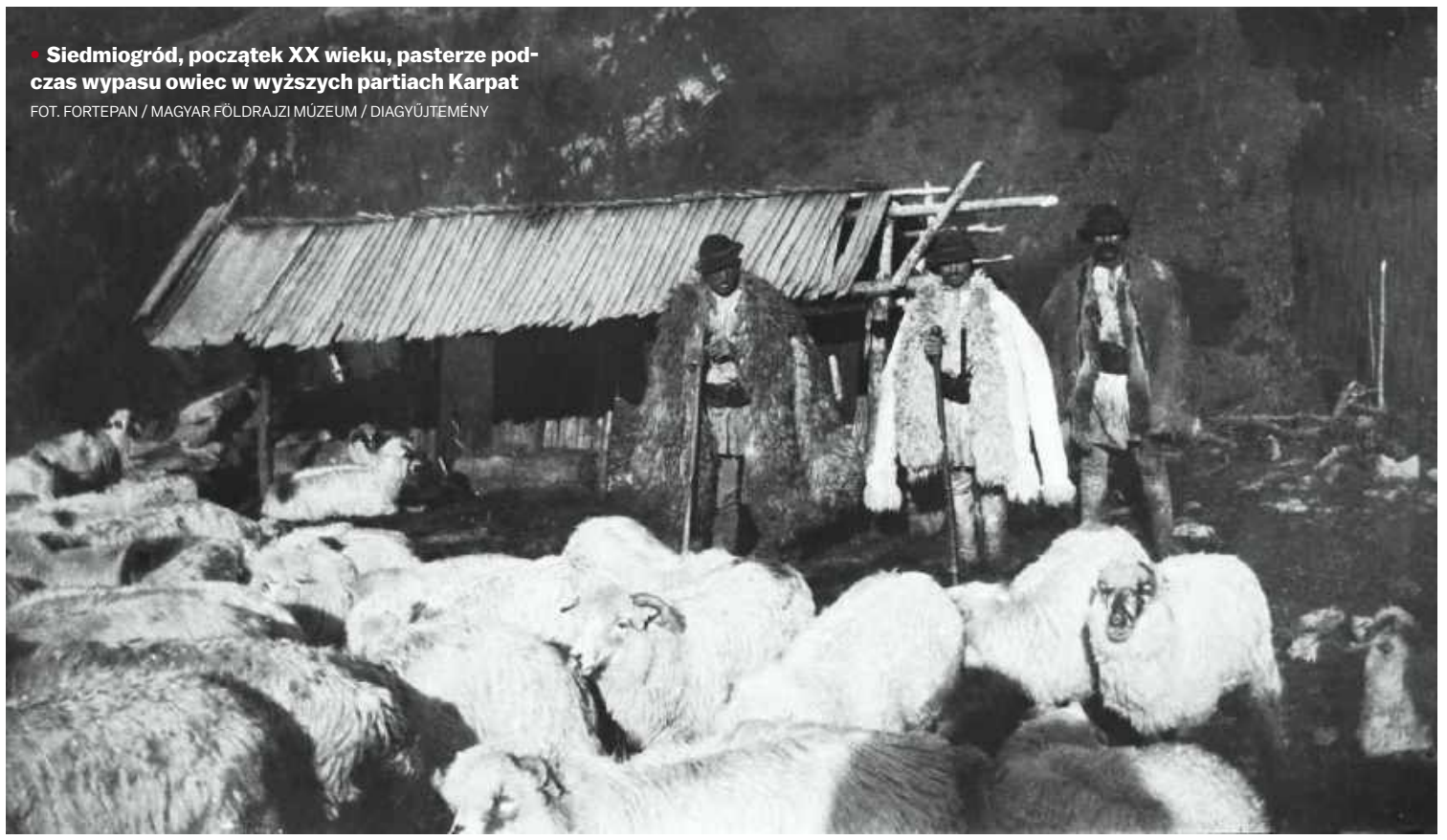

• **Siedmiogród, początek XX wieku, pasterze podczas wypasu owiec w wyższych partiach Karpat**
FOT. FORTEPAN / MAGYAR FÖLDRAJZI MÚZEUM / DIAGYŰJTEMÉNY

leją wozili je na Ruś Zakarpacką, która należała do Czechosłowacji.

Granice przekraczano także wcześniej. Pierwsi na myśl przychodzą mi Wołosi. Ich wędrówki, ich kultura pasterska, znane w najogólniejszych zarysach, są pełne fascynujących tajemnic. Wciąż tak na pewno nie wiemy, a jest to temat delikatny w dyskusjach rumuńsko-węgierskich, czy romańskojęzyczna ludność Karpat to przybysze z Bałkanów, czy też przetrwała w Siedmiogrodzie od czasów rzymskich. Którędy Wołosi ze swymi owcami migrowali, czy wzdłuż Karpat: po zewnętrznej, czy wewnętrznej stronie tego wielkiego łuku, czy może bezpośrednio przez Nizinę Węgierską? W jakim stopniu przyczyny były po stronie samych Wołochów, gdy przeludnienie zmusiło ich do migracji, a w jakim stopniu byli zapraszani przez właścicieli ziemskich, którzy chcieli ich osiedlić na swych górskich terenach.

Wszystkie te czynniki były w grze, a ich wzajemne proporcje przybliżą nam z pewnością trwające obecnie badania.

Migracje były istotą życia w Karpatach?
– Prawdę mówiąc, bardziej niż same migracje interesuje mnie tworzenie się dzięki nim nowych wartości kulturowych: dialekty, obyczaje, różne formy życia społecznego przechodzą od jednej grupy do drugiej. Tworzą się formy pośrednie, hybrydalne, które są zawsze najciekawsze. Ogromnie mi zależało na tym, aby to pokazać, choć chyba nie całkiem się udało: nie chodzi o to, że mamy w Karpatach współżycie jakichś w miarę zdefiniowanych grup kulturowych: Polaków, Rumunów, Węgrów, Żydów itp. Chodzi raczej o to, jak te grupy we wzajemnych kontaktach same się zmieniają, jakby redefiniują się na nowo. Góry, gdzie mamy do czynienia z wypasem sezonowym, a więc ciągłą migracją góra – dół, są do takich kontaktów szczególnie predestynowane. Jeden z historyków pisał, że w południowo-wschodnim Siedmiogrodzie granica etniczna między Rumunami a Węgrami, czyli Szeklerami, biegła nie w poziomie, między jednym terenem a drugim, lecz w pionie, bo rumuńscy pasterze mieli całoroczne wsie w górach, z których na zimę wysyłali stada z pasterzami na dół, a Szeklerzy mieli całoroczne wsie na dole, a na lato wysyłali stada z pasterzami w góry. To jest oczywiście efekciarska przesada, nie zawsze i nie wszędzie tak było.

Wyczytałem gdzieś i nie pisałem o tym w książce, bo historia ta dotyczy Bałkanów, a nie Karpat, że gdzieś na Bałkanach była wieś, która uprawiała, jak tysiące innych wsi na Bałkanach i w Karpatach, pasterstwo transhumanckie, to znaczy przez zimę mieszkańcy i ich zwierzęta mieszkali we wsi dolnej, u podnóża gór, a latem cała wieś – podkreślam: cała wieś, a nie tylko grupa wyspecjalizowanych pasterzy, jak przy wypasie sezonowym – przenosi się ze stadami na połoniny i tam pozostaje do jesieni. Mamy więc wieś górną i wieś dolną, każdą zasiedloną przez mniej więcej pół roku. Na razie – nic specjalnego. Ale podobno ta jedna wieś wraz ze schodzeniem z gór bądź wchodzeniem na nie zmieniała i religię: na dole, pod panowaniem tureckim, była przez pół roku wsią muzułmańską; na górze przez drugie pół roku była chrześcijańska. Autor książki, w której to przeczytałem, nie podaje nazwy tej wsi ani żadnego przypisu, więc nie mam całkowitej pewności czy to prawda; ale historia mi się niesamowicie podoba, wydaje się bardzo prawdopodobna, jest jakby symbolicznym skrótem tego, co w Karpatach fascynuje mnie najbardziej.

Czy bitwa gorlicka w 1915 roku, w której zginęli mieszkańcy Karpat ze wszystkich chyba regionów, to zarazem nie koniec pewnego świata – tego, który dał charakter tym górom?
– Nie tylko bitwa gorlicka, ale cały okres umownie między 1914 rokiem a przełomem lat czterdziestych i pięćdziesiątych; obie wojny światowe i ich pokłosia. W dużym stopniu, na szczęście nie zupełnie, owa skomplikowana całość, jaką były Karpaty tylu religii i grup etnicznych, uległa załamaniu, choć widać – na szczęście – tendencje do odbudowy niektórych elementów tego świata w ostatnich dekadach.

W przeszłości góry, tak jak morze i do pewnego stopnia pustynia, dla ludzi bojaźliwych i gnuśnych były przeszkodą, a dla odważnych i przedsiębiorczych szansą oraz drogą do innych ośrodków. Dla kogo Karpaty były szansą?
– Dopowiem, że zarówno odważnych, jak i strachliwych góry zawsze fascynowały. Nieprzypadkowo góry są siedzibami bogów w różnych kulturach.

W książce posługuję się roboczym terminem „górskości”, który wiąże się poniekąd z wolnością. Góry narzucają bowiem pewien typ funkcjonowania. Powyżej określonej wysokości zboże nie urośnie, więc trzeba zająć się hodowlą. Z tego wynika brak klasycznego folwarku opartego na produkcji zboża. A to z kolei oznacza, że pańszczyzna była mniej dokuczliwa i chłop miał więcej swobody. W dodatku, choć trudniej mu zdobyć pożywienie, to było ono bardziej zróżnicowane. Chłop na równinie, jak miał dobre zbiory, to był syty, ale w czasie nieurodzaju przymierał głodem i mógł ewentualnie liczyć na łaskę pana, co go jeszcze od niego uzależniało. A w górach żywność pochodziła z pasterstwa, odrobiny rolnictwa, zbieractwa, łowiectwa i nie mniej ważnego przemytu. To zwiększało szanse na przeżycie w trudnym czasie.

Drugi element „górskości”, związany zresztą z pierwszym, to fakt, że władzy państwowej trudniej jest kontrolować teren. I to nawet nie tylko w czasach umownego Janosika, ale i współczesnych – nieprzypadkowo to na Podkarpaciu w latach 70. i 80. XX wieku powstawały budowle sakralne, które miejscowi wznosili, kompletnie nie oglądając się na komunistyczne władze.

Góry zawsze dawały poczucie wolności, bo dawały większą możliwość „zgubienia się” niż na równinach. Gdy Ormianom w Mołdawii dały się we znaki najazdy tatarskie, uciekli przez Karpaty do Siedmiogrodu. Nie schronili się w samych górach, ale uznali je za skuteczną barierę ochronną. Także od Gorców, gdzie królował Józef Kuraś „Ogień”, po Karpaty Rumuńskie, które były idealnym schronieniem – kwitła w czasie II wojny światowej i po niej partyzantka.

Oczywiście wolność w górach też była stopniowalna, bo jak w 1947 roku władze komunistyczne postanowiły wysiedlić Ukraińców, Łemków czy Bojków w ramach akcji „Wisła”, to wojsko skutecznie opróżniło z nich Beskid Niski i Bieszczady.

Kobiety dzięki tym surowym warunkom były mniej poddane patriarchatowi.
– Rodzina funkcjonowała trochę jak firma, a w górach stale brakowało rąk do pracy. Kobiety musiały wykonywać prace „niekobiece” i to im dawało lepszą pozycję negocjacyjną. Mężczyzna i kobieta musieli tak sobie ułożyć stosunki w domu, aby wspólnie zabezpieczyć swój byt.

Z drugiej strony mieszkańcy gór w przeciwieństwie do tych znad morza wydają się bardziej konserwatywni.
– Konserwatywni albo raczej bardziej nieufni. Morze umożliwia częstszy kontakt z obcymi, miasta portowe dają ochronę. Duża część przybyszów zjawia się tam, żeby pohandlować, a wraz z towarami przywożą oni nowe, czasem ciekawe, idee.

A w górach nigdy nie wiadomo, czy gdy ktoś wędruje drogą, nie ma przypadkiem ochoty spalić naszej chałupy. Na osady nadmorskie także napadano, ale w górach rozproszenie domów i osad było większe. To wyrabiało poczucie oblężonej twierdzy.

Góralski konserwatyzm to rewers samorządności. Surowe warunki życia sprawiały, że ludzie gotowi byli oddać część swojej wolności, także obyczajowej, w zamian za ochronę ze strony gromady. To się per saldo jednostce opłacało. Dopiero wraz ze zniknięciem egzystencjalnego zagrożenia poszczególne jednostki mogły zacząć sprzeciwiać się prawom gromady.

I wtedy też zjawili się turyści ze swoimi miejskimi obyczajami...
– Najpierw pojawiła się kolej, a wraz z nią tańsze wyroby przemysłowe oraz możliwość transportu zboża z terenów nizinnych. Oczywiście koleją przyjechali także turyści. Zrazu nikt nie rozumiał, co ci miastowi inteligenci widzą tam pięknego, ale z czasem pojawiła się myśl, że ich obecność może być korzystna. Przytaczam uroczą historię o letniskowej miejscowości Ławoczne – dziś na Ukrainie – dla której w przededniu I wojny światowej mieszkańcy starali się o status uzdrowiska, co dawało szansę na większy zarobek. Jednocześnie miał tam powstać wychodek dla uczniów szkoły, która mieściła się przy stacji. Mieszkańcy protestowali i pisali do władz, bo bali się, iż wychodek, widoczny z głównej ulicy, sprawi, że ich miejscowość nie spełni wymogów estetycznych dla uzdrowiska. Uważali, że już lepiej, aby dzieci załatwiały się pod drzewkami, jak robiły do tej pory. Sprawa otarła się o sam Wiedeń!

Mamy tu więc otwarcie na nowe zjawisko, jakim są uzdrowiska, wymieszane z zacofaniem. Zarazem ludzie ci wiedzieli już, że decyzja władz to nie widzimisię jakiegoś pana, ale decyzja urzędowa, od której można się odwołać, zamiast np. spalić wychodek.

Ostatnie sto lat przyniosły nie tylko wychodki, ale także wszystkie inne uroki cywilizacji. W górach jesteś tzw. turystą świadomym. Nie wyobrażam sobie, że rozjeżdżasz Beskidy quadem, zarazem ostatnie rozdziały twojej książki, poświęcone naszym czasom, nie są lamentem nad dewastacją i komercjalizacją gór.
– Starałem się lawirować między romantycznym obrazem gór, jaki noszę w sobie, a prawem mieszkańców do wyboru stylu życia, jaki chcą. Nie mogę wymagać od górali, żeby na potrzeby mojego dwutygodniowego urlopu chodzili w łapciach, jeśli wolą wygodne trampki.

Pewne rzeczy przemijają bezpowrotnie. W 2014 roku zamknięto w Bielsku-Białej ostatni zakład przetwórstwa wełny owczej. Już w XIX wieku wełna z Karpat nie nadawała się np. na garnitury. Łódź sprowadzała wełnę aż z Australii. Z naszej można robić swetry, ale polary są lżejsze i wygodniejsze. Z drugiej strony odradzają się zniszczone kultury, rośnie też świadomość o przeszłości Karpat. Jestem pewien, że dziś na przykład wszyscy wiemy znacznie więcej o Łemkach, niż to było w latach 80. XX wieku.

Zainteresowanie tradycją gór sprawia, że i miejscowi dostrzegają w niej uroki. Kiedyś jako młody chłopak zachwycałem się jakimś drewnianym kościółkiem w Gorcach, czy może w Beskidzie Wyspowym, ale mieszkańcy wsi mówili, że woleliby jednak taki nowoczesny, betonowy...

Nie pamiętam, w jakiej to było wsi, więc nie mogę tego dziś sprawdzić, ale mam nadzieję, że ten drewniany kościółek stoi tam do dziś. ●

Karpaty. Opowieść o pewnych górach

Maciej Janowski

Międzynarodowe Centrum Kultury, 2025

eprasa.pl ae811472f6

URZĄDZIĆ ŚWIAT PO POŻODZE

Po zakończeniu konferencji w Bretton Wood jej wszyscy uczestnicy byli pewni: wydarzyło się coś niezwykłego.

Witold Gadomski

Na początku lipca 1944 r. alianci byli już po lądowaniu w Normandii, ale nikt nie wiedział, ile potrwa marsz na Berlin. W tym samym czasie w hotelu Mount Washington w Bretton Woods w stanie New Hampshire, rozpoczęła się konferencja, która miała odpowiedzieć na pytanie, jak urządzić świat po zwycięstwie. Nie chodziło o granice, armie i traktaty pokojowe, tylko o pieniądz, kredyt, kursy walut, złoto, handel i odbudowę, czyli sprawy, które decydowały o bezrobociu, kryzysach, rewolucjach i wojnach.

Miejsce wybrano nieprzypadkowo. Waszyngton w lipcu był duszny i nieznośny, a klimatyzacja nie była jeszcze powszechna. Bretton Woods oferowało chłodniejszy klimat, izolację i bezpieczeństwo. Ale za wygodą kryła się także polityka. Konferencję ulokowano w New Hampshire, bo administracja Roosevelta chciała pozyskać republikańskiego senatora Charlesa Tobeya, ważnego dla późniejszej ratyfikacji porozumienia w Kongresie. Prezydent, który zmarł pół roku później, doskonale pamiętał, że Kongres nie ratyfikował Traktatu Wersalskiego, zawartego w 1919 r., który formalnie kończył I wojnę światową. W rezultacie Stany Zjednoczone nie przystąpiły do Ligii Narodów, organizacji wymyślonej w dużej mierze przez prezydenta USA Woodrowa Wilsona.

GDY NA ŚWIECIE NIE MA REGUŁ

Po I wojnie światowej zwycięzcy nie potrafili stworzyć stabilnego ładu gospodarczego. Traktat Wersalski obciążył przegranych reparacjami, co prowadziło do konfliktów i wzajemnej nieufności. Wiele państw przywróciło standard złota, ale nie był to już klasyczny XIX-wieczny system złotych monet w obiegu. Bank centralny utrzymywał parytet wobec tego kruszcu, ale wymienialność banknotów była ograniczona, często tylko na sztaby złota albo na waluty wymienialne na złoto.

Najważniejszy podział przebiegał między krajami, które wracały do starego parytetu – jak Wielka Brytania, Holandia, Dania, Norwegia, a krajami, które uznały utratę wartości waluty i wróciły do dewaluacji, jak Francja, Belgia czy Włochy. Pierwsza droga wymagała deflacji, wysokich stóp i presji na płace oraz ceny. Druga była bardziej realistyczna gospodarczo, ale oznaczała przyznanie, że przedwojenna wartość waluty nie da się już obronić. Był to system bardziej kruchy, oparty na dolarze, funcie, rezerwach walutowych, ograniczonej wymienialności i zaufaniu do banków centralnych. Dlatego załamał się po wybuchu kryzysu.

Gdy przyszła Wielka Depresja, załamanie produkcji, bankructwa banków, masowe bezrobocie i kurczący się handel światowy zniszczyły resztki wiary w to, że gospodarka międzynarodowa sama znajdzie równowagę. Państwa zaczęły ratować się osobno. Jedne dewaluowały waluty, inne wprowadzały kontrole dewizowe, jeszcze inne podnosiły cła i ograniczały import. Stany Zjednoczone uchwaliły w 1930 roku ustawę Smoota-Hawleya, nakładającą horrendalnie wysokie cła. Wielka Brytania preferencyjnie traktowała swoje kolonie, z którymi utrzymywała intensywne kontakty handlowe, nakładając protekcyjne cła na towary spoza obszaru funta obejmującego kraje i terytoria powiązane finansowo z Wielką Brytanią i funtem szterlingiem.

Niemcy i Japonia budowały własne bloki gospodarcze. Każde państwo chciało ochronić siebie, ale suma tych działań rozbiła gospodarkę światową na strefy rywalizacji. Protekcjonizm, dyskryminacja i walutowy chaos nie były jedynymi przyczynami wojny, ale w oczach wielu polityków i ekonomistów stały się częścią tego samego dramatu – świata bez reguł.

HANDEL I PIENIĄDZ

Stany Zjednoczone szybko zrozumiały, że polityka „doprowadzania sąsiada do nędzy" jest szkodliwa dla wszystkich. Uznały, że powojenny pokój wymaga otwartej gospodarki. Sekretarz stanu USA Cordell Hull i jego ludzie wierzyli, że dyskryminacyjne bloki handlowe prowadzą do konfliktów politycznych. Chcieli świata otwartego handlu, niższych ceł i końca preferencji, przyznawanych przez imperia koloniom i podporządkowanym krajom. Według nich szczególnym problemem była Wielka Brytania. Londyn, choć był najważniejszym sojusznikiem USA, pozostawał centrum dawnego imperialnego systemu gospodarczego. Dla Amerykanów brytyjskie preferencje dla obszaru funta były przeszkodą w budowie otwartego świata.

Londyn widział sprawę inaczej. Wielka Brytania walczyła, traciła rezerwy, zadłużała się i była coraz bardziej zależna od amerykańskiej pomocy. Brytyjscy politycy i urzędnicy wiedzieli, że po wojnie kraj stanie wobec dramatycznego problemu bilansu płatniczego. Eksport będzie słaby, potrzeby importowe ogromne, długi wysokie, a rezerwy niewystarczające. W takiej sytuacji nagłe porzucenie preferencji imperialnych i kontroli dewizowych mogło oznaczać finansową katastrofę.

Dla wielu Brytyjczyków amerykański język wolnego handlu brzmiał jak wezwanie do rozbrojenia się w chwili największej słabości.

Pierwsze wielkie starcie nastąpiło przy okazji umowy Lend-Lease, czyli amerykańskiej pomocy dla Wielkiej Brytanii. W 1941 roku John Maynard Keynes przyjechał do Waszyngtonu negocjować warunki porozumienia. Amerykanie chcieli, by w zamian za pomoc Brytyjczycy zgodzili się na zasady prowadzące do likwidacji barier handlowych i preferencji imperialnych. Keynes zaprotestował. Uważał, że Londyn nie może w dobrej wierze przyjąć zobowiązań, które po wojnie mogłyby związać mu ręce.

Ten spór rzutował na przyszłość Bretton Woods. Gdyby rozmowy pozostały na poziomie handlu, mógłby nastąpić impas. Amerykanie żądaliby zniesienia jego dyskryminacji, Brytyjczycy broniliby prawa do utrzymania instrumentów protekcjonistycznych. Dlatego ciężar negocjacji przesunął się z handlu na pieniądz. Tam, gdzie politycy widzieli ścianę, ekonomiści zobaczyli przejście. Jeśli uda się stworzyć system walutowy dający krajom czas, kredyt i elastyczność, będzie można stopniowo otwierać handel bez wpychania słabszych gospodarek w depresję. Najważniejsze było znalezienie politycznego środka.

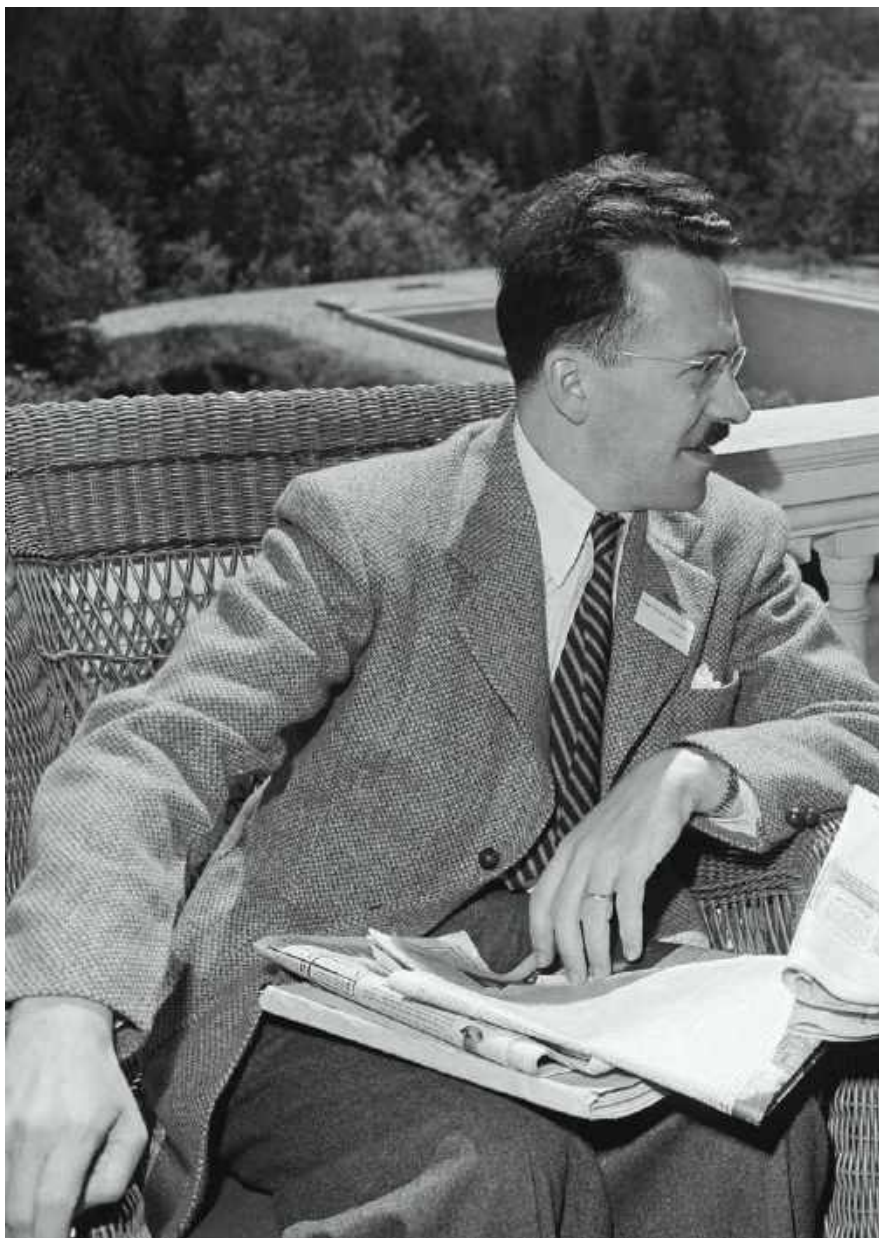

• **Przedstawiciele polskiego rządu emigracyjnego na konferencji w Bretton Woods, z lewej Władysław Malinowski, doradca finansowy ambasady w Waszyngtonie i Ludwik Grosfeld, minister finansów** FOT. ABE FOX/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

WIELCY GRACZE I PETENCI

Do Bretton Woods przyjechali przedstawiciele 44 państw alianckich. Były wielkie mocarstwa: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Związek Sowiecki, Chiny i Francja. Były kraje Ameryki Łacińskiej, Europy, Bliskiego Wschodu i Azji. Były państwa okupowane, rządy emigracyjne, kraje zniszczone wojną i te, które na wojnie zarobiły lub przynajmniej ocalały.

Były także delegacje kolonii i dominiów, które nie zawsze mówiły głosem swoich metropolii. Indie zajmowały stanowisko odmienne od brytyjskich. Australia i Nowa Zelandia naciskały na sprawy zatrudnienia. Meksyk upominał się o srebro. Polska mówiła o aktywach państw Osi i zrabowanym majątku.

Największe role należały jednak do dwóch ludzi. John Maynard Keynes reprezentował Wielką Brytanię – kraj zwycięski, lecz finansowo wyczerpany, zadłużony, zależny od amerykańskiej pomocy i świadomy, że po wojnie będzie miał dramatyczny problem bilansu płatniczego. Harry Dexter White reprezentował Stany Zjednoczone, które miały złoto, najbardziej rozwinięty przemysł, banki, udzielające kredytów i polityczną siłę. White był amerykańskim ekonomistą i wysokim urzędnikiem Departamentu Skarbu USA. Jego biografia ma też ciemniejszy wątek, po wojnie został oskarżony o przekazywanie informacji Związkowi Radzieckiemu. W 1948 zeznawał przed komisją Kongresu, zaprzeczając, że był komunistą lub sowieckim agentem. Zmarł kilka dni później.

Keynes przybył do Bretton Woods z wielką wizją, White z projektem możliwym do przeforsowania przez mocarstwo, które miało zapłacić za dużą część powojennej stabilizacji. Ich spór był osią konferencji.

ODMIENNE WIZJE MOCARSTW

Keynes proponował powstanie Międzynarodowej Unii Clearingowej, czyli instytucji rozliczającej płatności między bankami centralnymi, oraz stworzenie międzynarodowej jednostki rozrachunkowej – bancora. Chciał, aby światowy handel nie zależał od jednej narodowej waluty, lecz od wspólnego mechanizmu księgowego, który zmuszałby do odpowiedzialności zarówno dłużników, jak i wierzycieli.

To była koncepcja rewolucyjna. W tradycyjnych systemach walutowych ciężar dostosowania spadał głównie na kraj, mający deficyt handlowy i płatniczy, którego rezerwy walutowe się kurczą. To on musiał ciąć import, ograniczać zaciąganie kredytu, zaciskać pasa, dewaluować

eprasa.pl ae811472f6

walutę albo prosić o pomoc. Kraj nadwyżkowy mógł gromadzić rezerwy i czekać. Keynes uważał, że taka asymetria jest źródłem gospodarczej choroby świata. Jeżeli tylko dłużnicy są zmuszani do korekty, światowy popyt spada. Jeśli kraje nadwyżkowe nie zwiększają importu, nie inwestują i nie wykorzystują swojej siły nabywczej, zmuszają innych do bolesnego kurczenia gospodarki. Dlatego plan Keynesa przewidywał także presję na wierzycieli. Państwa z nadmiernymi nadwyżkami miały być zachęcane, a w pewnych warunkach zmuszane, do zwiększania wydatków, otwierania rynku, aprecjacji waluty lub udzielania kredytów.

W koncepcji Keynesa bancor był czymś więcej niż techniczną jednostką rozrachunkową. Był próbą ujarzmienia starego problemu światowej gospodarki – nierównowagi między krajami, które konsumują i importują za dużo, a tymi, które oszczędzają i eksportują za dużo. Keynes uważał, że problem nie leży wyłącznie po stronie dłużników. Jeśli ktoś ma deficyt, to ktoś inny ma nadwyżkę. Jeśli jedni muszą się dostosować, drudzy także powinni. Międzynarodowa Unia Clearingowa miała działać trochę jak bank centralny dla świata – rejestrować salda, finansować przejściowe niedobory, ograniczać nadmierne nierównowagi i nie dopuszczać do tego, by korekta zawsze oznaczała recesję.

White był ostrożniejszy. Jego projekt nie był pozbawiony ambicji, ale był bardziej praktyczny, politycznie strawny dla kongresmenów i zgodny z interesami Stanów Zjednoczonych. Proponował stworzenie funduszu stabilizacyjnego, do którego państwa wnosiłyby wkłady i z którego mogłyby pożyczać w razie problemów z deficytem płatniczym. Nie było w nim jednak bancora jako nowej światowej waluty. Nie było też tak silnego mechanizmu nacisku na kraje nadwyżkowe. Odpowiedzialność za dostosowanie pozostawała głównie po stronie państw deficytowych. W praktyce oznaczało to, że powojenny system będzie międzynarodowy, ale jego sercem stanie się dolar. Wygrał White, bo stała za nim potęga Ameryki.

WIELE PÓL BITEW

Najważniejsze sprawy były dyskutowane od 1941 roku. Projekty Keynesa i White’a krążyły między stolicami. W czerwcu 1944 roku w Atlantic City odbyło się spotkanie przygotowawcze. Gdy delegaci dotarli do Bretton Woods, wiele kwestii było już ułożonych. Nie oznaczało to jednak spokojnego podpisywania gotowych dokumentów. Prace podzielono na komisje. Komisja nr 1 zajmowała się Międzynarodowym Funduszem Walutowym i była prowadzona przez White’a. Komisja nr 2 pracowała nad Bankiem Odbudowy i Rozwoju, zwanym później Bankiem Światowym. Komisja nr 3 miała rozpatrywać inne formy współpracy finansowej.

Atmosfera była gorączkowa. Delegaci pracowali w komisjach, komitetach i podkomitetach. Jedni spierali się o wielkie zasady, inni o sformułowania, które dla zwykłego czytelnika brzmiały jak księgowa pedanteria. Ale za każdym słowem stał jakiś interes. Jeśli kwota w MFW była za mała, państwo miało mniejszy dostęp do pomocy i mniejsze znaczenie polityczne. Jeśli głosy były powiązane z kwotami, wielcy płatnicy zyskiwali przewagę. Jeśli kraje zniszczone wojną musiały wnosić wkład w złocie, pojawiało się pytanie, czy nie karze się ofiar za to, że zostały zrabowane. Jeśli Fundusz miał prawo żądać informacji o stanie finansów państw, rodził się problem suwerenności. Każdy artykuł przyszłej umowy był polem bitwy.

Jednym z ostrych sporów była kwestia głosów i reprezentacji. Małe i średnie państwa obawiały się, że nowa instytucja stanie się klubem kilku największych mocarstw.

Z drugiej strony Amerykanie nie zamierzali wpłacać pieniędzy do Funduszu, w którym ich wpływ byłby oderwany od skali wkładu. Debata o głosach była więc o tym, czy powojenny multilateralizm ma być wspólnotą równych państw, czy raczej uporządkowaną hierarchią z USA na szczycie. Ostateczne rozwiązanie połączyło oba elementy: każde państwo miało pewną liczbę głosów podstawowych, ale zasadnicza siła zależała od wpłacanej do Funduszu kwoty.

SREBRO I ZŁOTO

Spierano się o rolę złota. Dla jednych było ono symbolem stabilności, dla innych wspomnieniem deflacyjnej spirali z czasów Wielkiej Depresji. System z Bretton Woods nie przywracał klasycznego standardu złota. Wiązał z nim dolara, a inne waluty z dolarem. Ale kwestia złota ciągle wracała: gdzie mają być przechowywane wkłady, ile złota powinny wpłacić kraje zniszczone wojną, czy Fundusz może kupować i sprzedawać złoto, jak ustalać parytety. Sprawy pozornie techniczne miały znaczenie polityczne. Kraj, który stracił rezerwy w wojnie, nie chciał być traktowany tak jak kraj, który z wojny wyszedł z pełnymi skarbcami.

Jeszcze ciekawszy był spór o srebro. Meksyk i część krajów Ameryki Łacińskiej chciały, by nie zostało ono całkowicie wyrzucone z porządku monetarnego. Przedstawiciele Meksyku przekonywali, że biedniejsza część ludzkości wciąż wierzy w srebro, bo nie ma dostępu do złota ani do wyrafinowanych form majątku. Pobrzmiewał tu konflikt dwóch światów: wielkich banków centralnych i ludowych oszczędności, między abstrakcyjną architekturą monetarną a doświadczeniem ludzi, którzy w czasach wojny i inflacji chowali monety, bo ufać mogli tylko kruszcom.

INSTYTUCJA WĄTPLIWA MORALNIE

Wybuchł też polityczny spór o Bank Rozrachunków Międzynarodowych (BIS) w Bazylei — dziecko nierozwiązanego problemu reparacji po I wojnie światowej. Traktat Wersalski nałożył na Niemcy obowiązek płacenia odszkodowań, ale przez całe lata 20. system ich ściągania był źródłem napięć. Powołany w 1930 roku BIS miał pełnić funkcję agenta reparacyjnego: zbierać, administrować i rozdzielać niemieckie płatności reparacyjne. Ale miał też pełnić drugą funkcję – forum współpracy banków centralnych, a po zawieszeniu płatności reparacyjnych zajął się operacjami walutowymi, rezerwami, złotem i spotkaniami gubernatorów banków centralnych.

Po utworzeniu MFW dla części delegatów BIS stawał się zbędny. Norweski przedstawiciel Wilhelm Keilhau mówił, że utrzymywanie drugiej instytucji działającej w podobnym polu byłoby luksusem.

BIS miał też moralnie wątpliwą historię wojenną. Formalnie ogłosił neutralność, ale umożliwiał spotkania przedstawicieli banków centralnych krajów, które były już po przeciwnych stronach wojny. Najbardziej kontrowersyjna była sprawa złota Czechosłowackiego Banku Narodowego, którego część BIS przekazał w 1939 roku na rachunek Reichsbanku po zajęciu Pragi przez Niemców. Po wojnie ujawniono, że BIS otrzymał od Reichsbanku 3,7 tony złota pochodzącego z grabieży banków centralnych Belgii i Holandii. Bank zwrócił je później alianckiej komisji restytucyjnej.

Spór o BIS dotyczył też symboliki. Bretton Woods miało stworzyć przejrzyste instytucje powojennego świata: MFW i Bank Odbudowy i Rozwoju. BIS kojarzył się ze starym światem reparacji, złota, tajnej dyplomacji bankierów centralnych i niejasnej neutralności w czasie wojny. Norwegia chciała nawet powołania komisji do zbadania działalności BIS.

Norwegia i Holandia przedstawiły krótką rezolucję: konferencja zaleca likwidację BIS „w najwcześniejszym możliwym momencie”. Rezolucja została przyjęta bez sprzeciwu, ale do likwidacji nie doszło. Po wojnie europejscy bankierzy centralni skutecznie zabiegali o utrzymanie BIS, widząc w nim użyteczne forum współpracy technicznej, zwłaszcza w odbudowującej się Europie. Uchwała z Bretton Woods została do 1948 roku odłożona na bok, a BIS skoncentrował się przede wszystkim na europejskich sprawach monetarnych i finansowych.

POLSKA OBECNA, ALE BEZ EFEKTÓW

Z tą sprawą łączył się wątek aktywów państw Osi i zrabowanego majątku. Delegacja polska postulowała, by członkowie przyszłego Funduszu zwrócili się do państw neutralnych o blokadę aktywów rządów i obywateli państw Osi znajdujących się na ich terytorium. Chodziło o to, by majątek ukryty w neutralnych jurysdykcjach nie stał się paliwem odrodzenia wpływów nazistowskich lub źródłem bezkarności sprawców. Francuzi zgłosili podobny projekt dotyczący zrabowanego mienia, w tym aktywów ukrywanych pod fałszywymi nazwiskami. Brytyjczycy przestrzegali, by najpierw sprawdzić, co już robią inne instytucje i rządy.

Polskę reprezentowała delegacja rządu emigracyjnego, której przewodniczył Ludwik Grosfeld, minister finansów. Wśród delegatów byli ludzie Banku Polskiego i Ministerstwa Finansów: Leon Barański, Zygmunt Karpiński, Stanisław Kirkor, Janusz Żółtowski, a także eksperci. 9 września 1939 Karpiński otrzymał pełnomocnictwo prezesa Banku Polskiego, Leona Barańskiego, oraz dwóch członków zarządu banku do dysponowania zapasami złota, będącymi w posiadaniu Banku Polskiego.

Polska nie była statystą. Grosfeld zasiadał w komitecie regulaminowym, a w Komisji nr 3 przewodniczył „komitetowi agendy”. To ważny szczegół, bo w późniejszej pamięci Bretton Woods polska obecność niemal znika.

Tymczasem Polska była jednym z krajów, których los najlepiej pokazywał sens konferencji – zniszczona, ograbiona, ale walcząca o powrót do międzynarodowego obiegu finansowego. A zarazem stała już w cieniu nadchodzącego podziału Europy.

Delegacja sowiecka zabierała głos, podpisywała dokumenty, ale jej obecność miała w sobie chłód nadchodzącej epoki. Moskwa interesowała się kwotami, złotem, warunkami członkostwa i kształtem Banku Światowego, lecz ostatecznie nie ratyfikowała porozumień. Polska wkrótce znalazła się po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Rząd w Londynie stracił poparcie większości państw, a ten, który utworzyli komuniści w Warszawie, został zmuszony do wycofania się z instytucji, stworzonych w Bretton Woods. Ponownie przystąpiliśmy do MFW i Banku Światowego w czerwcu 1986 roku.

STAŁO SIĘ COŚ NIEZWYKŁEGO

Konferencja pokazała różnicę między krajami wymagającymi odbudowy a krajami rozwoju. Państwa Ameryki Łacińskiej domagały się, by przyszły Bank nie służył wyłącznie odbudowie Europy. Meksyk i inni argumentowali, że rozwój krajów mniej uprzemysłowionych jest równie ważny dla stabilności świata jak naprawa zniszczeń wojennych. Jeśli kapitał popłynie tylko do krajów zrujnowanych przez wojnę, kraje niezniszczone, ale biedniejsze, znów zostaną na marginesie. W tej dyskusji narodziła się podwójna natura Banku Światowego. Pełna nazwa tej instytucji Bank Odbudowy i Rozwoju pokazywała kompromis, jaki zawarto.

Osobny spór dotyczył pełnego zatrudnienia. Australia, Nowa Zelandia, Kanada chciały mocniejszego uznania, że system walutowy nie może działać dobrze, jeśli państwa nie prowadzą polityki utrzymującej wysoki poziom zatrudnienia i popytu. Dla krajów, które pamiętały Wielką Depresję, było jasne, że stabilne kursy bez pełnego zatrudnienia są politycznie puste. Uważały, że jeśli nowy system będzie wymagał od rządów cięć i bezrobocia, skończy jak standard złota. Ostatecznie australijska rezolucja w sprawie mocnego zobowiązania do utrzymywania wysokiego zatrudnienia została odrzucona, ale jej język wywarł wpływ na działanie MFW. To był wpływ Keynesa.

Po trzech tygodniach sporów, poprawek i nocnych prac delegaci przyjęli dokumenty ustanawiające Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Odbudowy i Rozwoju. Wielu było niezadowolonych z kwot wpłacanych do MFW. Niektórzy składali zastrzeżenia. Inni uważali, że tekst jest zbyt amerykański albo za mało ambitny. Ale wszyscy rozumieli, że stało się coś niezwykłego. Przed zakończeniem wojny państwa alianckie uzgodniły zasady powojennego porządku finansowego. Nie czekały na chaos demobilizacji, na panikę walutową, na powrót protekcjonizmu. Spróbowały zaprojektować pokój, zanim skończy się wojna. ●

eprasa.pl ae811472f6

weekendówka

NA SŁUŻBIE

Policja jest państwową organizacją służby bezpieczeństwa.

Policja państwowa jest organem wykonawczym władz państwowych i samorządowych i ma za zadanie ochronę bezpieczeństwa, spokoju i porządku publicznego.

Koszta utrzymania policji państwowej ponosi bezpośrednio skarb państwa z tem jednak, że organy samorządu: komunalne związki powiatowe oraz gminy miast, wydzielonych z powiatów, zwracają państwu ¼ część wszelkich kosztów utrzymania policji. (...)”

– tak głosiły trzy pierwsze artykuły ustawy Sejm Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 24 lipca 1919 roku o powołaniu policji państwowej.

Dalej wyszczególniano m.in., pod jakimi warunkami można do policji wstąpić („obywatelstwo polskie, nieskazitelna przeszłość, wiek 23-45 lat, zdrowa i silna budowa ciała oraz wzrost odpowiedni, znajomość języka polskiego w piśmie i w słowie, i umiejętność liczenia”), na jakie grupy dzielą się funkcjonariusze, czy jakie kary obowiązują za przewinienia służbowe (od nagany po wydalenie).

Ustawa unifikowała wcześniej istniejące na ziemiach państwa polskiego, które świeżo odzyskało niepodległość, formacje milicyjne i policyjne. A jako że była de facto dniem powołania do życia polskiej policji, przeto 24 lipca obchodzono w Polsce Święto Policji.

Pierwsza rocznica nie była zbyt hucznie celebrowana, bowiem młode państwo polskie bić się musiało z bolszewikami o przetrwanie. Ale już rok później nastroje były bardziej radosne, dlatego powołano nawet komitet organizacyjny, który – jak czytamy na portalu hit.policja.gov.pl – błyskawicznie, w ciągu pięciu dni opracował szczegółowy plan uroczystości, które odbyły się w Lublinie (dlatego, że z inicjatywą organizacyjną wyszli wyżsi funkcjonariusze IV-go Okręgu PP, lubelskiego właśnie).

Świętowano tak jeszcze przez lat pięć, by wreszcie przenieść obchody z 24 lipca na 11 listopada. W grudniu 1926 r., jakieś pół roku po przewrocie majowym, ówczesny minister spraw wewnętrznych, gen. bryg. Felicjan Sławoj Składkowski zadecydował o ustanowieniu Święta Policyjnego w Dniu Niepodległości (za policja.gov.pl).

Święto było w zasadzie kolejną okazją do złożenia hołdu Józefowi Piłsudskiemu, czego najdobitniejszym wyrazem były tzw. sztafety policyjne z tzw. „adresami hołdowniczymi”, które przekazywały Marszałkowi życzenia i wszelakie wyrazy uznania (w pierwszym takim biegu wzięło udział ponad 820 funkcjonariuszy, którzy przebiegli prawie 2,5 tys. km).

Po II wojnie światowej policyjne święto dostało nową datę – 7 października, w rocznicę uchwalenia dekretu PKWN oraz nazwę – Dzień Milicjanta. W 1995 roku nastąpił powrót do daty formacyjnej, czyli 24 lipca.

Spóźnieni tylko o jeden dzień zapraszamy zatem z tej okazji do „Weekendówki” policyjnej. Przystępujcie zatem do czynności!

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

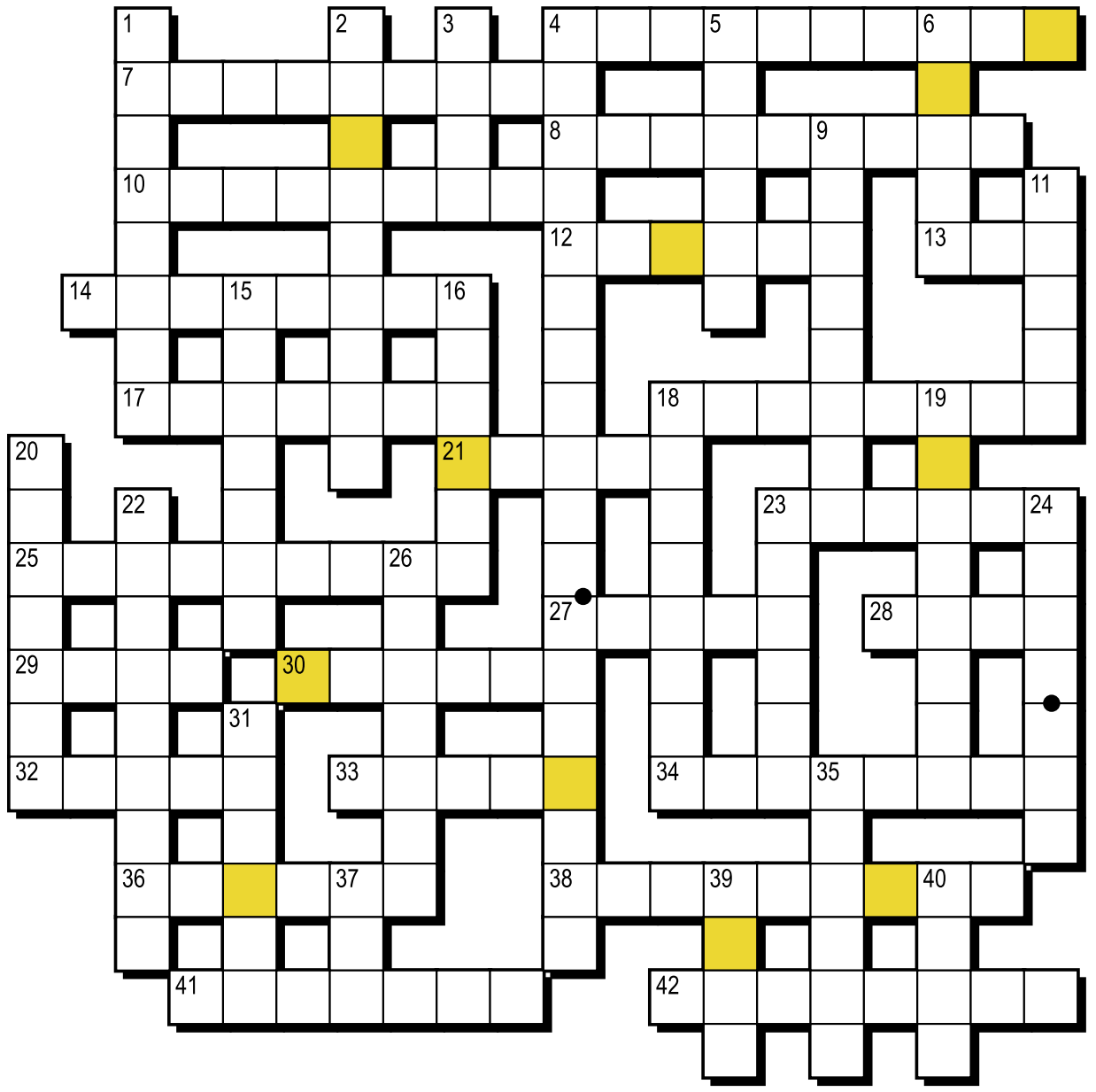

POLICYJNA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) 13 – w tytule serialu komediowego z Pazurą i Perepeczką
7) podwarszawskie miasto z Centrum Szkolenia Policji
8) część miasta przypisana danemu rewirowi
10) kieruje pracą wydziału w komendzie
12) serial kryminalny z Kruszonem i Aldoną
13) Komisarz ..., maskotka dolnośląskiej policji
14) ... do policji, musi zdać m.in. test sprawności fizycznej
17) ... bojowe (wykonać!)
18) film Wojciecha Smarzowskiego o pracy warszawskich policjantów
21) Sam, detektyw, którego zagrał Humphrey Bogart („Sokół maltański”)
23) policjanci na obchodzie kontrolowanego terenu
25) stopień oficerski w policji
27) zatrzymań lub przesłuchań (pomieszczenie)
28) Borys, zagrał główną rolę w serialu 12 poziomo
29) milicjant z cyklu komiksów „Kapitan ...”, wydawanych w latach 1968–82
30) ... zawodowe (zagrożenie dla zdrowia i życia w pracy)
32) np. ze starszego sierżanta na sierżanta sztabowego
33) teleskopowe, wykonane z tworzyw sztucznych
34) np. kryminalny, dochodzeniowo-śledczy, do walki z przestępczością cyfrową (w liczbie mnogiej)
36) policyjna, oficerska – w kolorze granatowym
38) np. posterunek w strukturze organizacyjnej policji
41) członek policji wojskowej
42) „kolega” w przestępstwie

Pionowo:
1) w przedszkolu lub z Beverly Hills (w tytułach filmów)
2) ... Główny Policji (od grudnia 2023 r. jest nim Marek Boroń)
3) ... McClane, policjant z filmu „Szklana pułapka”
4) w hierarchii jest bezpośrednio nad aspirantem sztabowym
5) płaszcz dla detektywa z filmu noir albo dla porucznika Columbo
6) aspirant Mieczysław z serialu „Ojciec Mateusz”
9) kraj, w którym przestępców ścigał Harry Hole (powieści Jo Nesbø)
11) jedna z pozycji na bloczku mandatowym (słownie: ...)
15) stażowy lub funkcyjny, składnik wynagrodzenia
16) szkoli psy policyjne
18) prowadzi śledztwo
19) miasto z siedzibą 2 pionowo
20) „Policja” Jo Nesbø
22) wojsko – chorążowie, policja – ?
23) więźniarka lub radiowóz
24) porucznik MO ..., czyli Wujek Dobra Rada z komedii „Miś”
26) ... policyjna, z sześciocyfrowym numerem służbowym
31) ... z dnia 6 kwietnia 1990 r. o Policji
35) grupa wspólnie pracujących osób
37) ... czerwony (najwyższy priorytet poszukiwań i działań)
39) marka samochodu kojarząca się z Milicją Obywatelską
40) tu obejrzysz „Crime 101”, „Szklaną pułapkę 5”

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr. 214 z 18.07:

Poziomo: 3) samolot 5) Mamona 7) rewia 11) rezydencja 13) Kogel-mogel 15) torebka 16) Maybach 17) kawior 18) karat 19) Zachód 21) Francja 24) album 25) Gucci 27) limuzyna 30) diamentowy naszyjnik 33) Porsche 34) złote klamki 35) wiersz 36) jachty 37) Prada

Pionowo: 1) Rolex 2) Enej 3) samochody 4) mydełko Fa 6) Monte Carlo 8) willa 9) wystrój 10) bogacz 12) apartament 14) gwiazdy 20) akcyza 22) cena 23) ogród 26) przyprawa 27) lans 28) zbytek 29) blichtr 31) obrazy 32) merc 33) pałac

Hasło: MILIARDERZY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

CODZIENNIE w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia

Rusz głową!
Nie nudź się w domu!

1 RP

eprasa.pl ae811472f6

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

10 / Twarze
Mam F41. Cenę ukryłam w poezji

20 / Psychologia
Dziecko to nie zbiór objawów

Kto dybie na twój *brzuch*

– tekst Natalii Waloch

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 30 (1401) SOBOTA – CZWARTEK, 25-30 LIPCA 2026

eprasa.pl ae811472f6

Oręż z wierszy i liczb

NATALIA MAZUR

Śmiało patrząc w obiektyw, Sandra Jasionowska-Kuryło pewnym głosem przedstawia swoje plany na lipiec. Spotkanie autorskie w wejherowskiej bibliotece, wywiad dla „Wysokich Obcasów", podsumowanie wyników sprzedaży debiutanckiego tomu poetyckiego w rok po premierze.

W innym nagraniu opowiada o perypetiach z bibliotekami. Młoda poetka jest self-publisherką, czyli sama wydaje to, co napisała, sama rozsyła do bibliotek i namawia do organizacji spotkań autorskich. Z bibliotek często nie dostaje odpowiedzi; bywa, że wracają do niej nieotwarte paczki.

Sandra nie mówi o tym po to, by się skarżyć; rozumie, że biblioteki mają ograniczoną liczbę pracowników, ci są rozliczani z efektów, mogą mieć obawy przed zapraszaniem mało znanej autorki. Dzieli się doświadczeniem ze swoją instagramową społecznością, by zachęcić do działania inne twórcze osoby. W końcu któraś biblioteka się odezwie, a publiczność – nie należy tego wykluczać – stawi się całkiem solidną grupką. Można oczywiście nic nie robić, schować się przed światem, twórczość zamknąć w szufladzie. Nikt na tym nie zyska.

Myślę o Sandrze: ależ śmiała dziewczyna, świetnie zorganizowana, przebojowa, pewnie się niczego nie boi. To znaczy: mogłabym tak pomyśleć, gdybym oceniała po pozorach. I gdybym nie czytała wywiadu Magdaleny Sucheckiej, który publikujemy w tym wydaniu „Wysokich Obcasów".

To przejmująca rozmowa. Jasionowska-Kuryło opowiada o swoich zmaganiach z lękiem. O tym, jak ją paraliżował, czynił niesłowną, psuł relacje ze znajomymi i odbierał chęć życia tak skutecznie, że musiała szukać mocnych argumentów, by w nim trwać. Znalazła je. I w końcu znalazła też odwagę, by skorzystać z pomocy.

Wie, że lęk nie zniknie z jej życia, ale dzięki terapii i leczeniu psychiatrycznemu potrafi stanąć z nim w szranki, nie pozwolić mu dyktować warunków. On mówi na przykład: koleżanka w kółko odmawia ci spotkań, pewnie cię nie lubi. Sandra w odpowiedzi wyciąga kalendarz, sprawdza liczby: patrz, tyle razy widziałyśmy się w poprzednim miesiącu, a poza tym ostatnio to ja musiałam jej odmówić spotkania. – Akceptując lęk, odbieram mu niepewność, którą się karmi, i mogę przygotować strategię radzenia sobie z nim – mówi w wywiadzie.

Ta rozmowa w ogóle nie jest przygnębiająca, przeciwnie, zostawia czytelniczkę, czytelnika z nadzieją. Że nawet jeśli nie wszysto będzie dobrze, człowiek ma moc, by pokonać przeciwności.

Przeglądam Instagram @sjasionowska, widzę, że są ludzie, którzy – delikatnie mówiąc – wątpią w sens jej pisania (choć prawdopodobnie nic nie przeczytali). Jakby publikowanie wierszy i esejów własnym sumptem w jakiś sposób obniżało ich wartość. Sadzą krytyczne komentarze pod postami.

To ja im odpowiem. Jeśli ktokolwiek dzięki twórczości Jasionowskiej-Kuryło poczuje się pewniej, „nadziejniej", mniej sam, a jestem pewna, że takich odbiorców nie brakuje – ma ona sens niepodważalny. W przeciwieństwie do głupkowatych komentarzy w internecie, które – zauważmy to przecież – też trafiają w eter bez logo dużego wydawcy. ▲

Natalia Mazur – redaktorka „Wysokich Obcasów"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE:** Kate Moss wciąż prowokuje • Mery Spolsky zdejmuje maskę
■ **TEMAT NUMERU:** Presja wyglądu • Jacob Elordi: trochę mroku, sporo uroku • Pary z ADHD: jak ze sobą wytrzymują? • Co AI robi nam z głową? • Annette Bening: coraz ciekawsza • Na górskich ścieżkach w Kirgistanie • Jak latem zadbać o włosy

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Natalia Mazur

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 3 i 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 30 (1401)
NA OKŁADCE:
RYSUNEK
JAGODA STĄCZEK

eprasa.pl ae811472f6

GARNIER

Kapsułowa kosmetyczka. Postaw na jeden, sprawdzony składnik!

Zamiast ulegać urodowym trendom, które zmieniają się kilka razy w roku, **postaw na to, co nie przemija – witaminę C.** Rozświetla, wspiera naturalne mechanizmy obronne skóry, ogranicza skutki stresu oksydacyjnego.
To must have kapsułowej kosmetyczki!

Podobnie jak w modzie, również w świecie urody trendy zmieniają się z zawrotną prędkością. Co sezon pojawiają się nowe składniki, rytuały i produkty, które obiecują spektakularne efekty. Łatwo dać się porwać nowościom, ale czy naprawdę każda z nich zasługuje na miejsce w naszej kosmetyczce?

Tak jak kapsułowa szafa opiera się na ponadczasowych elementach, które nigdy nie wychodzą z mody, tak **kapsułowa pielęgnacja powinna bazować na składnikach o udowodnionym działaniu.** Takich, które nie są chwilowym trendem, lecz sprawdzonym fundamentem codziennej rutyny. Takim jest witamina C – prawdziwy klasyk pielęgnacji.

– W Polsce przez znaczną część roku skóra funkcjonuje w wymagających warunkach. *Mamy sezon grzewczy, duże wahania temperatur, zanieczyszczenia powietrza oraz ograniczoną ilość światła słonecznego. Wszystko to zwiększa obciążenie biologiczne skóry i wpływa na jej wygląd* – zauważa **dr n. med. Małgorzata Marcinkiewicz, członkini Międzynarodowej Rady Dermatologów Garnier.**

Przypomina, że witamina C jest jednym z najlepiej przebadanych składników wspierających ochronę antyoksydacyjną skóry. – *Pomaga ograniczać skutki stresu oksydacyjnego i wspiera naturalne mechanizmy obronne skóry.* ***W mojej ocenie największą wartością witaminy C nie jest sam efekt rozświetlenia. Jest nią wspieranie zdolności skóry do prawidłowego funkcjonowania w zmieniającym się środowisku.*** *Blask jest często jedynie widocznym efektem tego procesu* – twierdzi dr n. med. Małgorzata Marcinkiewicz.

Nr 1 SERUM DO TWARZY W POLSCE*

W jakiej formie najlepiej posiadać witaminę C w kosmetyczce? Świetnie sprawdzi się **Serum Garnier Vitamin C+.** To serum numer 1* w Polsce. Lekka i nieklejąca formuła szybko się wchłania, wyrównuje koloryt skóry i redukuje wszystkie rodzaje przebarwień. Przyda się o każdej porze roku, stanowiąc idealną bazę do pielęgnacji skóry.

*L'Oréal za NielsenIQ Panel Sklepów Detalicznych (cała Polska): wartość sprzedaży w okresie 1-52 tyg. 2024 r. była najwyższa w kategorii Face Care: Serum.

eprasa.pl ae811472f6

Moc z *brzucha*

Jak świat światem kobiecy brzuch był miękki i lekko wystający. I u Rubensa, i u Tycjana, i u Marilyn Monroe. Komu zależy na tym, by w XXI wieku stał się płaski, a nawet wklęsły?

eprasa.pl ae811472f6

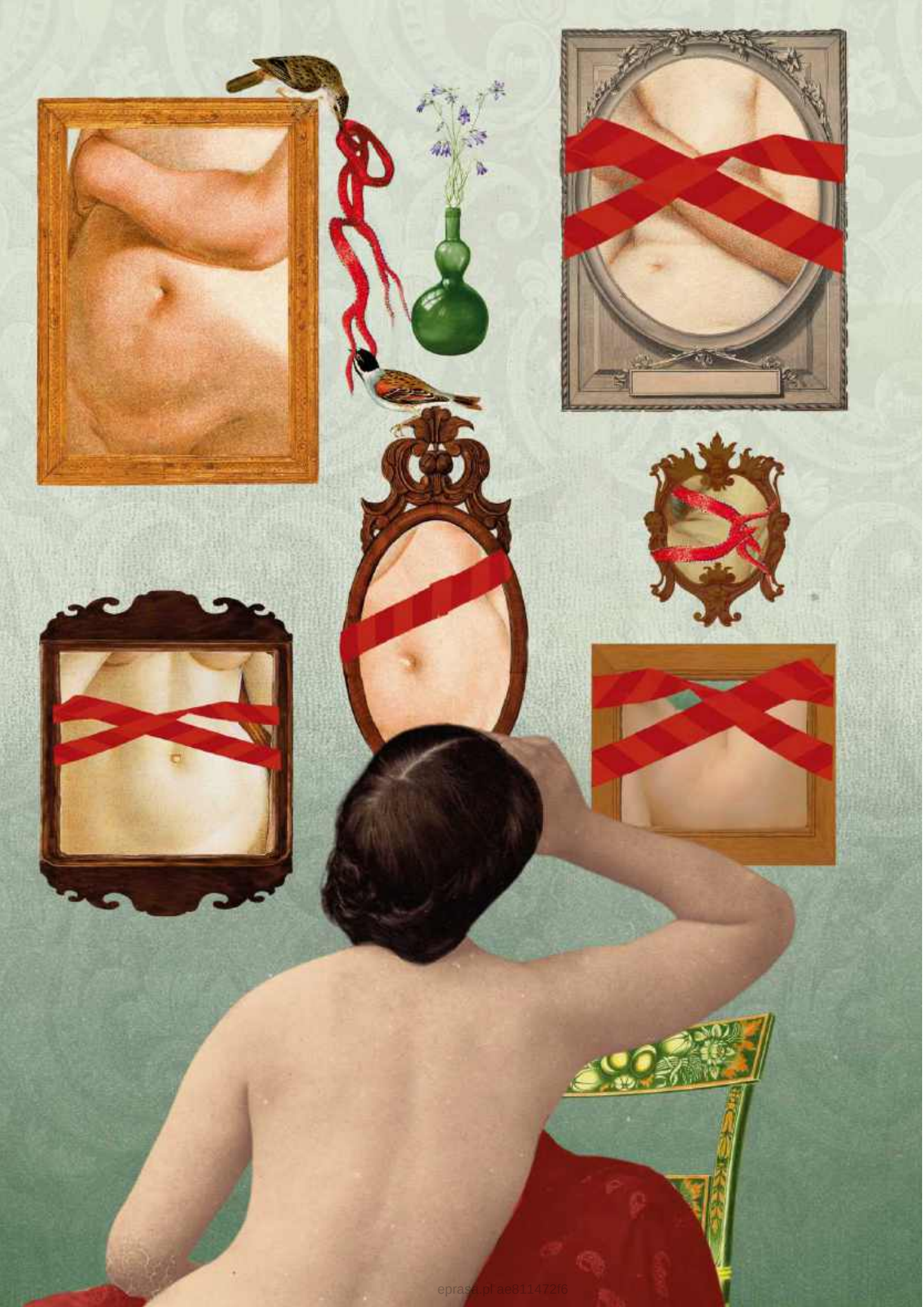

eprasa.pl ae81147 2f6

TEKST **NATALIA WALOCH**
ILUSTRACJA **JAGODA STĄCZEK**

W

Wzruszają mnie moje dzieci, gdy śpią, czasem dzieła sztuki, potęga natury i kotki, ale nigdy nie sądziłam, że wzruszy mnie opowieść o brzuchu. A ściślej o tym, jak mieszkają w nim sobie jelita, macica i pęcherz, wszyscy szczęśliwi pod parasolem przepony. Obiecuję ci, że doszusujemy w tym tekście do miejsca, gdy będziesz chciała pogłaskać swój brzuch, jakbyś głaskała małego lisa, ale droga do niego będzie jak w klasycznej powieści awanturniczej: pełna trudnych przygód, gorzkich prawd i lekcji, których nikt nie chce. Niemniej daję ci siostrzeńskie słowo honoru, że warto w to iść.

SZALONE DROŻDŻOWE CIASTO

1 stycznia 2012 roku znajoma skomentowała moje sylwestrowe zdjęcie na Facebooku pytaniem: „Kogucik czy kurka?". Chwilę mi zajęło załapanie, że wzięła mój wystający brzuch za przejaw ciąży. Śmiałam się, bo właśnie się do ciąży przymierzałam i było to dla mnie sympatyczne. Wiedziałam też dobrze, że zawsze tak było: kiedy jako małolata wychodziłam z rodzicami do restauracji, wbijali oczy w chodnik, bo po zjedzeniu obiadu wyglądałam jak w piątym miesiącu.

Dziś już bym się nie śmiała. Tak jak nie śmiała się Amelia Tait, dziennikarka, która parę lat temu opublikowała w „New York Timesie" esej „This Is What My Belly Looks Like" (Tak wygląda mój brzuch). Opisała, jak na wakacjach w Chorwacji przewodnik zapytał ją, czy spodziewa się dziecka. „Nie wiem, ile razy odpowiedziałam »nie« – jakoś między pięcioma a piętnastoma" – pisze Tait. Opowiada, jak nienawidziła swojego brzucha nawet jako nastolatka z anoreksją, choć przecież widziała, rozglądając się na ulicy, że płaskie brzuchy są anomalią, nie normą.

Och, jak dobrze to znam. Mam naprawdę niezłą relację z ciałem, brzuch jednak jest enklawą wiecznie sprawiającą kłopoty. To teren niby skolonizowany moim zdroworosądkowym, feministycznym podejściem, a jednak wciąż tli się tam bunt i nigdy nie wiem, czy za moment nie wybuchnie powstanie. Brzuch jest jak terytorium zarządzane przez satrapę, z którym nie sposób się dogadać. Co już mamy jakąś mapę drogową, to brzuch się znów zbiesi, zrobi dywersję, zerwie pokój. Wygląda naprawdę nieźle rano, a jeśli jest to jeszcze pierwsza połowa cyklu, to na serio nawet go lubię. Niech no jednak mam wyjście wieczorem, niech no to wyjście przypadnie na trzy dni przed okresem. To, co spokojnie dawało się zapakować w spodnie albo nawet w dopasowaną kieckę, wylewa się górą jeansów jak szalone ciasto drożdżowe. I niby wszystkie wiemy, że kobiecy brzuch zmienia się wraz z cyklem, że o świcie jest mniejszy niż po całym dniu, to żadna logika, wiedza, rozsądek nie działają, gdy idzie o brzuch.

Są na to tony naukowych badań. Gdy badacze pytają kobiety o ciało, brzuch i talia są wskazywane jako obszar najbardziej problematyczny. W niemieckich badaniach z 2022 roku odsetek kobiet wskazujących brzuch jako najmniej atrakcyjną część ciała wynosił 78,9 proc. Kobiet, które lubią swój brzuch, jest jak na lekarstwo.

Skąd ta niechęć, te wszystkie rozterki? Za kwestią brzuchową stoją potężne siły. Normalna kobieta nie ma szans w starciu z tą machiną.

ROZMIARÓWKA JAK GORSET

Trzeba sobie jasno powiedzieć: zaznaczona talia niemal zawsze uważana była za atrakcyjną. Ślady tego przekonania mamy m.in. w literaturze pięknej. Wytropili je i opisali naukowcy z USA, którzy wnioski zawarli w pracy „Did the perils of abdominal obesity affect depiction of feminine beauty in the sixteenth to eighteenth century British literature? Exploring the health and beauty link" („Czy zagrożenia związane z otyłością brzuszną wpłynęły na obraz kobiecego piękna w brytyjskiej literaturze XVI–XVIII wieku? Badanie związku między zdrowiem a urodą"). Poeci i pisarze konsekwentnie wielbili smukłą talię, w dodatku nie był to model tylko europejski, bo podobne wzmianki są też w literaturze chińskiej czy indyjskiej. Jednak, na boginię, talia nigdy nie oznaczała płaskiego brzucha, czy brzucha wręcz – jak to mamy w kanonie dzisiaj – wklęsłego.

Jak świat światem kobiecy brzuch był miękki i lekko wystający. Nie będę truła o Wenus z Willendorfu, bo mnie też trudno utożsamić się z kamiennym posążkiem sprzed 30 tys. lat. Ale jeśli przyjrzymy się późniejszym obrazom sylwetek kobiecych, zobaczymy, że i u Rubensa, i u Tycjana, i wielu innych mistrzów, ideał był jednak dość krągły, a na pewno nie żylasty i nabity mięśniami. Spójrzcie choćby na brzuch Marilyn Monroe! Sonia Kisza, historyczka sztuki i autorka książki „Histeria sztuki", zwraca uwagę na ewenement, jakim był kanon średniowieczny: – Ideałem była kobieta o drobnych, wąskich ramionach, malutkich piersiach, szczupłych nogach i talii oraz dużym brzuchu, który wyglądał na niemalże ciążowy – mówi mi eskpertka, a ja łapię w lot, że jako nastolatka z moją wiecznie odnawiającą się ciążą spożywczą połączoną z chudością miałabym trubadurów pod oknami zamiast wstydu.

Kisza wyjaśnia, że duży kobiecy brzuch był wielbiony z powodu klęsk, jakie w tamtych czasach gnębiły ludzi: – Badaczki wiążą to z epidemią dżumy i z głodem oraz z obsesją dziedziczenia, która potem nastała, ciąża była więc stanem pożądanym. Ale i zaokrąglenie, świadczące o stałym dostępie do jedzenia, było ważnym podkreśleniem statusu.

Rewolucja przemysłowa przyniosła siedzący tryb życia, zostaliśmy też uwolnieni na Zachodzie od głodu, trudniej było utrzymać brzuch w ryzach. Ale przede wszystkim: pojawiły się sklepy z odzieżą, a wraz z nimi rozmiarówki. Rozmiar naszego ciała, w tym brzucha, przestał być naszym sekretem. Dotąd, gdy ubrania szyło się samodzielnie lub u krawca, to odzież była dla ciała. Wraz z pojawieniem się sklepów i rozmiarów, to ciało musiało wpasować się w rozmiar.

Kanony piękna zazwyczaj uwikłane są w klasizm, a nawet w rasizm. Jeszcze w pierwszych dekadach XX w. obowiązywał gorset. Podkreślał on, że nosząca go osoba jest dość majętna, by nie musieć się po nic schylać, gdyż zostanie obsłużona.

eprasa.pl ae811472f6

Fakt, że w pewnych regionach świata pani w gorsecie na ogół była biała, a podająca jej kapelusz służąca czarna, też nie jest bez znaczenia. Bardzo szczupła, wiotka sylwetka, która dzięki mediom oraz Hollywood stała się szalenie popularna (a nam kazano wierzyć, że jest możliwa dla wszystkich) zawsze była sylwetką ściśle związaną z białą klasą średnią. Jia Tolentino na łamach „New Yorkera" w tekście o tym, jak zmienia się nasze postrzeganie ciała, wskazuje, że na przełomie XIX i XX w. w prasie kobiecej ukazywało się bardzo wiele publikacji, które „artykułowały wstręt do tłuszczu i kultur, które go cenią". (Powiązanie fatfobii z rasizmem jest przedmiotem cenionej i popularnej książki amerykańskiej socjolożki Sabriny String „Fearing the Black Body" – „Strach przed czarnym ciałem").

A dziś? Sieciówki starają się nas czasem obłaskawić. Nagrodą pocieszenia jest „vanity sizing", rozmiarówki próżności, wszywanie metek z niższym rozmiarem. By sprawić nam przyjemność czy zrobić z nas idiotki? W kwestii brzuchowej wstyd i upokorzenie – watażkowie patriarchatu – są głównymi rozgrywającymi.

WIĘZIENIE Z BRZUCHEM W HERBIE

Kanon piękna, jaki by nie był, zawsze zasadza się na jednej rzeczy: ma być trudno osiągalny. Żeby się do niego zbliżyć, trzeba czasu, zacięcia, potu i łez. Czy to było sznurowanie gorsetu, czy bandażowanie stóp w Chinach, czy noszenie siedmiu ciężkich halek pod suknią – wszystko to wymagało od kobiet znoszenia dyskomfortu. Wszystko to też czyniło kobiety słabszymi. Pokrępowane jak sztuki mięsa przed gotowaniem, bez możliwości wzięcia głębszego oddechu, obciążone kilogramami tkanin damy nie były w stanie ani bawić się w berka, ani uciec przed napaścią, ani się odwinąć natrętowi. Ideał kobiety zawsze był dość słaby, żeby mężczyzna mógł się czuć silny. Pisała o tym już w latach 80. filozofka Susan Bordo w klasycznej dziś książce „Unbearable weight" („Nieznośny ciężar"), która uważała, że powszechny lęk przed otyłością kobiet (tu wtrącę, że badania pokazują, że nawet szczupłe kobiety z większymi brzuchami uważają się za grube) jest w istocie lękiem przed kobiecą siłą.

Podobnie widzi to Sonia Kisza: – Pamiętam, że w latach 90., gdy po raz pierwszy modna była chorobliwa chudość, na serwisie Tumblr była masa grafik z hasłami mówiącymi kobietom, że „on zasługuje na to, żebyś była mała". Miałaś być na tyle mała, żeby on zdołał cię podnieść. Dziś widzę tę samą próbę dosłownie zmniejszania kobiet i naprawdę trudno mi w obecnym ideale nie widzieć analogii do głodzenia kobiet.

Kisza, a wraz z nią wielu badaczy i komentatorów, wiąże to z backlashem, czyli cofką, jaka ma miejsce w czasach kryzysu liberalnej demokracji. Ameryka Donalda Trumpa najlepiej nam pokazuje, jak bardzo prawa kobiet znalazły się na celowniku populistów. Na salony wchodzą na wysokich obcasach panie z MAGA oraz skromne, ale mocarne zasięgowo trad wives, które krzewią tzw. tradycyjne wartości. Prawda jest taka, że kobiety na umownym Zachodzie miały w ostatnich latach więcej niż nasze przodkinie kiedykolwiek. To się nie mogło podobać. Nie mogło pozostać bez odpowiedzi.

Oczywiście nie ma żadnego tajnego stowarzyszenia mężczyzn, którzy po nocach knują, że oto od poniedziałku będą cisnąć laski o umięśnione brzuchy. Tego rodzaju procesy idą wielotorowo, a ich opisaniem zajmują się antropolodzy kultury.

Wyśrubowana norma angażuje czas i siły kobiet na tyle, że jest duża szansa, że nie będą się wtrącać panom w politykę, władzę, pieniądze. Mary Wollstonecraft już w 1792 roku pisała: „Eleganckie kobiety są, dosłownie rzecz biorąc, niewolnicami swoich ciał... Uczone od dzieciństwa, że piękno jest berłem kobiety; umysł dostosowuje się do ciała i wędrując po jego złoconej klatce, pragnie jedynie ozdobić jego więzienie".

Więzienie z brzuchem w herbie jest idealne. O ile piersi, twarz czy nogi były kategoriami głównie estetycznymi, brzuch zawsze był też kategorią moralną. Nie panujesz nad brzuchem, nie panujesz nad sobą i życiem. Brzuch trudno ograć. Na grube nogi włożysz długą kieckę, na krótkie – kieckę z wysokim stanem, piersi możesz podnieść stanikiem. Z brzuchem zbyt wiele zrobić się nie da. Z szerokiej kiecki zrobi się namiot i każdy będzie widział, że brzuch jest. Dlatego też brzuch jest idealny dla reżimów, czy stoją za nimi patriarchat, Instagram, czy producenci leków i suplementów.

Nie wierzysz? Mam dla ciebie anegdotę z 1793 roku. W tymże roku jak meteoryt przeleciała moda na tzw. podpaskę na brzuch, rodzaj poduszki montowanej pod suknią. Jej cel był mętny, bo – jak pisze badaczka zjawiska Charlotte Goodge z uniwersytetu w Yorku – podpaska jednocześnie ukrywała i symulowała brzuch gruby lub ciążowy. Uważa się, że część kobiet korzystała z niej, by ukryć nieślubną ciążę. I nagle nie było wiadomo, która jest naprawdę ciężarna czy gruba, a która ma pod kiecką poduszkę. Podpaska była atakowana z ogromną zaciekłością. Fakt, że kobieca sylwetka zrobiła się nieczytelna dla mężczyzn, którzy chcieli ją kontrolować, był dla nich nie do zniesienia.

KOBIETA MODUŁOWA

Większość z nas pamięta modę na chorobliwą chudość spod znaku „heroin chic" (swoją drogą niezła patola – wzorować modę na środowisku ćpunów) w latach dziewięćdziesiątych i wczesnych dwutysięcznych. Kobiety z brzuchami i/lub nadwagą były otwarcie poniżane w filmach, sitcomach i rekla-

> Jak tam może być płasko, skoro tam jest masa jelit, jest macica, która musi być gotowa na *czterokilogramowe dziecko, jest pęcherz?*

eprasa.pl ae811472f6

Spójrzcie na brzuch Marilyn Monroe! Na zdjęciu 24-letnia gwiazda z brzuchem ani płaskim, ani nabitym mięśniami

W badaniach z 2022 roku odsetek kobiet wskazujących brzuch jako najmniej atrakcyjną część ciała ciała wynosił *78,9 proc.*

mach. Brzuchata nie zasługiwała na miłość, mogła co najwyżej asystować pięknej chudej przyjaciółce.

A potem przyszły Kardashianki i zaczął się prawdziwy mess. Oto nagle kobieta miała mieć talię osy, a jednocześnie bardziej niż obfite piersi i pośladki. Wspomniana Bordo w „Unbearable weight" pisała, jak kartezjańska koncepcja człowieka jako ludzkiej maszyny wykiełkowała we współczesne przekonanie, że ciało jest rzeczą plastyczną, którą możemy bez końca i dowolnie przekształcać. Jako kobiety powinnyśmy być jak modułowy ludzik Lego, który ma piersi i pośladki brazylijskiej tancerki samby oraz brzuch i talię wczesnej Kate Moss.

Badacz Viren Swami pisze o globalizacji szczupłości. Za sprawą serwisów społecznościowych ideał bardzo szczupłej sylwetki z płaskim twardym brzuchem dotarł nawet do krajów arabskich i Azji oraz niektórych państw Afryki, przy czym tam często obowiązuje właśnie modułowość: duże lokalne cycki i tyłek oraz globalny wklęsły, twardy brzuch. Wszędzie jest ten sam paradoks: świat chce, byśmy były dojrzałe i rodziły dzieci, ale obowiązuje figura 19-latki, która nigdy nie rodziła.

Całkiem niedawno na parę lat trochę się poluzowało. W kampaniach dużych marek zaczęły pojawiać się kobiety z normalnymi ciałami. Pojawiły się też ciałopozytywne influencerki. Skończyło się jak sen złoty. Najpierw hasła aktywistek zagarnął biznes, który zachęty do pokochania ciała wykorzystał do wciskania sposobów na tego ciała zmienianie. Popularność zdobył Instagram z algorytmami kochającymi chudość. Wreszcie pochód ciałopozytywnowści rozkwasił sobie nos na szlabanie z napisem Ozempic.

eprasa.pl ae811472f6

SELF-CARE, CZYLI: SCHUDNIJ!

Ozempic i podobne leki są wybawieniem dla wielu ludzi z cukrzycą i otyłością. Sęk w tym, że semaglutyd na potęgę przyjmują też gwiazdy i influencerki chore jedynie na wizerunek. W mgnieniu oka czerwony dywan w Cannes znów zaludnił się aktorkami o posturach mocno halloweenowych. Georgia Bell w tekście opublikowanym na serwisie należącym do brytyjskiej rozgłośni LBC używa pojęcia okna Ozempic-Overtona: norma zmieniła się tak, że to, co 10 lat temu uważaliśmy za szczupłe, dziś jawi się nam jako „niedopuszczalnie otyłe".

Brzuch idealnej kobiety jest płaski, twardy i umięśniony. Sonia Kisza: – Nie zrobisz takiego brzucha, jeśli po prostu zdrowo jesz, chodzisz tych 10 tys. kroków dziennie i raz w tygodniu wyrwiesz się na siłownię. Taki brzuch oznacza podporządkowanie mu wszystkiego: każdej decyzji i aktywności, całego dnia.

Niby tak, ale czemu by nie spróbować? – myślą tysiące harujących kobiet, matek, usiłujących nie tyle złapać work-life balans, co po prostu przetrwać. Kupujemy więc karnety na siłownię, których nie dajemy rady wykorzystać, bo jelitówka u dziecka, wszy albo ewaluacja projektu. Postanowienia dietetyczne i odmierzanie białka sypią się przy pierwszej gorączce przedszkolaka w sezonie chorobowym. I potem znów to ciasto drożdżowe ucieka z jeansów high waist, znów masz doła i znów tego brzucha nienawidzisz.

Okołobrzuchowy biznes wie, że nie wypada już cisnąć: „schudnij", więc nawija ci o self-care, o dbaniu o mikrobiom. Oczywiście: nauka potwierdza, że jelita to drugi mózg i należy o nie dbać. Ba, nauka potwierdza nawet, że w różnym stopniu jakieś probiotyki, jakaś akkermansia, błonnik, berberyna czy morwa biała mogą wspomagać pracę jelit czy gospodarkę insuliną. Sęk w tym, że producenci suplementów na ogół sprzedają nam je jako specyfiki, które pomogą wessać brzuch do środka, a na to już istotnych dowodów naukowych po prostu nie ma. Firma Flat Tummy (Płaski Brzuch), która zaczęła od sprzedawania na Instagramie kilkunastu lizaków na odchudzanie dziennie, po dwóch latach działalności została sprzedana za 10 mln dolarów, uprzednio zatrudniając do reklamowania produktów Kim Kardashian.

Jak mówiłyśmy, brzuch nie jest tylko kategorią estetyczną. Ten płaski i twardy mówi światu, że umiesz brać życie za mordę, skoro wstajesz robić planki o godz. 5 rano oraz masz odpowiedni status, bo trener personalny i dieta pudełkowa kosztują czas i pieniądze.

Powiedzmy to sobie jasno, dziewczyny: przeciętna kobieta nie ma szans do tego doskoczyć. Ale ponieważ jesteśmy wszystkie otoczone wizerunkami uśmiechniętych, żylastych influencerek, większość z nas czuje się gruba, rozlazła, niezdyscyplinowana i w dodatku biedna.

No to teraz może odwrócimy narrację, co?

MAŁY DZIELNY LIS

Brzuchy są różne. To mówi mi na wstępie Agata Ziemnicka, psycholożka i dietetyczka. Ona ma biodra szerokie, więc jak zje michę makaronu, nic nie znać, nie to, co u mnie przy mojej wąskiej miednicy. Poza tym Ziemnicka nie może przeżyć, że kobiety tak odcinają swoje brzuchy od ich natury i fizjologii: – Jak tam może być płasko, skoro tam jest masa jelit, które są przed kupą albo po kupie, jest macica, która musi być gotowa na czterokilogramowe dziecko, pęcherz, który raz jest pełny, raz pusty. I to wszystko pracuje od rana do nocy i w cyklu miesięcznym. To jest żywe, zmienne miejsce i ono nie ma prawa być u kobiety płaskie i twarde!

Ekspertka opowiada mi o brzuchu tak, że zaczynam mu zwyczajnie współczuć: – Zobowiązujemy go do trawienia, do odpowiadania za odporność, o której już wiemy, że zależy od kondycji jelit, ma się zajmować naszą płodnością. A do tego w brzuchu są emocje i intuicja: jak na ciemnej ulicy słyszysz kroki za sobą, to zanim pomyślisz, masz ścisk w brzuchu. Brzuch to fenomen, a my jeszcze katujemy go, żeby był płaski i twardy.

Wyobrażam sobie narządy wewnętrzne jako małego lisa, który stara się jakoś żyć, a któremu ja, wciągając brzuch, próbuję zabrać przestrzeń życiową. – Wciąganie brzucha zupełnie nam nie służy – ostrzega Ziemnicka. – Żeby oddychać swobodnie, brzuch trzeba puścić miękko, wtedy przepona może pracować. Kiedy oddychasz, odchodzi stres. I odwrotnie: jeśli cały czas wciągasz brzuch i nie oddychasz głęboko, mózg dostaje sygnał, że w pobliżu jest zagrożenie.

Mięśnie brzucha są ważne. Te głębokie stabilizują sylwetkę, chronią przed kontuzjami. Ćwiczymy je, chodząc po schodach, balansując przy drążku w autobusie. Bez sensu jest robienie sześciopaku: – To jest wbrew kobiecej anatomii, bo narządy nie mają szansy się komfortowo mieścić - mówi Ziemnicka.

Oczywiście miękki brzuch nie oznacza, że mamy brzuch zapuszczać, hodować tłuszcz trzewny wokół narządów. Należy więc zdrowo jeść i się sportować, ale jedno i drugie róbmy z miłością. Ziemnicka przekonuje, że dla kobiecego brzucha doskonałe są spacery, bo naprzemienny ruch nóg i skręcanie bioder to są rzeczy, które nasz lis, czyli wewnętrzne narządy, naprawdę lubią. I tak, możesz zjeść makaron i truskawki z bitą śmietaną.

Na koniec ciekawostka: czy wiesz, że rozmiary ubrań, zanim trafiły do sklepów, wymyślono na potrzeby armii? Trzeba było po prostu jakoś pogrupować żołnierzy i ubrać stosownie do gabarytów. Myślę, że to bardzo metaforyczne wobec tego, jak nam, kobietom, każe się maszerować noga w nogę ku kolejnym ideałom urody.

A gdybyś tak pomyślała, że zadowolenie z siebie taką, jaka jesteś, jest czymś, co ma potencjał społecznego buntu? Gdybyśmy tak puściły te brzuchy? Dały im wystawać i obwisać? Trząść się przy śmiechu i wylewać ze spodni po zjedzeniu najlepszej na świecie pizzy na wakacjach we Włoszech?

Może system społeczny, który od zawsze trzyma kobiety pod kontrolą, każe nam niepłaskie i nietwarde brzuchy ukrywać nie dlatego, że to coś szpetnego, lecz dlatego, że są mocarne i nieokiełznane? To tam trzymamy życie nasze i naszych dzieci, tam mamy przeczucia i wglądy, tam mamy oddech, dzięki któremu można wydobywać z siebie mocny głos. Tam mamy siłę. ▲

eprasa.pl ae811472f6

Polemizuję z *lękiem*

Czułam, że potrzebuję czegoś, co pomoże mi przetrwać. Nie wygrać, ale po prostu przetrwać. Więc zdecydowałam się żyć z powodu ciekawości

eprasa.pl ae811472f6

Z **SANDRĄ JASIONOWSKĄ-KURYŁO**, POETKĄ, ROZMAWIA **MAGDALENA SUCHECKA**, ZDJĘCIA **MARTYNA NIEĆKO/ AGENCJA WYBORCZA.PL**

Piszę, bo jestem. Piszę, bo czuję. Piszę, bo nie chcę. Piszę, bo nie chcę krzyczeć". To cytat z pani tomu wierszy „F41". Co się kryło pod tym niemym krzykiem?
– Ukrywał on doświadczenie całego mojego życia: trudności relacyjne, dojmujące poczucie niesprawiedliwości świata, bo komfort innych miał zawsze dla mnie ogromne znaczenie. Jednak równocześnie zaczęłam zauważać, że największym wrogiem człowieka może być on sam.

Wiersze powstawały w ciągu kilku ostatnich lat, kiedy mierzyłam się z najtrudniejszymi momentami w swoich zaburzeniach lękowych. Sam tytuł nawiązuje właśnie do kodu tych zaburzeń – z klasyfikacji ICD-10: F41.

Moje doświadczenie lęku często było nawet niezauważalne dla innych, bo funkcjonowałam na wysokim poziomie, znakomicie to maskując. Zawsze miałam bardzo dobre oceny, byłam w samorządzie szkolnym, podejmowałam się mnóstwa rzeczy... Jednak było to okupione bardzo wysoką ceną. Cenę tę ukrywałam właśnie w poezji.

Jak ten lęk dotyka pani codzienności?
– Dzisiaj radzę sobie z nim na tyle dobrze, że kiedy zaplanuję wyjście z domu albo jakąś inną aktywność, wywiążę się z tego. Lęk wciąż mi towarzyszy i sprawia, że zastanawiam się nad tym, czy działać. Ale dzięki psychoterapii i leczeniu psychiatrycznemu jestem w stanie oddzielić te myśli i emocje od zachowania i tego działania się podjąć. Jeśli zamierzam iść na klub książki – pójdę. Jeśli chcę zrobić trening albo zająć się pisaniem – robię to. Dzisiaj dotrzymuję słowa danego innym i tego danego sobie.

„F41" zbiera doświadczenie lęku, które wtedy było naprawdę trudne, to nieustanna walka ze sobą. Z jednej strony chęć albo konieczność zrobienia czegoś, z drugiej – lęk, który kazał się wycofać. Kiedy miałam umówione spotkanie z przyjaciółmi – odwoływałam je, bo bałam się tego, że będę musiała wchodzić w interakcje, które są dla mnie tak intensywne, że aż przebodźcowujące. Dlatego że kolejnym aspektem, wręcz standardem tego lęku, był fakt, że po każdym spotkaniu, a nawet po przypadkowym kontakcie – w mojej głowie zaczynały się mielić myśli o tym, co powiedziałam, czego nie, a co powinnam. Jak zareagowali inni, czy mój gest albo mimika były odpowiednie? A może kogoś uraziły? Ostatecznie część z tych relacji straciłam.

Wiedziałam też, że muszę iść np. do sklepu po chleb, ale czekałam, aż mąż wróci z pracy i on to zrobi. Bałam się wyjść z domu, bo nie wiedziałam, czy będę miała wygodne buty, czy będę odpowiednio ubrana? Być może będzie mi za ciepło lub za zimno albo będę czuła jeszcze inny dyskomfort, jeśli wyjdę? Wszystkie te myśli prowadziły do najgorszego.

Jednak stawała pani do walki. Wieczorem składała pani sobie i innym obietnicę, że następnego poranka spróbuje pani żyć – pisze pani w jednym z wierszy. Co było nośnikiem tej siły?
– Mierząc się z lękiem – już ponad 20 lat temu, w gimnazjum – czułam, że potrzebuję czegoś, co pomoże mi przetrwać. Nie wygrać, ale po prostu przetrwać. Więc zdecydowałam się żyć z powodu ciekawości.

Dzisiaj młodzież nazwałaby to życiem „dla fabuły", a ja chciałam po prostu przeżyć i zobaczyć, co stanie się ze światem. Chciałam poznać odpowiedzi na pytania: czy znajdziemy lek na raka? Czy ludzkość zaludni Marsa? Jakie książki jeszcze napiszemy? Co dalej w życiu będą robić osoby, które znam? Stwierdziłam, że jeśli w życiu z ciekawości, będzie wciąż źle – zawsze mogę zrezygnować.

Ta ciekawość stała się osią sensu?
– Myślę, że wtedy nią była. Oczywiście dzisiaj ta ciekawość nadal we mnie jest. Jednak ten sens rozdzielam również na inne aspekty życia. Mam w sobie świadomość wielu tożsamości, między którymi to poczucie sensu dzielę: jestem twórczynią, żoną, prowadzę zdrowy tryb życia, jestem przyjaciółką. Dla mnie jest to zdrowe, bo nie prowadzi ponownie do izolacji i lęku, który ogranicza mnie tylko do twórczyni i daje argument do pozostania w domu.

Różne tożsamości i aktywności z nimi związane pomagają mi w kontrolowaniu lęku – daję sobie dzięki temu możliwość polemizowania z nim.

Lęk wciąż próbuje mnie przekonać, że popadam w stagnację, przestaję ćwiczyć, że innym na mnie nie zależy lub czymś ich uraziłam, bo nie odpowiadają na kontakt z mojej strony. Jako programistka uwielbiam liczby, więc mierzę swoje życie właśnie nimi. Kiedy te wszystkie aktywności zapiszę w kalendarzu albo innych statystykach, to daję lękowi i sobie dowód, że rzeczywistość jest bardziej optymistyczna, niż mój lęk zakładał. Mając wszystko zapisane, widzę, ile razy w tygodniu wyszłam z domu w różnych celach. Ile razy w miesiącu ćwiczyłam, a jak małą liczbę treningów opuściłam. I dostrzegam, że koleżanka nie czuje niechęci do kontaktu ze mną, bo widzę że ostatnim razem to ja jej odmówiłam wspólnego wyjścia.

Jaką obietnicę składa pani poezja, że decyduje się pani dzielić swoją ekspresję z innymi właśnie za jej pośrednictwem?
– Obiecuje mi to, że jest. Moje wiersze są krótkie i myślę, że to daje mi przestrzeń, żeby w urywkach chwili znajdować dokładnie ten ten jeden urywek, jeden moment.

Doceniając teraźniejszość?
– Nawet nie tylko doceniając, ale zauważając te momenty, z których składa się życie.

A więc sztuka, poezja mają w sobie taką wieloznaczność kontekstów, że nie definiują, a po prostu przyjmują rzeczywistość i chwilę takimi, jakimi one są?
– Myślę, że tak. Dzięki temu każdy może postrzegać poezję inaczej, na swój własny sposób i się w niej odnaleźć.

Piszę o tym w wierszu rozpoczynającym „F41": nie ma jednej uniwersalnej prawdy. Zawsze istnieje prawda moja, twoja, prawda czytelniczki i czytelnika. Próbujemy znaleźć tę jedną prawdę, wedle której mamy rozumieć i czuć świat. Zgadzam się, że ustalenie jej jest istotne – chociażby w przypadku wydarzeń historycznych, bo wówczas wiemy czemu możemy zaufać.

Myślę jednak, że ostatecznie w życiu każdy z nas rozlicza się z własnej prawdy, a nie z tej uniwersalnej. Naszymi prawdami są emocjonalność i wrażliwość, poprzez które doświadczamy życia – nasze indywidualne odczucia. Są one w nas i wpływają na każdy dzień, dlatego stają się naszym priorytetem, a o ich spełnieniu i wyrażaniu myślimy w pierwszej kolejności. Oznacza to, że ta jedna prawda uniwersalna, niezwiązana z nami tak silnie emocjonalnie, zajmuje miejsca dalsze.

To dlaczego prawda uniwersalna jest dla nas tak istotna?
– Bo jest to ideał. Dążymy do niego na różne sposoby. Jedną z takich prawd uniwersalnych i jednym z tych sposobów – jest myślenie, że musimy być superbohaterami, czyli ze wszystkim poradzić sobie sami. Dlatego poproszenie o pomoc i pójście np. do psychiatry albo na terapię ma być końcem świata, bo kończy dążenie do osią-

eprasa.pl ae811472f6

gnięcia tego ideału. Ludzie obawiają się, że zgłaszając się po pomoc, tracą jakąś część siebie, swojej osobowości.

Ja po przyjęciu leczenia – straciłam... silną intensywność przeżywania tego, co trudne. Zaczęłam czuć się lepiej. Tylko dlatego, że zrozumiałam – a może lęk mnie zmusił do tej refleksji? – że nie poradzę sobie z tym sama. Oczywiście, było to wyzwaniem, bo od zawsze byłam Zosią Samosią.

Myślę, że w każdym z nas jest coś, co sprawia, że jesteśmy wyjątkowi. Nie są tym jednak nasze problemy. To właśnie one w pewien sposób łączą nas w naszych przeżyciach, bo wszyscy jesteśmy częścią większej całości. To od nas zależy, w jakim kierunku pójdziemy, a co za tym idzie – w jakim kierunku będzie podążał ten świat. Myślę też, że w każdym z nas jest historia, często nieidealna, która jest ciekawa i zasługuje na opowiedzenie.

Drugą taką „prawdą" jest według mnie przekonanie, że gdy dorośniemy, wszystkie nasze doświadczenia ułożą się w logiczną całość, a my zyskamy pełne rozumienie samych siebie. Tak się jednak nie dzieje, ponieważ wciąż zdarzają się rzeczy, na które nie mamy wpływu. Mimo to próbujemy funkcjonować tak, jakby sprawy układały się idealnie, ponieważ do tego dążyliśmy i to właśnie obiecywano nam podczas dorastania.

Psychoterapia

dzisiaj znowu nie umarłam
wstałam z łóżka zamiast
umyłam włosy umyłam zęby
naparzyłam herbaty
poszłam po chleb
ależ dziś wieje mówiłam
nie krzyczałam
nie płakałam
nie modliłam się o koniec
małe sukcesy za duże pieniądze

SANDRA JASIONOWSKA-KURYŁO

Urodzona w 1993 roku w Gołdapi, mieszka na Pomorzu. Z zawodu programistka, z wykształcenia inżynier fizyki technicznej, a z potrzeby serca pisarka, poetka i artystka. Wydała dwie książki: tom poezji „F41" i zbiór esejów „Od lęku do self-publishingu".

A co zdecydowało o momencie, w którym zwróciła się pani po pomoc?
– Sesja oczywiście. Był to moment przechodzenia z jednej intensywności emocjonalnej w drugą. Popadałam w fazy nauki, zajmując się niemal wyłącznie tym. Z drugiej strony popadałam w poczucie własnej bezwartościowości i bezcelowości życia, zarzucając sobie głupotę i niekompetencję, myśląc o porzuceniu studiów, a nawet... siebie.

Wtedy właśnie zrozumiałam, że to schemat, który się powtarza. I miałam w sobie pytania: co będzie przy kolejnej sesji, projekcie w pracy albo przy organizacji wesela, jeśli to, co czuję, się nie skończy? Wtedy nie potrafiłam nazwać tego „lękiem". Wiedziałam jedynie, że problem leżał głębiej, i za tą myślą pierwszy raz umówiłam wizytę u psychiatry.

W tamtym czasie pracowałam już zawodowo i trudno było mi pogodzić wszystkie obowiązki. Wracałam z pracy do domu i oglądałam przez cztery godziny YouTube'a, nie mogąc nic zrobić poza tym.

Kolejny trudny moment przyszedł dwa lata temu, po przeprowadzce. Powodem było to, że wszystko było dla mnie nowe i bardzo obce. Nie wiedziałam, jak dojść do sklepu, komu powiedzieć „Dzień dobry". Na ten strach reagowałam płaczem albo podnoszeniem głosu i gniewem. Nie mogłam wytrzymać w ciszy nawet pięciu minut, więc ciągle musiałam czegoś słuchać albo z kimś rozmawiać. W tamtym okresie już od kilku lat byłam w terapii, ale była to niewystarczająca pomoc.

Dlatego już kilka dni po przeprowadzce ponownie umówiłam wizytę u psychiatry. Tym razem zdecydowałam się na farmakoterapię, czyli przyjęcie leków. Przy wcześniejszej wizycie nie skorzystałam z tej możliwości. Problem nie zniknął od razu: przez kolejne miesiące wciąż mierzyłam się z lękiem i bezsennością, przez pół roku od przeprowadzki przespałam tylko dwie całe noce. Jednak leki pomogły mi się wyciszyć i nie reagować tak emocjonalnie. Dzięki temu zyskałam przestrzeń do pracy nad tworzeniem wokół siebie wspierającego otoczenia. Kluczowe w tej pracy było również to, żebym mogła być wsparciem dla samej siebie. Mimo dzisiejszego lepszego samopoczucia wciąż uczę się siebie i tego, co mi naprawdę pomaga.

Przy tych wielu pytaniach i niepewnościach – to, co wiedziałam na pewno – to fakt, że pomaga mi pisanie.

Pisanie, które przynosi ulgę, ukojenie?
– Na pewno. Od dziecka, przez nastolatkę, po dorosłość prowadziłam pamiętniki, blogi – po prostu pisałam, wyrażając swoje emocje i historie. Już jako nastolatka zauważałam, że to mi pomaga.

Kontaktując się wówczas z psychiatrą i psychoterapeutką, powiedziałam im, że gdybym tylko mogła w tym wszystkim tworzyć, to mogłabym z tym żyć. Jednak przez objawy nie byłam w stanie się skoncentrować, zapisy nie miały żadnej struktury, były to tylko urywki moich myśli. Próbując je zebrać i coś z nich tworzyć, bardzo szybko się poddawałam. Rezygnowałam przez silnego wewnętrznego krytyka, mój perfekcjonizm i syndrom oszustki. Wszystko to było i wciąż jest podszyte lękiem o opinię i reakcję innych.

Obawiam się skrajności: że ktoś przeczyta te wiersze, ale też że nikt się nimi nie zainteresuje. Wychodzę do czytelniczki i czytelnika z tym, co piszę, chcąc zostać zauważona, a jednocześnie bojąc się, że wszyscy dowiedzą się, że piszę. Wciąż mam w głowie pytanie: jak na to zareagują?

eprasa.pl ae811472f6

W swojej ostatniej książce „Od lęku do self-publishingu" dzieli się pani obserwacją, że nie nazywała pani siebie „poetką". W naszej rozmowie także to jeszcze nie wybrzmiało.
– Tak, wciąż dystansuję się od tej poetki, mimo że jestem już rok po wydaniu „F41", po premierze nowej książki, o której pani wspomniała. I w trakcie pisania kolejnego tomu wierszy.

Dlaczego?
– Etykieta poetki daje mi świadomość i poczucie powagi wobec tego, co robię. Myślę, że obawiam się przyjęcia tej powagi, bo prowadzi mnie ona wprost do pytania o dalsze pisanie i wydawanie. Na końcu tej drogi zawsze pojawia się pytanie o jakość tego, co robię, w tym przypadku wierszy: „Czy są wystarczające, żeby się nimi dzielić?". Przecież powinny być, skoro nazywam siebie poetką, prawda? Zadaję sobie to pytanie, choć oczywiście znam już odpowiedź...

Wiem, że ufając własnej ocenie, mogę przeżyć rozczarowanie. Może się przecież okazać, że wcale nie jestem dobrą pisarką ani poetką. To tylko potwierdziłoby negatywne myśli i przekonania, które mam o sobie. Co więcej, przyjmując tożsamość poetki, mogłabym ponownie rozpocząć wyścig z samą sobą, stawiając sobie coraz wyżej poprzeczkę i próbując osiągać nierealistyczne cele.

„F41" to przesłanie dla drugiego człowieka, dla czytelniczki i czytelnika.
– To przesłanie, że nie są sami. Wiem, że czasami wystarczy jedna osoba, która nada nam pewność – do działania, ale także do życia. Jedna osoba, która sprawi, że nie zrezygnujemy z pracy, projektu czy z naszego istnienia.

Każdy z nas mierzy się z trudnościami. Nie tylko tymi związanymi ze zdrowiem psychicznym. Tym tomem chciałam powiedzieć czytelniczce i czytelnikowi: wierzę w ciebie. Bo jak piszę na końcu książki: „F41 to moje świadectwo tego, że życie nie musi być tak cholernie trudne". Oczywiście, refleksja ta przyszła do mnie dopiero po podjęciu się psychoterapii.

„F41" to też historia o tym, że aby debiutować ze swoją szeroko rozumianą twórczością, nie trzeba czekać na jeden wielki moment pewności i gotowości, bo może on nie nadejść. Podczas procesu wydawniczego każdy poranek zaczynałam od panicznej myśli, by zrezygnować. Jednak wszystko było już w toku i nie mogłam już posłuchać podpowiedzi lęku. Dlatego dzisiaj mogę powiedzieć, że wystarczy chęć do tego i np. self-publishing, w którym wydałam swoje dwie książki.

Cierpienie nadaje rys twórczy tożsamości? Czy to założenie jest już gloryfikacją cierpienia lub jego racjonalizacją?
– Cierpienie jest cierpieniem – nie jest twórcze. Raczej sprawia, że artysta lub artystka szybciej docierają do końca swojej drogi, kończąc tworzenie i dzielenie się nim z nami, odbiorcami. Pozwala natomiast uwrażliwić się na innych i na niesprawiedliwość świata – dostrzec ją i przedstawić w formie artystycznej

Tym, co sprawia, że wzrastamy twórczo i wzrastamy w naszym człowieczeństwie, jest dyskomfort i życie bez niego byłoby z pewnością niezdrowe. Z mojej perspektywy to pojęcie różne od cierpienia.

„Dzisiaj znowu nie umarłam, wstałam z łóżka zamiast, umyłam włosy, umyłam zęby, nie krzyczałam, nie płakałam, nie modliłam się o koniec" – kończy pani wiersz. Dziś dla pani ta bezsilność współistnieje z nadzieją?
– Zgadza się. Dzisiaj czuję, że będzie dobrze.

Czyli nadzieja jest obietnicą pomyślności i w ogóle przyszłości – według pani?
– Dokładnie tak: przyszłość będzie i – co ważne – będą w niej inni ludzie. Stanowię tylko część większej całości, a moje ewentualne zniknięcie miałoby wpływ na moją najbliższą rodzinę, ale również np. na moich kolegów z pracy. Będą pamiętać, że kiedyś ktoś siedział przy tym biurku. Doświadczałam myśli rezygnacyjnych i samobójczych bardzo często.

Wiem jednak, że pożegnanie się z tym światem jest naruszeniem pewnego porządku, który z jakiegoś powodu istnieje. Wiem też, że najlepsze, co mogę zrobić, to zaakceptować obecność lęku. Nie opuści mnie i zawsze będzie wracał. Akceptując go, odbieram mu jednak niepewność, którą się karmi, i mogę przygotować strategię radzenia sobie z nim.

Droga autorki, pisarki czy poetki jest drogą samotną. Ostatecznie jednak chodzi w niej o ludzi, bo to właśnie do nich skierowana jest poezja. Dlatego w swojej nadziei widzę przyszłość i obecnych w tej przyszłości ludzi. ▲

OGŁOSZENIE

eprasa.pl ae81147216

DOMINIKA LASOTA

Rocznik 2001. Jedna z najbardziej wpływowych młodych feministek i aktywistek walczących o zieloną transformację i sprawiedliwość społeczną. Działa w Inicjatywie Wschód, współtworzyła ruch klimatyczny Fridays For Future. Studiuje politykę społeczną na Uniwersytecie Warszawskim. Zdobywczyni tytułu Warszawianki Młodego Pokolenia oraz Medalu Wolności Słowa. Autorka książki „Odwagi! [o zaangażowaniu młodych]".

Nie urodziłam się *wojowniczką*

Mam ogromną potrzebę opowiadania o tym, jak dobrze człowiek może się czuć, kiedy jest częścią czegoś większego i daje coś z siebie

eprasa.pl ae811472f6

Z **DOMINIKĄ LASOTĄ**, AKTYWISTKĄ, AUTORKĄ KSIĄŻKI „ODWAGI! [O ZAANGAŻOWANIU MŁODYCH]" ROZMAWIA **ANNA KALITA**

Będziemy rozmawiały i o Leonardo DiCaprio, który odegrał w twoim aktywizmie kluczową rolę, i o Andrzeju Dudzie, którego ignorancję obnażyłaś na oczach całej Polski. Ale zacznijmy od tego, że mówisz o sobie: „Jestem roszczeniowa".
– Zdecydowanie. Jeżeli wychodzenie do świata z komunikatem: mamy prawo do czystego powietrza czy bezpieczeństwa, a kobiety do decydowania o swoim ciele, to jest roszczeniowość, to jestem dumna, że taka jestem.

Skoro w kraju, który jest 21. gospodarką świata, obywatelom nie gwarantuje się fundamentalnych spraw – problemem nie jestem ja, tylko system. Politycy.

Do walki o zmianę zachęcasz innych, zwłaszcza kobiety. Po co się angażować? „Bo jeżeli nie siedzimy przy stole, to prawdopodobnie jesteśmy w menu!" – piszesz.
– Uwielbiam ten cytat, dlatego się nim dzielę. Z jakąkolwiek sprawą się mierzymy – ekstremalnymi falami upałów, kryzysem mieszkaniowym czy skandalicznie nierównym dostępem do ochrony zdrowia – jeśli tylko biernie się przyglądamy, jak ten świat płonie, będzie tylko gorzej.

Po sześciu latach działania zrozumiałam, że nie musi tak być. Opowiadam o tym, czego się nauczyłam, bo czuję, że młodzi ludzie tego potrzebują. Może to jest odpowiedź na poczucie beznadziei i zagubienie?

Powtarzasz, że aktywizm może być alternatywą dla znacznie prostszej postawy – zamknięcia się we własnym egoizmie i obwinianiu za wszystkie problemy młodzieży z tęczowymi sztandarami czy osób o innym pochodzeniu etnicznym.
– Rozumiem, że ludzie bywają zmęczeni i sfrustrowani, a kiedy media czy politycy podsuwają im odpowiedź: „to wina Ukraińców" albo „tych pyskatych dziewczyn", łatwo w to uwierzyć i przekazywać tę narrację dalej, napędzając agresję. W efekcie dochodzimy do sytuacji, w której część ukraińskich matek nie może już liczyć na pomoc naszego państwa.

Od wiosny te, które nie pracują, nie dostają 800 plus.
– I co to dało obywatelom, którzy popierali ten postulat? Czy ukonstytuowana nienawiść poprawiła ich dostęp do lekarza specjalisty albo sytuację ekonomiczną?

Nikomu nie będzie się żyło lepiej dlatego, że państwo „dowali" migrantom. Wręcz przeciwnie. Jeśli migranci zaczną opuszczać Polskę, przestaną tu pracować i płacić podatki, czyli dokładać się do naszego wspólnego dobrobytu i PKB, którym tak się szczycimy, spadnie.

Więcej łączy nas z Ukrainką czy młodym człowiekiem z tęczową flagą niż z „wielkim" politykiem, który, gdy pogarszają się nastroje społeczne, zamyka się w gabinecie czy rządowej willi, a my zostajemy z problemami sami.

Twoja aktywność zaczęła się od klimatu, ale dziś zabierasz głos i walczysz w wielu innych sprawach. Nie tylko krajowych. Kiedy Rosja napadła na Ukrainę, jako grupa Wschód domagaliście się embarga na rosyjski gaz.
– Czasem słyszę zarzut, że łapię zbyt wiele srok za ogon, albo pytania: „Jak to wszystko się ze sobą łączy?". Dla mnie zdecydowanie się łączy.

Dlaczego zwykłym ludziom tak trudno dostać się do lekarza? Bo władza boi się sprawiedliwie opodatkować najbogatszych i woli wspierać prywatną ochronę zdrowia. A klimat? Koncerny czerpią gigantyczne zyski z eksploatowania planety, a koszty przerzucają na nas, którzy musimy mierzyć się z coraz częstszymi falami upałów.

Sprawy, w które się angażuję, są w swojej istocie bardzo podobne. Są skutkiem niesprawiedliwego systemu, który stawia na zyski i przywileje nielicznych, a kosztami obarcza kobiety, młodych pracowników, osoby starsze albo dzieci – grupy społeczne, które mają najmniejszą siłę przebicia.

Jesteśmy atakowani z wielu stron. Musimy reagować!

Nie śmieję się z ciebie, ale uśmiecham do ciebie, ponieważ uwielbiam słuchać ludzi, którzy mają pasję. Twierdzisz, że nie urodziłaś się wojowniczką, a aktywizm to wybór.
– Totalnie! Aktywistką wcale nie trzeba się urodzić. Przez długi czas uważałam, że kompletnie się do tego nie nadaję. Byłam nieśmiała, niespecjalnie odnajdywałam się w grupie. Siedziałam z głową w książkach, przekonana, że taki jest porządek świata: rządzenie to działka dorosłych.

Dorosłych mężczyzn.
– Tak, oczywiście. Panów w garniturach, naturalnie predestynowanych do decydowania o wszystkim, bo przecież wiedzą najlepiej. A moim zadaniem było pilnie się uczyć i być grzeczną, żeby kiedyś, być może, robić karierę i mieć dobre życie.

Trochę przez przypadek zrozumiałam jednak, że ja również ponoszę odpowiedzialność. Że jeśli sama nie wezmę spraw w swoje ręce – na początek lokalnie, na swoim podwórku – to nikt tego za mnie nie zrobi.

Na twoim podwórku, czyli pod Bydgoszczą. Nie jesteś dziewczyną z prestiżowego liceum w Warszawie, która dorastała nieopodal Kancelarii Premiera.
– O nie, nie. Ja jestem w połowie Bydgoszczanką, a w połowie Sosnowiczanką!

To jest moment, kiedy do twojej historii wchodzi Leonardo DiCaprio – narrator filmu dokumentalnego „Czy czeka nas koniec?" o zmianach klimatycznych. Obejrzałaś go, mając 15 lat, i było to twoje „story of self" – przebudzenie, po którym życie w błogiej nieświadomości przestało być możliwe.
– Niesamowite, jak wiele zawdzięczam DiCaprio, choć dziś pewnie nie byłoby nam po drodze, skoro przyjaźni się z Jeffem Bezosem.

Tamten film National Geographic przebił bańkę, w której żyłam. Nie dało się już wierzyć w beztroską wizję świata, gdy zrozumiałam, że żeby mieć prąd w gniazdkach, niszczymy ogromne połacie ziemi, zatruwamy powietrze, spalając węgiel, ropę i gaz, tym samym podgrzewając planetę.

Nigdy nie zapomnę, jak siedziałam przed telewizorem przerażona, dowiadując się, że rdzenne społeczności w Afryce czy Ameryce Południowej są wysiedlane, a ich kultura i dorobek – niszczone, bo wielki, pazerny przemysł pożera zasoby planety. Na koniec dnia ci ludzie zostają z niczym i nikogo to nie obchodzi, bo zarządom wielkich korporacji zgadza się hajs, a ci, którzy w nich zasiadają, przyjaźnią się z politykami.

To był szok. Nie mogłam się pozbierać. Byłam przerażona, a jednocześnie nie miałam pojęcia, co robić. Dlatego, kiedy kilka lat później usłyszałam o Młodzieżowym Strajku Klimatycznym, wiedziałam, że to jest to. Pojawiła się przestrzeń, w której mogłam przekuć lęk w działanie.

Wygodniej byłoby o tym przerażeniu pogadać ze znajomymi przy piwie, ale

FOT. KONRAD SKOTNICKI (2); ROBERT KOWALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl ae811472f6

ty – znów zacytuję książkę – piszesz, że z trybu „tak to bywa" trzeba przejść do „jak to zmienimy?". Miałaś 19 lat, przygotowałaś baner i poszłaś na bydgoski rynek. Oprócz ciebie było tam jeszcze pięciu manifestujących. Można było się zniechęcić, uznać, że to nie ma sensu, jednak wróciłaś do domu szczęśliwa jak nigdy wcześniej.

– Ponieważ we mnie, na poziomie osobistym, coś się zmieniło. Poczułam, że moje działania mogą mieć znaczenie. Że ja, Dominika, mam swoje miejsce w tej wielkiej układance pod tytułem „nadzieja na lepszą przyszłość". Niesamowite uczucie!

A że była nas garstka i nie udało się od razu wywalczyć naszych postulatów? Trudno. Raz jest lepiej, raz gorzej.

Piszesz: „Nie o szybkie zwycięstwa chodzi, ale o bycie w tej walce".

– Zdaję sobie sprawę, że wielu ludzi w moim wieku to odstrasza. Boją się krindżowych sytuacji, dlatego się nie angażują, tym bardziej że zamiast tego można wybrać tyle różnych cool aktywności.

Właśnie dlatego napisałam książkę. Mam ogromną potrzebę opowiadania o tym, jak dobrze człowiek może się czuć sam ze sobą, kiedy jest częścią czegoś większego. Kiedy daje coś od siebie. W zamian dostaje coś bezcennego – czyste sumienie. Wewnętrzny spokój płynący z tego, że nie pozostaje obojętny wobec trudnych spraw dziejących się wokół. Sam fakt, że poświęcasz czas i energię, żeby szukać dobrych rozwiązań, jest nieocenioną wartością.

Bardzo szybko jako aktywistka doczekałaś się – a właściwie wywalczyłaś – pierwszy osobisty sukces. Miałaś 20 lat, kiedy podczas szczytu klimatycznego ONZ COP27 w Egipcie zmusiłaś ówczesnego prezydenta Andrzeja Dudę do rozmowy o klimacie. Nagranie obiegło internet i każdy mógł zobaczyć...

– ...jak głowa państwa kompromituje się opowieściami, że najlepiej by było, „żeby w górach był śnieg, a na nizinach ciepło".

Dla mnie najważniejsze było wtedy nawet nie to, co powiedział Andrzej Duda, tylko że ludzie zobaczyli, iż zwykła dziewczyna – nie prezydentka, ministra czy jakaś inna ważna osoba – tylko po prostu obywatelka, jak oni, może podejść do polityka tej rangi i powiedzieć mu wprost, że jest zdruzgotana, że jej państwo kupuje ropę od dyktatorów i opiera się na węglu, który truje środowisko.

Największym sukcesem jest to, że Inicjatywa Wschód wciąż się rozwija - mówi Dominika Lasota. Na zdjęciu powyżej: na obozie aktywistycznym. Poniżej: z Patrykiem Jakim podczas wizyty polityka na Uniwersytecie Warszawskim

Nagle prezydent przestał być nietykalny. Został sprowadzony na ziemię. Nie mógł wygłaszać wyuczonych, PR-owych formułek. I właśnie tak powinno być! Bo prezydent jest urzędnikiem. To on ma służyć obywatelkom i obywatelom, a nie odwrotnie.

Czy po takich akcjach wzrasta zainteresowanie aktywizmem? Ludzie pisali, pytali, jak można się zaangażować?

– Tak! A poza tym, kiedy sprawdzałyśmy statystyki Google'a, okazało się, że chyba nigdy wcześniej nie było w Polsce tak dużego zainteresowania hasłami „wiatraki" i „energia z wiatraków".

Działasz i widzisz efekty. O to chodzi.

– Zdecydowanie. Do dziś zdarza się, że słyszę gratulacje: „Rozłożyłaś tego Dudę na łopatki!". Jestem przeszczęśliwa, że tamten moment w Egipcie się wydarzył nie dlatego, że rozmowa z prezydentem była jakąś wybitną przyjemnością – bo nie była – tylko dlatego, że mogłam pokazać ludziom coś bardzo ważnego: że my też mamy władzę. Nie nosimy garniturów i nie podpisujemy ważnych dokumentów, ale możemy wpływać na opinię publiczną i budować poparcie dla konkretnych rozwiązań. W ten sposób również można wpływać na bieg wydarzeń.

Co było dotąd największym sukcesem nie tylko twoim, ale całej grupy ludzi, z którymi działasz?

– Największym sukcesem jest to, że Inicjatywa Wschód nie tylko przetrwała, ale cały czas się rozwija. Myśmy nie byli grupą dzieciaków, którzy dostali od starych mnóstwo kasy i postanowili zainwestować w ratowanie Polski. Nie mieliśmy pieniędzy. Mieliśmy pomysł, mnóstwo energii i chęć do pracy.

W codzienne działania grupy angażuje się około stu osób. To jest sukces, biorąc pod uwagę, że młodym trudno jest zdobyć finansowanie. Słyszymy: „Dzieciaki sobie pokrzyczą i za chwilę im się znudzi. Nie ma sensu ich wspierać". Inicjatywa Wschód daje mi ogromną nadzieję i motywację.

A jeśli chodzi o konkretne działania, jestem szczególnie dumna z kampanii „Cicho już byłyśmy" i naszego wkładu w mobilizację kobiet oraz młodych ludzi przed wyborami w 2023 roku.

Pod Sejmem zorganizowałyście między innymi silent disco.

eprasa.pl ae811472f6

– To było świetne! Powstał też bardzo dobry spot o sytuacji kobiet z hasłem „To my mamy 52 proc. głosów", który w internecie był hitem. Oprócz tego odbyły się dziesiątki spotkań z kobietami w wielu miejscowościach. To było coś niesamowitego. Prawdziwy ogień! Do dziś, kiedy dopada mnie smutek albo zwątpienie, wracam myślami do tamtego czasu.

Sondaże wskazywały, że kobiety i młodzi nie interesują się wyborami, a ostatecznie to oni odebrali władzę PiS. Potem nie wszystko potoczyło się tak, jak miało się potoczyć – liczyłyście na legalizację związków partnerskich, liberalizację prawa aborcyjnego.
– To było bardzo bolesne zderzenie ze ścianą!

Po Bożym Narodzeniu 2023 roku mama powiedziała ci: „Tak naprawdę to ciebie z nami nie było".
– Byłam nieobecna, bo nieszczęśliwa i rozczarowana. Dzisiaj patrzę na to wszystko zupełnie inaczej. To, że nie doszło do zmian, których oczekiwałyśmy, nie było naszą porażką, tylko porażką rządu, który nie wsłuchuje się w potrzeby ludzi, którzy go wybrali. To politycy poniosą tego konsekwencje.

Jednak twoje rozczarowanie było zrozumiałe. Kiedy człowiek angażuje się bez reszty, równie bezgraniczne bywają rozczarowania. Łatwo wtedy o wypalenie.
– To była kolejna lekcja, którą musiałam odrobić: jeśli chcę walczyć o rzeczy, w które wierzę, muszę rozsądnie rozkładać siły i dbać również o siebie. Potrzebuję spacerów, czasu z rodziną i przyjaciółmi. I to nie od święta! Dziś nie tylko znam wszystkie plotki, ale wiem, co się dzieje w życiu każdej ważnej dla mnie osoby. Mam też hobby, które nie ma nic wspólnego z aktywizmem. Jestem totalną rośliniarą! Mieszkanie, które wynajmujemy z dziewczynami, tonie w roślinach.

Ale żeby dojść do tego miejsca, musiałam zrobić krok wstecz. Nauczyć się odpuszczać i akceptować, że nie na wszystko mam wpływ.

Jeszcze jedna ważna lekcja dla osób stawiających pierwsze kroki w aktywizmie jest taka, że każdy ruch społeczny ma cykl życia. To było doskonale widać po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji: Strajk Kobiet wyprowadził na ulice tłumy, potem emocje opadły, co nie znaczy, że feministki przestały walczyć.
– Dokładnie. Wielu ludzi zakłada, że jeśli się zaangażujemy, efekt powinien pojawić się natychmiast. Zmiana społeczna często nie dzieje się z dnia na dzień. Trzeba lat, jeśli nie dekad. Ile zajęło obalenie apartheidu w RPA? Kilkadziesiąt lat. Wywalczenie praw wyborczych dla Polek? Również.

Na początku bardzo bolało, że wkładam w coś całe serce i nie widzę efektów. Teraz wiem, że mam przed sobą nie sprint, ale maraton. i potrafię do wspólnego, spokojnego działania nakłaniać innych.

Przyszłość, o którą walczysz. Jaka będzie?
– Nie wiem. I właśnie to jest najpiękniejsze.

A nie przerażające?
– Też. Ale skoro nic nie jest przesądzone, skoro scenariusz nie został jeszcze napisany, to znaczy, że wciąż mamy wpływ. Nie odwrócimy zmian klimatu, które już zaszły, ale nasze działania przełożą się na to, co wydarzy się dalej. Nawet jeśli nie zmienimy całego świata, ale kawałek kontynentu, kraju albo gminy – warto to zrobić.

To, że nie zmienimy wszystkiego, nie oznacza, że nie warto robić niczego.
– Amen!

Czy za dwadzieścia lat udzielisz mi jako pierwszej wywiadu już jako nowa szefowa rządu?
– (śmiech).

Pytam całkiem serio, czy wejdziesz do polityki?
– Myślę, że przyszłoroczne wybory to jeszcze nie będzie moment dla mnie. Ale w przyszłości? Nie wykluczam. Służyć ludziom jako posłanka to byłby zaszczyt. Ogromna szansa wpływania na rzeczywistość! Nie chciałabym jednak wchodzić do polityki sama, ale wspólnie z moimi rówieśnikami, którzy tak jak ja wierzą, że zmiana jest możliwa, a politykę można uprawiać z miłości do ludzi. ▲

DOMINIKA LASOTA
„Odwagi! [o zaangażowaniu młodych]", Wydawnictwo Krytyki Politycznej

OGŁOSZENIE

eprasa.pl ae811472f6

Świat nie jest spiżarnią bez *dna*

To był prawdziwy bestseller, choć dziś już nikt nie doliczy się, w ilu egzemplarzach się sprzedał

TEKST **URSZULA JABŁOŃSKA**

Pani Alinka narzeka na tłumy nad morzem, co staje się dla autorki pretekstem do rozważań o tym, ilu ludzi jest w stanie pomieścić planeta (jeżeli chcemy, by była przyjemnym miejscem do życia, maksymalnie sześć miliardów). W 1961 roku było nas trzy miliardy, dziś – prawie osiem i pół.

Mąż przynosi do domu DDT, żeby rozprawić się z muchami, co powoduje, że Antonina Leńkowa podejmuje temat wpływu wszechobecnych chemikaliów na środowisko i organizm człowieka (rok później tę sprawę opisze amerykańska biolożka Rachel Carson, co doprowadzi do zakazu stosowania DDT w USA).

Mały Zygmuś chce zabrać z plaży całą torbę muszelek, więc Leńkowa zastanawia się, dlaczego ludzie uważają morze za „bezdenną skarbnicę wszelkiego dobra" (płynnie przychodzi do krytyki przemysłu wielorybniczego i rabunkowych metod poławiania ryb).

W czasie zjazdu biologów pod Olsztynem woda w kranach ledwo ciurka, koleżanki nie mogą doszorować czarnych kostek. – Co się stało w wodami gruntowymi? – pyta Leńkowa i podejmuje śledztwo.

Polska zoolożka i prekursorka ruchu na rzecz ochrony przyrody dla nikogo nie miała litości. Karciła Bufallo Billa, bohatera Dzikiego Zachodu, za to, że nierozważnie zabijał bizony, przez co znalazły się na skraju wymarcia. Ostro krytykowała wpuszczanie odpadów przemysłowych do rzek w czasach, gdy fabryki były dumą i chlubą Polskiej Republiki Ludowej, a środowiskiem przejmowało się niewielu. Uparcie podkreślała, że jedną z najważniejszych właściwości przyrody jest równowaga biologiczna, a jej zaburzenie zawsze zemści się na ludziach, bo w przyrodzie każdy organizm jest powiązany z innymi.

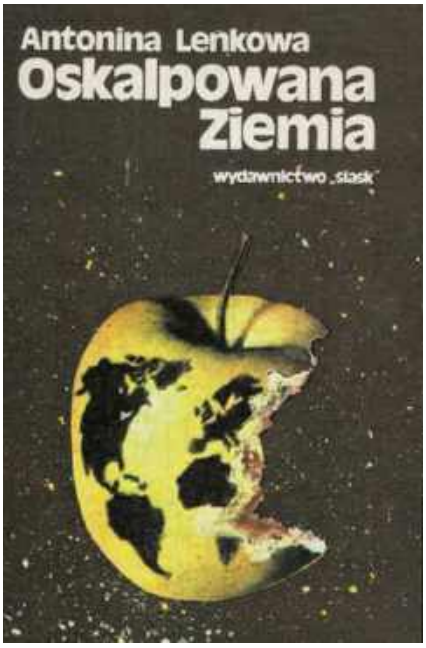

Wydana w 1961 roku „Oskalpowana Ziemia" Antoniny Leńkowej doczekała się czterech wydań

MARZĄ IM SIĘ OGRODY NA BIEGUNACH

Antonina Leńkowa studiowała fizykę we Lwowie, jednak jej naukowe plany pokrzyżowała wojna. By się utrzymać w trudnych czasach, pracowała jako hafciarka. Kiedy w 1944 roku przeprowadziła się do Krakowa, podjęła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, tym razem wybrała biologię. Zaczęła pracę w Zakładzie Ochrony Przyrody PAN w Krakowie. Naukowo zajmowała się chrząszczami ryjkowcami, jednak to artykuły i referaty na temat ochrony przyrody wciągnęły ją bez reszty. Wyjaśniała, badała, komentowała skutki działań człowieka po obu stronach żelaznej kurtyny – zajmowały ją zarówno pożary lasów w Minnesocie, jak i skutki wypasu owiec w Tatrach.

W 1961 roku ukazała się jej pierwsza książka „Oskalpowana Ziemia", która doczekała się aż czterech wydań (ostatnie w 1988 roku). Zaczyna się od słów: „Nie będzie przesadą, jeżeli się powie, że ludzie, choć są wszyscy mieszkańcami jednego globu, zachowują się jak przysłowiowi źli sublokatorzy". Dalej Leńkowa pisze: „Marzą im się ogrody i miasta na biegunach, odwracanie biegu rzek, niwelowanie gór, podróże we wszechświecie i opanowanie innych planet". Książkę poświęciła skutkom tych marzeń – opisuje zanieczyszczenie środowiska chemią i hałasem, przełowienie oceanów czy zanik wód gruntowych.

„Oskalpowana Ziemia" ukazała się rok wcześniej niż „Milcząca wiosna" Rachel Carson, która dała początek amerykańskiemu ruchowi ochrony przyrody, a 11 lat wcześniej niż „Granice wzrostu" Klubu Rzymskiego – raport, który na większą skalę uświadomił ludziom rzecz niby oczy-

FOT. GETTY IMAGES; ZDJĘCIE ANTONINY LEŃKÓW SYGNATURA K III-129 (SPUŚCIZNA ANTONINY I JANA LEŃKÓW)/ARCHIWUM NAUKI PAN I PAU

eprasa.pl ae811472f6

– Czy ty jesteś przeciwna technice? – pyta ją brat inżynier. – Dlaczego nasze pokolenie ma być *odpowiedzialne za losy świata?*

wistą – że żyjemy na planecie, której nie da się eksploatować w nieskończoność.

W publikacji Leńkowej znajdziemy fragmenty, które każą się zastanawiać, jak jej książka była odbierana przez władze kraju, który stawiał na industrializację za wszelką cenę. Na przykład te o stonce ziemniaczanej, która przybyła do Polski z USA z transportem ziemniaków. Znalazły się w rozdziale o gatunkach inwazyjnych – czy to jej własny pomysł, czy efekt zmagań z cenzurą?

Inne fragmenty z kolei czyta się z przerażeniem – na przykład o tym, że nowe statki o tonażu większym niż 20 tys. ton będzie obowiązywał zakaz wlewania resztek paliw płynnych do morza. To kiedyś wylewano je do morza? Czyli w ciągu tych 65 lat coś się jednak w kwestii ochrony zmieniło. Niestety, większość problemów tylko się pogłębiła.

AKCJE ODDYMIANIA

Koleżanka wróciła z podróży po Europie – Rzym, Paryż, Wiedeń – ale nie chce mówić o modnych strojach, tylko o tym, jak bardzo przeszkadzał jej zapach gazów spalinowych. Inna opisuje, że w Paryżu stała w korku: „nie można wyjść z samochodu, gdyż nie da otworzyć się drzwiczek". W nawiązaniu do ich opowieści Leńkowa przywołuje rozmaite „akcje oddymiania atmosfery". Ciekawe, co by powiedziała na to, że dziś bywają takie dni, kiedy Kraków pod względem poziomu smogu może konkurować z Kalkutą, a korki to codzienność, z którą nikt już nie próbuje walczyć?

Leńkowa w książce mierzy się też ze znanymi współczesnym obrońcom przyrody pytaniami.

– Czy ty jesteś przeciwna technice? – pyta ją brat inżynier. – Dlaczego nasze pokolenie ma być odpowiedzialne za losy świata?

Nie jest przeciwna – widzi ratunek w postępie technologicznym, pisze o pozyskiwaniu energii słonecznej i „przeróbce odpadków". Tłumaczy jednak, że technice nie wolno podporządkować całego życia, gdyż to zemści się na ludziach. W obliczu wyczerpywania się zapasów surowców poleca oszczędne gospodarowanie zasobami, którymi dysponujemy. Chociaż Svante Arrhenius, szwedzki noblista, jeszcze w XIX wieku przewidział, że wzrost poziomu dwutlenku węgla w atmosferze doprowadzi do ocieplenia klimatu, tak naprawdę zrobiło się o tym głośno dopiero w latach 80. Antonina Leńkowa martwiła się więc raczej kwestią wyczerpania złóż surowców, jednak ciekawa jestem, jak odniosłaby się do zmian klimatu dzisiaj, kiedy stały się jednym z wiodących problemów i stanowią bezpośrednie zagrożenie dla życia. Niestety, już jej o to nie zapytam, Leńkowa zmarła w 1995 roku.

Zostało po niej w sumie osiem książek o ochronie przyrody, nieostre czarno-białe zdjęcie i kilka wspomnień byłych uczniów opublikowanych po jej śmierci.

Rachel Carson z kolei doczekała się biografii, pomnika oraz znaczka pocztowego. Jej imię noszą koledż, centrum badawcze, most, szlak górski oraz co najmniej kilka szkół w USA. Mam jednak wrażenie, że ludzie dziś niekoniecznie pamiętają o naukach obu kobiet, o tym, że ze świata przyrody nie możemy korzystać, jakby był spiżarnią bez dna. ▲

eprasa.pl ae811472f6

Metki, hałas i inne *nieprzyjemności*

Niektórym trudno zaakceptować, że dziecko przeżywa jakąś frustrację, ale ona naprawdę czasem bywa rozwojowa

Z PROF. **AGNIESZKĄ SŁOPIEŃ**
ROZMAWIA **EWA PĄGOWSKA**
RYSUNEK **KAMILA SZCZEŚNIAK**

Córka nie chce nosić do szkoły piórnika, bo jest zrobiony z nieprzyjemnego w dotyku materiału, syn domaga się odcięcia metek od ubrań, chłopiec w restauracji krzyczy z powodu hałasu i zasłania sobie uszy, dziewczynka musi wyjść z hipermarketu, bo tam jest zbyt dużo kolorów – czytam o tym w social mediach i słyszę od znajomych. Czy tak duża wrażliwość na bodźce u dzieci to cecha osobowości, niepokojący objaw czy znak naszych czasów?
– Wiadomo, że każdy z nas trochę inaczej reaguje na bodźce dźwiękowe, dotykowe czy wzrokowe. W środowisku medycznym i psychologicznym bardzo wysoką wrażliwość na bodźce niektórzy uznają za cechę temperamentu. Inni natomiast uważają, że jest ona zawsze przypisana do jakichś zaburzeń. Nie tylko neurorozwojowych jak ADHD czy spektrum autyzmu, ale też lękowych czy depresyjnych lub stanów psychotycznych występujących np. w przebiegu schizofrenii.

Jakie opinie przeważają?
– Dopóki z wysoką wrażliwością nie wiążą się gwałtowne reakcje, jak np. krzyk i zatykanie uszu czy konieczność natychmiastowego wyjścia z pomieszczenia, o czym pani opowiadała, ani nie ma większych konsekwencji dla funkcjonowania człowieka, bo np. wystarczy wyciąć metki z ubrań, to traktuje się ją jako cechę temperamentu, a nie objaw zaburzenia.

Kilkulatki mogą bardzo gwałtownie reagować w wielu sytuacjach, np. kiedy rodzice nie chcą im kupić zabawki.
– Tak, dlatego stawiając diagnozę, nie powinno się patrzeć na jeden objaw, tylko na całość funkcjonowania, na rozwój pacjenta, na to, co się wydarzyło wcześniej i na to, co się obecnie dzieje. Na przykład u dzieci 2-3-letnich może pojawić się niechęć próbowania nowych pokarmów. To jest zwykle przejściowe i traktujemy to jako etap rozwoju. Nie można też stawiać diagnozy wyłącznie na podstawie wyników jednego testu.

Niektórzy specjaliści tak robią.
– Wiem o tym doskonale, ale to jest błąd. Pacjentowi, który jest lękowy lub ma schizofrenię, w teście może wyjść autyzm, którego w rzeczywistości nie ma.

Powiedzmy, że nadwrażliwość sensoryczna jest cechą osobowości dziecka. Można spodziewać się, że ono z niej wyrośnie?
– Ona może się zmieniać w czasie, ale całkowicie nie zniknie. Może też dotyczyć różnych obszarów. Jeden będzie bardziej wrażliwy na dźwięki, inny na zapachy. Jednocześnie może temu towarzyszyć zmniejszona wrażliwość na inny rodzaj bodźców, np. dotykowe.

Rodzice czasem zastanawiają się, czy to nie są zaburzenia integracji sensorycznej.
– Nie jestem terapeutką integracji sensorycznej. Mogę wypowiedzieć się tylko jako psychiatrka dziecięca, która specjalizuje się w diagnostyce zaburzeń ze spektrum autyzmu oraz psychoterapeutka.

Proszę.
– Jeśli chodzi o klasyfikacje chorób i zaburzeń, to w nich nie ma takiej jednostki jak „zaburzenia integracji sensorycznej". Wokół tego pojęcia jest zresztą wiele kontrowersji w środowisku. Terapia integracji sensorycznej jest w Polsce bardzo rozpowszechniona, ale nie ma wystarczająco dobrych jakościowo badań, które dowodziłyby jej skuteczności w zmniejszaniu objawów zaburzeń np. tych ze spektrum autyzmu. To nie znaczy, że ta terapia w ogóle nie poprawia funkcjonowania pacjenta. Może to robić w jakimś małym zakresie.

To znaczy?
– To tak jak z terapią języka w autyzmie. Dzięki niej pacjent być może nauczy się słów, ale to nie znaczy, że będzie umiał komunikować się z innymi.

Czy w ostatnich latach więcej rodziców przychodzi do pani z dziećmi, które mają nadwrażliwość sensoryczną?
– Z tym raczej do psychiatry nie przychodzą. Prędzej do psychologa. Do psychiatry przychodzą wtedy, gdy ta nadwrażliwość jest jednym z wielu objawów, które ich niepokoją.

Czy ona występuje dziś częściej niż kiedyś?
– Na pewno zdecydowanie częściej o niej mówimy, ale można też podejrzewać że ogromna liczba bodźców, jakie dziś do nas docierają, sprawia, że wszyscy stajemy się na nie bardziej wrażliwi. Dorośli są nimi przytłoczeni, a co dopiero dzieci. Na ekranach telewizorów, komputerów i smartfonów szybko zmieniają się obrazki, w mieście na ulicy jest hałas samochodów, gwar rozmów, w każdym sklepie gra inna muzyka.

Z kolei bodźce dotykowe mamy chyba trochę ograniczone? Dzieciaki kiedyś więcej czasu przebywały na zewnątrz i częściej miały kontakt fizyczny z różnymi materiałami i fakturami: piaskiem, kamieniami, gałęziami, trawą, błotem. Dzisiaj te powierzchnie są bardziej przewidywalne, gładkie i podobne do siebie.
– To prawda. Mam też wrażenie, że brakuje bodźców mniej intensywnych, które można znaleźć właśnie w przyrodzie, np.

eprasa.pl ae811472f6

eprasa.pl ae811472f6

szelestu liści czy odgłosów wydawanych przez ptaki. Kontakt z naturą, możliwość swobodnego eksplorowania otoczenia oraz zabawy z rówieśnikami, w tym kłótnie i rozwiązywanie konfliktów – to wszystko miało znaczenie także dla rozwoju społeczno-emocjonalnego. Dziś coraz częściej widzimy, że dzieci i młodzi ludzie nie radzą sobie z małymi trudnościami.

Kiedy urodziłam syna, położna poradziła mi, żeby tam, gdzie śpi, nie było przesadnie cicho, bo potem będzie go drażnił każdy dźwięk.
– To wszystko nie jest takie proste. Jeśli dziecko od samego początku jest bardzo wrażliwe, niekiedy rzeczywiście trzeba ograniczyć mu bodźce czy wyeliminować różne trudności, żeby zmniejszyć ryzyko pojawienia się objawów depresyjnych czy lękowych w przyszłości. Ale też nie powinniśmy usuwać wszystkiego, co może je frustrować, bo później kiedy pojawi się jakaś trudność, będzie wobec niej zupełnie bezradne. Ja wiem, że dziś niektórym trudno zaakceptować, że dziecko przeżywa jakąś frustrację, ale ona naprawdę czasem bywa rozwojowa. Czegoś uczy, np. sprawia, że dziecko staje się bardziej wytrwałe. Poza tym czasem troska o to, by ono nie czuło dyskomfortu, prowadzi do tego, że lekceważymy jego inne ważne potrzeby.

To znaczy?
– Nie widzę sensu upierać się przy tym, żeby dziecko nosiło konkretny piórnik. Znam też osoby, które nie cierpią skarpetek, więc albo ich w ogóle nie noszą, albo zakładają bardzo cienkie, ale w niczym im to nie przeszkadza. Natomiast uważam, że jeśli dziecko nie chce zakładać majtek, bo go drażnią, trzeba starać się je do tego przekonać czy szukać sposobu, by lepiej to znosiło, bo nienoszenie bielizny może skutkować jakimiś zakażeniami.

Jeśli nadwrażliwość dziecka wręcz destabilizuje życie, warto też zastanowić się, czy to nie jest rezultat działania osób w jego otoczeniu. Być może tak się nad nim „pochylali", że wygenerowali problem? Może tak bardzo się dopasowywali, że wzmocnili jego trudności, a może na siłę dopatrują się jakiejś nieprawidłowości? Polecam książkę „Wiek diagnozy" neurolożki Suzanne O'Sullivan. Ona pisze, że dziś mamy potrzebę diagnozowania wszystkiego. Każdej trudności. Uważam, że wszyscy na tym tracą. Trochę jakbyśmy zapomnieli, że wszyscy różnimy się temperamentem i historią

PROF. DR HAB. N. MED. AGNIESZKA SŁOPIEŃ

jest psychiatrką i psychoterapeutką dzieci i młodzieży oraz dorosłych. Kieruje Kliniką Psychiatrii Dzieci i Młodzieży na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu. Jest konsultantką krajową w dziedzinie psychoterapii dzieci i młodzieży. Specjalizuje się m.in. w diagnostyce zaburzeń ze spektrum autyzmu.

życia, że jedni się trochę bardziej wściekają, a inni są spokojniejsi, że miewamy gorsze okresy i to jest normalne. Dziś bardzo potrzebujemy nadać wszystkiemu nazwę.

Skąd to się bierze?
– Częściowo stąd, że chcemy zrozumieć swoje zachowanie i zobaczyć swoje potrzeby. Oczywiście nie ma nic złego w dookreślaniu siebie. Dzięki temu lepiej nam się żyje, ale nie zawsze od razu trzeba stawiać rozpoznania. Ta chęć diagnozowania i klasyfikowania wszystkiego to też trochę wynik działania specjalistów, którzy mówią dużo o konieczności bycia uważnym na różne objawy. W zależności od tego, jakie teorie są im bliskie, takie objawy znajdują się w centrum ich uwagi.

Rozumiem, że dotyczy to także obserwowania dzieci?
– Tak. My, specjaliści, czasami zbyt mało ufamy kompetencjom opiekunów i ich doświadczeniu. Mamy tendencję do naprawiania rodziców zamiast ich wzmacniania czy pracowania na ich zasobach. Chcielibyśmy wszystko bardzo wcześnie zauważyć, żeby tylko na pewno nic złego w przyszłości się nie wydarzyło. W rezultacie czasem dostrzegamy objawy zaburzeń tam, gdzie ich nie ma. Co ciekawe, tak jak w niektórych przypadkach wszyscy jesteśmy zbyt czujni – rodzice, pedagodzy, psycholodzy i lekarze – tak w innych potrafimy bagatelizować ewidentne problemy, np. to, że trzylatek nie mówi. Czasami słyszę: „Przecież chłopcy zaczynają mówić później". To prawda, że normy rozwojowe są szerokie, ale gdzieś jednak są ich granice. Dziś mamy dowody na to, że opóźniony rozwój mowy będzie się później przekładać na różne aspekty życia.

Może to jest kwestia tego, na co aktualnie jest fokus, o czym się mówi w przestrzeni publicznej, jaki temat częściej poruszają media?
– Być może, ale są też zaburzenia i choroby, na które nigdy nie było fokusu, np. na schizofrenię.

Bo tej choroby bardzo się boimy.
– Tak, lęk przed nią jest ogromny. Ludziom się wydaje, że osoby ze schizofrenią są bardziej niebezpieczne niż inne. Niesłusznie. Ta choroba nie jest też romantyzowana w przeciwieństwie do niektórych zaburzeń psychicznych czy rozwojowych.

Schizofrenia nie bywa przedstawiana jako supermoc, jak to się zdarza chociażby w przypadku ADHD czy spektrum autyzmu.
– To prawda. Jeśli chodzi o autyzm, to dużo zmieniło się w podejściu do niego, kiedy zaczęto mówić szerzej o osobach w spektrum, które są jednocześnie w normie intelektualnej. I dobrze, bo one też cierpiały, a czasem nie dostrzegało się ich problemów. Teraz z kolei trochę pomija się osoby, które mają dużo większe trudności i np. wymagają całodobowej opieki.

Coraz więcej osób mówi, że jest w spektrum autyzmu. Czy rzeczywiście to zaburzenie jest dziś częstsze?
– Na pewno tak, ale też rozszerzono kryteria diagnostyczne. Kiedyś pewne kłopoty z wchodzeniem w interakcje czy specyficzny sposób myślenia, które dziś są uważane za objawy autyzmu, były uznawane za normę lub traktowane jako „dziwactwo".

Kiedy na pewno poszłaby pani z nadwrażliwością dziecka do specjalisty?
– Wtedy, gdy cierpi lub jego funkcjonowanie jest zakłócone. A już na pewno gdy pojawią się dodatkowe objawy, np. lękowe czy depresyjne. To zresztą uniwersalna reguła w przypadku różnych problemów. Jeśli natomiast dziecko miewa czasem trudności, ale dobrze sobie z nimi radzi – samodzielnie lub z naszą pomocą – to naprawdę nie trzeba chodzić z nim do psychologa czy psychiatry. Poza tym czy my naprawdę musimy patrzeć na własne dziecko jak na zbiór potencjalnych objawów? ▲

eprasa.pl ae811472f6

SILNA TARCZA UV

Rosnąca świadomość wpływu UV na skórę sprawia, że oczekujemy od filtrów UV formuł wielofunkcyjnych, z korzyściami pielęgnacyjnymi. ZO® SKIN HEALTH stworzyło nową generację produktów z ochroną przed UV o szerokim spektrum działania. Jednym z nich jest Daily Mineral Sunshade z SPF 30 - tonujący, mineralny krem o lekkim do średniego krycia (4 kolory) z ochroną antyoksydacyjną ZOX12™ do 12 h i ekstraktem z planktonu i alg. ***(45 ml/215 zł)***

ZADBAJ O WŁOSY

Nowe w drogeriach: 1. Gloss by OnlyBio, szampon wygładzający z olejem tsubaki, zapewnia efekt tafli ***(400 ml/27 zł, Rossmann)***; 2. Nawilżający szampon Hydra Brush Dessange z kwasem hialuronowym ***(280 ml/38 zł, Hebe)***; 3. Odbudowujący szampon Glow Peptide Neboa do włosów cienkich, zawiera peptydy ***(300 ml/38 zł, Rossmann)***; 4. Marka Yasumi stworzyła serię Trycho Expert, która odpowiada na problemy, np. wypadanie włosów - Szampon Anti Hair Loss z ziołowymi ekstraktami i argininą. ***(350 ml/79,90 zł, Hebe)***

SFERYCZNA STREFA RELAKSU

Najlepiej odpoczywam w ciszy i w naturze, dlatego największą zaletą i luksusem Manor House Spa w Chlewiskach nie jest dla mnie wcale pięciogwiazdkowy hotel mieszczący się w Pałacu Odrowążów czy nawet spory basen i wybór łaźni rzymskich, ale piękny, zabytkowy park otaczający kompleks wypoczynkowy, który ma aż 10 hektarów i znajduje się w nim mnóstwo imponujących, wiekowych drzew. Chyba nikogo nie trzeba przekonywać, że bycie w naturze, obcowanie z drzewami ma właściwości zdrowotne, co zostało zbadane naukowo. Nie bez znaczenia dla potrzebujących resetu jest fakt, że to hotel dla dorosłych (18+). Dla dzieci nie ma w nim atrakcji, za to o dorosłych dba się tu wyśmienicie. Współwłaścicielka Grażyna Wrona, twórczyni filozofii Manor House Spa, nie zatrzymuje się w swoich pomysłach na to miejsce. Dla tych, którzy chcą się zresetować, wyciszyć, uwolnić od nadmiaru bodźców, powstały domy kopułowe. Nowa inwestycja ma ciekawą architekturę, która ma sprzyjać regeneracji. Projekt domów kopułowych oparto na kształtach inspirowanych naturą. Pokoje są na planie koła; miękkie linie, bez ostrych krawędzi, harmonijne proporcje i naturalne materiały sprawiają, że wnętrza odbierane są jako bardziej kojące niż tradycyjne pomieszczenia. Kopuły tworzą przestrzeń o wyjątkowej akustyce, dźwięki są odbierane łagodniej. Powstało dziewięć dwuosobowych domów (dom to jeden pokój) z łazienką, wolnostojącą, głęboką, dwuosobową wanną Duo Ofuro inspirowaną japońskimi rytuałami, i wyjściem na ogródek. Kopuła to jedna z najstarszych form architektonicznych występujących w naturze. Afrykańskie lepianki, eskimoskie igloo, gniazda ptaków, legowiska dzikich zwierząt mają sferyczny kształt. Takie formy dają poczucie otulenia, bezpieczeństwa, łatwiej w nich o głębszy relaks. Dziesiąta kopuła to miejsce, gdzie mogą odbywać się warsztaty, praktyka jogi i medytacji czy koncerty mis i gongów tybetańskich. W ofercie Manor House Spa jest też m.in. możliwość wyboru wegańskiego menu w restauracji, zajęcia hydroterapii, silwoterapia (kąpiele leśne) i wiele innych opcji, które pozwolą odpocząć na własnych warunkach. Więcej na www.manorhouse.pl

ZMYSŁOWA WODA

W 1996 roku Kenzo Takada stworzył swój wyobrażony zapach wody L'Eau. W 2025 r. marka wraca do źródeł - powstaje uniseksowy L'Eau Pure, fala wody w południowym słońcu. A dziś KENZO Parfums zaprasza do zanurzenia się w zmysłowym, słonecznym L'Eau Ambrée. Zapach składa się w 90% ze składników pochodzenia naturalnego. ***(30 ml/ok. 200 zł)***

FOT. JAKUB BAUKE; MATERIAŁY PRASOWE; OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl ae31147216

Sen *zen*

Jeśli będziecie o nim myśleć tylko jak o noclegu, to się zawiedziecie, bo warunki są skromne. Za to spokoju, atmosfery i poczucia, z jaką troską może być traktowany obcy człowiek, nie da się porównać z żadnym z hotelem

eprasa.pl ae811472f6

TEKST **MARZENA FILIPCZAK**

Zamki, pałace, budowle z lodowych brył, szklane igloo do obserwacji zorzy polarnych. Karawanseraje, czyli dawne zajazdy dla podróżnych, słynne za sprawą Jedwabnego Szlaku, wielkie beczki w sadach w roli domków, jaskinie u jordańskich beduinów, domy na drzewach budowane przez rdzenne ludy filipińskiej wyspy Luzon. To tylko niektóre miejsca, w jakich spałam w czasie podróży i zapamiętałam je co najmniej tak samo dobrze jak to, co przeżyłam za dnia. Noclegi już dawno stały się dla mnie częścią wyjazdowego doświadczenia, zaś doświadczeniem szczególnym są pokoje dla pielgrzymów i podróżnych przy świątyniach i klasztorach różnych religii.

Nie można ich traktować jako samego miejsca do spania, ale nie są też – jak obawiają się niektórzy – próbą indoktrynacji. To raczej chęć podzielenia się wartościami, często związana z regułą religijną każącą zaopiekować się podróżnym każdej wiary, rasy, statusu i narodowości. Nawet jeśli ten podróżny czy pielgrzym sam nie do końca wie, czego chce. Pamiętacie scenę z 3. sezonu Białego Lotosu, w której spragniona buddyjskiej duchowości Piper po krótkim pobycie w ośrodku buddyjskim wychodzi z niego jednak rozczarowana? „Jedzenie było wegańskie. Ale czy na pewno organiczne?" – pyta z dąsem.

W położonym na przedmieściach Kathmandu klasztorze Kopan, jednym z najbardziej znanych w Nepalu (aktualnie tylko dłuższe pobyty połączone z kursami) gościom serwuje się: na śniadanie – ryż albo owsiankę, chapati z dżemem; na obiad – ryż, dal, czyli potrawkę z soczewicy, warzywa; na kolację – zupę, rzadziej smażony ryż, chapati. Przyznacie, że nie jest to wykwintne menu. A ja powtórzę: ciszy, spokoju, klimatu i poczucia, z jaką troską może być traktowany obcy człowiek, nie da się porównać z żadnym z hotelem.

W japońskich shukubo turyści śpią na tatami i futonach. Na zdjęciu: Tofuku-ji w Kioto. Po lewej: Złota Świątynia w Amritsarze

NAJSKROMNIEJSZE ZŁOTO ŚWIATA

Pierwszy nocleg w świątyni znalazł mnie sam w indyjskim Amritsarze. To święte miasto Sikhów, symbol nie tylko religii, ale też braterstwa. Guru Nanak, ich pierwszy przywódca duchowy, pięć wieków temu głosił coś na owe czasy wywrotowego, zwłaszcza w kastowym społeczeństwie Indii. Otóż: o każdego potrzebującego trzeba się zatroszczyć w ten sam sposób niezależnie od jego wyznania, rasy, statusu. Wszystkim, którzy odwiedzają świątynie – zapewnić dach nad głową i posiłek.

Do Złotej Świątyni w starej części Amritsaru dowiózł mnie z dworca bezpłatny autobus. Kiedy tylko wysiadłam ktoś – jak się okazało potem, wolontariusz – zagaił: „Czy masz już gdzie spać? Nie? Możesz w świątyni". Poprowadził przez bramę, objaśniając, co i jak tu działa. Na teren kompleksu świątynnego nie można wnieść alkoholu, papierosów, niewegetariańskiego jedzenia, w szatni zaraz za wejściem zostają buty, wyroby skórzane, zbędny bagaż. Można w niej też dostać chustkę, bo zarówno kobiety, jak i mężczyźni w kompleksie muszą mieć nakryte głowy, ale spieczona indyjskim skwarem właściwie nie zdejmuję własnej, nauczyłam się też dla własnego komfortu nosić luźne ubrania zasłaniające kolana i dekolt, a w świątyni wymagany jest skromny strój.

Przechodzimy przez rynienkę, brodząc w płytkiej wodzie, co jest obowiązkowym obmyciem stóp. Centrum kompleksu zajmuje święty staw (sarovar) otoczony marmurowym chodnikiem. Wierni wędrują powoli zgodnie z ruchem wskazówek zegara do mostu prowadzącego na wysepkę ze Złotą Świątynią, w której przechowywana jest święta księga, czyli najważniejsza relikwia Sikhów. Kopuły pokryte 500 kg najczystszego 24-karatowego złota w zachodzącym słońcu świecą jaśniej niż najjaśniejsze żarówki, pierwsze wrażenie trudno nazwać inaczej niż piorunującym.

Tymczasem mój opiekun wyjaśnia, że poziom świątyni znajduje się nieco poniżej reszty kompleksu, co symbolizuje skromność Sikhów. Na razie jednak do niej nie idziemy, skręcamy wcześniej przez marmurowe podcienie w głąb kompleksu jadalnego i mieszkalnego dla gości i wcale nie jestem pewna, czy tu wrażenie nie jest jeszcze większe. Powiedzenie: „Gość w dom, bóg w dom" nabiera realnego wymiaru, znika natomiast słynne: „Nie ma darmowych obiadów". Otóż tutaj są.

Pierwsze dwie sale to langar, największa na świecie darmowa jadłodajnia, w której jednorazowo zasiada do 5 tys. osób, oczywiście równowściowo – w rzędach na podłodze. Najbardziej jednak ujmuje mnie to, że jeśli jednak dla kogoś (umówmy się: chodzi o zachodnich turystów) jedzenie w taki sposób nie jest komfortowe, pod ścianami czekają stoły i ławy. Żeby zrozumieć wielkość przedsięwzięcia: świątynia codziennie karmi 50 tys. osób, wydając im 100-150 tys. posiłków, do przygotowania których zużywa pięć ton mąki, dwie tony soczewicy, półtorej tony ryżu i 100 butli gazowych. Pieniędzy z datków wystarcza na dwa lata do przodu, także na utrzymanie miejsc noclegowych.

FOT. SHUTTERSTOCK (4); MARZENA FILIPCZAK; MICHAŁ LEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl ae811472f6

Gości przyjmują też kościoły chrześcijańskie. W życiu wspólnoty można uczestniczyć, ale nie jest to wymagane. Na górze: monastyr Treskavec w Macedonii, niżej: prezbiteriański kościół w głębi wąwozu Taroko na Tajwanie

Na terenie świątyni jest kilka kompleksów z pokojami prywatnymi i wspólnymi; większości miejsc nie można zarezerwować, trzeba po prostu przyjść z rana i zapytać. Ale znowu: by każdy, także potrzebujący większego zapanowania nad czasem turysta, czuł się mile widziany, świątynia od jakiegoś czasu utrzymuje także pokoje o lepszym standardzie, które można zarezerwować przez internet (hazursahib.com). Pobyt w najprostszych pokojach jest darmowy, większość pielgrzymów zostawia datek wynoszący w przeliczeniu kilka-kilkanaście złotych, w lepszych kosztuje ok. 20 zł za dobę i można zostać maksymalnie trzy.

Gurdwary (sikhijskie świątynie), choć nie tak znane, są rozsiane po całym kraju. Zwykle serwują posiłki – codziennie albo w wybrane dni, noclegi oferują tylko te w większych miastach.

BYĆ JAK JEDEN Z BEATLESÓW

Gości przyjmują także aśramy, ośrodki duchowe przy świątyniach hinduistycznych. Najpopularniejsze znajdują się w górnym biegu matki Gangi, jak wyznawcy tej religii nazywają rzekę Ganges, uważając ją za boginię. U podnóży Himalajów leżą miasta Haridwar i Riszikiesz, w zachwyt wprawia mnie już samo brzmienie ich nazw. W aśramie w tym drugim w 1968 r. przebywali Beatlesi. Co prawda mieszkali w luksusowych, odciętych od świata i innych uczniów bungalowach, a Ringo Star wyjechał już po 10 dniach, ale spopularyzowali wschodnią duchowość jak nikt wcześniej na Zachodzie. Aśram, w którym medytowali, na początku tego wieku został opuszczony, zaczęła panoszyć się w nim dżungla, a od jakiegoś czasu działa jako „aśram Beatlesów". Faktycznie jest to malownicza ruina jadąca na dawnej popularności z biletami wstępu droższymi niż do Tadż Mahal.

Dosłownie kilka kroków dzieli ją od aśramu Parmarth Niketan, obecnie najpopularniejszego w mieście. To ogromny cukierkowo-różowy kompleks w zieleni z częścią mieszkalną dla pielgrzymów oraz uczniów kursów medytacji, jogi, ajurwedy itd. (rezerwacje: parmarth.org). Na pewno nie jest dla wszystkich; sama uznałam, że jako osoba niezainteresowana praktykowaniem, a jedynie noclegiem, nie będę się czuła tam komfortowo. Jeśli chcecie poczuć klimat aśramów, zatrzymać się w nich na noc czy dwie, odpowiedniejsze są mniejsze miejsca, np. w Haridwarze: 300 tamtejszych ośrodków może przyjąć 15 tys. gości.

Pielgrzymi, podróżni, potrzebujący znajdą schronienie także w klasztorach buddyjskich. Jeśli nie ma cennika, wypada zostawić datek, i nie muszą to być pieniądze, w cenie są np. rozmowy po angielsku z mnichami-uczniami. Takiej propozycji nie usłyszy się jednak w obleganych turystycznie miejscach, ale przecież nie samym Bangkokiem stoi Tajlandia. Do klasztoru trafiłam przypadkiem, kręcąc się wypożyczonym rowerem po wsiach przy granicy z Mjanmą. W Nepalu z kolei był to klasztor na klifie w zbudowanej z kamiennych łupków, pięknie położonej między masywami Annapurny i Dhaulagiri wsi Marpha. Leży ona co prawda przy popularnym szlaku wokół Annapurny, ale odkąd powstały tu lepsze drogi, duża część turystów fragmenty położone niżej (Marpha – 2700 m n.p.m.) pokonuje autobusami albo dżipami.

Podpowiedź dla chętnych zatrzymania się na krótko w buddyjskim klasztorze w Nepalu: najlepszym miejscem jest położone tuż przy granicy z Indiami Lumbini, jedno z czterech świętych miejsc buddyzmu, według tradycji – miejsce urodzenia Buddy. To mała wieś i ogromny kompleks świątyń, gdzie całe dni słychać mantry i dzwonki. Są tu klasztory, a właściwie ich ruiny historyczne, i współczesne – ofiarowane przez buddystów z różnych krajów, z charakterystyczną dla nich architekturą; mam więc wrażenie, że tego samego dnia jestem w Tajlandii, za chwilę w Korei, a za kolejną – w chińskim Zakazanym Mieście. Niektóre prowadzą zakwaterowanie dla podróżnych, np. imponujący kolorowy Dae Sung Shakya Sa nazywany po prostu „świątynią koreańską" – nocleg w dormitorium i trzy posiłki kosztują ok. 12 zł.

POD ZNAKIEM KWITNĄCEJ WIŚNI

Największym odkryciem pod kątem pobytów przy świątyniach był dla mnie Tajwan. Niedaleko miasta Kaohsiung znajduje się ogromny kompleks Fo Guang Shan, na który miejscowi mówią po prostu: Big

eprasa.pl ae811472f6

Budda. Jego serce stanowi posąg siedzącego Buddy o wysokości 36 metrów otoczony armią 480 mniejszych „buddów". Ten międzynarodowy zakon założono z myślą o tzw. buddyzmie humanistycznym. Instytucja stawia na działalność charytatywną, prowadzi uniwersytety, biblioteki, mobilne kliniki, domy spokojnej starości, zajmuje się ochroną przyrody i resocjalizacją więźniów.

Ponieważ założycielom zależało także na edukacji o buddyzmie, klasztor jest otwarty dla wszystkich. I chociaż śpię w dużym dormitorium z wolontariuszkami, bo w pokojach nie było już miejsc, zapamiętuję stąd przede wszystkim spokój i spacery po pięknie oświetlonych ogrodach. Tuż przed wyjazdem spotykam rodzinę turystów z córeczką wychodzącą z multimedialnego centrum buddyzmu. – Trochę obawialiśmy się indoktrynacji, ale nic takiego nie było – mówi mama. Dziewczynka obejrzała kreskówkę o tym, dlaczego człowiek powinien dobrze traktować zwierzęta.

Wędrowałam po Tajwanie z namiotem po górach i historycznych szlakach, ale pogoda zrobiła się nagle paskudna, krople deszczu padały z każdej strony, wiatr przygniatał do ziemi. Musiałam uciekać do cywilizacji. W dole jednak okazało się, że akurat tu takiej nie ma; w malutkiej wsi na krańcu pięknego szlaku Caoling nie było żadnych możliwości noclegowych. Była za to taoistyczna świątynia Qingyun ku czci Nefrytowego Cesarza usadowiona pod zielonym zboczem frontem do oceanu i Wyspy Żółwiej. W dormitoriach – obok stawu z kolorowymi jak tęcza karpiami koi – za dnia odpoczywało kilkoro pielgrzymów. Na noc zostałam sama, przy muzyce hulającego wiatru spałam jak dziecko.

Podobnie przypadkiem i z pogodowej konieczności trafiłam do jednego z pokojów przy kamiennym prezbiteriańskim kościółku. Stał on w głębi wąwozu Taroko, opadającego dzikimi ścianami do grzmiącej rzeki. Rosło przed nim stare rozłożyste drzewo wiśniowe, a że był akurat czas kwitnienia, śniadanie jadłam pod najpiękniejszą pergolą w towarzystwie kilkorga tajwańskich emerytów podróżujących kamperami. Nocleg w „wielkim Buddzie" kosztował 60 zł, na miejscu była jadłodajnia karmiąca gości za datki (wypadało zostawić 10 zł za posiłek); w świątyni prezbiteriańskiej za 45 zł dostałam własny pokój, a w taoistycznej wypadało zostawić datek ok. 30 zł.

W sąsiedniej Japonii trzeba zapłacić kilka, kilkanaście razy więcej, ale pobyt

Św. Benedykt nauczał, że każdego gościa należy przyjąć jak Chrystusa. Na zdjęciu: Opactwo Benedyktynów w Tyńcu

w shukubo zdecydowanie jest tego warty. Te kwatery powstałe przy świątyniach dla mnichów i pielgrzymów, z czasem otwarte także dla turystów, są miejscem, w którym wciąż można doświadczyć tradycji znikających ze współczesnego życia. Goście śpią w pokojach z przesuwanymi drzwiami na matach tatami i lekkich materacach futon, w cenę wliczone są co najmniej dwa posiłki przygotowane zgodnie z tradycyjną wegetariańską kuchnią mnichów. Zakazane są więc produkty uważane za stymulujące, np. cebula i czosnek, bywają za to serwowane napoje alkoholowe – świątynne piwo świąteczne czy lokalna sake. Za centrum shukubo uważa się Kōya-san. Położony wśród cedrowych lasów płaskowyż z ogromnym kompleksem świątyń jest jednym z najważniejszych miejsc japońskiego buddyzmu (rezerwacje: koyasan-shukubo.net).

ŚPIEWY GREGORIAŃSKIE DO SNU

Gości przyjmują klasztory katolickie i prawosławne, w domach pielgrzyma albo pokojach hotelowych, niektóre jednak zgadzają się tylko na dłuższe pobyty połączone np. z postem. W przypadku samego noclegu można, ale nie trzeba uczestniczyć w życiu wspólnoty. Najbardziej znane są klasztory benedyktynów; ponieważ założyciel zakonu św. Benedykt nauczał, że każdego gościa przychodzącego do klasztoru należy przyjąć jak Chrystusa, od zawsze powstawały przy nich domy gościnne, a dziś niektóre można zarezerwować nawet na Bookingu.

Najstarsze polskie opactwo, założone w pierwszej połowie XI w. w Tyńcu, to oaza w zieleni nad Wisłą; wielu gości szuka tu oddechu po pędzącym dniu spędzonym w niedalekim Krakowie. Pokoje znajdują się w dawnej siedzibie opata i bibliotece, mają wi-fi, nie mają telewizorów, można za to posłuchać śpiewów gregoriańskich w wykonaniu mnichów, a przede wszystkim – poczuć atmosferę średniowiecznego klasztoru (rezerwacje – domgosci.benedyktyni.com). Benedyktyńskie domy gościnne znajdziecie w całej Europie, np. w Monte Cassino czy Montserrat w pobliżu Barcelony.

W popularnej Chorwacji guesthousy prowadzą siostry benedyktynki z klasztoru Marii Magdaleny w Zadarze (gostinjacbsm.com) czy franciszkanki z klasztoru na wyspie Hvar, znane z wytwarzania unikalnych koronek na bazie liści agawy. Ja spędziłam wiele nocy w prawosławnych klasztorach Macedonii Północnej i były to miejsca niezwykłe: kompleks dla gości z drewnianymi krużgankami przy monastyrze św. Jana Chrzciciela (Jana/Jovana Bigorskiego) w Mawrowskim Parku Narodowym (guestmansion.mk, łóżko od 20 euro), monastyr św. Jerzego w winnym regionie Tikwesz czy monastyr św. Nauma, położony w zielonych lasach nad jeziorem ochrydzkim, kilometr od granicy z Albanią.

Kraj ten jest centrum bektaszytów, mistycznego bractwa religijnego uważanego za odłam islamu z wpływami innych religii. Tekke, czyli bektaszyckich świątyń, nie zachowało się jednak zbyt wiele. Dwie ważne znajdują się w mieście Kruja – dawnej stolicy Albanii. Wędruję brukiem pod murami zamku Skandenberga, narodowego bohatera Albanii, do kamiennej budowli, której niczym strażnik pilnuje stare, powykręcane drzewo oliwne. Strażnik ludzki jest w środku; należy do kolejnego pokolenia rodziny opiekującej się świątynią od XVIII w. Opowiada o tekke i bektaszytach, a także o tym, że jedną z ich tradycji jest przyjmowanie pielgrzymów i podróżnych, po czym z pewnym zakłopotaniem dodaje, że nie może zaoferować noclegu. Może za to znaleźć pokój na terenie zamku. Czy się zgadzam? Pewnie. Kwadrans później moszczę się w kamiennym białym domu przy murach obronnych. ▲

eprasa.pl ae811472f6

KONKURS

KOBIETY W PODRÓŻY

Weź udział w konkursie i opowiedz nam, co TY robisz przed lub podczas wyjazdu, aby czuć się bezpiecznie?

NAGRODY:

5 x Zestaw kosmetyków **NEO MAKE UP**

1 x SUBARU FORESTER z pełnym bakiem na okres 7 dni

5 x Zestaw kosmetyków do opalania marki **Yves Rocher**

5 x Voucher na zakupy w aplikacji **Wolt**

5 x Walizka kabinowa z kolekcji **Circle Line** od marki **WITTCHEN**

5 x Zestaw 10 klasycznych lakierów do paznokci wraz z innowacyjnym topem oraz kolekcja **Foot Care** do pielęgnacji stóp marki **NEONAIL**

Konkurs trwa od 26 czerwca do 31 sierpnia 2026 r. Żeby wziąć w nim udział należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie **www.wysokieobcasy.pl/kobietywpodrozy**

REGULAMIN KONKURSU DOSTĘPNY JEST NA STRONIE **WYSOKIEOBCASY.PL/KOBIETYWPODROZY**

SPONSORZY:

NÉONAIL NÉO MAKE UP SUBARU Wolt WITTCHEN YVES ROCHER FRANCE

eprasa.pl ae811472f6